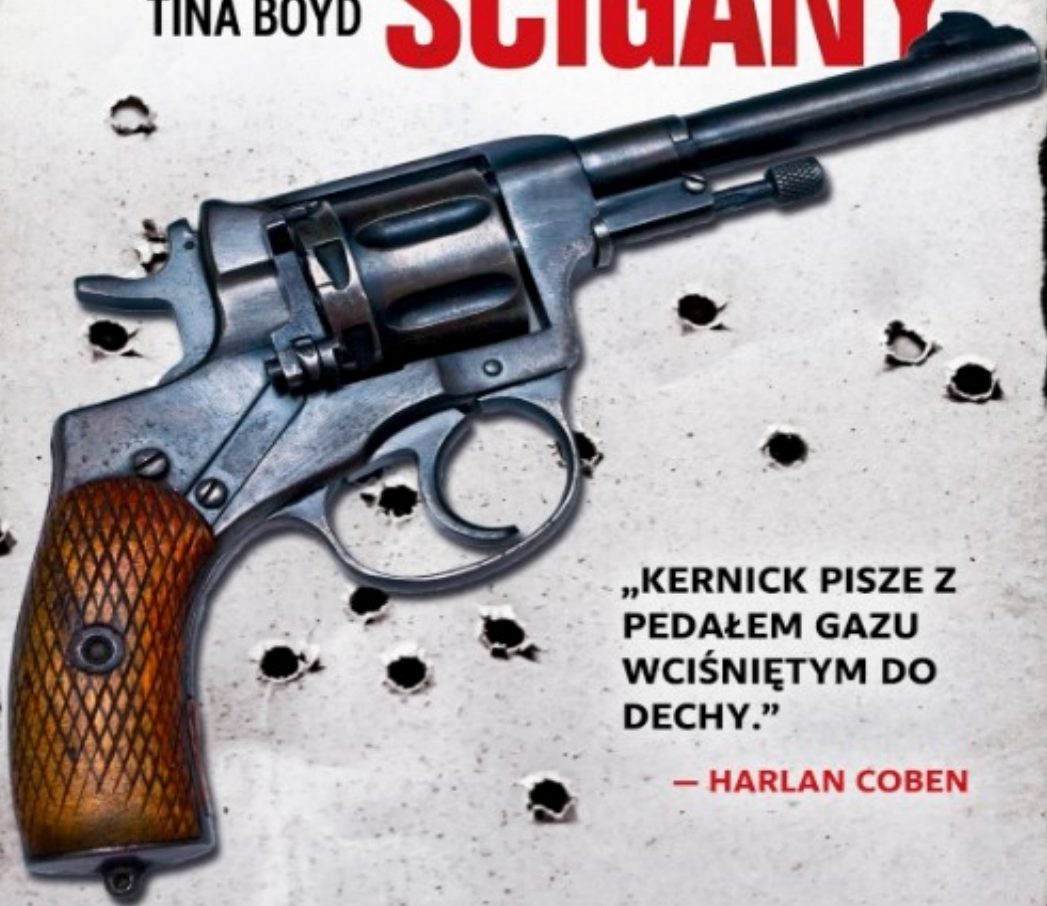


Simon Kernick

KRYMINAŁ
TINA BOYD

ŚCIGANY



„KERNICK PISZE Z
PEDAŁEM GAZU
WCIŚNIĘTYM DO
DECHY.”

— HARLAN COBEN

JENTAS BOOKS

K SIMON
ERNICK

KRYMINAL
TINA BOYD

ŚCIGANY

JENTAS BOOKS

Ścigany

Tytuł oryginału: Relentless

© Simon Kernick 2006

© Copyright to the Polish Edition: Jentas ehf 2022

ISBN: 978-9979-64-394-4

Spis treści

Strona tytułowa

Notka redakcyjna

Część pierwsza SOBOTA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

Część druga NIEDZIELA

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

Epilog

Od autora

Dla moich córek, Amy i Rache

Część pierwsza

SOBOTA

1

Nie usłyszałbym telefonu, gdyby nie to, że drzwi do domu zostawiłem otwarte. Byłem wtedy w ogrodzie. Rozdzielałem moje dwa maluchy, które pokłóciły się o maszynkę do robienia baniek mydlanych — i właśnie przechodziły do rękoczynów. Aż po dzień mojej śmierci będę się zastanawiał, co by było, gdyby drzwi były zamknięte albo gdyby dzieciaki hałasowały tak głośno, że nie słyszałbym dzwonka.

Był koniec maja, sobota, dzień nie należał do słonecznych. Właśnie minęła piętnasta, a za moment cały mój świat miał się zawalić.

Pobiegłem do domu, wpadłem do salonu, gdzie w telewizji właśnie zaczynał się mecz, i złapałem słuchawkę chyba po czwartym dzwonku. Przypuszczałem, że to mój gnojkwaty, wiecznie opalony szef, Wesley „Mów mi Wes” O’Shea, chce omówić jakiś nieistotny szczegół oferty dla klienta. Lubił do mnie dzwonić w weekendy, szczególnie wtedy, gdy w telewizji właśnie leciał mecz. Dawało mu to jakieś perwersyjne poczucie władzy.

Spojrzałem na zegarek. Minuta po trzeciej.

— Halo?

— Tom, to ja, Jack — wydyszał jakiś głos.

Przez chwilę nie wiedziałem, o co chodzi.

— Jaki Jack?

— Jack... Jack Calley.

To był głos z przeszłości. Należał do mojego najlepszego przyjaciela z czasów szkolnych. Drużby na moim weselu przed dziewięcioma laty. Do mężczyzny, z którym nie rozmawiałem prawie od czterech lat. Coś było nie tak. Głos Jacka brzmiał, jakby go coś bolało. Jakby mówienie sprawiało mu kłopot.

— Kopę lat, Jack. Co słyhać?

— Musisz mi pomóc.

Chyba biegł albo szedł bardzo szybko. W tle słyszałem jakiś hałas, ale nie potrafiłem go zidentyfikować. Jack na pewno był na dworze.

— Jak to?

— Pomóż mi. Musisz... — nagle przerwał i głośno wciągnął powietrze. — O Jezu, nie. Oni tu idą.

— Kto?

— Chryste!

Krzyknął tak głośno, że odruchowo odsunąłem słuchawkę od ucha. W telewizji wybuchła wrzawa — jeden z piłkarzy właśnie strzelił bramkę.

— Jack, co się, do cholery, dzieje? Gdzie ty jesteś?

W jego świszczącym, urywanym oddechu słyszałem cierpienie. Jack biegł.

— Co się dzieje? Powiedz coś!

Jack wrzasnął z przerażenia. Jednocześnie usłyszałem jakąś szamotaninę.

— Błagam! Nie! — krzyczał mój przyjaciel łamiącym się głosem.

Szamotanina trwała jeszcze kilka sekund i jakby się oddalała. A potem Jack znów zaczął mówić, ale już nie do mnie. Do kogoś innego. Mówił cicho, ale bez trudu mogłem go zrozumieć.

Wypowiedział sześć słów. Sześć prostych słów, które sprawiły, że serce mi zamarło, a cały mój świat się zatrząsł.

To były dwie pierwsze linijki mojego adresu.

Następnie rozległ się krótki, rozpaczliwy krzyk Jacka i chyba odciągnięto go od telefonu. Zaraz potem usłyszałem świszczący kaszel, z którego nawet ja — który całe swe życie spędziłem z dala od ludzkiej śmierci — wywnioskowałem, że mój przyjaciel umiera.

A później zaległa upiorna cisza.

Trwała może nawet dziesięć sekund — choć w rzeczywistości pewnie nie więcej niż dwie. Potem — kiedy tak stałem jak skamieniały, zbyt wstrząśnięty, by cokolwiek powiedzieć czy zrobić — ktoś po tamtej stronie przerwał połączenie.

Dwie pierwsze linijki mojego adresu. Prowadziły do miejsca, gdzie od dziewięciu lat wiodłem zwykłe, podmiejskie życie wraz z żoną i dwójką dzieci. Do miejsca, gdzie czułem się bezpieczny.

Przez krótką chwilę pomyślałem, że to musi być żart, okrutny podstęp, który ma mnie zmusić do jakiejś reakcji. Rzecz w tym, że ostatni raz rozmawiałem z Jackiem Calleyem cztery lata temu — i to jedynie dlatego, że przypadkiem spotkaliśmy się na ulicy. Gadaliśmy może pięć minut, podczas gdy dzieciaki — wówczas dużo młodsze; Max był ledwie niemowlakiem — krzyczały i wierciły się w wózku. Prawdziwej rozmowy — wiecie, takiej, jakie prowadzą przyjaciele — nie było od, bo ja wiem, pięciu, sześciu, może nawet siedmiu lat. Nasze drogi dawno temu się rozeszły.

Nie, to było coś poważnego. Nikt nie potrafi udawać takiego strachu. Był prawdziwy, wypływał z głębi duszy. Jack był przerażony, i to nie bez powodu. Jeśli miałem rację — a mógłbym przysiąc na Boga, że się nie myliłem — właśnie usłyszałem, jak wyzionął ducha. A jego ostatnimi słowami były dwie pierwsze linijki mojego adresu.

Kto chciał się dowiedzieć, gdzie mieszkam? I dlaczego?

Powiem wam jedno: jestem zwyczajnym człowiekiem, mam zwyczajną robotę, pracuję za biurkiem w dużym biurze, kieruję czteroosobowym zespołem sprzedawców oprogramowania komputerowego. Nie należy to do zajęć szczególnie przyjemnych, a na dodatek — jak już wspominałem — mój szef, Wesley, to kawał dupka. Ale przynajmniej mam z czego utrzymać siebie, rodzinę i w miarę przyzwoity domek na przedmieściach, i przez trzydzieści pięć lat życia ani razu nie miałem kłopotów z panami w niebieskich mundurach. Przeżywaliśmy z żoną wzloty i upadki, dzieci czasem dają nam się we znaki, ale generalnie jesteśmy szczęśliwi. Kathy od blisko dziesięciu lat prowadzi na uniwersytecie zajęcia z polityki ochrony środowiska. Jest lubiana, dobra w tym, co robi, a na dodatek — choć zapewne nie byłaby zadowolona, że to mówię — bardzo ładna. Jesteśmy w tym samym wieku, stanowimy parę od jedenastu lat i nie mamy żadnych tajemnic. Nie zrobiliśmy niczego złego — płacimy podatki i unikamy kłopotów. Krótko mówiąc, nie różnimy się niczym od wszystkich innych ludzi.

Nie różnimy się niczym od was.

Więc dlaczego ktoś chciał poznać nasz adres? Dlaczego chciał tego tak bardzo, że gotowy był zabić?

Ogarnął mnie strach — to niezwykle silne uczucie przerażenia, które rodzi się gdzieś w podbrzuszu, po czym przebija się przez nas niczym pociąg ekspresowy, opanowuje każdy kawałek ciała i przeradza się w jawną panikę. Instynktowny mechanizm ucieczki. Mdlące uczucie, jakiego doznajemy, idąc nocą pustą ulicą, kiedy z tyłu słyszymy kroki. Albo wtedy, gdy jakiś mężczyzna rozbija szklanekę po piwie o kant baru i pyta, co się, kurwa, gapimy. Autentyczny strach.

Odłożyłem słuchawkę i stałem bez ruchu przez dobrą chwilę, usiłując znaleźć racjonalne wytłumaczenie tego, co usłyszałem. Nic mi nie przychodziło do głowy, a co gorsza,

nawet najbardziej paranoiczne pomysły nie miały ani krzty sensu. Przecież jeśli ktoś chciał ze mną rozmawiać, zapewne musiał wiedzieć, kim jestem. A skoro tak, mógł bez trudu sprawdzić, gdzie mieszkam, i nie musiał o to pytać człowieka, który po tych wszystkich latach ledwie mnie znał. Wystarczyło, żeby zajrzał do książki telefonicznej. Ale tego nie zrobił.

— Tato, Max mnie uderzył bez powodu.

To Chloe wracała z ogrodu ze zmierzwionymi blond włosami i śladami trawy na kolanach. Miała pięć lat — niewiele ponad rok więcej od swego brata, Maksa, jednak była od niego znacznie rozsądniejsza. Kłopot polegał na tym, że Max już teraz był od niej większy, a w anarchicznym świecie małych dzieci to właśnie wzrost bywa zwykle najważniejszym argumentem.

— Powiesz mu coś? — zapytała z obrażoną minką, kompletnie nieświadoma niebezpieczeństwa, jak to zwykle dzieci.

Ktoś tutaj jechał. Ktoś, kto właśnie zabił mojego przyjaciela z dawnych lat.

Z tego, co pamiętam, Jack Calley mieszkał jakieś osiem czy dziewięć kilometrów stąd, zaraz za Ruislip, czyli tam, gdzie wreszcie kończy się Londyn i zaczyna Green Belt. Jeśli dzwonił do mnie z okolic domu, to osoba, której podałem mój adres, na dojazd o tej porze dnia potrzebowała około kwadransa. A może nawet mniej, gdyby się pospieszyła, a ruch był niewielki.

— Tato, co robisz?

— Poczekaj chwilę, kochanie — odparłem z uśmiechem tak sztucznym, że zawstydziłyby nawet polityka. — Po prostu myślę.

Od chwili gdy odłożyłem słuchawkę, minęły dwie minuty. Słyszałem, jak serce bębni mi w piersi. Bum bum, bum bum, bum bum. Jeśli tu zostanę, narażę rodzinę na niebezpieczeństwo. Jeśli ucieknę, w jaki sposób dowiem się, kto i dlaczego mnie szukał?

— Słuchaj, kochanie — powiedziałem, doskonale zdając sobie sprawę, jak bardzo drży mi głos — musimy teraz pojechać do babci.

— Dlaczego?

Przykucnąłem i podniosłem córeczkę.

— Bo babcia chce cię zobaczyć.

— Dlaczego?

Z pięciolatkami czasem lepiej nie wdawać się w dyskusję.

— Chodź już, skarbie, musimy jechać — powiedziałem, po czym ruszyłem na dwór, niosąc Chloe na rękach.

Max porzucił maszynkę do robienia baniek na środku trawnika i przeniósł się na skraj ogrodu. Z prowizorycznego płóciennego namiotu rozpiętego na szczycie drabinek wystawała mu tylko głowa. Kazałem mu zejść, tłumacząc, że musimy gdzieś jechać. Głowa Maksa natychmiast zniknęła w namiocie. Podobnie jak większość czterolatków, nie lubił wykonywać poleceń. Zwykle mi to nie przeszkadzało. Nie przejmowałem się i pozwalałem mu się dalej bawić. Ale tego dnia to był koszmar.

W głowie bez przerwy brzmiały mi słowa Jacka: „O Jezu, nie. Oni tu idą”. Ile w nich było niepokoju! Ile strachu. Oni tu idą.

Idą tutaj.

Spojrzałem na zegarek. 15.05. Minęły cztery minuty, odkąd odebrałem telefon. Wydawało mi się, że czas płynie szybciej niż zwykle.

— Chodź tu, Max. Musimy jechać. Natychmiast.

Podbiegłem do drabinki, wciąż trzymając Chloe w ramionach, obojętny na jej protesty. Próbowwała mi się wyrwać, ale jej na to nie pozwoliłem.

— Ja się bawię — zawołał Max z wnętrza namiotu.

— Trudno. Musimy jechać.

Przed domem usłyszałem samochód. Było to dość niezwykle, ponieważ droga, przy której leży nasze osiedle, donikąd nie prowadzi. To jedynie podkowa, od której odbijają ślepe uliczki. Jadąc nią, w końcu wraca się do głównej szosy. Nasz dom znajdował się na rogu jednego z owych ślepych zaułków — samochody nie pojawiały się tu częściej niż raz na dwadzieścia minut.

Wóz zwolnił. Zatrzymał się.

Usłyszałem trzask zamykanych drzwi — w naszej uliczce, ale nieco z oddali. Przesadzałem z tą paranoją. Jednak serce nie przestawało mi łomotać.

— Daj spokój, Max. Ja nie żartuję.

Zachichotał, błogo nieświadomy mojego strachu.

— Złap mnie.

Postawiłem Chloe na ziemi i sięgnąłem do namiotu. Max, wciąż chichocząc, cofnął się aż pod ścianę, ale gdy tylko zobaczył moją minę, natychmiast spowaźniał.

— Co się stało, tato?

— Nic, wszystko w porządku. Ale musimy szybko jechać do babci.

Zmartwiony kiwnął głową i wygramolił się z namiotu.

Wziąłem dzieci za ręce i usiłując zachować spokój, poprowadziłem je do samochodu. Zarzucały mnie pytaniami, ale nawet ich nie słuchałem. Popędzałem je tylko, żeby się nie ociągały. W oddali słyszałem auta, które mknęły po szosie. Nad nami, niewidoczny za jednolitą powłoką białych chmur, huczał samolot. Nowy pies sąsiadów nie przestawał czekać. Ktoś w pobliżu kosił trawnik. Ot, uspokajające dźwięki normalności — jednak tego dnia nie znajdowałem w nich nic kojącego. Czułem się tak, jakbym znalazł się w jakimś przerażającym równoległym świecie, gdzie zewsząd czyha niebezpieczeństwo, ale nikt poza mną go nie dostrzega.

Przypiąłem dzieci do fotelików i wtedy — gdy miałem właśnie usiąść za kierownicą — zdałem sobie sprawę z tego, że nie wiem, ile czasu spędzimy poza domem. Musiałem wziąć dla nich jakieś rzeczy na zmianę. Nie wiedziałem, co powiedzieć teściowej, kiedy pojawię się u niej z maluchami. Że właśnie zadzwonił do mnie mój druhna, po raz pierwszy od lat, i podczas tej rozmowy ktoś go zamordował, a teraz ten ktoś szuka mnie? Brzmiało to tak nedorzecznie, że nawet ja sam zacząłbym się zastanawiać, czy aby na pewno jestem normalny — gdybym tylko nie miał absolutnej pewności, że to prawda. Na dodatek Irene nigdy mnie za bardzo nie lubiła. Zawsze uważała, że jej córka, ze swoim solidnym uniwersyteckim wykształceniem i dyplomem z Cambridge, zasługiwała na kogoś lepszego niż facet ledwie oczko wyżej od sprzedawcy komputerów.

15.08. Siedem minut od chwili, kiedy odebrałem telefon.

Postanowiłem powiedzieć Irene, że coś mi wypadło w pracy, więc najlepiej, gdyby dzieciaki przenocowały u niej. Ale co potem? Co będzie jutro?

Musiałem przestać wszystko analizować i po prostu zacząć działać.

— Nie ruszajcie się z samochodu, dobrze? Wezmę tylko jakieś rzeczy na zmianę.

Oboje zaczęli protestować, ale ja zatrasnąłem drzwi i rzuciłem się biegiem w stronę domu. Wpadłem kolejno do ich pokoiów, w pośpiechu zgarniając piżamy, zabawki i resztę rzeczy, których mogły potrzebować. Wszystko to wpychałem do podręcznej torby, dobrze wiedząc, że cały czas ścigam się z czasem.

15.11. Gdy wybiegałem z domu, przypomniałem sobie charczący kaszel Jacka w chwili, gdy go zaatakowano. Przedśmiertne rżenie — to nie mogło być nic innego. Ale kto by zabijał przeciętnego adwokata, który owszem, nieźle sobie w

życiu radził, ale trudno powiedzieć, żeby miał zawojować świat? No i co ważniejsze — o wiele ważniejsze — kto by chciał z niego wyciągnąć informację, gdzie mieszkam ja, podrzędny sprzedawca Tom Meron, i moja rodzina?

Kiedy wróciłem do samochodu, zakląłem. Dzieciaki rozpięły pasy i zaczęły się wygłupiać. Chloe precyzyjnie się między przednimi siedzeniami i bawiła kierownicą, a co do Maksa, to widziałem tylko, jak macha nogami w powietrzu, szukając czegoś pod fotelem. Oboje głośno się śmieli, jakby w ich świecie wszystko było w najlepszym porządku. Bo przecież było. To tylko mój świat stanął na głowie.

Otworzyłem drzwi i rzuciłem torbę z rzeczami na fotel pasażera obok Chloe.

— Dajcie spokój, musimy już jechać — powiedziałem.

Podniosłem córkę i przepchnąłem ją z powrotem między siedzeniami.

— Aua! To boli.

— Chloe, natychmiast wracaj na swoje miejsce.

Pot spływał mi z czoła. Obiegnąłem samochód, otworzyłem drzwi po stronie pasażera, poderwałem Maksa do góry i wcisnąłem go w fotelik. Drżącymi dłońmi zapiąłem mu pasy, po czym nachyliłem się do wnętrza i zapiąłem Chloe.

— Tato, co się dzieje? — spytała.

Wyglądała na przestraszoną. Tata nigdy się tak dziwnie nie zachowywał.

Z natury nie jestem panikarzem. Szczerze mówiąc, w moim życiu raczej brakuje rzeczy, które mogłyby wywołać panikę — i właśnie dlatego teraz tak trudno było mi zachować spokój. Miałem wrażenie, że to wszystko jakiś zły sen, coś, co powinno się przytrafić komuś innemu. Wyrafinowany dowcip, który zakończy się ogólnym śmiechem.

Ale tak nie było. Miałem co do tego pewność.

Zacząłem szukać kluczyków po kieszeniach džinsów. Wreszcie je znalazłem i uruchomiłem silnik. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał godzinę 15.16, ale pamiętałem, że spieszy się cztery minuty. Czyli od telefonu minęło jedenaście minut. Boże, aż tyle? Wrzuciłem wsteczny, wyjechałem z podjazdu i ruszyłem w stronę skrzyżowania. Tam skręciłem w lewo, w kierunku szosy. Ulga, którą czułem, w miarę jak przyspieszałem i oddalałem się od domu, była niemal namacalna. Miałem wrażenie, że właśnie uciekłem przed czymś strasznym.

Pomyślałem, że zachowuję się jak idiota. Na pewno wszystko, co usłyszałem, można jakoś racjonalnie wytłumaczyć. Na pewno.

— Uspokój się — wymamrotałem pod nosem. — Uspokój się.

Wziąłem głęboki oddech i od razu poczułem się lepiej. Zawiozę dzieci do Irene — pomyślałem — zostawię je tam, zatelefonuję do Kathy, a potem wrócę do domu. I nikogo tam nie będzie. Znajdę numer do Jacka Calleya, przedzwonię do niego i dowiem się, czy u niego wszystko w porządku. Siedząc w bezpiecznym kokonie, jakim wydawał mi się samochód, zacząłem przekonywać samego siebie, że Jackowi nic się tak naprawdę nie stało. Że ten koszmarny odgłos dławienia wcale nie oznaczał, że mój przyjaciel umarł samotną śmiercią. Że wszystko jest w porządku.

Od wylotu naszej uliczki do skrzyżowania z szosą prowadzącą do Londynu wiedzie stumetrowy, w miarę prosty odcinek drogi. Gdy tam dotarliśmy, zwinilem i włączyłem prawy kierunkowskaz. Szosą ze sporą szybkością zbliżała się w naszym kierunku czarna toyota land cruiser o konstrukcji przywodzącej na myśl czołg. Na przednich siedzeniach dostrzegłem dwie osoby w ciemnych okularach i czapkach z daszkiem. Dziesięć metrów od nas kierowca gwałtownie zahamował i nie włączając migacza, skręcił w osiedle. Właśnie

miałem go w duchu zwymyślać za brak dobrych manier, kiedy zobaczyłem, że boczne szyby samochodu są ciemne. Obleciał mnie strach. Obcy samochód wjeżdża na nasze osiedle w jedenaście minut po telefonie Jacka. Na upartego można by powiedzieć, że Jack mieszkał jedenaście minut stąd. Zbyt duży zbieg okoliczności.

Obserwowałem toyotę we wstecznym lusterku. Momentalnie wyszło mi w ustach, poczułem cierpki smak strachu, a serce skoczyło do gardła. Mieszkaliśmy przy trzeciej uliczce na prawo, tuż przed ostrym zakrętem. Toyota minęła pierwszą uliczkę, potem drugą.

Piętnaście metrów przed naszą, trzecią, zabłyśły światła hamowania.

O nie, nie. Proszę, nie.

— Tatusiu, dlaczego stoimy?

— Tato, jedźmy już. Tato, jedźmy już.

Toyota skręciła w naszą uliczkę, znikając mi z oczu. W tym momencie jak niczego na świecie byłem pewien, że jej pasażerowie przyjechali tu po mnie.

Wyjechałem na szosę i mocno wcisnąłem gaz. W głowie, niczym odległe, stłumione echo, pobrzmiwały mi głosy moich dzieci oraz Jacka Calleya — zrozpaczonego, umierającego Jacka Calleya.

2

— Wiesz co, Tom, mogłeś chociaż uprzedzić — skarciła mnie teściowa.

Była 15.35. Znajdowałem się jedenaście kilometrów od domu i pasażerów czarnej toyoty. I chyba byłem bezpieczny. Przynajmniej na razie.

— Wybacz. Coś mi wypadło. Nagła sprawa.

Wprowadziłem dzieci do holu wielkiego wiktoriańskiego bliźniaka, w którym mieszkała Irene Tyler. Stał przy spokojnej, wysadzonej drzewami ulicy. Podobnie jak wszystkie sąsiednie domy, miał wspaniałą malowaną fasadę w stylu szwajcarskim. To właśnie tu wychowała się Kathy i do takiego domu chciała w końcu wrócić.

— Jaka nagła sprawa? — spytała stanowczo teściowa, podejrzliwie unosząc brew.

Irene Tyler, emerytowana dyrektorka liceum, mogła działać na nerwy. Miała apodyktyczny charakter, który dodatkowo podkreślała jej słuszna postura oraz szerokie ramiona. Budziła respekt. Zawsze uważałem, że świetnie by się nadawała na strażnika więziennego, a gdyby urodziła się w czasach starożytnego Rzymu, byłaby bardzo dobrym trenerem gladiatorów. Jak na siedemdziesięcioletnią kobietę nie była jakoś szczególnie nieatrakcyjna — ale chyba rozumiecie, co mam na myśli. W bezpośredniej konfrontacji na dłuższą metę nie miałibyście z nią szans.

Ale dzieci ją lubiły. Podbiegły właśnie i cicho chichocząc, przytuliły się do jej potężnej figury. Ja natomiast głowiłem się, jak by tu wyjaśnić naszą obecność. Jako sprzedawca z dwunastoletnim doświadczeniem byłem całkiem niezły we wciskaniu ludziom kitu. Jednak ponura osobowość teściowej w kombinacji z nękającym mnie wciąż strachem powodowała, że wymyślenie wiarygodnej historyjki graniczyło z niemożliwością.

— Po prostu coś w pracy — powiedziałem. — Muszę tam jechać. Jeden z naszych najważniejszych klientów strasznie wybrzydza. Wiesz, jak to jest.

Cóż, jako emerytowany pracownik budżetówki, akurat zupełnie nie wiedziała, jak to jest. W mojej pracy jednak takie sytuacje wcale nie należały do rzadkości. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Wesleyowi O'Shea już kilka razy wypadały w sobotę podobne nagłe sprawy, czyli kompletnie zmyślane kłopoty z klientami. W rezultacie ściągał do biura kierowników zespołów, żeby „urządzić burzę mózgów” i rozwiązać problem. Byłem przekonany, że robił to wszystko tylko po to, żeby poczuć się ważnym.

Mina Irene świadczyła o tym, że wciąż jej nie przekonałem. Ale z drugiej strony właściwie nigdy mi nie ufała. Była jedną z tych osób, które uważają, że każdy, kto zarabia na życie sprzedawaniem czegokolwiek, jest co najmniej lekko podejrzany. W dodatku nie mogła pojąć, dlaczego miałbym iść do pracy w sobotę, choć nie pracowałem ani w handlu detalicznym, ani w służbach ratunkowych. Tym razem jednak ustąpiła i spytała mnie, gdzie jest jej córka.

— Też w pracy — odparłem, stawiając torbę z rzeczami na podłodze obok wielkiego, bogato zdobionego zegara przy wejściu. — Jest na uniwersytecie. Zbiera materiały do artykułu.

Musiałem zadzwonić do Kathy. Zadbać o to, żeby nie pojechała do domu. Nie pamiętałem, o której godzinie miała skończyć, ale raczej jeszcze nie teraz.

— Kiedy wrócisz po dzieci?

— Babciu, możemy zostać na herbatkę? — spytała Chloe, tarmosząc skrawek jej sukienki.

— Oczywiście, kochanie — odparła teściowa i nareszcie się uśmiechnęła.

Pochyliła się i pogładziła wnuczkę po głowie, przesuwając dłoń po jej długich włosach.

— Nie wiem, o której wrócimy. Spakowałem trochę rzeczy dla dzieci.

— To znaczy chcesz, żeby zostały na noc?

— Tak, jeśli tylko nie masz nic przeciwko temu. Wpadnę po nie jutro z samego rana.

— Tato, a dlaczego idziesz do pracy w sobotę? — zapytał Max.

— Najwyższy czas, żebyś poinformował szefa, że poza pracą również masz obowiązki — rzekła Irene tonem nieznośnym sprzeciwu.

— To jednorazowa sprawa — odparłem szybko.

Poczułem nagle nieodpartą chęć, żeby czym prędzej uciec od tego przesłuchania i dowiedzieć się, co, u diabła, dzieje się w moim życiu.

Udałem, że spoglądam na zegarek.

— Irene, słuchaj, naprawdę muszę już lecieć.

Przed moim domem stoi toyota land cruiser z ciemnymi szybami. W środku siedzą ludzie, którzy czegoś ode mnie chcą i są gotowi zabić, żeby to zdobyć, a ja nie mam nawet pojęcia, co to może być.

— Przede mną długa noc. Nie chciałbym się spóźnić.

Kiwnęła głową, ale w jej ciemnych oczach dostrzegłem błysk podejrzliwości. Następnie pochyliła się do Chloe i Toma.

— No to co będziemy robić? Chcecie najpierw iść nad rzekę nakarmić kaczki?

— Tak, tak, tak! — zawołały zgodnie.

Czułem, jak pot cieknie mi po skroni. Wiedziałem, że Irene na pewno to zauważyła i zinterpretowała po swoimu. Ucałowałem dzieciaki na do widzenia, ale one myślami były już nad rzeką i karmiły kaczki, więc moje czułości odwzajemniły na odczepnego. Podziękowałem Irene, uważając przy tym, by nie patrzeć jej w oczy. Potem wyszedłem na dwór i ruszyłem ścieżką w stronę samochodu.

Wsiadłem do auta i pojechałem aż do końca drogi przed domem Irene. Kiedy miałem już pewność, że mnie nie zobaczy, wyjąłem komórkę i wybrałem numer do Kathy. Po pięciu sygnałach odezwała się poczta głosowa. Szczerze mówiąc, wcale się nie zdziwiłem. Jeśli była w bibliotece, na pewno wyłączyła telefon. Wiedziałem, że nie lubi, kiedy jej ktoś przeszkadza. Postanowiłem się nie nagrywać i zamiast tego zadzwoniłem do jej gabinetu. Telefon dzwonił, dzwonił, aż wreszcie włączyła się automatyczna sekretarka.

Przez kilka chwil nie wiedziałem, co robić. Potem wrzuciłem bieg i ruszyłem w drogę powrotną. Teraz miałem już pewność, że moje obawy są uzasadnione, ale mimo to chciałem sprawdzić, przed którym domem stoi land cruiser i czy tak, jak przypuszczam, jest to właśnie mój dom.

Jadąc, myślałem o Jacku Calleyu. Zналиśmy się prawie całe życie. Wprowadził się na naszą uliczkę pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy obaj mieliśmy po osiem lat, i od początku zwracał na siebie uwagę. Był rosty jak na swój wiek, na głowie miał niesamowicie gęstą, kręconą czuprynę długich blond włosów, przez co wyglądał trochę jak Robert Plant z czasów Led Zeppelin. Kilka miesięcy wcześniej zmarł jego ojciec, więc matka przeprowadziła się ze wschodniej Anglii, żeby być bliżej rodziców. Moi rodzice od razu poczuli niechęć do Jacka — pewnie przez te włosy. A ponieważ nie chcieli, żebym się z nim zadawał, oczywiście zacząłem to robić.

Błyskawicznie się zaprzyjaźniliśmy. Jak na chłopaka, który właśnie stracił ojca, Jack był zaskakująco pełen życia, być może dlatego, że ciągle chciał coś udowodnić. Był typem awanturnika, który zawsze musi się wspiąć na najwyższe drzewo, odstawić najtrudniejszy numer. Jako pierwszy w naszej szkole zjechał na rowerze z niemal pionowego zbocza w Wąwozie Sketty'ego. Dno wąwozu było gęsto obrośnięte pokrzywami. Ja spróbowałem tej sztuki tylko raz i wróciłem do domu cały poparzony. Ale nie Jack. Dla niego to był numer popisowy — on zjeżdżał z wąwozu bez przerwy. Był lekkoduchem, a w towarzystwie takich nigdy nie jest nudno. I ani razu nie spadł z roweru.

Byliśmy przyjaciółmi przez całe dzieciństwo i chociaż nasze drogi się rozeszły, kiedy on poszedł na studia prawnicze, a ja dostałem pierwszą pracę na pełnym etacie jako sprzedawca kserokopiarek, odnowiliśmy znajomość, gdy mieliśmy po dwadzieścia parę lat. To był świetny okres, by przebywać w towarzystwie faceta takiego jak Jack. Wyrósł na wysokiego, przystojnego gościa, któremu nie brakowało ani uroku, ani forsy. Lgnęły do niego kobiety, a ponieważ wciąż krążyliśmy we dwóch po barach i klubach w City i centrum Londynu, także wokół mnie było ich sporo. Raz na jakiś czas miałem co prawda wrażenie, że dostają mi się tylko odrzuty, których nie chciał Jack. Jednak podobnie jak większość facetów, kiedy w grę wchodził seks, nie dopuszczałem do głosu poczucia godności. W tamtych czasach Jack Calley mi imponował, więc doceniałem sam fakt, że mogę być jego przyjacielem.

O definitywnym rozluźnieniu naszej przyjaźni przesądziło małżeństwo — szczególnie moje z Kathy. Widywaliśmy się coraz rzadziej. Jack związał się z przebojową prawniczką, a Kathy zaszła w ciążę. W naszym życiu dużo się działo, więc nie spotykaliśmy się częściej niż raz, dwa razy do roku, a w końcu przestaliśmy się widywać w ogóle. Zawsze miałem wrażenie, że

bardziej niż ja przyczynił się do tego Jack. Kilka razy zostawiałem mu wiadomość, ale nigdy nie oddzwaniał. Również moje e-maile — mimo że odpisywał na nie z wielkim entuzjazmem, powtarzając, że musimy się jak najszybciej spotkać — do niczego w końcu nie prowadziły. Jeśli dobrze pamiętam, przez ostatnie parę lat nie wysyłaliśmy sobie nawet kartek na święta.

Niecały kilometr od domu postanowiłem złamać prawo i zadzwonić do Kathy zza kierownicy. Znów nie odebrała i tym razem zaczynało mnie to niepokoić. Koniecznie chciałem komuś o wszystkim opowiedzieć, a ona jako jedyna potrafiłaby znaleźć logiczne wytłumaczenie, a przynajmniej obmyślić rozsądny plan działania. Bo jeśli ktoś naprawdę chciał mnie dorwać, będzie mnie przecież dalej szukał — i jutro, i pojutrze, i każdego kolejnego dnia. A to oznaczało, że nie mam wyboru: muszę się dowiedzieć, czego, u diabła, oni ode mnie chcą.

Zajechałem na nasze osiedle za pięć czwarta. Zwykle kiedy skręcam w drogę wewnętrzną, która prowadzi do domu, odczuwam głęboką satysfakcję — jestem już prawie u siebie, mam za sobą dzień pracy. Ładne, zadbane domki z lat sześćdziesiątych z równo przystrzyżonymi trawnikami sprawiały, że to miejsce wydawało mi się cudowną oazą spokoju pośród zgiełku przedmieść Londynu. Jednak tego dnia czułem wyłącznie niepokój, gdyż nie wiedziałem, co zastanę na miejscu.

Nie zwalniając, minąłem moją uliczkę i rzuciłem okiem w stronę domu. Toyoty z ciemnymi szybami już tam nie było. Dotarłem do zakrętu u podnóża wzgórka, jechałem przed siebie jeszcze kilkaset metrów, po czym zawróciłem. Zbliżając się, tym razem z drugiej strony, do dróżki, przy której mieszkaliśmy, spojrzałem jeszcze raz — land cruisera nie było tam na pewno. Może po prostu zobaczyli, że mnie nie ma, i odjechali. Naprzeciw naszego domu mali Hendersonowie — dwóch

wrzaskliwych urwisów w wieku siedmiu i dziewięciu lat — myli samochód ojca. Martin Henderson zdradził mi kiedyś, że nakłonił ich do tego, obracając całą rzecz w grę. Każdy z chłopców mył jedną stronę auta, a wygrywał ten, który lepiej się spisał. Cały wic polegał na tym, że za zwycięstwo nie było żadnej nagrody, więc Martin otrzymywał czyściutki samochód całkiem za darmo. Kiedy patrzyłem na tę scenę, wydała mi się tak boleśnie normalna, że aż ścisnęło mnie w gardle.

Zatrzymałem się kilka metrów za wylotem naszej uliczki. Zaparkowałem pod murkiem, który okalał mój ogród. Wysiadłem, nie gasząc silnika, i podszedłem do miejsca, skąd przez obrośniętą bluszczem kratę mogłem zajrzeć do środka. Widać stąd było nie tylko ogród za domem, ale także wewnątrz jadalni, a przez jej otwarte drzwi widziałem również hol i drzwi frontowe.

Patrzyłem nieruchomo przez jakieś pół minuty. W środku nikt się nie ruszał. Mój dom był chyba pusty. Przyszło mi do głowy, żeby wejść i poszukać numeru Jacka, ale uznałem, że to nie ma sensu. Przecież wiedziałem, że i tak nie odbierze.

Przez hol pewnym krokiem przeszedł mężczyzna w ciemnych okularach i czapce z daszkiem, po czym zniknął w gabinecie. Ubrany był na czarno i chyba miał na sobie rękawiczki. Widziałem go tylko przez chwilę — może nawet mógłby być wytworem mojej wyobraźni. Ale ja wiedziałem, że nic mi się nie przywidziało.

W moim domu był obcy człowiek.

Czekałem i obserwowałem. Żadnego ruchu. Z tyłu dobiegał dźwięk równo pracującego silnika mojego samochodu. Czułem się jak podglądacz, mimo że przecież chodziło o mój własny dom. Po raz pierwszy poczułem także przyływ gniewu. Wdarł się do mnie jakiś sukinsyn i łaził tam sobie, jakby był u siebie.

Kiedy go tak w duchu przeklinałem, znowu się pojawił. Stał w holu. Odgarnąłem sprzed oczu gałgęzie bluszczu, ale

wciąż nie mogłem mu się dobrze przyjrzeć. Był średniej postury, średniego wzrostu, a w rękach miał teczki, które na pewno wyciągnął z mojej szafy na dokumenty. Nie było tam nic ciekawego — same rachunki i stare zeznania podatkowe. Czego ten facet szukał?

Patrzyłem, jak otwiera jedną z teczek i pospiesznie przegląda zawartość. Najwyraźniej sam doszedł do wniosku, że nie ma tam nic przydatnego, bo niedbale rzucił teczkę na podłogę. Papiery rozsypały się po całym dywanie, on zaś zaczął sprawdzać następną.

— Ty gnoju — wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

Zaraz potem podjąłem decyzję.

Wróciłem do samochodu, wyjąłem komórkę, wystukałem 141, żeby zablokować identyfikację numeru, po czym zadzwoniłem pod numer ratunkowy 999. Kiedy odezwał się operator, poprosiłem o połączenie z policją.

— Chcę zgłosić włamanie — powiedziałem kobiecie po drugiej stronie, po czym podałem jej adres. — Sprawca jest uzbrojony w nóż i chyba zaatakował właścicielkę. — Starłem się, żeby w moim głosie słychać było zdenerwowanie, co biorąc pod uwagę okoliczności, nie było zbyt trudne. — Mieszka tam samotna kobieta z małymi dziećmi. One też tam chyba są.

Policjantka wydawała się stosownie zaniepokojona, na czym mi właśnie zależało. Chciałem, żeby policja była tu w ciągu pięciu minut, a nie w dwie godziny po tym, jak facet sobie pojedzie. Gdybym nie naściemniał, wcześniej by pewnie nie przyjechali. Kiedy kobieta zapytała mnie o nazwisko, powiedziałem, żeby się pospieszyli, bo właśnie usłyszałem jakiś krzyk. Potem się rozłączyłem i uruchomiłem silnik.

Nadeszła pora, żeby wreszcie odnaleźć Kathy.

3

Z domu na uniwersytet, gdzie moja żona prowadzi zajęcia z polityki ochrony środowiska (temat, który — muszę przyznać — nie interesuje mnie nawet w najmniejszym stopniu), jechało się zwykle dwadzieścia pięć minut, jednak tego dnia udało mi się tam dotrzeć w dwadzieścia. Na ulicach nie było dużego ruchu, a ja się spieszyłem. W połowie drogi po raz trzeci spróbowałem zadzwonić się na komórkę Kathy. Znowu bez skutku. To samo z numerem do gabinetu. Była niedostępna już od czterdziestu minut. Nie było w tym nic niezwykłego, ale biorąc pod uwagę wszystkie wydarzenia tego dnia, zaczynałem się martwić. Tym razem nagrałem się i tu, i tu. Poprosiłem Kathy, żeby jak najprędzej do mnie zadzwoniła. Nie próbowałem nawet ukrywać zdenerwowania. Zależało mi tylko na tym, żeby nie pojechała do domu. Wolałem nie myśleć, co by się stało, gdyby natknęła się na naszego nieproszonego gościa. Miałem silne przeczucie, że nie byłby zbyt uprzejmy.

Kampus uniwersytetu składał się z szeregu ponurych budynków z czerwonej cegły, wzniesionych w latach sześćdziesiątych. Wszystkie miały za duże, czarne dachy, które robiły wrażenie nie do końca przymocowanych, i wszystkie przylegały jedną ścianą do znacznie większego budynku, ciągnącego się w poprzek całego kompleksu. Po drugiej stronie znajdował się rozległy parking. Jak zwykle w sobotę, był on w trzech czwartych pusty. Zaparkowałem możliwie blisko głównego wejścia, po czym popędziłem do środka.

W recepcji siedziała tylko jedna kobieta, jednak zajęta odpowiadaniem na pytania dwóch studentów z Chin zupełnie nie zwróciła na mnie uwagi. Za biurkiem w holu wejściowym siedział wyraźnie znudzony ochroniarz w wieku emerytalnym. W założeniu powinien kontrolować każdego, kto wchodził do budynku — było tak od czasu, kiedy kilka lat wcześniej zgwałcono tu studentkę. Jednak najwyraźniej jego zdolności kontrolerskie nieco szwankowały, ledwie na mnie spojrzął. Ruszyłem korytarzem, mijając po lewej stronie sale wykładowe, a po prawej — barek oraz kilka rzędów komputerów z dostępem do Internetu. To w tym budynku odbywała się większość zajęć, jednak dziś był on prawie pusty — tylko tu i ówdzie kręcili się pojedynczy studenci.

Nie pasowałem tam, starszy od wszystkich dookoła o przynajmniej kilkanaście lat. Na drodze do biblioteki i wydziału politologii nikt mnie jednak nie zatrzymywał. Byłem kolejnym nieistotnym zgredem. A przecież mógłbym być kimkolwiek. Mogłem być nawet gwałcicielem, ale najwyraźniej nikogo to nie obchodziło. Mówi się, że ludzie zauważają tylko to, co chcą zauważać — i rzeczywiście jest w tym sporo prawdy. Często są tak zajęci własnymi sprawami, że najzwyczajniej ignorują wszystko dookoła. Pomyślałem, że może ja też ostatnio tak się zachowywałem i przez to umknęło mi coś istotnego. Gdybym był uważniejszy, może wcześniej bym się zorientował, co się święci.

Odkąd minąłem barek i komputery, ludzi wokół mnie było coraz mniej, a gdy skręciłem w lewo i wspiąłem się schodami na pierwsze piętro, okazało się, że jestem tam sam. Odgłos moich kroków niósł się echem po korytarzu. W holu panowała absolutna cisza. Przyszło mi do głowy, że gwałciciel mógł tutaj działać z łatwością — w miejscu, które wydawało się bezpieczne, bo przecież zwykle pełne jest ludzi. Teraz jednak

było puste, a w ciemnych korytarzach lub za którymiś drzwiami mógł się czaić każdy.

Zacząłem się denerwować. Nie o siebie — nikt nie wiedział, że tu jestem — ale o Kathy, która musiała tu przychodzić i pracować w samotności. Mówiła, że nie ma powodu do obaw, bo uczelnia zainstalowała w całym budynku monitoring i że nad wszystkim stale czuwa firma ochroniarska. Wiedziałem jednak, że co głębszych przestępców, nie mówiąc o tych, którzy nie panują nad własnymi popędami, nawet kamery nie powstrzymają. W przeciwnym razie Wielka Brytania, gdzie pracuje więcej kamer telewizji przemysłowej niż w jakimkolwiek innym kraju na świecie, byłaby krajem bezpiecznym i spokojnym. A nie jest.

Na końcu korytarza znajdowały się szklane, dwuskrzydłowe drzwi, za którymi rozpoczął się wydział nauk politycznych. Były zamknięte. Po drugiej stronie nie widziałem ani nie słyszałem żadnego ruchu. Kompletna cisza.

Przystanąłem i spojrzałem na zegarek. Była 16.25. Za szybą kolejny hol prowadził do półkolistego okna, które wychodziło na dwór. Na lewej ścianie korytarza znajdowało się czworo drzwi, na prawej — tylko jedno. Gabinet Kathy był za drugimi z lewej. Zauważyłem, że jest zamknięty, podobnie jak cała reszta, z wyjątkiem jednego pomieszczenia.

Pchnąłem podwójne drzwi i przestąpiłem próg. Zatrzasnęły się za mną z głośnym hukiem, który rozniósł się w ciszy niczym wystrzał z pistoletu. Wzdrygnąłem się, tłumiąc w sobie chęć zawołania: „czy ktoś tu jest?”. Po chwili stanąłem przed drzwiami gabinetu Kathy i nacisnąłem klamkę.

Były zamknięte, co bardzo mnie zdziwiło. Wiedziałem, że nie pomyliłem pokoi — na solidnej tabliczce z nierdzewnej stali wygrawerowano jej nazwisko: DR KATHERINE C. MERON. C od Cynthia — imienia, którego nie znosiła. Zacząłem się

zastanawiać, po co w ogóle kazała dodać tę literę. Dla pewności jeszcze raz nacisnąłem klamkę. Zamknięte.

Zrobiło mi się sucho w ustach. Coś tu było nie tak. Cisza wydała mi się teraz gęsta i nienaturalna. Nie słyszałem nawet samochodów na ulicy. Wtedy sobie przypomniałem. Ściany były dokładnie wytłumione, żeby pracownikom naukowym nie przeszkadzał miejski harmider, który cała reszta społeczeństwa musi cierpliwie znosić.

Odwrociłem się i poszedłem do wydziałowej biblioteki. Wewnątrz było ciemno i wyglądało na to, że nikogo tam nie ma. Wszedłem do środka i cichutko zamknąłem drzwi.

Znalazłem się w dużym pomieszczeniu na planie kwadratu, którego boki miały pewnie z piętnaście metrów. Przez środek, aż do okien na przeciwległej ścianie, biegło przejście między rzędami prostokątnych ławek, które zajmowały mniej więcej jedną trzecią sali. Na niektórych stały komputery, wszystkie blaty były jednak puste. Żadnych plecaków, żadnych kurtek, które sugerowałyby, że ktoś tu jest, żadnych otwartych książek pozostawionych na stołach. Wyłączone były także wszystkie monitory. Nieco dalej kończyły się stoły, a zaczynały sięgające sufitu regały pełne książek. Biegły od ściany do ściany, z przerwą na przejście, i przesłaniały większość naturalnego światła, przez co w pomieszczeniu panował charakterystyczny dla bibliotek mrok. Na samym końcu, pod oknami, stał jeszcze jeden rząd stołów. One również były puste.

Tym razem nie wytrzymałem.

— Halo! Jest tu kto?

Cisza.

Wyciągnąłem z kieszeni telefon i po raz kolejny wybrałem numer Kathy. Jednocześnie ruszyłem w kierunku regałów, pełnych tomów z zakresu teorii politycznej. Kiedy znów włączyła się poczta głosowa, nie byłem może zaskoczony, ale za

to coraz bardziej zaniepokojony. Skoro tutaj też jej nie było, to gdzie ona się, u diabła, podziewała?

Wiedziałem, że muszę zachować spokój. Może już wyszła z pracy, tylko zapomniała włączyć komórkę. Ale skoro tak, to mogła już wrócić do domu i natknąć się na człowieka, który grzebie w naszych rzeczach. Wyglądało to kiepsko.

Gdy chowałem telefon, mój wzrok padł na coś na ziemi. Tuż przed jednym z regałów. Coś trudno zauważalnego na ciemnej zieleni wykładziny.

Plama. Miała nie więcej niż kilka centymetrów.

Nerwowo przełknąłem ślinę, pochyliłem się i dotknąłem jej palcem. Wzdrygnąłem się — była wilgotna. Podniosłem palec do oczu. Nie miałem wątpliwości. Żadnych.

Krew.

I to świeża.

Wolno powiodłem wzrokiem po podłodze. Nieco dalej była druga, nieco mniejsza plama. A potem następna. Ścieżka utworzona ze śladów krwi.

Zesztywniałem. Proszę, nie. Proszę, tylko nie Kathy. Nie moja żona, kobieta, która nigdy w życiu nikogo nie skrzywdziła. Wszystko, tylko nie to.

— Uspokój się — powiedziałem, tym razem na głos. — Nie panikuj.

Podniosłem wzrok. Pięć metrów ode mnie, tam gdzie kończył się regał, znajdowały się drzwi. Były uchylone na jakieś trzydzieści centymetrów. Widziałem za nimi tylko ciemność. Ponownie spojrzałem na wykładzinę. Ślady krwi biegły dokładnie w tamtą stronę. Wbiłem wzrok w drzwi, usiłując wyczuć jakiś ruch.

Wtedy zaczęła dzwonić komórka. Nie, nie moja. Jakaś inna. Z innym dzwonkiem. Mój jest dosyć normalny — ten był

bardziej skoczny. Wręcz wkurzająco skoczny. Dźwięk dobiegał z za drzwi.

A potem zamilkł.

Cisza była tak przytłaczająca, że niemal fizycznie czułem jej ciężar. Instynkt kazał mi uciekać, zjeżdżać stamtąd byle dalej. A jeśli w środku jest Kathy? Jeśli tam się wykrwawia? To nie jej telefon dzwonił. Jednak to wcale nie znaczyło, że jej tam nie ma.

Zrobiłem krok naprzód. I zaraz się zatrzymałem. Przecież nawet nie byłem uzbrojony. Co ja sobie wyobrażam? Co zrobię, jeśli ktoś mnie zaatakuje? Powinienem sprowadzić pomoc. Natychmiast.

Drzwi otwarły się na pełną szerokość. Przede mną stanęła wysoka postać w błękitnym kombinezonie poplamionym farbą, w czarnej kominiarce na głowie i w rękawiczkach. Mężczyzna trzymał przed sobą nóż z żółtym uchwytem i długim, zakrzywionym ostrzem. Przypominał nóż do filetowania ryb. Na czubku widać było ciemne ślady krwi.

Zamarliśmy w bezruchu, przyglądając się sobie nawzajem. Dzieliło nas zaledwie pięć metrów. Nie miałem czasu się bać. Zamiast tego w jednej chwili doznałem potwornego wstrząsu, który sprawił, że nie mogłem się ruszyć z miejsca. Nagle mężczyzna ruszył w moją stronę. Zbliżał się długimi, pewnymi krokami z nożem uniesionym do ciosu.

Instynktownie chwyciłem książkę z najbliższej półki i cisnąłem w niego. Następnie odwróciłem się i zacząłem uciekać, jednak w panice wybrałem zły kierunek. Zamiast ku drzwiom, skręciłem w stronę okien. Nie mogłem zawrócić, bo mężczyzna był tuż za mną, więc popędziłem przed siebie. Za plecami słyszałem jego oddech oraz rytmiczny stukot butów o laminowaną posadzkę. Musiałem biec dalej.

Przed jednym z regałów stał drewniany wózek na książki. Przebiegając obok, złapałem jego krawędź i szybkim ruchem

wyciągnąłem go na środek przejścia. Usłyszałem, jak mój napastnik wpada na niego, książki sypią się na ziemię, a on po chwili odpycha wózek na bok. W ten sposób zyskałem może półtorej sekundy. Nie odważyłem się spojrzeć za siebie — byłem zbyt skupiony na tym, by dotrzeć do okien. Miały klamki, więc przypuszczałem — liczyłem na to — że się otwierają. Biblioteka znajdowała się dość wysoko, przynajmniej sześć metrów nad ziemią, może więcej. Nieważne. Musiałem się wydostać.

Przebiegłem pomiędzy dwoma okrągłymi stołami przy oknach i rozpaczliwie pociągnąłem za pierwszą klamkę, do której dopadłem. Nawet nie drgnęła. Cholerstwo było zamknięte. Kroki mojego prześladowcy były coraz bliżej. Odwróciłem się i zobaczyłem go tuż przede mną. Dzieliło nas ledwie półtora metra, a on wciąż biegł w moim kierunku, z zakrwawionym nożem wyciągniętym na wysokości pasa. Gotowym, żeby zrobić ze mnie filety.

Usłyszałem własny okrzyk przerażenia. Miałem jednak wystarczająco dużo instynktu samozachowawczego, żeby złapać najbliższe krzesło i ruszyć na napastnika, wpychając mu nogi krzesła w twarz i tors z nadzieją, że uda mi się go przewrócić. Zrobił kilka chwiejnych kroków w tył, osłaniając się rękami. Dało mi to chwilę, żeby przesunąć się tam, gdzie było więcej miejsca. Kątem oka zauważyłem otwarte drzwi z napisem TOALETY. Moja potencjalna droga ucieczki — ale nie miałem czasu o tym myśleć. Chcąc wykorzystać przewagę, napierałem. Ponownie zaatakowałem krzesłem, ale tym razem był na to przygotowany. Zwinnie uskoczył na bok, chwycił nogę krzesła i zaczął wyrywać mi je z rąk.

Siłowaliśmy się tak przez chwilę, jednak przez to stałem się łatwiejszym celem. Mężczyzna nagle machnął nożem i dosięgnął mojego odsłoniętego przedramienia. Ostro zapiekło, ale nie poczułem bólu. Nie pozwoliła na to adrenalina.

Zacisnąłem zęby. Przez rozcięty materiał koszuli widziałem wąską ranę, która nappełniała się krwią. W chwilę później nóż ponownie śmignął w moim kierunku. Zrobiłem unik, ale kiedy cofałem twarz przed ciosem, ostrze prześlizgnęło się po policzku. Znow zapiekło, a zaraz potem poczułem, jak strużka krwi cieknie mi po szyi.

W tym momencie naprawdę dotarło do mnie, co tu się dzieje. Właśnie walczyłem o życie. Ten człowiek chciał mnie zabić. A w pomieszczeniu cały czas panowała grobowa cisza.

Spróbował podstawić mi nogę, po czym ponownie szarpnął krzesło i wycelował mi nożem w przeponę. Tym razem zdążyłem uskoczyć, wpadając z impetem na najbliższy regał. Wypuściłem krzesło, ale najpierw pchnąłem je tak mocno, jak tylko potrafiłem. Chyba go zaskoczyłem, bo się zachwiał, zrobił kilka kroków w tył i prawie się przewrócił.

To była moja szansa. Odwróciłem się i puściłem biegiem w kierunku toalet. Nigdy w życiu nie biegłem tak szybko. Wiedziałem, że jeśli spieprzę sprawę, jestem trupem. Panicznie boję się śmierci od noża. Wyobrażam sobie, jak zimne ostrze otwiera moje wnętrzności, jak wraz z krwią upływa ze mnie życie, a ja przyglądam się temu kompletnie bezsilny. Jest tak, odkąd dziesięć lat temu chłopak, z którym chodziliśmy do szkoły, zginął właśnie w ten sposób w klubie nocnym. Dwa ciosy nożem, oba prosto w serce. Ochroniarze wyrzucili go z lokalu, nieświadomi tego, co się stało. Skonał na chodniku przed wejściem. Taki właśnie los mnie czekał. Samotna, przerażająca, paskudna śmierć.

Wbiegłem przez otwarte drzwi i zatrzasnąłem je za sobą. Odnotowałem obecność dwóch kolejnych: jednych na lewo, drugich na prawo. Wybrałem te drugie. Męska toaleta. Za mną główne drzwi znow się otworzyły. Prześladowca wciąż deptał mi po piętach.

Wpadłem do środka, wprost na rząd kabin, skręciłem w prawo, ślizgając się i niemal przewracając na wyłożonej kafelkami posadzce, i dalej za róg, gdzie w półkolu zamontowane były pisuary. Nad jednym z nich znajdowało się wąskie okno, może pół metra na metr. U dołu miało starą zasuwkę, niemal kompletnie odrapaną z farby. Wskoczywszy na pisuar, odsunąłem ją jednym ruchem, po czym obiema rękami pchnąłem okno. Po chwili przeciskałem się głową naprzód, machając nogami w powietrzu. Jakieś dwa metry pode mną znajdował się płaski dach — w tej części gmach miał parterową przybudówkę. Mój ratunek. Byłem już do połowy na zewnątrz, wyciągnąłem przed siebie ramiona, przygotowując się na upadek, kiedy w środku usłyszałem kroki mojego prześladowcy. W chwilę później trzymał mnie już za nogę i podciągał nogawkę dzinsów, odsłaniając łydkę. Poczułem dotyk noża, jednak zanim mężczyzna zdążył mnie zranić, z całej siły wierzgnąłem wolną nogą. Trafiłem go w twarz. Po raz pierwszy krzyknął, a ja kopnąłem jeszcze raz, niczym osioł, i zaraz potem odepchnąłem się dłońmi od zewnętrznej strony muru. Pofrunąłem naprzód, zupełnie jakbym brał udział w konkursie skoków z trampoliny.

Wylądowałem na rękach — ból w nadgarstkach był ogromny. Moje nogi zawisły na moment w powietrzu, po czym przekoziołkowałem i wyrznąłem głową w pokrycie dachu. Przez myśl mi nawet nie przeszło, żeby się obejrzeć, sprawdzić, czy mój napastnik mnie goni. Wspomagając się rękami, dobiegłem do skraju budynku, złapałem za krawędź dachu, zeskoczyłem, zsunąłem się wzdłuż muru i odbiłem od niego kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią.

Znalazłem się na niewielkiej, zamkniętej przestrzeni, otoczonej ceglany murem trzymetrowej wysokości. Wzdłuż niego stały dwa rzędy śmietników na kółkach. Większość była przepełniona odpadkami, których woń unosiła się w powietrzu. Po drugiej stronie muru przejechał samochód. Wolność.

Stałem nieruchomo przez kilka sekund i ciężko dyszałem. Potem usłyszałem nad głową ruch. Czułem się jak w koszmarze. Ten sukinsyn wciąż mnie gonił.

Zebrawszy w sobie całą siłę, na jaką było mnie jeszcze stać, wbiegłem między rzędy śmietników i spróbowałem wdrapać się na jeden z tych, które przylegały do muru. Za pierwszym razem mi się nie udało. Nie mam już tej formy co kiedyś. Moja karta na siłownię straciła ważność trzy lata temu, więc obecnie poza sporadyczną grą w tenisa latem praktycznie w ogóle nie ćwiczę. Choć brzmi to absurdalnie, to kiedy po raz drugi usiłowałem wspiąć się na śmietnik, postanowiłem, że jeśli tylko moje życie kiedykolwiek wróci do normy, znów zapiszę się na siłownię.

Tym razem, sapiąc z wysiłku, dopiąłem swego. Opadłem brzuchem na plastikową pokrywę. Po chwili się podniosłem i wciągnąłem na murek, kilkadziesiąt centymetrów wyższy niż śmietnik. Nigdzie nie dostrzegłem mojego prześladowcy. Przekaraskałem się na drugą stronę.

Spadłem na obie nogi. Znajdowałem się teraz na nieznannej mi ulicy z szeregową zabudową. Obok przejechał jakiś samochód, ale kierowca najwyraźniej mnie nie zauważył. Byłem kompletnie zdezorientowany — nigdy wcześniej nie opuszczałem uniwersytetu tą drogą. Wiedziałem tylko, że mam bardzo daleko do samochodu.

Przebiegłem przez ulicę i dysząc głośno, podążyłem w kierunku, gdzie na mój nos powinien znajdować się parking. Musiałem przedstawiać nie lada widok. Czułem, jak krew ścieka mi po twarzy i wsiąka w kołnierzyk. Ręka krwawiła jeszcze bardziej. Piekła, jakby ktoś wbijał mi w skórę rozgrzane do białości igły. Przyglądałem się jej, na wpół biegnąc, na wpół kuśtykając. Otwartymi szeroko ustami łapczywie chwytałem powietrze. Po raz pierwszy zrobiło mi się niedobrze. Co się tu dzieje? Czym sobie na to wszystko zasłużyłem?

Z jednego z domów wyszła atrakcyjna kobieta koło trzydziestki, ubrana w długą cygańską spódnicę i skąpy top. Gdy tylko na mnie spojrzała, natychmiast się cofnęła i zatrzasnęła drzwi. Tutaj był Londyn. Miasto, gdzie lepiej pilnować swojego nosa i trzymać się z dala od kłopotów. Jakies pięć lat temu koleżankę Kathy napadli o czwartej po południu przy stacji metra Oval. Nie chciała oddać torebki, więc dwóch napastników powaliło ją kopniakami na ziemię. Przez parę długich minut walczyli o zdobycz, okładając kobietę pięściami, żeby osłabić jej opór. Opowiadała, że przez ten czas minęło ją przynajmniej pięćdziesiąt osób. Większość z nich tylko przyspieszała kroku. Kilka zwolniło, żeby się lepiej przyjrzeć. Nikt nie interweniował. Kathy zarzekła się, że ona by coś zrobiła. „Inaczej nie mogłabym spojrzeć w lustro — mówiła. — Jeśli się odwracamy, to tak, jakbyśmy przyznawali się do porażki. Ja bym tak nie mogła”. Cała Kathy. Kobieta z zasadami. Kobieta, której na czymś zależało. Ale gdzie ona teraz była? I co ważniejsze, czy to jej krew znalazłem w bibliotece, gdzie napadł na mnie ten szaleniec?

Musiałem ją znaleźć. Dotrzeć do niej jak najszybciej.

Nie zwalniając kroku, zacząłem szukać telefonu. Proszę, teraz odbierz. Proszę.

Minął mnie następny samochód. Tym razem kierowca zwolnił. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, oczy mężczyzny gwałtownie się rozszerzyły. Biegłem dalej, nie zważając na ból w płucach. Usłyszałem, jak samochód zatrzymuje się za mną, wysiada z niego kierowca.

— Hej, kolego! — zawołał. — Wszystko w porządku?

Nie chciałem z nim rozmawiać. Nie chciałem rozmawiać z nikim poza moją żoną. Musiałem do niej dotrzeć. Wyciągnąłem telefon, ale mężczyzna podążył za mną.

Nie, tylko znowu nie to. Czy on jest też jednym z nich? Sukinsyny były chyba wszędzie. W moim domu — w moim

pieprzonym domu. W pracy mojej żony.

Przyspieszyłem. Dotarłszy do skrzyżowania, wypadłem na drogę z telefonem w garści, nie zwracając uwagi na to, co krzyczy goniący mnie mężczyzna. Z prawej strony usłyszałem warkot samochodu. Klakson, potem głośny pisk opon. Kątem oka dostrzegłem wielki biały kształt, który zbliżał się do mnie, i wiedziałem, że mnie potrąci. Zdażyłem tylko zauważyć, że na dachu ma niebieskie światła, a potem uderzył we mnie z hukiem, który zlał się z odgłosem hamowania. Przeturlałem się przez maskę, odbiłem i osunąłem po drugiej stronie. Opadłem na asfalt zwinięty w kłębek, niecały metr od samochodu.

Drzwi się otworzyły, a przede mną stanęły czarne, starannie wypastowane buty policyjne.

— Hej hej hej! — powiedziałem i z niezrozumiałego powodu zacząłem się śmiać.

W jednej chwili wszystkie chyba części mojego ciała przeszył ból.

Wreszcie chociaż na chwilę mogłem przestać uciekać. Poczułem ulgę, która trwała dokładnie tyle czasu, ile policjant potrzebował na to, żeby się pochylić, wykręcić mi ręce na plecach i poinformować, że jestem aresztowany pod zarzutem morderstwa.

4

Baza operacyjna zespołu śledczego komisarza Mike'a Bolta z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną zajmowała jedną trzecią dwupiętrowego, nijakiego budynku z lat siedemdziesiątych. Miał ściany z szarej cegły oraz dach z blachy falistej, o który podczas deszczu głośno bębniła woda. Znajdował się w Hayes, tuż obok drogi A4, kilka kilometrów na wschód od lotniska Heathrow, w ponurej, rozległej strefie przemysłowej. Napis na szybie głosił: WHITEHOUSE DESIGN CONSULTANCY. W firmach, które zajmowały resztę budynku — z jednej strony była drukarnia, a z drugiej agencja pośrednictwa pracy — nikt nie miał pojęcia, że wychodzący stamtąd ludzie są policjantami w cywilu. Członkowie jednostki zachowywali dyskrecję — konieczną, kiedy ma się do czynienia z mrocznym światem zorganizowanej przestępczości.

Dziś jednak w Whitehouse Design Consultancy obecny był wyłącznie sam Bolt, zaś zbrodnia, nad którą pracował, nie miała żadnego związku ze zorganizowaną przestępczością, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Może nawet w rzeczywistości w ogóle nie popełniono zbrodni. Na razie trudno to było stwierdzić.

Sprawa dotyczyła pozornego samobójstwa bardzo ważnego sędziego. Ze względu na pozycję zmarłego, a także dlatego że list pożegnalny był wydrukowany na komputerze i niepodpisany, na najwyższym szczeblu podjęto decyzję o rozpoczęciu szczegółowego śledztwa w sprawie okoliczności

śmierci. Wybrano zespół Bolta, ponieważ właśnie rozbił dużą siatkę pralni brudnych pieniędzy.

W ten oto sposób, zamiast na rybach z kolegami z lotnej brygady — co planowali wspólnie już od kilku miesięcy — Bolt spędzał sobotnie popołudnie w ponurym biurze z widokiem na hurtownię narzędzi elektrycznych oraz magazyn importera oleju roślinnego. Studiował wstępny raport z sekcji zwłok, który przyszedł faksem godzinę wcześniej. Było w nim dużo chrzanienia o temperaturze ciała, związkach chemicznych i zawartości żołądka, ale wszystko sprowadzało się do tego, że mężczyzna zmarł dwa dni wcześniej, między godziną 20 a 8 rano, zaś przyczyną zgonu było przedawkowanie fenytoiny, pewnego rodzaju środka nasennego. Potwierdzenie sposobu podania specyfiku wymagało dalszych badań, jednak na wewnętrznej stronie lewego ramienia znajdował się niewielki siny ślad po igle.

Bolt westchnął i oparł się na krześle. Niewiele mu to wszystko mówiło. Kiedy przydzielono im tę sprawę zeszłego ranka — wkrótce po tym, jak pokojówka znalazła ciało — instynkt podpowiadał mu, że faktycznie było to samobójstwo. Wskazywało na to kilka czynników. Po pierwsze brakowało jakichkolwiek śladów włamania do miejskiej rezydencji w Mayfair, gdzie znaleziono mężczyznę. Budynek miał w drzwiach frontowych mocny zamek, od tyłu nie dało się wejść, nie przechodząc najpierw przez dom sąsiadów, a wysokiej klasy instalacja alarmowa połączona była z przyciskami ukrytymi we wszystkich pomieszczeniach. Po drugie nie odnotowano śladów walki. Zmarły leżał w łóżku, na boku, nieprzykryty kołdrą, ubrany w jedwabną piżamę i szlafrok frotte. Twarz miał spokojną. Pokój wyglądał na nietknięty. Żadnych przewróconych lamp, żadnych wyciągniętych szuflad. Nic, co mogłoby wzbudzać podejrzenia.

Ludziom na górze nie podobał się jednak list pożegnalny. Podejrzany okazał się fakt, że napisano go na komputerze. Zmarły podobno szczyił się swym — jak to określił pewien znajomy sędzia — „krągłym, ozdobnym charakterem pisma”. Inny dawny kolega stwierdził z kolei, że liczący tylko dwie linijki list był za krótki. Denata znano z metodycznego myślenia, co niewątpliwie wynikało z prawniczego wykształcenia. Lubił szukać wyjaśnień i przedstawiać je innym, więc zdaniem znajomych na pewno chciałby, żeby ludzie dowiedzieli się czegoś więcej poza tym, że nie mógł już znieść bólu istnienia. Na dodatek list nie był podpisany, co pozwalało kwestionować jego autentyczność.

Mike'a Bolta to nie przekonywało. Samobójcy często pisują krótkie listy pożegnalne, czasem wręcz jednozdaniowe. I często ich nie podpisują. Niewielu ludzi stać na chłodne rozumowanie, kiedy właśnie postanowili odebrać sobie życie.

Ale praca to praca — więc Bolt rozesłał podwładnych do znajomych, kolegów z pracy i rodziny zmarłego, żeby dowiedzieli się czegoś o jego prywatnym życiu. Mężczyzna od ponad dwudziestu lat był rozwiedziony, nie miał dzieci, a była żona mieszka obecnie na Kajmanach. Nie ulegało wątpliwości, że wcześniej czy później ktoś się tam będzie musiał udać. Naturalnie wśród dziewięciu osób, które pracowały pod kierunkiem Bolta, nie brakowało chętnych do podjęcia się tego zadania, ale gdyby faktycznie zaszła taka potrzeba, to on polecałby tam na parę dni. Może nawet dałby radę przy okazji wybrać się na ryby — podobno w tamtych okolicach świetnie bierze marlin. Cóż, po co w ogóle być szefem, jeżeli nie ma z tego żadnych korzyści.

Obecnie zespół koncentrował się jednak na południowo-wschodniej Anglii. Lista osób, które znały zmarłego, była duża. Bolt rozmawiał już dziś z pewnym sędzią oraz ze znaczącym politykiem — z tym pierwszym w centrum

Londynu, z drugim w jego rodzinnej posiadłości w Hampshire. Teraz czekał, aż przyjedzie po niego sierżant Mo Khan i razem udadzą się na kolejną rozmowę. To był ostatni punkt dnia. Wieczór już wcześniej sobie zaplanował: wróci do mieszkania w Clerkenwell, weźmie gorący prysznic, kupi sobie rybę w sosie tamaryndowca w tej tajskiej knajpie za rogiem, a potem obejrzy najnowszy odcinek remake'u *Panny Marple* w telewizji. Dziś leciała „Noc w bibliotece”. Na szczęście Bolt nie pamiętał, kto był mordercą, mimo że książkę przeczytał dwa razy. Znajomi śmieli się z niego, że oglądał *Pannę Marple Poirota*, nawet *Wycliffe'a*. Ale oni po prostu nie rozumieli, że potrzebował odpoczynku od zimnego, ponurego świata brutalnych zbrodni, w którym obracał się każdego dnia. Świata, w którym okrutne morderstwa popełniano często z najbardziej błahych pobudek. A kiedy chodziło o wyluzowanie się — kanapa, kilka drinków i nieśmiertelna Agatha Christie były niezrównane.

Spojrzał na zegarek. Za pięć piąta. Mo powinien tu być lada chwila. Przeprowadzał drugą rozmowę z pokojówką zmarłego, mieszkającą w Feltham. Poprzedniego dnia była roztrzęsiona, więc pozostało wiele szczegółów, o które trzeba ją jeszcze zapytać. Dotyczyły zwłaszcza towarzystwa, którym sędzia otaczał się w czasie wolnym od służbowych obowiązków. Według Mo był on gejem, ale Bolt nie pozwolił mu drażnić tego wątku w rozmowie z pokojówką. Pochodziła z Filipin i była żarliwą katoliczką, więc komisarz obawiał się, że mogłyby ją urazić tego typu przypuszczenia, godzące w cześć pracodawcy.

Odsunął na bok raport z sekcji zwłok i oparł się na krześle. Sięgnął po kubek z kawą, którą sobie wcześniej zaparzył, po czym spojrzał przez okno na magazyn, wielki jak hangar lotniczy. Składowano tam wyłącznie olej roślinny. Bolt często się zastanawiał, co by było, gdyby wybuchł pożar. Raz na jakiś czas fantazjował na ten temat: że cała ta ponura okolica znika

w ogromnej kuli cuchnącego ognia. Wtedy jego zespół mógłby poszukać jakieś przyzwoitej siedziby, najlepiej bliżej centrum.

Biuro, w którym teraz siedział Bolt, było brzydkie i zagracone — stało tu zdecydowanie za dużo biurków. Miało jednak jedną zaletę: 36-calowy telewizor plazmowy, przymocowany do wyblakłej ściany z płyty wiórowej. Komisarz w życiu nie widział ekranu o podobnej ostrości obrazu. W tej chwili gościli na nim właśnie piłkarze narodowej drużyny Anglii, zmagający się w niewiarygodnie nudnym meczu towarzyskim z reprezentacją kraju, o którym Bolt nigdy wcześniej nawet nie słyszał. Minęło dwadzieścia minut drugiej połowy, a wynik wciąż był bezbramkowy.

Z tym telewizorem wiązała się ciekawa historia — dużo ciekawsza niż to, co właśnie było widać na ekranie. Kiedyś należał do uroczego starszego pana nazwiskiem Henry Pugh, który kilka lat temu, pewnego zimowego wieczoru, pokroił swą żonę, Ritę, na sześć poręcznych części. Ręce i nogi zostawił następnie na cmentarzu Highgate, niedaleko miejsca spoczynku Karola Marksa, tułów wrzucił do Regent's Canal w pobliżu skrzyżowania Upper Street i City Road, zaś głowę — co można by nazwać czynem wielce nieroztropnym — umieścił na placu zabaw w Stoke Newington. Gdy go aresztowano, natychmiast przyznał się do winy. Cały swój dobytek polecił przekazać siostrze. Ta urządziła następnie makabryczny kiermasz, na którym wystawiła między innymi prawie kompletny zestaw japońskich noży (brakowało jednego — narzędzia zbrodni) oraz supernowoczesny telewizor plazmowy, kupiony przez Pugh na krótko przed tragedią — podobno ten właśnie przyczynił się do ostatniej, fatalnej w skutkach kłótni między małżonkami. Jeden z członków zespołu Bolta, konstabl Matt Turner — facet, który nigdy nie przegapił okazji — zgarnął go za jedyne dwieście funtów. Psie pieniądze, biorąc

pod uwagę, że noże poszły za ponad pięćset — po zaciętej licytacji z udziałem kolekcjonerów upiornych pamiątek.

Zadzwoiła komórka Bolta, po raz pierwszy od niemal godziny. Dzwonił Mo.

— Gdzie jesteś? — spytał Bolt.

— Jakies dziesięć minut drogi od ciebie.

— Czy ty wiesz, która godzina? Jesteśmy umówieni na piątą trzydzieści. Nie chcę dać facetowi szansy, żeby się zmył. Wystarczająco trudno było go w ogóle dorwać.

Adwokat zmarłego od początku stwarzał problemy. Z powodu obowiązków służbowych dwukrotnie przesunął termin rozmowy i znalazł czas dopiero wtedy, gdy Bolt zagroził mu oskarżeniem o utrudnianie śledztwa.

— No, szczerze mówiąc, to nie ma już takiego pośpiechu — odrzekł Mo.

— Dlaczego?

— Jack Calley nigdzie nam nie ucieknie. Nie żyje. Morderca próbował upozorować samobójstwo.

Bolt zaklął. To całkiem zmieniało sytuację. Mógł zapomnieć o wszystkich swoich teoriach.

— Szefie, spójrz na to w ten sposób: przynajmniej zastaniemy go na miejscu.

5

Policjanci wsadzili mnie na tylne siedzenie radiowozu i ruszyli do szpitala Colindale. Żaden z nich — ani młody biały, ani jeszcze młodszy Murzyn — nie chciał mi powiedzieć, kogo rzekomo miałem zamordować. Nie zdjęli mi też kajdanek, mimo że krwawiłem, ani nie pozwolili zadzwonić z komórki do Kathy. Wszystko, co miałem w kieszeniach, umieścili w przezroczystym plastikowym worku, który następnie włożyli do schowka pod deską rozdzielczą.

— Usiłuję odnaleźć żonę — powtarzałem rozpaczliwie, zdumiony ich obojętnością. — Nazywa się Kathy... Katherine Meron. To dlatego byłem na uczelni. Czy możecie potwierdzić, że nic jej nie jest? Proszę...

— Przykro mi, proszę pana, w tej chwili niczego nie możemy potwierdzić — odpowiedział biały policjant, który prowadził samochód.

— Poza tym, że jest pan aresztowany — dodał usłużnie jego kolega.

Próbowałem ich przekonać, ale grzecznie stwierdzili, że muszę poczekać do przesłuchania. Czarnoskóry policjant skontaktował się przez radio z komisariatem, żeby poinformować, iż wiozą podejrzanego w sprawie morderstwa na uniwersytecie. Zostałem określony jako biały mężczyzna, zidentyfikowany na podstawie znalezionych przy mnie dokumentów jako Thomas David Meron, lat trzydzieści pięć,

szatyn, oczy niebieskie, wzrost sto siedemdziesiąt osiem centymetrów.

— Ale ja nikogo nie zabiłem — odezwałem się do kierowcy, podczas gdy jego towarzysz wciąż rozmawiał przez radio. — W bibliotece zaatakował mnie mężczyzna z nożem. To stąd mam te rany. Może zaatakował też moją żonę. Powiedzcie mi przynajmniej, czy ofiarą była kobieta.

— W tej chwili niczego panu nie możemy powiedzieć — odrzekł policjant.

— Morderca wciąż jest na wolności — protestowałem. — To jego powinniście teraz szukać.

— Proszę się nie martwić, sprawdzimy każdy zakątek.

Odparłem, że trudno mi się nie martwić. Zaginęła moja żona. Chciałem się upewnić, że to nie ją zamordowano.

Tym razem zostałem zignorowany.

W szpitalu spędziłem około dwudziestu minut. W przeciwieństwie do wszystkich innych pacjentów oddziału ratunkowego, zabrano mnie wprost do niewielkiej sali bez okien, w której unosiła się woń antyseptyków. Tam zostałem pozszywany przez lekarza jeszcze młodszego od dwóch gliniarzy. Teraz rany naprawdę bolały. Ta na podbródku pulsowała ostro i bardzo się bałem zobaczyć, jak wyglądam. Jak większość mężczyzn, jestem trochę próżny. Co prawda nie uważam się za bóstwo, ale nieraz słyszałem, że jestem przystojny, i nigdy nie narzekałem na brak powodzenia u kobiet. Przerażała mnie myśl, że mógłbym zostać oszpecony na całe życie. Zresztą w tej chwili przerażało mnie wiele myśli.

Lekarz założył mi opatrunki i podał środki przeciwbólowe. Patrzył na mnie z mieszanką niesmaku i niepokoju. Widział we mnie pacjenta w potrzebie, ale jednocześnie podejrzanego o morderstwo.

— Ja nikomu nic nie zrobiłem — powiedziałem. — Jestem niewinny.

Nie można powiedzieć, żebym zdobył się tym oświadczeniem na szczególną oryginalność. Przypuszczam, że lekarz — podobnie jak towarzyszący mi gliniarze — słyszał takie słowa już wiele razy. Nie zareagował. Poinformował natomiast białego policjanta, że można mnie już przesłuchać.

Czarnoskóry funkcjonariusz ponownie założył mi kajdanki, a potem wziął mnie pod rękę, urażając przy tym ranę na przedramieniu. Kiedy skrzywiłem się z bólu, mruknął, że przeprasza. Wiedziałem, że nie mówi tego szczerze.

— Czy ma pan lustro? — spytałem lekarza. — Muszę zobaczyć, jak wygląda moja twarz.

Natychmiast pożałowałem, że powiedziałem coś takiego. Wyszło na to, że bardziej niż los Kathy interesują mnie własne obrażenia, a to przecież nie była prawda. Po prostu musiałem wiedzieć. Lekarz z niechęcią kiwnął głową, znalazł na biurku niewielkie, okrągłe lustro i podniósł je tak, bym mógł się w nim przejrzeć.

Znów się skrzywiłem, tym razem wyraźniej. Było źle, i to bardzo. Moje włosy wyglądały tak, jakby strzygi mnie Edward Nożycoręki, a twarz sprawiała wrażenie, jak gdyby wycierano nią podłogę w rzeźni. Była umazana krwią, potem i kurzem. Ciemne strużki krwi, niczym grube odnóża pająka, zaschły mi również na szyi — biegły spod nieskazitelnie białego opatrunku, który teraz przykrywał mój podbródek. Oczy miałem przygaszone i puste, źrenice małe niczym punkciki. Wyglądałem dokładnie tak, jak się czułem.

Gdy wyprowadzano mnie z sali, na wiszącym na białej ścianie zegarze była piąta po południu. W ciągu dwóch godzin moje życie — które było tak zwyczajne, tak prozaiczne i za którym tak bardzo tęskniłem — bezpowrotnie się rozleciało. Przed dwiema godzinami byłem zwykłym facetem, miałem pracę, dom, rodzinę. Natomiast teraz nie wiedziałem, gdzie jest moja żona, która zresztą być może już nie żyła, z niewiadomego

powodu gonili mnie jacyś ludzie, a do tego miałem zostać oskarżony o morderstwo.

Nie wiedziałem, że to dopiero początek. Choć trudno w to uwierzyć, miało być jeszcze dużo gorzej.

6

— Czy wiemy, co się stało z Calleyem? — Bolt spytał Mo, który siedział za kierownicą.

Jechali właśnie obwodnicą M25, zaskakująco pustą jak na tę porę dnia.

Mo zaprzeczył ruchem głowy.

— Na razie nie znamy szczegółów. Chciałem się upewnić, że go zastaniemy, więc zadzwoniłem do niego do domu. Odebrał policjant. To było tuż przed piątą, zanim zadzwoniłem do ciebie. Wyjaśniłem, kim jestem i dlaczego dzwonię. Powiedział, że znaleźli ciało Calleya w lasku kilkaset metrów od domu. Wisiał na pasku na gałęzi drzewa i wyglądało na to, że ktoś mu pomógł się tam dostać. Kiedy spytałem, dlaczego tak uważa, usłyszałem, że wokół były jednoznaczne ślady walki.

— I to wszystko w niecałe czterdzieści osiem godzin po tym, jak jeden z jego największych klientów ginie w tajemniczych okolicznościach. Myślisz, że to tylko zbieg okoliczności?

Bolt ciekaw był opinii Mo. Pracowali razem już od dwóch lat. Z całego młodego zespołu Mo miał największe doświadczenie.

— Prawda, wygląda podejrzanie — odparł. — Czy już wiesz, jakie prace wykonywał dla naszego denata Calley?

— Między innymi właśnie tego miałem nadzieję się dzisiaj dowiedzieć — powiedział Bolt. — Kiedy z nim wczoraj rozmawiałem, próbował mi wciskać kit o tajemnicy zawodowej. Wiem, że zajmował się inwestycjami i tego typu rzeczami. Był

specjalistą od prawa finansowego, więc przypuszczam, że pomagał mu ukrywać kasę przed urzędem skarbowym.

Mo parsknął śmiechem.

— Specjalista od prawa finansowego. To musi być intratny zawód.

— Owszem. Ale wygląda na to, że można sobie przy okazji narobić wrogów. Będziemy musieli się nieco bliżej przyjrzeć jego interesom. — Bolt westchnął. — Wiesz, miałem już plany na wieczór.

— Niech zgadnę: *Panna Marple*, prawda?

— Tak. Dziś leci „Noc w bibliotece”.

— Szalone życie prowadzisz, szefie.

— Raz się żyje. A ty? Też masz coś, co teraz będzie musiało poczekać?

— To, co zwykle. Łagodzenie sprzeczek, zmienianie pieluch, karmienie w środku nocy.

— Cholera. Ty się musisz cieszyć, że Calley nie żyje, co? Przynajmniej masz wymówkę, żeby nie wracać do domu.

Mo znów się zaśmiał.

— Może nie posunąłbym się tak daleko, ale powiedzmy, że więcej z tym zmartwień niż radości.

Opuścili obwodnicę na zjeździe numer 17, w Mapie Cross, i ruszyli płataniną bocznych dróg w stronę Ruislip. W końcu skręcili w wąską, wysadzaną drzewami drogę, która wiała się pośród lasów i pól, od czasu do czasu mijając samotny domek albo większą rezydencję. Wreszcie, gdy wyprostowała się i poszerzyła, po prawej stronie ujrzeni cztery budynki. Z tyłu wznosiło się zalesione wzgórze, a przed nimi rozciągało rozległe, zielone, pofałdowane pole, na którym spokojnie pasły się owce. Kwintesencja sielskiej angielskości — prawdziwa rzadkość tak niedaleko od Londynu. Widok psuł tylko rząd radiowozów i furgonetek, zaparkowanych wzdłuż

przedostatniego domu, oraz przecinająca drogę żółta taśma policyjna. Przy drugim domu stało starsze małżeństwo, pewnie sąsiedzi. Rozmawiali z parą policjantów, którzy robili notatki. Z kolei obok jednej z furgonetek kręciło się kilku techników w białych kombinezonach.

Mo minął sąsiadów i zaparkował za jednym z radiowozów.

— Niezły dom — powiedział z podziwem, unosząc głowę, by przyjrzeć się dwupiętrowemu budynkowi, który należał do Jacka Calleya.

Miał pobielane ściany, dach kryty strzechą oraz okna z okiennicami. Na żwirowym podjeździe — tak dużym, że spokojnie mogłyby się tam zmieścić cztery takie samochody — stało eleganckie bmw seria 7.

— Tak wyglądają korzyści z bycia specem od prawa finansowego — stwierdził Bolt, wysiadając z wozu.

Podszedł do nich umundurowany policjant o wyglądzie gimnazjalisty. Czapkę trzymał pod pachą i Bolt zauważył, że już łysieje na czubku głowy. Zrobiło mu się żal biedaka.

— Chcemy porozmawiać z oficerem, który kieruje dochodzeniem — powiedział komisarz.

Obaj z Mo wyjęli legitymacje i przedstawili się funkcjonariuszowi.

— Wydział do walki z przestępczością zorganizowaną, co? Myślicie, że to mafia?

Młody policjant był wyraźnie podekscytowany. Bolt nie miał serca rozwiewać jego złudzeń, więc odpowiedział, że to możliwe.

— Gdzie jest ciało? — zapytał.

Funkcjonariusz wskazał za siebie, w kierunku lasu.

— Idźcie ścieżką, to je znajdziecie. Szef też tam jest.

Podeszli do furgonetki, gdzie otrzymali od technika kombinezony, nakrycia głowy, rękawiczki i ochraniacze na buty.

Kiedy się w to wszystko ubrali, ruszyli dróżką, która biegła obok domu Calleya i znikła w cieniu buków.

Tworzyli szczególną parę. Bolt był wysokim, smukłym mężczyzną przed czterdziestką. Miał szerokie ramiona wioślarza oraz jasne, krótko przystrzyżone włosy o popielatym odcieniu, na których pojawiały się pierwsze ślady siwizny. Jego twarz była twarzą człowieka, z którym lepiej nie polemizować: podłużna, szczupła, o surowych, wyraźnych rysach. Widać było, że jej właściciel wie, jak sobie radzić w życiu. Uwagę zwracała blizna w kształcie litery S, która biegła przez niemal całą brodę. Na lewym policzku znajdowały się dwie kolejne, przypominające jakieś bezkształtne runy. Wszystkie stanowiły pamiątki po nocy, która trzy lata wcześniej zmieniła jego życie. Mimo to można go było uznać za dosyć przystojnego mężczyznę. Jego największy atut stanowiły oczy. Była żona twierdziła, że nigdy nie spotkała faceta o równie niezwykłych oczach. Co prawda mogła być stronnicza, jednak nie dało się ukryć, że przyciągały ludzi — idealnie owalne, błękitne, pełne życia. Kiedy się uśmiechał — co ostatnio zdarzało się dość często — wokół nich pojawiały się wyraźne zmarszczki.

Z kolei Mo był niski i krępy. Głowę — która czasem wydawała się nieproporcjonalnie duża w stosunku do reszty ciała — wieńczyła kędzierzawa czupryna, niezdecydowana, czy chce być czarna, czy srebrzysta. W rezultacie stanowiła rozwichrzoną mieszankę obu tych barw. Był o kilka lat młodszy od Bolta, ale można go było wziąć za czterdziestolatka. Miał okrągłą, wesołą twarz i duże oczy baseta z wyraźnymi workami, które uwydatniły się w ostatnich latach — w wyniku zgryzot, które trapiły jego młodą rodzinę. Miał trzech synów, którzy nie skończyli jeszcze pięciu lat, oraz dziesięcioletnią córkę, uważającą się już za nastolatkę — nic dziwnego, że wciąż chodził wyczerpany. Trudno było sobie wyobrazić, jak by w ogóle funkcjonował, gdyby nie papierosy i ogromne ilości kawy.

Ludzie często go pytali, dlaczego sam się tak pokarał — czekał tyle lat po narodzinach pierwszego dziecka, zanim nagle spłodził troje następnych. Odpowiadał, że żadnego z synów nie planowali — każdy przyszedł na świat wtedy, kiedy był gotów. I że nie uważa tego wcale za karę, ale za błogosławieństwo. Mo kochał swoje dzieci z całego serca. Był tak dobrym gliną między innymi właśnie dlatego, że pomimo maski cynika w głębi duszy naprawdę wierzył w to, co robi, i chciał stworzyć dla nich lepszy świat. Pracował chyba najciężej z całego zespołu i nigdy nie uchylał się przed nadgodzinami, nawet bezpłatnymi. Właśnie dlatego Bolt lubił go mieć za partnera.

Wąska dróżka biegła prosto w górę po lekkiej pochyłości. Niedawno padał deszcz, więc pełna była plam błota, w których można było dostrzec ślady butów — niektóre pełne, niektóre tylko częściowe. Kilka z nich otaczała już fosforyzująca taśma policyjna. Ciągnęły się wzdłuż krawędzi ścieżki i policjanci musieli zejść na prawo, żeby nie zadeptać śladów. Zauważyli, że musiały należeć do co najmniej trzech osób. Co jakiś czas były rozmazane — najwyraźniej tam, gdzie ktoś się poślizgnął. Łatwo się było domyślić, że Calley uciekał przed dwoma napastnikami — mężczyznami, sądząc po wielkości i wyglądzie odcisków ich butów.

Wreszcie ścieżka zakreśliła i policjanci dotarli do szerszego, płytkiego wąwozu. To tam po raz pierwszy stanęli twarzą w twarz z zamordowanym. Wisiał na skórzanym pasku jakieś dziesięć metrów od nich, na jednej z najniższych gałęzi sękatego buku. Nogi kołysały się w powietrzu trzydzieści centymetrów nad ziemią. Miał na sobie dzinsy, tenisówki oraz białą koszulkę reprezentacji Anglii w rugby. Prząd koszulki poplamiony był krwią. Wyglądało na to, że mężczyzna odniósł obrażenia twarzy, jednak trudno było to stwierdzić, bo głowę miał pochyloną, a twarz przesłoniętą gęstą ciemnoblonde grzywą niczym ponurą zasłoną.

Wokół ciała kręciło się pięć czy sześć osób w jednakowych białych kombinezonach. Robiły fotografie i pobierały próbki — co jak na wszystkich miejscach zbrodni, choć konieczne, w pewien sposób kłóciło się z poczuciem szacunku dla zmarłego. Kiedy Bolt i Mo się zbliżyli, podszedł do nich ze zdziwionym wyrazem twarzy jeden ze stojących na uboczu mężczyzn. Był wysoki, miał pięćdziesiąt kilka lat, wypielęgnowane wąsy oraz głębokie zakola. Jego dystygowane zachowanie sugerowało, że być może jest byłym wojskowym.

— W czym mogę panom pomóc? — spytał, zatrzymując się przed nimi.

Jego ton nie był co prawda nieprzyjazny, ale na twarzy próżno by też szukać uśmiechu.

— Komisarz Mike Bolt, wydział do walki z przestępczością zorganizowaną. To mój kolega, sierżant Mo Khan. — Mo skinął głową. — Mieliśmy dziś rozmawiać z Jackiem Calleyem. — Bolt rzucił okiem na ciało. — Rozumiem, że trochę się spóźniliśmy.

— To prawda. Nadkomisarz Keith Lambden, wydział śledczy w Ruislip. Kieruję tą sprawą — przedstawił się, podając rękę Boltowi. — Czy możecie mi powiedzieć, o czym konkretnie chcieliście rozmawiać z panem Calleyem?

Bolt streścił sprawę, nad którą pracowali, i opowiedział o związkach Calleya ze zmarłym sędzią. Lambden uniósł brwi, gdy padło nazwisko prezesa Sądu Najwyższego, ale nic nie powiedział.

— Czy znaleźliście już coś, co mogłoby połączyć te dwie sprawy? — spytał Bolt, znów zerkając na zwłoki.

— Na razie jest na to dużo za wcześnie — odparł Lambden. — Dopiero godzinę temu znalazła go tu kobieta, która wyprowadzała psa na spacer. To i tak szczęśliwy zbieg okoliczności, bo rzadko kiedy ktokolwiek tędy chodzi. Przyjechalśmy o wpół do piątej i dopiero skończyliśmy zabezpieczać teren. Lekarz stwierdził wstępnie, że zgon

nastąpił między drugą trzydzieści a trzecią trzydzieści, więc ciało jest tu od niedawna.

— Ślady wskazują na to, że goniło go dwóch ludzi — stwierdził Mo. — Po drodze dwa razy się poślizgnął.

— Nawet trzy. I ma pan rację: wygląda na to, że napastników było dwóch. Sprawdziliśmy parter domu Calleya. Boczne drzwi były szeroko otwarte. Z tyłu ogrodu, przy furce, przez którą wychodzi się prosto na tę ścieżkę, też znaleźliśmy fragment świeżego śladu buta. Wygląda na to, że napadli go w domu, ale udało mu się uciec do ogrodu przez oranżerię. Gonił go i wreszcie dopadli tutaj. Doszło do szarpaniny. Rozbili mu nos i twarz. A tam rozerwali koszulkę. — Zrobił ruch dłonią w kierunku ciała i policjanci dostrzegli rozdarcie pod pachą; najwyraźniej ktoś złapał Calleya za ubranie. — Przypuszczam, że jeden z mężczyzn go przytrzymał, a drugi w tym czasie zakładał mu pętlę na szyję. Może od razu go udusili, a może powiesili żywcem i pozwolili umrzeć.

Zamilkli. Tak czy inaczej, Calley umarł wyjątkowo paskudną śmiercią.

— Najwyraźniej chcieli mieć pewność, że go zabili — stwierdził Bolt. — I nikt niczego nie widział?

— Będziemy rutynowo szukać świadków, ale poza kobietą, która go znalazła, nikt się z nami nie kontaktował.

— Biedaczysko — mruknął Mo. — Chyba możemy wykluczyć motyw rabunkowy. Gdyby chcieli okraść dom, nie goniliby za nim do lasu.

— Poza tym wygląda na to, że z domu nic nie zginęło — dodał Lambden. — Przypuszczam, że Calley znał morderców. Drzwi frontowe nie noszą śladów włamania.

— To co? Zabójstwo na zlecenie? — zasugerował Mo.

— No cóż, wygląda na to, że nic tu nie było przypadkowe. Jak pan sądzi?

— Naprawdę za wcześnie na takie wnioski — odrzekł Lambden z nutą nagany w głosie, jakby Bolt i Mo byli nowicjuszami, którzy wyskakują przed szereg. — Wiemy tylko tyle, że sprawcy byli silni fizycznie, a do tego naprawdę brutalni. To nie faceci, których chcielibyście spotkać nocą.

Bolt podszedł bliżej. Począł, aż policyjny fotograf skończy robić zbliżenia zwłok Calleya, po czym przyjrzał się im z odległości mniej więcej metra. Nie zważał na odór, który bił od ciała.

Calley był młodym mężczyzną — mógł mieć niewiele ponad trzydzieści lat — o słusznej budowie oraz przystojnej, wyrazistej twarzy człowieka należącego do klasy średniej. Człowieka, który powinien odnosić — i zapewne odnosił — życiowe sukcesy i nikomu nie przyszłoby do głowy, że mógłby paść ofiarą zbrodni. Mięśnie twarzy były luźne, kąciki ust lekko opuszczone — co nadawało jej dość smutny wyraz — a oczy patrzyły ślepo w kierunku Bolta.

Śmierć, podobnie jak starość, przerażała komisarza. Nie był chrześcijaninem — już jako dziesięcioletek nabrał przekonania, że nauka lepiej niż metafizyka wyjaśni tajemnice tego świata. Wierzył wówczas — i to przekonanie nie opuściło go do dziś — że kiedy ktoś umiera, jest już po wszystkim. Koniec podróży, wielki sen. To właśnie brak wiary w życie pozagrobowe sprawiał, że tak bardzo bał się śmierci. Czasem, jak to z ludźmi bywa w miarę upływu lat, naprawdę chciał się przekonać do religii — ale wiedział, że to daremne. Jego światopogląd był zbyt głęboko zakorzeniony. Widok, z którym teraz stanął oko w oko — naglej, niespodziewanej śmierci — na nowo obudził ten strach. Kilka godzin wcześniej Jack Calley był zamożnym młodym człowiekiem, który naprawdę miał po co żyć. Teraz zmienił się w wór gnijącego mięsa, pozbawiony duszy i celu istnienia.

Bolt zauważył coś kątem oka. Pochylił się, mrużąc powieki.

— Co jest? — spytał Mo, stojący parę kroków dalej.

— Czy mogę poruszyć ciało? — komisarz zwrócił się do Lambdena.

Nadkomisarz spytał fotografa, czy już skończył. Tamten potwierdził.

— Dobrze, tylko proszę uważać. Nie chcę mieć naruszonych zwłok.

Bolt zbył milczeniem rozdrażnienie Lambdena. Przyzwyczał się już. Policjanci z terenu tak się właśnie zachowywali wobec niego i jego kolegów. Najwyraźniej traktowali przybycie ludzi z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną jak ujmę na honorze. Delikatnie rozchylił uda Calleya. Dwaj pozostali podeszli bliżej — i natychmiast to dostrzegli.

— Co to jest? — zawołał Lambden głosem o oktawę wyższym niż zazwyczaj.

Mo tylko głośno wypuścił powietrze. Zajmował się zorganizowaną przestępczością już od paru lat, więc nieraz widział ślady tortur — zarówno u żywych, jak i u martwych.

Krocze Calleya było osmalone. Na dzinsach znajdowało się kilka przypaleń, każde wielkości dwupensowej monety. Wyglądało na to, że ktoś powoli, z premedytacją przypalał mu krocze otwartym ogniem. I to nie raz. Cztery, może nawet pięć. Trudno było stwierdzić, ślady się zlewały.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Technicy i fotograf podeszli obejrzeć odkrycie komisarza. Fotograf zrobił kilka zdjęć. Bolt uniósł rękę Calleya, by przyjrzeć się nadgarstkowi. Wokół przegubu dłoni niczym bransoletka biegł błydy, ale widoczny czerwony ślad. Spojrzał na drugą rękę. To samo. Ślady po więzach.

— Musiał mieć zaciekłych wrogów — odezwał się jeden z techników.

— Może — westchnął Bolt. — Albo miał coś, co ktoś bardzo chciał zdobyć.

7

Kiedy miałem siedemnaście lat, Jacka, mnie i dwóch innych kumpli aresztowała policja. Podejrzewali nas o kradzież samochodu. Ale my go nie ukradliśmy. To był zdezelowany biały ford escort van. Należał do Jacka. On jako pierwszy zdał na prawo jazdy i kupił tego grata z czwartej czy piątej ręki za jakieś sto funtów. Tamtego lata co wieczór po nas przyjeżdżał. Ten z nas, którego zabierał w pierwszej kolejności — czyli zwykle ja, mimo że wtedy Jack mieszkał już jakieś dwa kilometry ode mnie — siadał na przodzie, a pozostali musieli się zadowolić miejscem z tyłu, na wyliniałym dywaniku, pośród zardzewiałych narzędzi, części zapasowych i reszty gratów, których nazbierało się tam przez parę miesięcy. Nazywaliśmy siebie „Bandą z vana”. Wieczorami jeździliśmy po okolicy, szukając jakiegoś zajęcia. Mogło to oznaczać wypad do jednego z niewielu wiejskich pubów, gdzie byli gotowi nas obsłużyć, wizytę w domu publicznym albo po prostu postój w jakimś ustronnym miejscu, gdzie mogliśmy wprowadzać w życie ideały nastoletniego buntu, paląc jointy i chichocząc jak idioci. To były dobre czasy, dużo bardziej niewinne, niż mogłoby się wydawać. Choć moja przygoda z narkotykami była dość krótka, nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek miały na mnie szkodliwy wpływ.

W samochodzie Jacka nie działały kierunkowskazy. Pewnego wieczoru, pod koniec lata, jeździliśmy sobie bez celu po okolicy i Jack skręcił w prawo — rzecz jasna tego nie sygnalizując —

tuż przed nosem policjantów, którzy siedzieli w zaparkowanym na poboczu radiowozie. Ruszyli za nami i kazali się zatrzymać. Obaj gliniarze robili wrażenie mocno nadgorliwych. Ten ważniejszy wyglądał raczej na księgowego niż na stróża porządku. Jednak pamiętam, że się bałem, chociaż nie miałem przy sobie dragów ani żadnych innych nielegalnych środków. Wystarczył sam fakt, że zainteresowała się mną policja — zupełnie jakby gliniarze mogli się dowiedzieć o wszystkich moich grzeszkach i kazać mi się z nich wytłumaczyć.

„Księgowy” na dzień dobry spytał Jacka, czy to jego samochód.

— Tak — odpowiedział Jack.

— Poproszę kluczyki.

— No właśnie, panie władzo, rzecz w tym, że jakiś czas temu je zgubiłem, więc używam tego — Jack wyjął ze stacyjki kieszonkowy śrubokręt i pokazał funkcjonariuszowi.

Co ciekawe, mówił prawdę (ten samochód to naprawdę była kupa złomu), ale po takim wyjaśnieniu nie puściłby nas wolno żaden gliniarz w pełni władz umysłowych. Ponieważ w tamtych czasach policyjne komputery pracowały dużo wolniej niż teraz, dostęp do rejestru pojazdów wymagał czasu. Wobec tego od razu nas aresztowali, mimo że Jack mężnie i zupełnie szczerze usiłował udowodnić swą niewinność. Widać było, że policjanci są z siebie bardzo zadowoleni. Cztery zatrzymania za jednym zamachem — to musiało dobrze wyglądać w statystyce. Co więcej, konieczność załatwienia formalności oznaczała, że mogli na trochę wrócić do komisariatu. Jednocześnie chyba byli gotowi uwierzyć w opowieść Jacka, głównie dlatego, że robił wrażenie szczerego, a my wszyscy wyglądaliśmy bardziej na studentów niż na złodziei samochodów.

Przetrzymywali nas w sumie przez cztery godziny. Tyle trwało załatwienie wszystkich formalności oraz czterdziestopięciminutowe oczekiwanie, aż policjanci

wszystko sprawdzą. Przez ten czas zdążyliśmy się przekonać, że interesujemy ich wyłącznie jako element statystyki, a nie ze względu na przestępstwo, które mogliśmy popełnić. Mogłem się odprężyć. Gliniarzom nie chciało się nas wsadzać do celi, więc kazali czekać razem w ciasnym pokoju przesłuchań, gdzie zabijaliśmy czas, grając w kalambury. W końcu nas zwolnili. Problem polegał na tym, że jednocześnie zarekwirowali Jackowi samochód, uznawszy, że nie nadaje się do ruchu drogowego. Nie mieliśmy jak wrócić do domu. Ciągnęliśmy losy i skończyło się na tym, że o godzinie 4.30 nad ranem musiałem zadzwonić po ojca. Zabrał nas z komisariatu, ale nie był zbyt zadowolony. Do Jacka nie odzywał się potem przez wiele miesięcy.

Przypomniałem sobie o tamtym zdarzeniu teraz, siedząc w pokoju przesłuchań zupełnie innego komisariatu. Tym razem byłem sam, a nade mną wisiało oskarżenie o morderstwo. Możecie się domyślać, że czułem się bardzo samotny. Policjanci, którzy mnie przywieźli, zdecydowanie nie chcieli wierzyć w moje tłumaczenia, podobnie jak dyżurny sierżant, który mnie przyjął. Postępowali profesjonalnie, ale odnosili się do mnie chłodno, z dystansem ludzi, których nie przekonują desperackie, pozbawione oryginalności zapewnienia podejrzanych. Zażądałem przysługującej mi jednej rozmowy telefonicznej. Zaprowadzono mnie do aparatu na korytarzu. Czekał tam czarnoskóry policjant, a ja znowu usiłowałem dodzwonić się na komórkę Kathy. I znów odezwała się poczta głosowa. Zostawiłem kolejną wiadomość — opowiedziałem, co mi się przydarzyło, i błagałem ją, żeby jak najszybciej się ze mną skontaktowała.

Zażądałem także prawnika. Grzecznie, ale stanowczo. Wkurzyłem się. Oczywiście wciąż się bałem — i o siebie, i o Kathy. Ale jednocześnie byłem cholernie wkurzony, że przetrzymuje się mnie wbrew mojej woli za coś, czego nie zrobiłem, a na dodatek najwyraźniej nikt nie zamierza

wysłuchać, co mi się przytrafiło, ani poinformować, co się dzieje z moją żoną.

— Ma pan własnego prawnika, czy mamy kogoś wezwać? — spytał sierżant dyżurny znużonym głosem.

Gdyby zadał mi to pytanie trzy godziny temu — albo kiedykolwiek w ciągu ostatnich dwunastu lat — zwróciłbym się do Jacka Calleya i miałbym pewność, że on wszystko załatwi. Jack taki właśnie był. Budził zaufanie. Teraz potrzebowałem go po raz pierwszy od bardzo dawna, ale było już za późno.

— Nie mam. Musicie mi kogoś wezwać.

Policjant kiwnął głową i odrzekł, że się tym zajmie.

W tym czasie dwaj gliniarze, którzy mnie aresztowali, poprowadzili mnie do jednego z pokojów przesłuchań, gdzie teraz — pół godziny, może godzinę później, trudno mi to było określić — siedziałem i czekałem, zastanawiając się, czy moja żona, matka moich dzieci, wciąż żyje, czy też to właśnie o jej zamordowanie byłem oskarżony. Rozmyślałem również nad tym, dlaczego Jack Calley do mnie zadzwonił. I dlaczego zanim zdążył mi cokolwiek powiedzieć, został zaatakowany i zamordowany. A także — dlaczego w bibliotece wydziału politologii, gdzie pracowała moja żona, napadł na mnie mężczyzna w kominiarce z zakrwawionym nożem w dłoni.

Wreszcie drzwi pokoju przesłuchań się otworzyły. Wszedł przez nie gruby, sympatycznie wyglądający mężczyzna koło pięćdziesiątki. Miał siwe włosy do ramion — tak gęste, że można by w nich ukryć jakiś skarb — a na nosie okulary w rogowej oprawce. Ubrany był w granatowy garnitur w prążki, z kamizelką, która opinała się na wydatnym brzuchu. Uśmiechał się; był to pierwszy uśmiech, jaki od dłuższego czasu dane mi było zobaczyć. Miał dziwną, jakby sowa twarz o delikatnych rysach. W drobnej rączce — najwyraźniej nigdy niesplamionej pracą fizyczną — trzymał skórzaną aktówkę. Wyglądała, jakby

dopadło ją stado psów. Rzucił ją na stół i wyciągnął w moim kierunku dłoń.

— Pan Meron, prawda? — spytał ze szkockim zaśpiewem, spoglądając na mnie znad okularów. Jego głos, donośny baryton, zasługiwał na szerszą publiczność. — Nazywam się Douglas McFee. Jestem adwokatem z urzędu. Jak rozumiem, prosił pan o moją pomoc.

Wstałem i uściśniłem wyciągniętą dłoń prawnika. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że jest spocona.

— Tak, chyba będę jej potrzebował. Dziękuję, że pan przyszedł.

Douglas McFee znów się uśmiechnął, po czym usiadł naprzeciw mnie. Postawił teczkę na ziemi, oparł łokcie na stole, dłonie złożył jak do modlitwy, tak że czubkami palców dotykał dolnej wargi. Jego twarz była zaskakująco napięta, a jednak wciąż nie traciła sympatycznego wyrazu.

— No dobrze, niech mi pan powie, jak to się stało, że został pan aresztowany, kiedy biegł ulicą w pobliżu miejsca zbrodni, ranny i roztrzęsiony.

— Zanim cokolwiek powiem, chcę wiedzieć, czy mojej żonie nic się nie stało. Bo jeśli to ją niby zamordowałem... — przerwałem, nie wiedząc, co powiedzieć.

McFee uśmiechnął się współczująco. Ten widok sprawił, że zachciało mi się płakać. Czyżby ktoś mi wreszcie uwierzył?

— Chyba mogę pana uspokoić — powiedział.

W jednej chwili poczułem ulgę.

— Naprawdę? To nie ona?

Pokręcił głową.

— Nie. Kobietą, o której morderstwo podejrzewa pana policja, nie jest pańska żona. Ofiara nazywa się, albo raczej nazywała, Vanessa Blake.

Teraz ulga zmieszała się z szokiem.

— Vanessa?

— Zna ją pan?

— Tak. Wykłada politologię na uniwersytecie. Tak jak moja żona, Kathy. Pracuje tam od lat.

Nigdy nie lubiłem Vanessy. Była o kilka lat młodsza od Kathy, atrakcyjna, choć bardzo kostyczna, i jednoznacznie homoseksualna. Nie lubiła mężczyzn i zupełnie się z tym nie kryła. Często mi się wydawało, że próbuje nastawić moją żonę przeciwko mnie. Szczerze mówiąc, przypuszczałem, że Kathy jej się podobała. A teraz Vanessa nie żyła. Nie miałem czasu, żeby rozmyślać o jej śmierci. Zbyt dużą czułem ulgę.

McFee z powagą pochylił głowę. Oznajmiał mi złe wieści tak, jak opowiada się szczególnie ciekawą historię o duchach.

— Jej ciało znalazła studentka. Znajdowało się w pokoju przylegającym do biblioteki, tam gdzie zaatakował pana zamaskowany mężczyzna. Została kilka razy pchnięta nożem. Studentka była rzecz jasna zszokowana, ale zdołała zadzwonić na policję. Musiało się to dziać zaledwie kilka minut po tym, jak pan stamtąd uciekł, ponieważ aresztowali pana właśnie funkcjonariusze wysłani do wezwania.

Schowałem twarz w dłoniach. Wziąłem kilka głębokich oddechów, a potem znów spojrzałem na mojego rozmówcę. Rana na podbródku zaczęła nagle pulsować.

— Dzięki Bogu, że Kathy nic się nie stało. To straszne, że Vanessa nie żyje, była dobrym człowiekiem, ale cieszę się, że to ona, a nie Kathy. Wiem, że to brzmi strasznie, ale rozumie pan, co mam na myśli? Jest pan żonaty?

— Jestem w wieloletnim związku, zatem owszem, rozumiem.

— Boże, tak się bałem.

— To jest ta dobra wiadomość — odrzekł McFee, który najwyraźniej miał w zwyczaju mówić bardzo wolno. — Jeśli można to tak nazwać.

Znieruchomiałem.

— Jest jakaś zła wiadomość?

— Niestety jest. Na miejscu znaleziono narzędzie zbrodni, nóż do filetowania ryb z piętnastocentymetrowym ostrzem.

Nie mogłem oddychać.

— I?

— I właśnie mnie poinformowano, że z uchwytu noża zdjęto odciski palców pana żony.

8

Bolt zdawał sobie sprawę z tego, że ani on, ani Mo nie byli mile widziani na miejscu zabójstwa Jacka Calleya. Nadkomisarz Lambden silił się na uprzejmość — bądź co bądź między sprawą, którą zajmował się wydział do walki z przestępczością zorganizowaną, i tą, nad którą on właśnie pracował, istniały jakieś wątle powiązania, zatem musiał przynajmniej tolerować obecność tych dwóch funkcjonariuszy — ale wszyscy zainteresowani widzieli wyraźnie, że kosztuje go to sporo wysiłku. Lambden nie rozumiał także, jak do całej sprawy miałyby pasować tortury, więc prędko uznał to za motyw niezwiązany z zabójstwem.

— Nie wiemy przecież, czy istnieje jakikolwiek związek — powiedział ostrożnie. — Może przypadkowo się poparzył. Nie powinniśmy przedwcześnie wyciągać wniosków.

Bolt sądził, że powściągliwość Lambdena ma dwojaką przyczynę. Po pierwsze, nadkomisarz był takim trochę guzdrałą i brutalność nieco go oszołomiła. Po drugie, w grę najprawdopodobniej wchodziła zawodowa rywalizacja. Bolt, ten pistolecik z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną, wpada na miejsce zbrodni jak gdyby nigdy nic, jest tutaj pięć minut i od razu dokonuje ważnego odkrycia. I Lambdenowi oczywiście bardzo się to nie podobało.

No nic, Bolt nawet go rozumiał. Na jego miejscu też by nie był zbyt zadowolony.

— Przypuszczam — zwrócił się do Lambdena i pozostałych policjantów — że w domu znajdziemy dowody na to, iż Calley był torturowany. Ślady na nadgarstkach sugerują, że niedawno go zwięzowano. Mężczyźni obezwładnili go wewnątrz, a potem poddali torturom, prawdopodobnie w celu uzyskania informacji. Uciekł im, tutaj go dogonili, a ponieważ na otwartej przestrzeni nie mogli kontynuować przesłuchania, załatwili go.

— A jeśli go rzeczywiście torturowali, to jaki to ma związek z waszą sprawą?

To było trafne pytanie. Bolt rozmyślał nad nim, odkąd tylko tam przybyli.

— Może w ogóle nie ma związku, ale pamiętajmy, że Calley był prawnikiem prezesa Sądu Najwyższego, który niecałe czterdzieści osiem godzin temu w tajemniczych okolicznościach popełnił samobójstwo. A teraz jego prawnik nagle ginie z rąk co najmniej dwóch mężczyzn, a morderstwo wygląda na profesjonalną robotę. To nie był napad rabunkowy, tego możemy być pewni. Zabójcy z nikim go też raczej nie pomylili. Spędzili z nim dużo czasu i dokładnie wiedzieli, kim jest. Nie wiem, może i miał wielu wrogów. Tak jak pan, ja też nic o nim nie wiem. Ale nie podoba mi się zbieżność w czasie ze śmiercią sędziego.

Lambden chwilę milczał, potem skinął głową.

— Będziemy się szczegółowo zapoznawać z przeszłością Calleya i jego niedawnymi poczynaniami. Oczywiście damy wam znać, gdybyśmy znaleźli cokolwiek istotnego dla waszego śledztwa.

Następnie zwrócił się do jednego z policjantów w kombinezonie:

— Bill, możesz mu opróżnić kieszenie? Włóż wszystko do worka z dowodami.

Bill, starszy detektyw z krzaczastymi wąsami, zajął się wykonywaniem polecenia. Tymczasem Lambden ponownie

odwrócił się do Bolta.

— Czy coś jeszcze chcecie obejrzyć? — zapytał.

— Jeśli to możliwe, chcielibyśmy się rozejrzeć po domu.

Nadkomisarz nie wyglądał na zadowolonego, ale wiedział, że nie może odmówić.

— Oczywiście, ale tam pracują moi ludzie. Proszę, nie wchodźcie im w drogę.

Bolt nie połknął haczyka.

— Będziemy grzeczni — odpowiedział.

Odwrócił się, żeby ruszyć w stronę domu. Zobaczył, że Mo bacznie przygląda się Billowi, który opróżniał kieszenie dżinsów Jacka Calleya. Wyjął stamtąd portfel na karty kredytowe, pęk kluczy, zmięty banknot dziesięciofuntowy oraz trochę drobnych.

— Nie znaleźliście przypadkiem w pobliżu ciała komórki? — spytał Lambdena Mo.

Nadkomisarz pokręcił głową.

— Tutaj nic nie było. Skoro nie miał jej w kieszeniach, to pewnie została w domu.

— Wiedza o tym, kto do niego dzwonił przez ostatnie kilka dni, byłaby bardzo przydatna — powiedział Mo, wzbijając się na wyżyny dyplomacji. — No i do kogo on dzwonił.

— Zajmiemy się tym w toku śledztwa.

Dwaj policjanci z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną ruszyli w kierunku domu. Kiedy oddalili się od miejsca zbrodni, Mo zwięźle scharakteryzował nadkomisarza Keitha Lambdena:

— Facet nie ma za grosz wyobraźni.

Po chwili namysłu dodał jeszcze:

— Poza tym jest nadętym dupkiem.

— Takich nigdy nie brakuje — westchnął Bolt. — Chyba musimy wziąć sprawę w swoje ręce. Skontaktuję się z Jean.

Konstabl Jean Riley miała dwadzieścia cztery lata i była najmłodszym członkiem zespołu Bolta, również pod względem stażu. Miała świetne kontakty w firmach telekomunikacyjnych i u operatorów komórkowych. Dlatego to właśnie do niej należało zdobywanie wykazów rozmów telefonicznych. Tego ranka dostała już numer stacjonarny i domowy sędziego oraz polecenie, by zdobyć szczegóły wszystkich połączeń przychodzących i wychodzących. Niestety zespół Bolta był mały, więc Riley tego samego dnia musiała także pojechać do Suffolk, żeby porozmawiać z siostrą zmarłego. Nic dziwnego, że jeszcze nie zdążyła się odezwać do komisarza. Jednak wydarzenia związane ze śmiercią Calleya oznaczały, że teraz będzie miała jeszcze więcej pracy. Wykazy rozmów nie tak łatwo zdobyć. Wymaga to czasu, a dzięki obowiązującej w Wielkiej Brytanii ustawie o ochronie danych osobowych — zwykle również załatwienia wielu formalności i uzyskania zezwoleń na wysokim szczeblu. Ale tak naprawdę, jeśli tylko wystarczająco nacisnąć, zwykle można zdobyć wszystko, czego się potrzebuje.

Bolt wyjął komórkę i wybrał numer Jean.

Odebrała po drugim sygnale.

— Jak się mają sprawy, szefie?

— Trochę się wydarzyło — odrzekł, po czym opowiedział jej o śmierci Calleya. — Gdzie teraz jesteś?

— W biurze. W Lowestoft od siostry zmarłego niewiele wyciągnęłam. Całkiem miła starsza pani, ma czworo dorosłych dzieci, ale brata widywała tylko raz do roku, na Boże Narodzenie. Chyba nie darzyła go szczególnym uczuciem. Mówi, że był raczej napuszony.

— Nie zaskoczyłaś mnie. W telewizji też zawsze robił takie wrażenie. Powiodło ci się z wykazami rozmów?

— Mam je przed sobą. Stacjonarny i komórka. Głównie używał stacjonarnego. Od dwudziestu minut to przeglądam i

nie znalazłam niczego podejrzanego.

— A rozmowy z Jackiem Calleyem?

— Chwileczkę, poszukam.

Bolt czekał, a Jean sprawdzała wykazy. Nucila przy tym coś, co z lekka przypominało *Diamenty są wieczne*.

— W ciągu ostatnich sześciu tygodni trzy razy dzwonił ze stacjonarnego do biura Renfrew, Calley i Partnerzy — oznajmiła w końcu. — Dwie rozmowy trwały po dziesięć minut, a ostatnia cztery minuty i dziewięć sekund. W poniedziałek po południu.

— Nic niezwykłego. A komórka?

— Właśnie sprawdzam jeszcze raz, ale... — zawiesiła głos. — Nie, nic.

Czyli prezes Sądu Najwyższego nie wymieniał ze swoim adwokatem pospiesznych telefonów, nie prowadził długich rozmów. Powinno to Bolta cieszyć, ponieważ świadczyło na korzyść jego teorii, że sędzia popełnił samobójstwo. Jeśli rzeczywiście tak było, mógł wrócić do domu, wziąć żarcie na wynos, otworzyć butelkę dobrego shiraz i zasiąść przed telewizorem, żeby obejrzeć wspaniałą pannę Marple przy pracy. Zobaczyć, jak to się naprawdę robi. A jednak nie wiedzieć czemu czuł rozczarowanie. Dwaj mordercy zabili mężczyznę w kwiecie wieku. To prawda, że ten mężczyzna był prawnikiem (czyli wykonywał zawód, którego reprezentanci w opinii Bolta składali się w większości z krętaczy i szarlatanów), ale nie o to tutaj chodziło. Ktoś, kto jest zdolny torturować drugiego człowieka, a później go powiesić, zasługuje na to, by resztę życia spędzić za kratkami. Bolt nie miał pewności, czy nadkomisarz Keith Lambden potrafi do tego doprowadzić.

— Jean, możesz coś dla mnie zrobić? — spytał.

— Oczywiście, szefie. O co chodzi?

— Czy mogłabyś uzyskać wykaz rozmów z numeru domowego Calleya, z biura i z komórki?

— Ma pan numer jego komórki?

— Jeszcze nie, ale przecież możesz go zdobyć, prawda?

— Tak, jeśli telefon jest zarezerwowany na niego, ale to może trochę potrwać.

Bolt po raz pierwszy wyczuł w jej głosie nutkę rozczarowania. Wiedział, że Jean ma chłopaka, gościa w jej wieku, który pracuje w służbie cywilnej. Zastanawiał się, czy mieli na ten wieczór plany. Pewnie tak, i raczej nie było w nich miejsca na oglądanie Panny Marple. Może by dać jej wolne? To dobry, oddany pracownik. Nie chciał jej wykorzystywać. Ale jednocześnie potrzebował odpowiedzi — a wciąż była dopiero za dwadzieścia szósta. Jeśli Jean się spręży, jeszcze nie straci szansy na udany wieczór.

— Gdybyś mogła się zorientować, co się da zrobić, byłoby świetnie.

— Więc myśli pan, że jest jakiś związek między morderstwem Calleya i naszą sprawą?

— Jeśli jest, to musimy go znaleźć — odrzekł Bolt, po czym się rozłączył.

Tymczasem dotarli przed dom. Stało tu teraz jeszcze więcej wozów policyjnych. Jeden z nich należał do jednostki z psami tropiącymi, która miała ustalić, którędy uciekli zabójcy. Bolt nie pomyślał, żeby o to spytać. Ślady na ścieżce wiodły w górę, toteż było prawdopodobne, że po zamordowaniu Calleya udali się w głąb lasu. Drzwi wejściowych strzegł umundurowany policjant. Technicy wchodzili i wychodzili, nosząc różne sprzęty.

Bolt i Mo pokazali funkcjonariuszowi odznaki i weszli do środka.

Wnętrze domu Jacka Calleya okazało się mniej przestronne, niż mogło się wydawać, kiedy patrzyło się na budynek z zewnątrz. Mimo to było imponująco urządzone, w modnym ostatnio, minimalistycznym stylu, który sprawia, że dom wygląda na praktycznie niezamieszkały. Pomieszczenia miały

lakierowane parkiety i kremowe ściany. Tu i ówdzie leżały dywaniki — niektóre czarne, a niektóre białe. W holu i jadalni stały kosztowne meble z mahoni i żeliwa. Całość robiła takie wrażenie, jak gdyby właściciel miał fobię na punkcie kurzu. Na jednej ze ścian w jadalni niczym futurystyczna ozdoba wisiał plazmowy telewizor — jeszcze większy i bardziej bajerancki niż ten w biurze zespołu. Przed nim ustawione były symetrycznie dwie płócienne sofy, tworzące tyle idealną, co bezsensowną w tym miejscu literę V.

Przez następne pół godziny Bolt i Mo oglądali dom, starając się nie wchodzić w drogę kilkunastu technikom, którzy krzatali się po całym budynku w poszukiwaniu najdrobniejszych poszlak: pozostałości DNA, strzępków materiału — czegokolwiek, co pomogłoby zidentyfikować zabójców. Przeszukiwanie takiego domu mogło trwać nawet do trzech dni. Jeśli jednak znajdowały się tam jakiegokolwiek ślady, wcześniej czy później musiały zostać znalezione. W dzisiejszych czasach policyjne technologie z roku na rok są coraz bardziej zaawansowane. Doszło do tego, że działać z powodzeniem mogą tylko najinteligentniejsi przestępcy. Naturalnie to dobrze. Miło jest widzieć, jak złoczyńcy zostają złapani i postawieni wobec tak silnych dowodów obciążających, że wypieranie się winy traci jakikolwiek sens. Ale jednocześnie praca detektywa też nie jest już tym, czym była kiedyś. Zbrodnia nie jest już taką zagadką, a detektyw — tak istotnym elementem całego cyklu. Bywa, że robotę wykonują za niego operatorzy telewizji przemysłowej i policyjni technicy. Bolt musiał przyznać, że czasami nie było już tak fajnie jak dawniej.

To, czego szukali, znaleźli w głównej sypialni, w większości zajętej przez wielkie łoże Calleya. Do drewnianej ramy przywiązane były dwa krawaty — po jednym z każdej strony wezglowia. Najwyraźniej użyto ich do obezwładnienia mężczyzny. Na nieskazitelnie białej pościeli widniało kilka

niewielkich czarnych śladów — dowód potwierdzający przypuszczenia, że krocze Calleya przypalano otwartym ogniem. Dwaj technicy klęczeli obok łóżka, szukając śladów na podłodze. Policjanci z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną nie mieli tu już nic do roboty.

— Jak myślisz, szefie, co tu się dokładnie stało? — zapytał Mo.

Patrzyli na łóżko z pewnej odległości. Technicy udawali, że ich nie widzą.

— Przypuszczam, że kiedy Calley ich wpuścił, zaciągnęli go aż tutaj. Związali jego własnymi krawatami, a potem wzięli się do roboty. Użyli zapalniczki albo czegoś w tym rodzaju i próbowali wyciągnąć z niego informacje.

— No i udało mu się uciec, zejść po schodach, wyjść tylnym wyjściem, mimo że ich było dwóch i że przywiązali go do łóżka? — spytał sceptycznie Mo.

— Myślisz, że ktoś mu pomógł?

Sierżant wzruszył ramionami.

— Torturowali go tutaj, a umarł w końcu dwieście metrów stąd. Coś tu się nie zgadza.

Bolt znów spojrzał na łóżko. Wyobraził sobie na nim bezbronnego Jacka Calleya, jak wrzeszczy z bólu, dręczony przez swych morderców — i nie mógł się nie zgodzić z Mo.

9

Kiedy dwaj policjanci z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną wychodzili na dwór przez frontowe drzwi domu Calleya, komórka Bolta ponownie zadzwoniła. Po drugiej stronie była Jean. Od razu przeszła do rzeczy.

— Dorwałam faceta z O Dwa, wyciągnęłam go z firmowego meczu piłkarskiego — powiedziała. — Calley miał komórkę w O Dwa. Dzisiaj z niej dzwonił, w sumie dziewięć razy, za każdym razem pod inny numer. Ostatni raz zaledwie trzy godziny temu, minutę po trzeciej. Rozmowa trwała trzydzieści trzy sekundy.

— A rozmowy przychodzące?

— Ostatni raz ktoś do niego dzwonił dużo wcześniej, o pierwszej szesnaście. Połączenie było od niejakiego Michaela Calleya, więc zakładam, że to ktoś z rodziny.

— No tak. A do kogo Calley dzwonił ostatni raz?

— To był numer domowy niejakich Toma i Katherine Meronów.

Bolt wyciągnął notes i zapisał nazwiska, a także numer telefonu i adres, które podała Jean. Pochwalił ją za dobrze wykonaną robotę i się rozłączył. Mo zapalił papierosa, a Bolt powtórzył mu, czego dowiedział się od Jean.

— Wiemy coś o tym Meronie? — spytał Mo, gdy komisarz skończył mówić.

— Na razie nic.

— Myślisz, że powinniśmy spróbować się czegoś dowiedzieć?

Bolt spojrzął na zegarek. Dochodziła za kwadrans szósta, a powietrze robiło się chłodne. Niebo było szare, na horyzoncie wisały ciemne chmury. Zanosiło się na deszcz. W tej chwili jego mieszkanie w centrum miasta wydawało się bardzo kuszącym miejscem.

— Jasne — powiedział. Ciekawość zwyciężyła. — Czemu nie?

Drzwi do pokoju przesłuchań otworzyły się i do środka weszło dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Poruszali się powoli, niczym aktorzy, którzy swoim wejściem chcą zrobić jak największe wrażenie. Ten starszy — czterdziestokilkulatek z rudosiwymi włosami i rudymi wąsami — przedstawił się jako nadkomisarz Rory Caplin z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Jego kolega, konstabl Ben Sullivan, był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną koło trzydziestki, o ciemnych, krótko przystrzyżonych włosach. Jego sposób bycia był w wystudiowany sposób onieśmielający: policjant patrzył na mnie z ledwie skrywaną pogardą, co wydawało się naturalnym wyrazem jego gładko ogolonej twarzy o chłodnych, napiętych rysach. Rzecz jasna żaden z nich nie podał mi ręki.

Mój adwokat, Douglas McFee, siedział teraz obok mnie. Obdarzył detektywów tym samym przyjaznym, ojcowskim uśmiechem, który ćwiczył na mnie przez cały wieczór. Wziąłem to za zły znak. Zawsze, gdy widzę w telewizji adwokatów, są wobec policjantów nieustępliwi i bojowo nastawieni. Nigdy się do nich nie uśmiechają. Przy moim szczęściu powinienem się chyba cieszyć, że nie przybili sobie piątek. Nadkomisarz Caplin przywitał adwokata zdawkowym skinieniem głowy, a następnie wycelował pilotem w magnetofon wbudowany w ścianę. Zapaliło się czerwone światelko i urządzenie natychmiast zaczęło działać.

— Przesłuchanie Thomasa Davida Merona, podejrzanego o morderstwo Vanessa Charlotte Blake — wyrecytował nadkomisarz Caplin z zaskakująco łagodnym północno irlandzkim akcentem. — Początek: godzina osiemnasta dwadzieścia jeden w sobotę, dwudziestego pierwszego maja.

Następnie wymienił z imienia i nazwiska resztę obecnych w pomieszczeniu osób. Potem utkwił we mnie spojrzenie, w równym stopniu współczujące, co nieufne. Niezwykła kombinacja.

— Co pan dzisiaj robił na uniwersytecie? — spytał.

Przez chwilę nie odpowiadałem. Wciąż myślałem o tym, co kilka minut wcześniej powiedział mi McFee: że odciski palców mojej żony znaleziono na nożu, którym zamordowano jej koleżankę z pracy. Nie wiedziałem nawet, że Kathy kiedykolwiek zdjęto odciski palców. To kolejny powód do zmartwień, zupełnie jakbym tego dnia nie miał ich już dosyć.

McFee skinął głową na znak, że mogę odpowiedzieć na to pytanie, więc powiedziałem prawdę: że szukałem żony.

— Czy często odwiedza pan żonę w pracy? — tym razem odezwał się konstabl Sullivan.

Pochylił się w moim kierunku, a na jego twarzy malowała się mieszanka pogardy i zdziwienia.

— Nie — odparłem.

— Kiedy był tam pan ostatnio?

Zerknąłem na pana McFee, a on znów kiwnął głową.

— Nie pamiętam — odrzekłem. — Parę miesięcy temu.

— W tym roku?

— Nie wiem. Chyba nie.

Dobrze wiedziałem, że w moim głosie słychać zdenerwowanie. I nic dziwnego — bo się denerwowałem. Poza tym nie byłem głupi. Dobrze wiedziałem, do czego zmierzają.

— Byłem tam dzisiaj z bardzo konkretnej przyczyny — powiedziałem.

— A czy dwie rany również odniósł pan z bardzo konkretnej przyczyny? — spytał Caplin.

— Tak — odparłem, zmuszając się do zachowania spokoju.

Następnie opowiedziałem im, jak doszło do tego, że zostałem zaatakowany. Na rumianym obliczu Caplina malował się sceptycyzm, natomiast twarz Sullivana wyrażała absolutne niedowierzanie — zupełnie jakbym im opowiadał, że zaatakowała mnie banda goblinów pod przywództwem Harry’ego Pottera. No ale faktem jest, że im więcej razy powtarzałem tę historię, tym bardziej stawała się niewiarygodna — nawet dla mnie samego. Kiedy nieco wcześniej opowiedziałem ją prawnikowi, on także nie wyglądał na całkowicie przekonanego.

Caplin powoli kiwał głową.

— Więc ten zamaskowany napastnik był jedyną osobą, którą pan widział. Nie widział pan ani pani Blake, ani swojej żony?

— Nie.

— Gdzie pana zdaniem jest teraz pańska żona?

Pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące.

— Naprawdę nie wiem. Usiłowałem dodzwonić się na jej komórkę, ale nie odbiera. — Wiedziałem, że nie stawiało to Kathy w dobrym świetle, ale policja i tak szybko by się zorientowała, że próbowałem się z nią skontaktować. — Ale jednego jestem pewien: ona jest niewinna. Zaatakował mnie mężczyzna uzbrojony w nóż z złotym uchwytem, taki, jakiego używa się do filetowania ryb. To na pewno ten człowiek zamordował Vanessę.

Nie polemizowali z moją wersją zdarzeń. Zaczęli mnie natomiast wypytywać o Vanessę. O moje relacje z nią. O relacje mojej żony. Odpowiadałem ogólnikowo. Powiedziałem, że nie

znałem jej za dobrze, co zresztą było prawdą. Przesłuchując mnie, postępowali według pewnego schematu. Caplin usiłował wydobyć ze mnie informacje powoli, stosunkowo łagodnie, natomiast Sullivan od czasu do czasu mu przerywał, atakując mnie serią agresywnych pytań. Stosowali klasyczną technikę „dobry glina/zły glina”. Byłem zaskoczony — dotychczas myślałem, że w przeciwieństwie do bezwzględnych prawników takie coś trafia się tylko w filmach. Zresztą nie była to zbyt skuteczna metoda, bo ja mówiłem prawdę.

Co jakiś czas próbowali mnie złapać na kłamstwie, zadając to samo pytanie po raz drugi, tyle że w inny sposób. Ponieważ nie usiłowałem im wciskać kitu, radziłem sobie z tym bez większych problemów, z niewielką pomocą ze strony Douglasa McFee. Swoją drogą, jego entuzjazm dla mojej sprawy opadał szybciej niż zamrożony bobek z samolotu.

— Powinniście teraz szukać faceta, który mnie zaatakował i zabił Vanesę — powiedziałem podczas przerwy w przesłuchaniu. — I powinniście mi pomóc znaleźć żonę.

— Właśnie usiłujemy ją znaleźć — odparł Sullivan oskarżycielskim tonem.

— Ona nic nie zrobiła. Daję słowo.

— To dlaczego na narzędziu zbrodni są jej odciski palców?

Tu mnie mieli. Jakkolwiek na to patrzyłem — a starałem się spojrzeć z każdej możliwej strony — nie potrafiłem wyjaśnić tego faktu.

— Nie wiem — powiedziałem w końcu, próbując ukryć ton zrezygnowania w głosie.

Jednocześnie spojrzałem na pana McFee, ale ten w wielkim skupieniu przyglądał się sufitowi. Na dłuższą chwilę poczułem się całkowicie, beznadziejnie samotny.

— Dlaczego nie powie nam pan prawdy? — odezwał się Sullivan.

Znowu się ku mnie pochylił, a spojrzenie jego wąskich jak szparki oczu wwierało mi się w twarz.

Podniosłem wzrok i spojrzałem mu w oczy. Nie miałem wyboru.

— Mówię prawdę. Przysięgam.

— Niech pan popatrzy na to z naszej perspektywy — rzekł cicho Caplin. Złożył ręce na piersiach i zaczął się kiwać na krześle. Nie wiedzieć czemu wyglądał teraz bardzo życzliwie.

— Nikt inny nie widział tego mężczyzny, o którym nam pan opowiada. Natomiast mamy kilku świadków, którzy dziś na uniwersytecie widzieli osobę, która odpowiada pańskiemu rysopisowi, uciekającą z miejsca zbrodni.

— Nadinspektorze, mój klient nie zaprzecza, że tam był ani że uciekał — wtrącił McFee.

— Nie zaprzeczam. Byłem tam.

Caplin niby od niechcienia podniósł dłoń, żeby uciszyć nasz sprzeciw.

— Chodzi o to, że my wiemy na pewno, że pan tam był, i wiemy, że była tam ofiara. Co więcej, sam nam pan powiedział, że rany, które odniósł, zostały zadane narzędziem zbrodni, więc to także wiemy. Natomiast jedynym świadkiem, który potwierdza istnienie jakiegoś zamaskowanego mężczyzny, jest pan sam.

— Panie Meron — włączył się Sullivan — twierdzimy, że nie było tam żadnego zamaskowanego mężczyzny.

— A ja twierdzę, że był. Skąd niby miałbym te rany?

Sullivan pozwolił sobie na drwiący uśmieszek.

— Wygląda na to, że istnieje tylko jedno możliwe wytłumaczenie, panie Meron. Zadała je panu żona podczas gwałtownej walki, która wynikła albo dlatego, że przeszkodził jej pan w ataku na Vanessę Blake, albo, co bardziej prawdopodobne, że to ona przeszkodziła panu.

— Panowie, toż to absurdalne — odezwał się McFee, dając popis swego szkockiego zaśpiewu. — Mój klient już wam dokładnie powiedział, co się stało.

— Widzisz, Doogie — odparł Caplin, przedrzeźniając akcent prawnika — problem w tym, że my mu nie wierzymy. Mocno to naciągane.

— Nie bardziej niż to, co wy wymyśliliście — odpowiedziałem. — Ja Vanessę Blake ledwie znałem. W ciągu ostatnich pięciu lat widziałem ją może z pięć razy, a pewnie i tyle nie. A skoro niby przeszkodziła mi żona i ją zaatakowałem, to dlaczego jej nie znaleźliście?

Byłem dumny z przenikliwości mojego ostatniego pytania. W ten sposób wystawiłem ich teorię na pośmiewisko. Niestety żaden z mężczyzn nie przyjął tego do wiadomości. Po prostu mnie zignorowali.

— Ale ten zamaskowany facet... — ciągnął Caplin. Lekceważąco machnął dłonią, którą podniósł kilka chwil temu. — Niech pan wymyśli coś lepszego. Bo na razie sądzimy, że coś pan ukrywa. Będzie dla wszystkich najlepiej, jak nam pan po prostu powie, co się naprawdę wydarzyło.

Sullivan wbił świdrujący wzrok w Douglasa McFee.

— Doogie, zrobisz swojemu klientowi przysługę, jak go namówisz, żeby zaczął gadać.

— Panie Sullivan, mój klient już wam powiedział całą prawdę — odparł McFee, chociaż wyglądało na to, że jego entuzjazm kompletnie wyparował.

Najchętniej wróciłby pewnie do domu, do tej osoby, z którą jest w wieloletnim związku.

Nie ulegało wątpliwości, że nie wierzy mi żaden z obecnych w pomieszczeniu. Nie po raz pierwszy tego dnia robiłem się naprawdę wkurzony. Kiedy Sullivan tym samym oskarżycielskim tonem po raz drugi i trzeci zapytał, gdzie

według mnie jest moja żona, dodając przy tym, że wszyscy na tym skorzystamy, jeśli im wreszcie powiem — nie wytrzymałem.

— Chrzanię to — powiedziałem zdecydowanie. — Mam już tego dość. Powiedziałem wam wszystko, co wiem. Idiota by dostrzegł, że nie macie żadnego konkretnego dowodu, który by mnie łączył z tym morderstwem. A moja żona nikogo nie zabiła. Kropka. Znam ją ponad dziesięć lat i nigdy nie miała w sobie choćby śladu agresji. To dobry człowiek, z porządnej rodziny, nie znosi widoku krwi, nie miała nic przeciwko Vanessie Blake i nigdy nie popadła w kłopoty z prawem. Wy mnie niby przetrzymujecie w związku z podejrzeniem, że zamordowałem Vanesę, zgadza się?

— Owszem, przesłuchujemy pana w związku z tą sprawą — tym razem odezwał się Caplin.

— No to może mi powiecie, na jakiej podstawie mnie przetrzymujecie? Skoro zabiłem Vanesę Blake, to dlaczego na narzędziu zbrodni nie ma moich odcisków palców?

— Bo był pan w rękawiczkach — odparł Sullivan tonem, który sugerował, że moje pytanie było kompletnie niedorzeczne.

— Domyślam się, że macie nagrania z uniwersytetu, z kamer ochrony. Czy na filmie mam rękawiczki?

— Mógł je pan mieć w kieszeni. I założyć na miejscu.

— Ale nie założyłem. W ogóle dzisiaj nie miałem rękawiczek. Ostatnio nosiłem rękawiczki parę miesięcy temu.

Nabrałem rozpędu. Lawina pytań już mnie nie peszyła. Wrzał we mnie gniew wobec niesprawiedliwości, której padłem ofiarą.

— No to skoro nie miałem rękawiczek — ciągnąłem — a na nożu nie ma moich odcisków palców, to może mi powiecie, na jakiej podstawie mnie tu przetrzymujecie? — Odwróciłem się do Douglasa McFee. — Proszę poinformować tych panów, że nie powiem im już ani słowa, dopóki nie przedstawią przyczyn

mojego zatrzymania. A jeśli nie istnieją żadne istotne przyczyny, to domagam się, żeby mnie natychmiast zwolniono.

Kiedy znów spojrzałem w stronę detektywów, zobaczyłem, że Caplin trzyma w ręku niewielki plastikowy worek — Poznaje to pan? — spytał. — Znaleziono je niedaleko miejsca zbrodni.

W przezroczystej torebce znajdowała się para czarnych, skórzanych rękawiczek. Zacząłem im się przyglądać, choć tak naprawdę nie miałem potrzeby. Co prawda nie nosiłem ich dobre parę lat, ale natychmiast poznałem ukośne szwy na palcach. Serce skoczyło mi do gardła.

To były moje rękawiczki.

Kiedy komórka Bolta ponownie zadzwoniła, wraz z Mo byli w drodze do biura. Właśnie zjeżdżali z autostrady M4 w pobliżu Heathrow. Wyciągnął telefon z kieszeni i spojrzął na ekran. Nie rozpoznał numeru, więc powitał rozmówcę szorstkim „halo”. Nie chciał podawać nazwiska nieznanemu.

— Czy to Mike Bolt? — głos kobiety po drugiej stronie był obcy.

— Przepraszam, z kim rozmawiam?

— Nazywam się Tina Boyd. Jestem byłą policjantką.

Bolt natychmiast skojarzył. Tina Boyd była dość dobrze znana w niewielkim świątku londyńskiej policji. W dawnych, szczęśliwszych czasach trafiła nawet na okładkę „Przeglądu Policyjnego”. Nic dziwnego: młoda, atrakcyjna, przebojowa policjantka — góra za takimi przepada. Ale potem wszystko się posypało. Teraz mówią na nią „Czarna Wdowa”.

— Rozumiem, że pani jest tą Tiną Boyd — powiedział Bolt, wymieniając spojrzenia z Mo. — Tą z okładki „Przeglądu Policyjnego”.

— Tak, to ja.

— Z przykrością przyjąłem wieść o tym, co się stało.

Bolt zdawał sobie sprawę z tego, że wcześniej czy później będzie trzeba poruszyć kwestię jej przeszłości. Postanowił mieć to z głowy jak najszybciej.

— Z tego, co wiem, była pani bardzo dobrym gliną — dodał.

— Robiłam, co mogłam — odrzekła, najwyraźniej niezainteresowana wymianą uprzejmości. — Dzwonię, ponieważ jak rozumiem, zajmuje się pan samobójstwem prezesa Sądu Najwyższego.

— To prawda — powiedział ostrożnie Bolt.

Był zaskoczony, że Boyd dowiedziała się o jego zaangażowaniu w tę sprawę. Dochodzenie nie było co prawda tajne, ale też nie towarzyszył mu rozgłos.

— Mam pewne informacje.

Bolt nadstawił uszu.

— Jakie informacje?

— Takie, o których nie chcę rozmawiać przez telefon. Ale z pewnością zechce je pan poznać. Zadzwoiłabym wcześniej, ale żeby zdobyć pana numer, trzeba było pociągnąć za parę sznurków. Poza tym musiałam sprawdzić, czy jest pan godny zaufania.

— Rozumiem, że przeszedłem test.

— Przeszedł pan — odrzekła bez cienia humoru. — I dlatego dzwonię.

— Bardzo chętnie usłyszę, co pani ma do powiedzenia. Proszę wybaczyć pytanie, ale skąd pani zdobyła te wiadomości?

— Wszystkiego się pan dowie, kiedy się spotkamy. Obiecuję, że to nie będzie strata czasu.

— Zaintrygowała mnie pani. Kiedy możemy się zobaczyć?

— Jest pan dziś wieczór w Londynie?

— Mogę być.

Tymczasem Mo zajechał przed budynek, w którym mieściło się biuro zespołu. Wszystkie miejsca parkingowe były puste. Wnętrze też na takie wyglądało. Jean najwyraźniej poszła do domu.

— Mieszkam w Highgate — powiedziała Tina Boyd. — Tuż przy głównej ulicy jest pub „Pod Gryfem”. Tam się spotkajmy. Może być o ósmej?

Bolt zerknął na zegarek. Dochodziła siódma, a jemu już szumiało w głowie.

— O dziewiątej. Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

— Dobrze, o dziewiątej. I jeszcze coś. Mówię to panu zupełnie nieoficjalnie. Wszystko, czego się pan dowie, powinien pan potraktować jako wskazówki. Proszę się nie powoływać na moje nazwisko, przynajmniej na razie. Musi mi pan dać słowo. W przeciwnym razie możemy uznać tę rozmowę za niebyłą.

To Bolta zdziwiło. Nie brzmiało jak słowa policjanta, nawet byłego.

— Dobrze, umowa stoi — odparł, świadom, że kiedy przyjdzie co do czego, może być zmuszony ponownie rozważyć te warunki. — Ale chyba przyjadę z jednym z moich ludzi, człowiekiem także w pełni godnym zaufania — mówiąc to, puścił oko do Mo, który lekko się uśmiechnął i zrobił kpiarską minę, jakby łechtano go to pochlebstwo. — Zgadza się pani?

Na moment zapadła cisza.

— W porządku — odrzekła w końcu niechętnie. — W takim razie do zobaczenia o dziewiątej.

— Mam jeszcze jedno pytanie — powiedział, zanim zdążyła się rozłączyć. — Właśnie wracamy z miejsca brutalnego morderstwa, które popełniono ledwie parę godzin temu. Nieoficjalnie, ale to naprawdę zupełnie nieoficjalnie, mogę pani powiedzieć, że ofiarą był adwokat prezesa Sądu Najwyższego. Czy mogło to mieć jakikolwiek związek z tym, o czym chce mi pani powiedzieć?

Usłyszał, jak Boyd głośno wciąga powietrze. Następnie znów zapadła cisza. W końcu kobieta się odezwała:

— Możliwe.

Rozłączyła się.

— I co? — spytał Mo, kiedy Bolt chował telefon. — Czego chciała ta Tina Boyd?

— Chce się spotkać. Ma jakiś ślad. Zdaje się, że to coś poważnego.

— I wszystko tak jednego dnia, co? Teraz nawet Czarna Wdowa chce się włączyć.

— Jeśli nie chcesz, to nie musisz ze mną jechać. I tak już dzisiaj poświęciłeś na tę sprawę sporo czasu.

— Co takiego? Mam ci pozwolić zgarnąć cały splendor? O nie, szefie, sam nie będziesz harował. A jak to jest poważny trop, to ja też się chcę czegoś dowiedzieć. Spotykamy się z nią w pubie?

— Tak.

— Ale to jest nieoficjalna pogawędka, prawda? Czyli będę mógł się napić?

— Chyba tak.

— No to jadę z tobą. Zadzwoń tylko do mojej drugiej szefowej i powiem, jak się sprawy mają.

Bolt obserwował, jak Mo wysiada z kierownicy i dzwoni do domu. Komisarz tylko raz spotkał żonę swojego kolegi — kiedy pewnego dnia odbierał go z domu w drodze do wezwania. Zapamiętał ją jako niewysoką, dobrze zbudowaną dziewczynę o pyzatej buzi, która rozświeślała się przy każdym uśmiechu. Kobieta wciąż otaczała dzieci. Była bardzo przyjazna, a przy tym spokojna i wyluzowana. Bolt pomyślał sobie wtedy, że jest idealnie przygotowana do trudów macierzyństwa. Widać było, że Mo szaleje za żoną. Żegnając się, całował ją w zaskakująco czuły sposób i mierzwił jej włosy, a następnie podobnymi czułościami obdarzał kolejno każde z dzieci. Ze spojrzenia kobiety Bolt wyczytał, że w pełni odwzajemniała uczucie męża.

A teraz nie pozwalał im być razem. Wiedział, że Mo mu współczuje i że między innymi dlatego zgodził się z nim pojechać. Trzy lata wcześniej jedno wydarzenie zmieniło całe życie Bolta, a fizyczne i psychiczne rany pewnie nigdy do końca się nie zagoją. Każdemu, kto o tym wiedział, było go żal — a to sprawiało, że chcąc nie chcąc traktowali go nieco inaczej. Spośród wszystkich ludzi, z którymi współpracował, tylko jeden

Mo potrafił się przy nim zachowywać naturalnie. Między innymi właśnie dlatego Bolt tak bardzo go lubił. Jednak nawet w przypadku Mo wiedza o przeszłości szefa czasem wpływała na jego postępowanie — tak jak tym razem. Jak na ironię, tego wieczoru Bolt chętnie pojechałby sam. Od zawsze dobrze się czuł we własnym towarzystwie. Tylko dzięki temu wciąż sobie radził.

Wysiadł z auta i podszedł do drzwi do biura. Chciał sprawdzić, czy w policyjnym systemie komputerowym są jakieś wzmianki o Tomie albo Kathy Meron. Tymczasem Mo — który przechadzał się tam i z powrotem przed budynkiem — skończył rozmawiać przez telefon.

— Czy u Sairy wszystko w porządku? — spytał Bolt.

Mo kiwnął głową.

— Jest OK. Cieszy się, że nie będę jej wchodził w paradę. Powiedziałem, żeby na mnie nie czekała.

Nie mówił szczerze, na jego twarzy malowało się rozczarowanie, próbował to ukryć, ale bez powodzenia. Nie ulegało wątpliwości, że Saira go objechała, i Bolt wcale jej się nie dziwił.

— Oby tylko ten nasz cynk był tego wszystkiego wart — pomyślał, wchodząc do biura.

12

Kwadrans później jechali bocznymi uliczkami zachodniego Londynu. Kierowali się na północ, w stronę domu państwa Meron, który znajdował się o piętnaście minut drogi na wschód od miejsca, gdzie zamordowano Jacka Calleya. W systemie Bolt znalazł informację, że Thomas David Meron nigdy nie wszedł w kolizję z prawem, natomiast jego żona, Katherine Cynthia, była raz, bardzo dawno temu, notowana za utrudnianie pracy policji. Miała wtedy osiemnaście lat i brała udział w studenckiej demonstracji w centrum Cambridge. Otrzymała grzywnę w oszałamiającej wysokości dwudziestu pięciu funtów. Trudno byłoby ją nazwać zatwardziałą kryminalistką.

Jednakże Boltowi wciąż nie dawała spokoju godzina ostatniego telefonu wykonanego przez Calleya. Policyjny lekarz obecny na miejscu zbrodni oszacował, że mężczyzna zmarł najpóźniej o 15.30. Czyli zabójcy przyszli do niego przed tą godziną. Weszli do domu, wciągnęli go po schodach, przywiązali do łóżka i torturowali. Musiało to trwać co najmniej dziesięć minut, ale pewnie dłużej. Skoro Calleyowi udało się jakoś uwolnić, to prawdopodobnie oprawcy zostawili go na trochę samego. Później był pościg. Zanim go dopadli i zamordowali na leśnej ścieżce, musiało minąć kolejne pięć minut. Wobec tego, według obliczeń Bolta, zabójcy mogli się pojawić u Calleya najpóźniej o 15.10, czyli dziewięć minut po jego ostatniej rozmowie telefonicznej. Ale to tylko przy założeniu, że umarł równo o 15.30, co wydawało się mało

prawdopodobne. Lekarz określił czas zgonu z dokładnością do jednej godziny. Zatem możliwe, że Calley zadzwonił już po tym, jak go zaatakowano. Jeśli tak, to Meronowie musieli być w to jakoś zamieszani.

Przed dom Toma i Katherine Meronów zajechali za dziesięć ósma. Od frontu budynek przesłaniał iglasty żywopłot. Nieco z boku był podjazd na dwa samochody, który zdecydowanie przydałoby się od nowa wyasfaltować. W pierwszej chwili trudno było stwierdzić, gdzie znajduje się wejście.

Kiedy detektywi wysiedli z samochodu, ich uszu dobiegły dźwięki pracujących kosiarek oraz okrzyki dzieci bawiących się w niewidocznych ogródkach. Chmury nieco się rozeszły i teraz tu i ówdzie w ostatnich promieniach zachodzącego słońca przez szarą powłokę przezierało różowawe niebo.

W rogu podjazdu znaleźli drewnianą furtkę z domofonem i alarmem, niewidoczną zza żywopłotu. Takie alarmy są na przedmieściach rzadkością. Montują je zwykle tylko bogacze oraz paranoicy. Ciekawe, czy to coś znaczy — zastanawiał się Bolt. Wcisnął guzik. Nikt się nie odezwał. Wcisnął po raz drugi.

— Szeffie, myślisz, że warto przejść górą i rozejrzeć się? — spytał Mo.

Bolt nie zdążył odpowiedzieć. Za sobą usłyszeli kroki.

— Czy mogę panom jakoś pomóc? — zapytał stanowczy kobiecy głos.

Odwrócili się. Przed nimi stała atrakcyjna umundurowana policjantka w wieku około dwudziestu pięciu lat. Miała jakieś sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i bardzo proporcjonalną figurę. Chyba znalazłaby się w kłopotach, gdyby Bolt i Mo okazali się parą rzezimieszków i nie chcieli być posłuszni. Zaraz potem zbliżył się do nich policjant, nieco starszy mężczyzna. Przyszedł z domu po drugiej stronie ulicy, najwyraźniej obserwowali stamtąd dom Meronów.

Bolt uśmiechnął się do policjantki najpiękniej, jak potrafił, a następnie pokazał jej legitymację. Mo zrobił to samo. Przedstawili się, po czym spytali ją o nazwisko.

— Konstabl Nicki Leverett — odparła, przyglądając się uważnie legitymacjom detektywów.

Upewniła się, że fotografie przedstawiają mężczyzn, których miała przed sobą. Bolt pomyślał, że gdyby tylko wszyscy byli równie sumienni, przestępczość w kraju spadłaby o dwadzieścia procent.

— A to — dodała, wskazując tego drugiego — mój kolega, konstabl Phil Coombs. Phil, ci panowie są z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną. Szukają Meronów.

Coombs zdawkowo skinął głową i mruknął coś na powitanie. Wyglądał na faceta, który ma kompleks niższości, a także jest lekko zadurzony w koleżance.

— Chcemy z nimi porozmawiać w związku ze śledztwem w sprawie morderstwa — wyjaśnił Bolt.

Konstabl Leverett pokiwała głową.

— A tak, chodzi o tę dziewczynę na uniwersytecie — powiedziała. — Nie wiedziałam, że wasz wydział tym się zajmuje.

Bolt wzdrygnął się, zaskoczony tą nagłą informacją.

— Nie — odrzekł. — Nic o tym nie wiem.

— Dzisiaj na uniwersytecie zamordowano kobietę — wyjaśniła Leverett. — Tom Meron został aresztowany w związku z tym wydarzeniem, a jego żony wciąż nie znaleziono. Podobno pracowała ze zmarłą. Przesłali nas tutaj, żebyśmy obserwowali dom, na wypadek gdyby wróciła.

— Czy wiadomo, jak nazywała się zamordowana kobieta? Policjantka podała mu nazwisko, którego jednak nie znał.

— Od jak dawna tu jesteście? — zapytał Mo

— Od wpół do szóstej, ale przed wami nie było tu nikogo.

— W sumie to jesteśmy tu dzisiaj już drugi raz — dodał konstabl Coombs. — Jakiś czas temu byliśmy w sprawie włamania. Ktoś zadzwonił anonimowo na policję i powiedział, że włamywacz wciąż jest w środku. Kiedy przyjechaliśmy, wspięliśmy się przez furtkę i zajrzeliśmy do środka, ale okazało się, że to fałszywy alarm. Dotarliśmy w ciągu piętnastu minut, nigdzie nie znaleźliśmy śladów włamania, a wszystkie drzwi i okna były zamknięte.

— Nikt w okolicy nie zauważył niczego podejrzanego?

Coombs pokręcił głową.

— Przeszliśmy się po sąsiadach, ale nikt nic nie widział.

Bolt i Mo wymienili spojrzenia. Nie wiadomo, co znaczyły te wszystkie wydarzenia ani jaki miały związek ze śmiercią prezesa Sądu Najwyższego, ale istniał jeden element, który je wszystkie łączył: Meronowie. Co prawda kobieta zaginęła, ale mężczyzna wciąż przebywał w areszcie. Koniecznie musieli z nim porozmawiać.

Nicki Leverett podała im numer komisariatu, gdzie znajdował się teraz Tom Meron. Mo odszedł parę kroków na bok i zadzwonił do tamtejszego wydziału kryminalnego, żeby jeszcze go przetrzymali.

Wrócił w niecałą minutę później. Coombs właśnie opowiadał Boltowi o tym, jak bardzo pragnie przejść do wydziału specjalnego i polować na terrorystów. Mo wciąż trzymał przy uchu telefon, szedł szybkim krokiem i miał bardzo ponurą minę.

— Złe wieści, szefie — powiedział. — Właśnie przed chwilą go wypuścili.

13

Kiedy stało się oczywiste, że nic więcej nie powiem, policjanci niechętnie zakończyli przesłuchanie. Zostawili mnie na dziesięć minut sam na sam z Douglasem McFee, który obiecał, że zrobi wszystko co w jego mocy, żebym został zwolniony ze względu na oczywisty brak dowodów łączących mnie ze śmiercią Vanessy. Chyba nawet rzeczywiście miał taki zamiar — choć nie wątpiłem, że jedna z głównych przyczyn tkwiła w tym, że wtedy mógłby wreszcie iść do domu. Później wrócili detektywi. Zaprowadzili mnie do aresztu, gdzie czekała na mnie pusta cela na końcu korytarza.

— Będzie miał pan teraz trochę czasu na przemyślenia — powiedział Caplin, przytrzymując metalowe drzwi. Na jego zmęczonej twarzy wciąż malowało się współczucie. — Niech pan go dobrze wykorzysta. Proszę się zastanowić, czy aby na pewno nie ma nam pan nic więcej do powiedzenia. Bo jeśli coś pan ukrywa, to będzie dla pana dużo lepiej, jeśli usłyszymy to od pana, niż jeśli sami będziemy musieli się tego dowiedzieć. Rozumie mnie pan?

— Powiedziałem wam wszystko, co wiem — odparłem i odwróciłem się.

Drzwi do celi się zatrzasnęły. Usłyszałem zgrzyt klucza w zamku.

Znajdowałem się w niewielkim pomieszczeniu o wymiarach trzy na trzy metry. Wysoko w ponurej szarej ścianie

umieszczone było zakratowane okno. Z sufitu świeciła pojedyncza świetlówka. Położyłem się na łóżku. Materac przykryty był żółtym, plastikowym prześcieradłem, które nieprzyjemnie chrzęściło pod moim ciężarem. Wiedziałem, że Kathy nie miała nic wspólnego z tym morderstwem, choćby dlatego że przecież zaatakował mnie mężczyzna, który musiał zabić Vanessę. Był dużo wyższy i silniejszy od mojej żony. Zresztą tak czy inaczej nigdy bym nie uwierzył, że Kathy potrafiłaby coś takiego zrobić. To zbyt dobry człowiek. Przecież ona co miesiąc dawała datki na szpital dziecięcy przy Great Ormond Street. Kupowała The Big Issue od bezdomnych. Płakała, kiedy w telewizji pokazywali ofiary głodu. A ponieważ żyła polityką, organizowała akcje krytykujące korupcję w sferach rządowych oraz podwójne standardy moralne w świecie zachodu, które prowadzą do takich sytuacji. Nie była mordercą — mógłbym za to ręczyć głową. Ale to nie wyjaśniało obecności jej odcisków palców na narzędziu zbrodni. Ani tego, gdzie się podziała i dlaczego od czterech godzin nie odbierała telefonu.

Nagle olśniło mnie, że mógłbym bardzo łatwo się dowiedzieć, czy Jack rzeczywiście nie żyje. Wystarczyło, żebym zamienił dwa słowa z Caplinem i Sullivanem. Na pewno mogliby się tego dowiedzieć. Ale jeśli został zamordowany i wyszedłby na jaw fakt, że do mnie dzwonił, wówczas mógłbym sobie narobić jeszcze większych kłopotów. Lepiej było się nie wychylać, trzymać buzię na kłódkę i liczyć na to, że mnie wypuszczą. Wtedy mógłbym spróbować dowiedzieć się, co tu się w ogóle dzieje, jak również dlaczego na miejscu zbrodni znaleziono rękawiczki, których nie nosiłem od dobrych dwóch lat. Tego też za żadne skarby nie potrafiłem wyjaśnić.

Kiedy mi pokazali te rękawiczki, skłamałem — powiedziałem, że nigdy wcześniej ich nie widziałem. Teraz, leżąc na pryczy, zastanawiałem się, skąd u diabła one się tam wzięły. Rozmyślałem również o tym, czy naprawdę znam Kathy.

Zawsze wydawało mi się, że tak, ale po tym wszystkim nie byłem tego już taki pewien. Może prowadziła tajemne życie. Może Vanessa przekonała ją do homoseksualizmu i miały romans. Kathy faktycznie pracowała do późna i nie było jej w domu prawie tak długo jak mnie, więc nie brakowałoby jej okazji. Ale to tak czy inaczej nie wyjaśniało, dlaczego w bibliotece czekał na mnie facet w kominiarce ani dlaczego Jack zadzwonił do mnie po raz pierwszy od wielu lat i przed końcem połączenia został zamordowany.

Z tego punktu widzenia wszystko wydawało się tak dziwaczne, że aż śmieszne — ale piekące rany na twarzy i ramieniu natychmiast przypomniały mi o powadze sytuacji. Dzisiaj ktoś próbował mnie zabić. Jakby tego było mało, dwie znane mi osoby zginęły okropną śmiercią w dwóch różnych miejscach i wyglądało na to, że ktoś próbował zrobić mnie, Kathy albo nas oboje w przynajmniej jedno z tych morderstw.

Dotarło do mnie, że dotąd właściwie nie ceniłem życia, ponieważ aż do tej chwili wszystko świetnie się układało. Miałem dwójkę pięknych, zdrowych dzieci, atrakcyjną żonę o złotym sercu, ładny dom oraz dobrze płatną pracę, w której zbytnio się nie przemęczałem. Mimo to trudno mi było sobie przypomnieć, kiedy ostatnio po przebudzeniu pomyślałem, że jestem naprawdę szczęśliwy. Wciąż towarzyszyło mi przekonanie, że życie mogłoby być odrobinę lepsze. Mógłbym więcej zarabiać, mieć więcej wolnego czasu, mógłbym być szczuplejszy, przystojniejszy. Nigdy mi nawet nie przyszło do głowy, że mogło być też dużo gorzej. Teraz — kiedy leżałem w więziennej celi, nie wiedziałem, gdzie podziewa się moja żona, do mojego domu ktoś się włamał, a ja sam zostałem oskarżony o morderstwo, którego nie popełniłem — wreszcie nauczyłem się doceniać życie. Trochę za późno.

Słyszając zgrzyt klucza w zaniku, usiadłem tak gwałtownie, że aż mi się zrobiło ciemno przed oczami. Wzrok wrócił w porę,

bym zobaczył, że w drzwiach stoi Douglas McFee z wymiętą aktówką w dłoni i szerokim uśmiechem na ustach.

— Mam dobre wieści — oznajmił radośnie.

— Znalazł pan Kathy? — spytałem.

Zanim odprowadzono mnie do celi, prosiłem, żeby jeszcze raz spróbował zadzwonić do mojej żony. Obiecał to zrobić.

Podszedł bliżej i zatrzymał się o krok od pryczy. Uśmiech zniknął mu z twarzy.

— Niestety nie. Ale moja wiadomość i tak na pewno pana ucieszy. Policjanci poszli po rozum do głowy i postanowili pana wypuścić. Być może będą jeszcze chcieli zadać panu jakieś pytania, więc proszą, żeby nie opuszczał pan swojego domu. Ma pan ich również poinformować, gdyby skontaktowała się z panem żona. Wiem, że to brzmi surowo, ale tak będzie najlepiej. Jeśli jest niewinna, a jestem tego pewien, to powinna zgłosić się na policję i oczyścić z zarzutów.

— Która godzina? — zapytałem.

Nie miałem zamiaru zapewniać go ponownie o niewinności Kathy. Widziałem, że sknera nawet do niej nie zadzwonił.

McFee spojrział na zegarek.

— Za pięć ósma — powiedział.

Dokąd teraz miałem iść? Kathy podziewała się Bóg wie gdzie, dzieci były u teściowej, a dom praktycznie nie wchodził w grę. Nie miałem do wyboru wielu miejsc. Czułem, że muszę iść na drinka. Albo na parę drinków. W chwilach kryzysu nic tak nie pomaga jak alkohol.

Podniosłem się i wyszedłem z celi w ślad za Douglasem McFee. Kilkoma korytarzami dotarliśmy do głównej sali komisariatu. Było to niewielkie, ponure pomieszczenie, którego ściany wyklejono plakatami przestrzegającymi potencjalnych przestępców przed rzekomo srogimi konsekwencjami ich występków. W jednej ze ścian znajdowały się kuloodporne okna

z pleksi, za którymi policjanci zajmowali się zatrzymanymi. Sierżant, który przyjmował mnie trzy godziny wcześniej, rejestrował właśnie dwóch nastolatków o szczerzych twarzach, ubranych w uniformy młodocianych przestępców — wielkie adidas, workowate spodnie i bluzy z kapturem. Na ich aroganckich twarzach malowało się znużenie. Kiedy mnie tutaj przyprawiono, bałem się; oni na pewno nie.

Po drugiej stronie pojawił się młody gliniarz. Zaprowadził mnie do jednego z okienek, gdzie następnie zostałem wyrejestrowany. Gdzieś w tle zadzwonił telefon. Nikt się nie pofatygował, żeby go odebrać.

— Dziękujemy za pomoc — powiedział policjant, podając mi do podpisania pokwitowanie odbioru moich rzeczy.

Brzmiał tak radośnie, jakby zaraz miał dodać: „Zawsze będzie pan u nas miłym gościem”, ale jakoś się powstrzymał.

Odburknąłem coś pod nosem, po czym zapytałem, czy ktoś mógłby mnie podwieźć na uczelnię, gdzie zostawiłem samochód.

— Obawiam się, że nie, brakuje nam dzisiaj ludzi. Ale jeśli pan chce, mogę wezwać taksówkę.

Sprawdzało się stare powiedzenie, że jak potrzeba gliniarza, to nigdzie go nie ma.

— Nie trzeba — odrzekłem. — Zresztą przyda mi się spacer. Zgarnąłem rzeczy, włączyłem komórkę i wyszedłem przez dwuskrzydłowe drzwi komisariatu, a za mną Douglas McFee. Zatrzymaliśmy się na schodkach. Prawnik podał mi wizytówkę i poprosił o telefon, gdyby policja znów chciała mnie przesłuchać.

— Podwiózłbym pana, ale...

— Ale co?

— Niestety spieszę się do domu. Graham przygotował na obiad coś wyjątkowego: morlesza obtaczanego w soli

kamiennej. Takie danie trzeba jeść na świeżo, a uniwersytet nie jest mi po drodze. Niech pan na siebie uważa.

Po tych słowach protekcyjnalnie klepnął mnie w ramię i zbiegł po schodach. Jeszcze nigdy nie czułem się tak osamotniony.

Ja także zszedłem po schodkach, przeciąłem parking i skierowałem się w stronę bramy. Wyobrażałem sobie, jak McFee wraz z Grahamem w przytulnym mieszkanku zajada się wielkimi porcjami soczystej ryby. Z niepojętej przyczyny widziałem go w chodakach i znoszonej bonzurce.

Pomyślałem, że poza drinkiem kupię sobie jeszcze paczkę papierosów, pierwszą od prawie dziesięciu lat. Przerazenie i dezorientowanie ustępowały i zaczynało mi być wszystko jedno. Jednak kiedy dotarłem do bramy, usłyszałem, że ktoś mnie woła. Odwróciłem się. McFee stał przy swoim aucie z kluczykami w dłoni i machał do mnie, żebym się zatrzymał. Nie sądzę, żeby nagle zmienił zdanie i chciał mnie podwieźć. Chodziło raczej o to, że w moim kierunku po schodkach biegło dwóch policjantów w mundurach. Wyglądało na to, że bardzo chcą ze mną porozmawiać.

W pierwszej chwili przyszło mi na myśl, że znaleźli Kathy. Już miałem do nich podejść, kiedy wpadło mi do głowy coś innego: a jeśli ten, kto próbował zrobić mnie albo moją żonę, podrzucił kolejne obciążające dowody? Gliniarze mieliby wreszcie okazję zrobić to, co usiłowali osiągnąć przez ostatnie trzy godziny — oskarżyć mnie o morderstwo, z którym nie miałem nic wspólnego.

Między mną i policjantami było dwadzieścia metrów. Podjąłem szybką decyzję.

W nogi.

Odwróciłem się i puściłem pędem przez otwartą bramę.

Wypadłem na główną ulicę, gdzie właśnie zaczynali zbierać się wieczorni imprezowicze. Zmierzch ustępował ciemności i

było mi to bardzo na rękę. Nie oglądałem się za siebie, ale i tak wiedziałem, że mnie gonią. Grupka dwudziestolatków stłoczonych pod pubem wydała radosny okrzyk, gdy obok nich przebiegłem. Ludzie usuwali mi się z drogi. Skręciłem gwałtownie i wtargnąłem na jezdnię. Jakiś samochód ostro zahamował, ale tym razem dzięki Bogu mnie nie uderzył. Biegłem dalej, na drugą stronę ulicy, w boczną alejkę, potem w następną, znajdowałem się teraz na eleganckim osiedlu z szeregową zabudową georgiańskich domów o pobielanych ścianach. Bolały mnie płuca, bolały mnie rany, bolało mnie właściwie wszystko. Naprawdę zły dzień.

Po przebiegnięciu dwustu, może trzystu metrów wreszcie zwolniłem i obejrzałem się za siebie. Ulica była pusta. Przystanąłem. Dysząc z wycieńczenia, oparłem się o murek czyjegoś ogródka. Przez okno domu widziałem jadalnię. W środku dwie pary w średnim wieku spożywały kolację. Jeden z mężczyzn nalewał do kieliszków czerwone wino. Z czegoś się śmiał — pozostałe osoby również. Kompletna beztroska. Stałem ledwie pięć metrów od nich, a oni nawet nie spojrzeli w moim kierunku.

I właśnie dlatego, że byłem zajęty użalaniem się nad sobą, dopiero w ostatniej chwili usłyszałem, że ulicą nadjeżdża samochód i zatrzymuje się tuż obok. Przeszło mi przez myśl, żeby znów rzucić się do ucieczki, ale wiedziałem, że i tak mnie dogonią, choćbym nawet zachował jeszcze odrobinę sił. Jak na jeden dzień za dużo się już nabiegałem, a im najwyraźniej nagle zaczęło niezwykle zależeć na powtórzeniu przesłuchania.

Wobec tego odwróciłem się i miałem zamiar oznajmić, że nic więcej im nie powiem, póki nie dostanę lepszego prawnika niż Douglas McFee. Ale oczywiście nie dane mi było tego powiedzieć. Niewyraźna postać w czapce z daszkiem szła wprost na mnie, zasłaniała całe pole widzenia i zanim zdążyłem zareagować albo nawet spojrzeć na twarz mężczyzny, on

wymierzył mi jeden mocny cios w brzuch. Zwinąłem się z bólu, a on złapał mnie za koszulę i wepchnął na tylne siedzenie wozu, po czym zatrzaskał drzwi. Za kierownicą siedział drugi mężczyzna, także w czapce z daszkiem. Bez słowa ruszył przed siebie.

Spróbowałem podnieść wzrok na faceta obok mnie. Był w rękawiczkach. W dłoni trzymał czarny pistolet z krótką lufą. Przycisnął mi ją mocno do skroni, tak że głową uderzyłem o szybę. Przez sekundę myślałem, że strzeli. Zrobiło mi się niedobrze. Wtedy się odezwał.

— Kiedy cofnę broń, pochylisz się, wsadzisz głowę między nogi i tak zostaniesz — powiedział spokojnym tonem. — Jeśli spróbujesz popatrzeć na mnie albo mojego kolegę, będziesz martwy, zanim skończy się wieczór. Rozumiesz?

Potwierdziłem, że rozumiem.

— Dobrze.

Cofnął pistolet, a ja zrobiłem dokładnie to, co kazał, odruchowo zamykając przy tym oczy. W chwilę później poczułem, że głowę i tułów przykrywa mi kocem.

— Jeżeli powiesz nam wszystko, co chcemy usłyszeć, za parę godzin będziesz wolny.

Chyba miał zamiar mnie tym pocieszyć, ale ponieważ nie miałem bladego pojęcia, czego oni mogą chcieć — zupełnie mu się to nie udało.

14

Na wieść o tym, że policja wypuściła Merona na wolność, Bolt zaklął.

— Podobno był oskarżony o morderstwo.

Mo wrzucił ramionami.

— Mówią, że brakowało dowodów — odparł.

— Kiedy go wypuścili?

Mo powtórzył pytanie do telefonu.

— Dosłownie przed chwilą. Może parę minut temu — odrzekł po chwili.

— Niech go spróbują znaleźć i jeszcze raz aresztować. Koniecznie musimy z nim porozmawiać.

Mo spokojnym tonem przekazał polecenia Bolta, a następnie poczekał, aż policjant po drugiej stronie je wykona. Kilka sekund później tym razem on zaklął.

— Jesteście pewni? Możecie wobec tego kogoś za nim wysłać? Jasne, wiem, że macie kłopoty kadrowe. Wszyscy je mamy. — Wykrzywił się i jednoznacznym gestem pokazał Boltowi, co myśli o swoim rozmówcy. — Gdybyście mogli coś zrobić... Jasne, jasne... Dzięki.

Zakończył rozmowę i schował telefon do kieszeni spodni.

— Nie ma go?

Mo westchnął.

— Nie ma — potwierdził. — Poszli za nim, ale zaczęli uciekać. Teraz mówią, że mają na służbie za mało ludzi, żeby go

szukać.

Wciąż stali na podjeździe do domu państwa Meron w towarzystwie konstabli Coombsa i Leverett. Bolt odwrócił się do nich.

— Gdyby Meron się tu pojawił, możecie do nas zadzwonić? — spytał, podając wizytówkę z numerem swojej komórki. — Macie może jego zdjęcie?

— Państwo w domu po drugiej stronie ulicy coś mają — powiedziała Leverett.

— Dobrze, może uda się od nich jakieś wyciągnąć.

Po drugiej stronie ulicy mieszkało małżeństwo Hendersonów z dwójką małych chłopców, którzy teraz szaleli jak dzikie bestie, stanowczo odmawiając pójścia do łóżek. Martin i Suzette Henderson opisali Meronów jako całkowicie zwyczajną, sympatyczną parę. Powiedzieli, że nie wyobrażają sobie, by Tom albo Kathy mogli być zamieszani w jakieś przestępstwo. Martin znalazł fotografię Meronów zrobioną w zeszłym roku na grillu z okazji urodzin ich młodszego synka.

Zdjęcie zdawało się potwierdzać to, co powiedzieli Hendersonowie. Meronowie wyglądali na parę zwykłych, dość fotogenicznych trzydziestokilkulatków. Stali przed żółtopomarańczowym zamkiem z trampoliną i uśmiechali się do obiektywu. Tom obejmował Kathy, w drugiej ręce trzymał puszkę fostersa, a ona — kieliszek czerwonego wina. Nie wyglądali na ludzi, którzy mogliby mieć coś wspólnego z morderstwem, ale to wcale nie znaczyło, że rzeczywiście nie mieli. Bolt wciąż pamiętał, że jako młody konstabl zetknął się z uroczą, siwiutką, siedemdziesięciodwuletnią staruszką, która co niedzielę chodziła do kościoła, a okolicznym dzieciom — które wołały na nią „Babunia” — zawsze rozdawała cukierki. Zaproponowała nawet Boltowi filiżankę herbaty, kiedy zjawił się w jej mieszkaniu wraz z kolegami, żeby ją aresztować. Wbiła mężowi w czaszkę tasak do mięsa, cudem go nie

zabijając. Jak się okazało, starsza pani miała niezwykle popęd seksualny, a małżonek odmawiał zaspokajania jej potrzeb. Sprawy wymknęły się spod kontroli i staruszka się wściekła — podczas przesłuchań tłumaczyła się napięciem nerwowym wywołanym brakiem orgazmów. Różni są ludzie — pomyślał Bolt.

Gdy wychodzili, Martin Henderson poszedł za nimi.

— Jest pewna sprawa — zaczął nieśmiało, kiedy się zatrzymali, żeby posłuchać, co ma im do powiedzenia. — Ale nie chcę tego wyolbrzymiać, bo może to w ogóle nie ma żadnego znaczenia, a ja nie chciałbym nikogo narażać na kłopoty.

— Proszę mówić — rzekł Bolt.

Henderson westchnął.

— Chodzi o to, że Tom i Kathy zachowywali się ostatnio trochę dziwnie. Tom wyjeżdżał nocą i wracał nad ranem, Kathy też była w domu rzadziej niż zawsze. — Zrobił chwilę przerwy. — No i się kłócili. Głośno, ostro, nigdy wcześniej tak nie było. Raz widziałem nawet Toma z podbitym okiem.

— Jak długo to trwało?

— Jakiś czas. Będzie już kilka miesięcy — odparł Henderson. Miał powiedzieć coś jeszcze, ale usłyszał, że z poddasza schodzi żona, której wreszcie udało się położyć dzieci spać. — Tak jak mówię, nie chcę nikogo narażać na kłopoty, ale...

Nie dopowiedział myśli. Pożegnał się i wrócił do środka.

Przy samochodzie Bolt spojrział na zegarek. Dwadzieścia po ósmej. Na zachodzie zbierały się gęste, ciemne chmury. Gdzieś z oddali dobiegł cichy pomruk burzy.

15

Jechaliśmy płataniną bocznych dróg. Wiem to tylko dlatego, że samochód nie przekraczał pięćdziesiątki i często skręcał. Bałem się drgnąć, więc cały czas pozostawałem w tej samej niewygodnej pozycji. Kiedy odważyłem się odezwać i spytałem, dokąd mnie wiozą i gdzie jest moja żona, mężczyzna, który siedział obok mnie, kazał mi się zamknąć.

— Porozmawiamy później — padła złowieszcza obietnica.

W ustach i w gardle czułem suchość nie do wytrzymania. Od trzeciej po południu wypilem tylko szklanekę wody podczas przesłuchania. Przez ten czas, w ciągu pięciu ostatnich godzin, zostałem zaatakowany nożem, potrącony przez samochód, oskarżony o morderstwo, ścigany przez policję, a teraz w dodatku porwany. Miałem prawo być spragniony.

Jakieś pół godziny później samochód zwolnił i wreszcie stanął. Co dziwne, w zasadzie nawet się tak bardzo nie bałem. Ci ludzie przynajmniej nie próbowali mnie zabić, a to znaczyło, że chcą ze mną rozmawiać. Dzięki temu miałem szansę przedstawić swoją wersję całego zajścia i przekonać ich, że nie mam z tym wszystkim nic wspólnego. Jeśli tylko nie zobaczą ich twarzy, wszystko powinno być w porządku. Przynajmniej teoretycznie.

Kierowca zgasił silnik, który gwałtownie zamilkł. Słyszałem ruch, potem któryś z mężczyzn sięgnął ze mnie koc i powiedział, że mogę podnieść wzrok. Usiadłem. Gdy moje oczy

przyzwyczyły się do mroku, zobaczyłem, że obaj mają na twarzach czarne kominiarki. Ten, który siedział obok mnie, wciąż trzymał pistolet, tym razem wycelowany w mój brzuch. Na zewnątrz zapadła już ciemność i zaczął padać deszcz.

Wysiedli. Mężczyzna z bronią pokazał gestem, żebym zrobił to samo. Odrzuciłem koc na bok i wygramoliłem się z auta. Deszcz padał mi na twarz, przynosząc upragnione orzeźwienie. Znajdowaliśmy się na niewielkiej przestrzeni parkingowej otoczonej murem. Mogła pomieścić może trzy samochody. Przylegała do dwupiętrowego, pozbawionego okien budynku przemysłowego o brudnych ścianach. Do jedyne go potencjalnego wejścia — zniszczonych drzwi ze stali — prowadziły metalowe schody. Nie wiadomo skąd dochodził nikły zapach jedzenia smażonego na zjełczałym tłuszczu. Wzdłuż ściany dostrzegłem rządęk przepelnionych koszy na śmieci.

Kierowca ruszył po schodach, a mężczyzna z bronią dźgnął mnie lufą w plecy, dając znak, żebym szedł za nim. Nie dyskutowałem. Kierowca wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi i wszedł do środka, po czym włączył światło. Szedłem pomiędzy nimi, prowadzili mnie teraz wąskim korytarzem. Zapach smażonych potraw był tu silniejszy. Po prawej stronie znajdowały się drzwi, przed którymi stał czarny foliowy worek na śmieci, pełen papieru i pustych pojemników po jedzeniu. Kolejne drzwi, oznaczone jako męska toaleta, miały u dołu kilka dziur, zupełnie jakby ktoś próbował je wykopać od środka. W całym budynku panowała absolutna cisza. Jeśli nie liczyć zapachu, sprawiał on wrażenie opuszczonego i dawno nieużytkowanego.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami na końcu korytarza. Kierowca zaczął szukać właściwego klucza, a kiedy go znalazł i włożył do zamka, wreszcie odważyłem się odezwać.

— Ja nic nie wiem — powiedziałem. — Przysięgam, nie wiem, dlaczego wszyscy mnie gonią.

Mężczyzna otworzył drzwi — z wnętrza buchnęło ciepłe, cuchnące powietrze. Potem odwrócił się i jednym błyskawicznym ruchem złapał mnie za ramię, zaś drugą ręką wymierzył mi dwa mocne ciosy w twarz. Jeszcze nic tego dnia aż tak mnie nie zabolalo — pewnie dlatego, że zupełnie się tego nie spodziewałem. Zatoczyłem się, ale mężczyzna przytrzymał mnie mocno, żebym się nie przewrócił, po czym wepchnął do ciemnego, dusznego pomieszczenia.

Grzmotnąłem łopatką o zimną betonową posadzkę, przeturlałem się parę razy i wreszcie zatrzymałem na plecach. W górze zapaliły się jarzeniówki. Wtedy zobaczyłem, że znajduję się w dużym, mniej więcej czterdziestometrowym pomieszczeniu bez okien. Wzdłuż ścian ustawione były stare regały sięgające sufitu. Większość pusta, ale na jednym stało parę pięciolitrowych pojemników oleju roślinnego oraz kilka worków ryżu. Jeden z nich był pęknięty, a zawartość wałała się po zabrudzonej podłodze.

Kierowca wszedł zdecydowanym krokiem, a za nim nieco wolniej mężczyzna z bronią. Kiedy próbowałem się podnieść, kierowca kopnął mnie w twarz. Upadłem na plecy. Z nosa popłynęła mi krew, a przed oczami na kilka sekund pociemniało. Nie opierałem się — natychmiast zwinąłem się w kłębek, a on znów mnie kopnął. Trafił w ręce, którymi osłaniałem twarz. Najgorsze było to, że wszystko działo się w kompletnej ciszy. Nawet nie uważali za stosowne się odzywać. Chcieli mnie zmiękczyć, złamać mój opór, a ja wiedziałem, że nie mam co błagać o litość. Skuliłem się jeszcze bardziej, zacisnąłem oczy i przyjmowałem kolejne kopniaki.

Potem bez ostrzeżenia mężczyzna postawił mnie w pionie i pociągnął w kierunku solidnego drewnianego krzesła, przyśrubowanego do podłogi. Miało wysokie, proste oparcie, a do nóg i poręczy przymocowane były żelazne kajdany. Zacząłem się szamotać, ale precyzyjny cios w nerki, wyprowadzony z taką

łatwością, że niemal od niechcienia, wybił mi z głowy sprzeciw. Kiedy kierowca usadził mnie na krześle, nie byłem w stanie się opierać. Dłonią w rękawiczce złapał mnie za twarz i przycisnął głowę do oparcia. Drugą ręką bez słowa zamknął kajdany na moich nadgarstkach. Zatrzasnęły się z głośnym pstryknięciem.

Puścił mnie, zrobił krok w tył, po czym spoliczkował wierzchem dłoni, trafiając prosto w świeże szwy. Krew z ponownie otwartych ran chlapnęła na posadzkę.

— Gdzie to, kurwa, jest?

— Gdzie co jest? — spytałem zdziwiony.

— Nie zgrywaj, kurwa, niewiniątka. Dobrze wiesz, o czym mówię.

— Nie wiem. Naprawdę. Nie mam pojęcia, czego wy się chcecie dowiedzieć.

Kierowca odwrócił się do mężczyzny z bronią, który stał beczynnie kilka kroków dalej.

— Rozpierzdol mu kolano — powiedział i usunął się z drogi.

Tamten zbliżył się i wycelował w moją rzepekę. Byłem zupełnie bezradny. Zacząłem się rzucać jak opętany. Cały się trząsałem z panicznego, wszechogarniającego strachu. Lufa była coraz bliżej, zatrzymała się zaledwie trzydzieści centymetrów od mojej nogi. Słyszałem oddech mężczyzny. W jego szarych, pustych oczach nie było cienia współczucia. Odwróciłem głowę, żeby w nie nie patrzeć.

— Masz ostatnią szansę, żeby powiedzieć, gdzie to jest — stwierdził kierowca. — Inaczej mój kolega pociągnie za spust.

— To prawda — potwierdził spokojnym głosem mężczyzna z bronią. — I serce mnie od tego nie zaboli. Wiesz o tym, prawda?

— Litości, błagam. To pomyłka.

— Policzę do pięciu — powiedział kierowca. — Raz. Dwa.

Co można powiedzieć w takiej sytuacji? Obcy ludzie grożą, że zrobią z ciebie kalekę na całe życie. Potem cię pewnie zabiją i ukryją zwłoki. Nigdy więcej nie zobaczysz żony i dzieci. Jesteś głodny, chce ci się pić. Cierpisz z bólu, a przede wszystkim jesteś kompletnie zdezorientowany. Bo oni chcą się dowiedzieć, gdzie się coś znajduje, a ty nie masz bladego pojęcia, co to może być.

— Trzy. Cztery.

Wierciłem się, szamotałem, szarpałem kajdany, usiłowałem uchylić się od lufy pistoletu najdalej, jak mogłem, i z zaciśniętymi powiekami czekałem na uderzenie kuli, która miała przynieść koszmarny ból i uczynić mnie kaleką do końca moich dni, o ile kolejne dni miały jeszcze w ogóle nadejść.

— Pięć.

— Nie, kurwa, błagam! — krzyknąłem. Mój głos rozniósł się echem w pustym pomieszczeniu. — Nie róbcie tego!

— Będziesz gadał? — zapytał spokojnie kierowca.

Spojrzałem na niego błagalnie. Czułem, jak krew spływa mi po twarzy.

— Jak mi tylko powiecie, co ja według was wiem, to na pewno wam pomogę — wydyszałem.

Kierowca pokręcił głową.

— Robisz sobie z nas jaja.

Następnie zwrócił się do towarzysza:

— Strzelaj.

Palec męczyzny naprężył się na spuście. Tym razem spojrzałem mu w oczy. Kręciłem głową, bez słów błagałem go, żeby tego nie robił. Nie odwrócił wzroku. A jednak... Czyżby się wahał? Czyżbym dostrzegł niepewność?

Zadzwoniła komórka. Inny dzwonek niż ten, który słyszałem na uniwersytecie. Ten odgrywał „Suspicious Minds” Elvisa Presleya. Podejrzane umysły. Bardzo trafne.

Kierowca wyjął telefon z kieszeni kurtki. Odebrał, jednocześnie dając znak drugiemu mężczyźnie, żeby poczekał. Odwrócił się i chociaż nie słyszałem, co mówi, jego głos był pełen szacunku. Najwyraźniej rozmawiał ze zwierzchnikiem.

Mężczyzna z bronią zrobił kilka kroków wstecz, opuścił pistolet i odwrócił wzrok. Słyszałem łomot własnego serca. Koszmarnie chciało mi się pić, tak bardzo, że prawie nie mogłem mówić. To trudno wytłumaczyć, ale nawet strach nie był równie silny. W tamtej chwili dałbym wszystko — naprawdę wszystko — za szklanekę wody.

Kierowca skończył rozmawiać i schował telefon do kieszeni.

— Dzwonił Lench — poinformował towarzysza. Gdy wypowiadał to nazwisko, w jego głosie brzmiał niepokój. — Jest pięć minut stąd. Kazał nam go zostawić, aż przyjedzie.

Potem podszedł do mnie. Zamachnął się, żeby mnie uderzyć, a ja aż się skrzywiłem. Zatrzymał dłoń centymetry od mojej twarzy i napawał się moją reakcją. Poklepał mnie po policzku, po czym nachylił się tak blisko, że czułem jego gorący, nieświeży oddech. Uśmiechnął się, ukazując rząd nierównych, pożółkłych zębów.

— No to teraz zaczniesz gadać, kolego. Jak Lench przyjedzie, będziesz gadał, będziesz krzyczał i będziesz skamlał o litość jak pies. Bo on z każdego wyciągnie, co trzeba. Będziesz wołał sprzedać swoje dzieci pedofilom niż mu się opierać.

— Nie mogę wam nic powiedzieć — odparłem zrezygowany — skoro nic nie wiem.

Ale mówiąc to, dobrze wiedziałem, że moje słowa nie mają żadnego znaczenia. Byłem pewien, że będą mnie torturować tak długo, aż wydobędą ze mnie informacje albo aż nic już ze mnie nie zostanie. Rzecz w tym, że w grę wchodziło tylko to drugie.

16

Wszyscy znali go jako Lencha, co bardzo mu odpowiadało. Nikt nic nie wiedział o jego przeszłości i nikt o nią nie pytał. Ludzie bali się go, a on karmił się tym strachem, delectował zyskiwaną dzięki niemu władzą. Był świadom, że jest drapieżnikiem w świecie, w którym roi się od zwierzyny.

Taką reakcję wywoływała nie tylko jego postura — chociaż ona także była istotna. Ze swoimi ponad stu dziewięćdziesięcioma centymetrami wzrostu i napeężnionymi mięśniami, przerośniętymi od obsesyjnego podnoszenia ciężarów, dominował nad większością rozmówców. Krągłe bary i potężne ramiona z nabrzmiałymi żyłami nadawały mu prymitywny wygląd i upodabniały nieco do goryla. Jednak takie wrażenie mijało, gdy popatrzyło mu się w oczy. Spojrzenie Lencha świadczyło o inteligencji. Było przenikliwe i okrutne. Kiedy utkwiał w kimś wzrok, to jakby zaglądał wprost w duszę, odkrywając i pochłaniając każdą tajemnicę. „Oczy węża” — tak ktoś kiedyś powiedział o Lenchu. Coś w tym było. Były bardzo wąskie, bardzo ciemne, a powieki przypominały kaptur kobry.

Lench oblizwał usta. Czubek długiego, mięsistego języka przesunął się pod nosem, zostawiając mokry ślad. Jadąc ciemnymi ulicami, nie dostrzegał ludzi w innych samochodach ani przechodniów na chodnikach. Dla niego nie istnieli. Kiedy spoglądał w ich kierunku, widział tylko nieostre plamy w deszczu, oświetlane mdłym blaskiem latami. Realnych kształtów nabierali wyłącznie ci, na których polował. Tylko oni

byli dla niego ludźmi z krwi i kości. A tego wieczoru właśnie wyruszył na polowanie.

Przez trzydzieści osiem lat, które spędził na tym świecie, Lench zabijał już wielokrotnie. Tortura i morderstwo były dla niego rozrywką, źródłem przyjemności. Wiedział, że pod tym względem różni się od większości ludzi, ale rzadko kiedy rozmyślał nad źródłem swych dziwnych, ponurych zapędów. Nie widział sensu. Był, jaki był, i nic tego nie mogło zmienić. Uważał się natomiast za szczęściarza, ponieważ za swoje zbrodnie otrzymywał sowite wynagrodzenie, a zatem wykonywał zawód, który naprawdę kochał. Jego pracodawca — jedyny człowiek, wobec którego Lench czuł się dłużnikiem — ufał mu przede wszystkim dlatego, że mógł na nim polegać. Był kreatywny, a co najważniejsze nie popełniał błędów. Jeśli ktoś musiał zginąć, pracodawca zwracał się właśnie do Lencha. Wystarczyło, że wydał niezbędne polecenia — i na tym kończyło się jego zaangażowanie. Lench sam wszystko organizował i dbał o to, żeby robota została wykonana, niezależnie od tego, czy pracował sam, czy z grupą podwładnych. Bardzo lubił przedłużać cierpienie ofiar — czerpał przyjemność z widoku umierających ludzi. Wiedział jednak, że nie zawsze jest to możliwe. Jego zdaniem, żeby być efektywnym zabójcą, trzeba jak najpełniej wykorzystywać nadarzające się okazje.

Tuż przed nim z chodnika zjechał stary ford escort. Kierowca nie włączył nawet kierunkowskazu i Lench zmuszony był gwałtownie zahamować. Z otwartych okien tamtego samochodu dochodził głęboki, basowy łomot gównianego hip-hopu. Na tylnym siedzeniu kilka zakapturzonych postaci przekazywało sobie skręta. Dupki — pomyślał Lench. Przez chwilę wyobraził sobie, jak podrzyna gardło kierowcy i wiesza go za nogi, żeby się wykrwawił. Ale tak naprawdę gnojek nie był tego wart. Lench nigdy nie podejmował bezsensownego ryzyka. Jak wielu psychopatów, w gruncie rzeczy był

pragmatykiem. Raz w życiu trafił już za kratki i nie miał zamiaru tam wracać.

Poza tym tego wieczoru miał ważniejsze rzeczy na głowie. Jego pracodawca miał poważny problem, z którym trzeba było rozprawić się raz na zawsze. Sprawy zaczęły się komplikować. Musieli przedwcześnie zabić Calleya, i to na otwartej przestrzeni, a teraz kolejny cel, facet o nazwisku Meron, prawie im się wymknął. Na coś takiego nie można pozwolić — w każdym razie nie przed uzyskaniem informacji.

Skończył rozmawiać z Mantanim, jednym z ludzi pilnujących Merona. Kazał mu nie ruszać więźnia, po czym się rozłączył. Mantani był podwładnym, na którym można polegać, jednak podobnie jak Lench, on też uwielbiał zadawać ból i czasem potrafił się zagalopować. Tymczasem Meron był im potrzebny żywy i przytomny — jeśli coś ukrywał, koniecznie trzeba to było z niego wyciągnąć. Bagażnik lexusa Lencha pełen był przeróżnych narzędzi, które miały to zapewnić. Był wśród nich sterowany pilotem pas z paralizatorem, emitujący ośmiosekundowy ładunek elektryczny o napięciu 50 tysięcy wolt. Był paralizator w formie pałki, którą wciskano w odbyt przesłuchiwanego, a następnie wyzwalało ładunek o nieco mniejszym napięciu. Był też komplet wiertel dentystycznych oraz jego ulubione narzędzia: zestaw sześciu zabójczo ostrych skalpeli do nacinania niebywale wrażliwych nerwów pod oczami i za uszami.

Lench był ekspertem w dziedzinie tortur i miał ogromne doświadczenie. Nigdy się nie zdarzyło, żeby ktoś opierał mu się dłużej niż kilka minut. Mógł to być powód do dumy. Nikt mu również przypadkowo nie zmarł podczas przesłuchania, chociaż czasem ofiarę dobijało się na koniec, kiedy przestawała już być przydatna. Taki właśnie los Lench przewidział dziś dla Merona.

Padał rzęsisty deszcz. Lench skręcił z głównej drogi i wjechał w uliczkę, przy której przetrzymywany był więzień.

Zegarek wskazywał godzinę 20.40. Dotrze na miejsce za trzy minuty. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za godzinę będzie już po wszystkim.

— Jeśli coś ukrywasz, radzę ci to teraz powiedzieć — odezwał się do mnie mężczyzna z bronią tonem człowieka, który chce mi przemówić do rozsądku.

Bolała mnie głowa, mówienie stanowiło duży wysiłek, ale po raz setny zapewniłem go, że niczego nie ukrywam.

Powoli kiwnął głową.

— Dobrze. Wierzę ci.

— Jeśli coś ukrywa, dostanie, na co zasłużył — stwierdził kierowca. — Przy Lenchu będzie skamlał o litość jak pies.

Ta perspektywa najwyraźniej go cieszyła. Zastanawiałem się, co ten sukinsyn do mnie ma.

Kiedy tak siedziałem przykuty do krzesła, przypominałem sobie, co moja matka powtarzała pod nosem, ilekroć w telewizji pokazywali wydarzenie, w którym zło zdawało się triumfować nad dobrem. Nikt nie jest bardziej nieszczęśliwy niż ten, kto nie dba o drugiego człowieka. Było w tym sporo prawdy. Prawie współczułem tej kanalii. Jego życie było tak puste, że największą przyjemność czerpał z bicia i zastraszania człowieka, którego nigdy wcześniej nie spotkał. Prawie — ale nie do końca. Chciałem powiedzieć coś butnego, żeby pokazać, że się nie boję. Problem w tym, że się bałem. Śmiertelnie.

— Ej, Mantani, pozwól na słowo — powiedział mężczyzna z bronią.

Twarz kierowcy, choć zasłonięta kominiarką, wykrzywiła się z gniewu, który wrzał w nim chyba cały czas.

— Pojebało cię? Czego do mnie mówisz po nazwisku?

— Co za różnica. On i tak już stąd nie wyjdzie. Widać, że nic nie wie, ale za dużo zobaczył i usłyszał, żeby Lench go wypuścił. — Pokazał dłonią drzwi. — Chodź, to ważna sprawa.

Mantani pokręcił głową i mruknął coś pod nosem, ale ruszył w jego stronę.

— Lepiej, żeby to, kurwa, było coś dobrego — powiedział.

— O to się nie martw — odparł ten drugi.

Odwrócił pistolet i grzmotnął Mantaniego kolbą w tył czaszki. Huk rozniósł się po cichym pomieszczeniu, a Mantani opadł na kolana. Ten z bronią płynnie, z gracją tancerza, wyprowadził kopnięcie karate wycelowane prosto w nerki. Mantani zaskowyczał z bólu, po czym runął na bok i zwinął się w kłębek, podobnie jak ja przed zaledwie kilkoma minutami. Facet z bronią przyglądał mu się uważnie przez kilka sekund, po czym kopnął go w tył głowy z taką siłą, że bezwładne ciało potoczyło się po brudnej podłodze. W końcu Mantani przestał się ruszać. Jego towarzysz schował broń i pochylił się nad nim. Zaczął mu przeszukiwać kieszenie, aż znalazł pęk kluczy. Wtedy gwałtownie się podniósł i ruszył w moją stronę.

Gdy nadchodził, wyprostowałem się na krześle i wcisnąłem w oparcie, jakbym próbował się od niego odsunąć. To był groźny człowiek. Nawet ktoś taki jak ja, nieprzywykły do przemocy, musiał być pod wrażeniem szybkości i precyzji, z jaką obezwładnił Mantaniego. Facet, który potrafił zrobić coś takiego, był zdolny do wielu rzeczy. Samych nieprzyjemnych.

Jednak prędko się okazało, że nie ma zamiaru mnie skrzywdzić. Przynajmniej na razie.

— Nie ruszaj się, to cię uwolnię — powiedział. Wybrał właściwy klucz i otworzył obręcz, która unieruchamiała moją prawą rękę. — Mamy mało czasu, Lench zaraz tu będzie.

— Masz wodę? Błagam, daj mi trochę wody.

— Jest w samochodzie. Na razie przestań się wiercić.

— Kim jest Lench? — wydusiłem z siebie.

— Kimś, kogo naprawdę nie chcesz poznać — odrzekł, uwalniając mój lewy nadgarstek.

Zaraz potem przeszedł do obręczy na nogach i wkrótce pomógł mi się podnieść.

Chybotąłem się niepewnie, ale on nie dał mi czasu na dojscie do siebie. Pchnął mnie w stronę drzwi.

— Jeśli Lench nas tutaj zastanie, zabije nas obu — wyjaśnił w pośpiechu.

Zaskoczył mnie niepokój w jego głosie.

Mantani głośno jęczał. Gdybym miał więcej siły, przechodząc, kopnąłbym sukinsyna, ale w tej chwili zbyt dużo wysiłku kosztowało mnie utrzymanie się na nogach. Zresztą mój wybawca zrobił już wystarczająco dużo.

Korytarzem ruszyliśmy w pośpiechu w stronę drzwi, przez które wcześniej weszliśmy. Mężczyzna z bronią popychał mnie, nie puszczając mojego ramienia. Na dworze padał rzęsisty deszcz, a ja łączywie chwytalem w usta spadające krople. Metalowe schody były mokre. Zbiegając, poślizgnąłem się, upadłem na tyłek i zjechałem trzy stopnie w dół, zupełnie jak Max dla zabawy na schodach w domu. Mężczyzna poderwał mnie za kołnierz i pchnął do przodu.

Wyłączył autoalarm w czarnym terenowym nissanie, którym tutaj przyjechaliśmy, po czym przystanął i zaczął nasłuchiwać. Obaj to słyszeliśmy. Drogą w naszym kierunku nadjeżdżał samochód. Jeden. I był niedaleko.

Lench.

— Szybko, do środka — rozkazał mężczyzna.

Sam pędem rzucił się w stronę drzwi kierowcy.

Nie trzeba mi było tego powtarzać. Skoczyłem do samochodu, modląc się, żeby z tą wodą to była prawda. Kiedy wsiadałem, mężczyzna wrzucił wsteczny bieg i wóz gwałtownie ruszył z parkingu. Złapałem się za deskę rozdzielczą, wciągnąłem do środka i zatrzasnąłem drzwi na sekundę przed tym, jak zderzyły się z murem otaczającym posesję. Zaraz potem zawracaliśmy pośrodku długiej, słabo oświetlonej ulicy otoczonej magazynami, warsztatami samochodowymi oraz pustymi betonowymi sylwetami przysadzistych budynków, które wyglądały złowrogo zza ogrodzeń zwieńczonych drutem kolczastym i obwieszonych tablicami WSTĘP WZBRONIONY.

Jakieś pięćdziesiąt metrów za nami błysnęła samotna para reflektorów. Zbliżała się bardzo szybko. Mój towarzysz zaklął. Wrzucił jedynekę i z głośnym piskiem opon ruszył ulicą.

Na pierwszym skrzyżowaniu gwałtownie skręcił w lewo, już myślałem, że się nie wyrobimy. Tyłem samochodu zarzuciło, prawym tylnym kołem uderzyliśmy w krawężnik, aż podskoczyłem. Mężczyzna natychmiast wrzucił dwójkę, opanował samochód i wcisnął gaz do dechy. W tej samej chwili za nami zniecka pojawił się tamten drugi wóz. Jego reflektory na chwilę mnie oślepiły. Dzielilo nas dziesięć metrów.

Nasz nissan wyrwał do przodu, wciąż przyspieszając. Wskazówka obrotomierza doszła do czterech tysięcy i przesuwiała się dalej, silnik wył żałośnie i ucichł nieco dopiero wtedy, gdy kierowca wrzucił trójkę. Tamten samochód wciąż nas gonił, był coraz bliżej. Kiedy od tylnego zderzaka dzieliły go już tylko centymetry, łuna jego reflektorów przestała oświetlać kabinę.

— On nas staranuje! — krzyknąłem.

Przed nami był ostry zakręt w lewo. Trzydzieści metrów, dwadzieścia... Wskazówka obrotomierza znów zaczęła się piąć do góry, silnik jęczał jak dusza potępiona, ale mężczyzna nie zdejmował nogi z gazu. Pomyślałem, że jeśli nawet tamto auto

nas nie staranuje, to i tak wyrzniemy prosto w betonowy mur, który wyrósł przed nami jak spod ziemi. Zacisnąłem zęby i schowałem głowę w ramionach, modląc się, żeby nissan miał poduszki powietrzne.

Nagle poleciałem przed siebie. Nie zatrzymał mnie pas i uderzyłem torsem w deskę rozdzielczą. Kierowca mocno wdepnął hamulec, na mokrej nawierzchni auto z piskiem opon wpadło w ostry poślizg, tak że mężczyzna był zmuszony gwałtownie kontrować, abyśmy nie wykręcili piruetu. Gdy zdążyłem się wyprostować, usiłując nie zważać na nieznośny ból mostka, z ogłuszającym trzaskiem zgniatanego metalu i tłuczonego szkła wpadł na nas tamten samochód. Znów rzuciło mnie do przodu i tym razem wyrznięłem głowę w przednią szybę niczym rozjuszony pijak. Kiedy z powrotem opadłem na fotel i otworzyłem oczy, widziałem przed sobą tylko ścianę. Pięć metrów, cztery, trzy, dwa... Poślizg obrócił naszego nissana bokiem i tak właśnie mieliśmy uderzyć w mur. Naprężyłem się w oczekiwaniu na nieuniknione.

I wtedy nagle się zatrzymaliśmy, zaledwie trzydzieści centymetrów od muru. Na całej ulicy zapanowała grobowa cisza. Drugi samochód stał nieruchomo dziesięć metrów dalej, także przestawiony bokiem. Po chwili otworzyły się drzwi kierowcy i pojawiła się w nich ogromna postać ubranego na czarno mężczyzny. W ciemności nie widziałem go zbyt dobrze, ale szczerze mówiąc, nawet się nie przyglądałem. Za bardzo byłem skupiony na pistolecie, który trzymał w ręku, wycelowanym prosto we mnie.

Chciałem coś powiedzieć, ale ledwie otworzyłem usta, gdy znów gwałtownie ruszyliśmy przed siebie, weszliśmy w zakręt, przyspieszając i odjeżdżając poza zasięg strzału, zupełnie jak w jakiejś grze komputerowej. Kierowca przerzuczał biegi, aż doszedł do czwórki. Wskazówka prędkościomierza szybko przekroczyła osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Kiedy

wyszliśmy na prostą, obróciłem się w fotelu i zobaczyłem, że nikt nas nie goni. Już miałem odetchnąć z ulgą, ale w tym momencie kierowca znów gwałtownie zahamował, skręcił w prawo w zakręt, którego jeszcze przed sekundą tam nie było, dojechał do skrzyżowania z szerszą drogą i znowu skręcił w prawo. Za nami nie było żadnego samochodu, ale my dalej pędziliśmy. Z prędkością ponad dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę przecięliśmy na czerwonym świetle kolejne skrzyżowanie, po czym wreszcie zwolniliśmy. Z radością przyjąłem fakt, że włączyliśmy się w wieczorny sznur samochodów na drodze, którą z grubsza rozpoznawałem.

— No nieźle, panie Schumacher — wysapałem. — Więc gdzie ta cholerna woda?

— W schowku. Nie masz zamiaru mi podziękować, że ci uratowałem tyłek?

Nie odezwałem się, dopóki nie opróżniłem butelki Evian, w trzech czwartych pełnej.

— Dzięki — powiedziałem w końcu.

Dopiero wtedy zadałem mu pytanie, które zaczynało mnie naprawdę nurtować:

— Kim ty, do cholery, jesteś?

Zwolniliśmy przed kolejnymi światłami, a on obrócił się do mnie i przyjrzał chłodno spod kominiarki.

— Policjantem — odparł.

Przez kilka długich sekund Lench stał w deszczu, patrząc za terenowym nissanem, który dawno zniknął z pola widzenia. Wiedział, że stało się coś bardzo złego. W końcu opuścił broń i wsiadł z powrotem do lexusa. Gdy przekręcił kluczyk w stacyjce, silnik zajęczał, a w środku coś zaczęło terkotać. Lench się wkurzył. Lubił tego lexusa. To był ładny, szybki i wygodny wóz, idealnie dopasowany do jego postury. A teraz będzie zmuszony oddać go do naprawy. Może nawet zezłomować. Ktoś za to słono zapłaci — postanowił. Jednak najpierw musiał się dowiedzieć, co się stało i dlaczego samochód, którego używali jego ludzie, właśnie odjechał z miejsca, gdzie mieli przetrzymywać Toma Merona aż do jego przyjazdu.

Zawrócił i ruszył z powrotem do magazynu, coraz bardziej wkurzony. Samochód brzmiał gówniano, a on sam nie mógł się pogodzić z tym, że w gruncie rzeczy spieszył sprawę.

Zaparkował i wysiadł z wozu. Gdy zobaczył, że drzwi wejściowe do budynku są otwarte, wyciągnął broń — łatwy do ukrycia pistolet Heckler & Koch USP z krótką lufą, naładowany amunicją kalibru .45 o dużej sile. Używał jej tylko w wyjątkowych wypadkach. Ulubioną bronią Lencha był nóż sprężynowy z piętnastocentymetrowym ostrzem, przymocowywany do przedramienia i zwalniany ruchem nadgarstka. Do tej pory posłużył się nim tylko raz — podczas szamotaniny na łodzi gdzieś na Morzu Irlandzkim. Mieli zlecenie zabić pewnego mężczyznę i właśnie usiłovali

przyczepić mu do nóg ciężarki, żeby zatonął jak kłoda, gdy tylko wyrzucą go za burtę. Ale sukinsyn w ostatniej chwili zaskakująco mocno złapał Lencha za gardło. Facet był pyskatym ekologiem z przydatnymi koneksjami w świecie polityki oraz wśród prawników, a na dodatek ładną buźką, która niepotrzebnie zwracała uwagę. Usiłował powstrzymać firmę jednego z pracodawców Lencha przed wybudowaniem hotelu i przystani na dziewiczym wybrzeżu na południe od Dublina, więc trzeba mu było pomóc zniknąć. Był młody i silny, a do tego półprofesjonalnie grał w rugby. Jednak chociaż Lench o tym wiedział, i tak zaskoczyła go agresywność faceta, który przecież musiał wiedzieć, że opór nie ma sensu. W końcu on był sam, a ich czterech, a poza tym nogi częściowo mu już skrępowali. Ale być może niczym hollywoodzki bohater chciał kogoś pociągnąć za sobą.

Tak czy inaczej był skazany na porażkę. Zaciskał uchwyt, odcinając Lenchowi dopływ powietrza, ale ten tylko się uśmiechnął, lewą ręką pogłaskał jego złote loki, po czym nagle gwałtownym ruchem odgiął nadgarstek. Ostrze przeszło przez miękką skórę tuż za uchem i natychmiast przebiło mózg. Facet wytrzeszczył oczy, rozluźnił palce, po czym osunął się na brudny pokład. Głowa oderwała się od noża z dziwnym młaśnięciem. Szkoda, że nie udało się go wrzucić w ciemne głębiny żywca. Zleceniodawca chciał, żeby umierając, ekolog miał świadomość, dlaczego spotyka go ten los — niestety nie było to już możliwe. Ale Lench bardzo się cieszył, że miał przy sobie tak skuteczną broń, i od tej pory nosił ją, kiedy tylko się dało.

Powoli wspiał się po schodach, a kiedy stwierdził, że z wnętrza nie dobiegają żadne odgłosy, wszedł do środka. Drzwi do składziku były otwarte i paliło się tam światło. Ruszył przed siebie, nawet nie próbując ukryć swojej obecności. Był przeszkolony w metodach zastawiania zasadzek oraz

przeszukiwania budynków, więc dokładnie wiedział, czego szukać. W niewielu miejscach można się tu było ukryć i nie przypuszczał, żeby ktoś na niego czyhał.

Przystanął przed drzwiami i zobaczył, że na ziemi leży jeden z jego ludzi, wciąż w kominiarce. Poruszał się, cicho jęcząc. Po przysadzistej sylwetce Lench poznał Mantaniego.

Po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł coś, co przypominało strach — choć tak naprawdę była to raczej mieszanka rozczarowania i niepokoju. Zawiódł jedyne go człowieka, którego obawiał się zawieść.

Potem nadszedł gniew — silny, chociaż chłodny. Twarz mu zeszytniała, zmrużył oczy, ale w pełni nad sobą panował. Wiedział, jak wykorzystać taką energię.

Kopnął drzwi tak mocno, że uderzyły w ścianę, po czym wszedł do środka, rzucił szybkie spojrzenie na prawo i lewo, by się upewnić, że nikt się tam nie zaczął, a następnie ruszył prosto do Mantaniego, który jęczał teraz głośniej i usiłował wstać. Pewnie odgrywał tę scenę, żeby pokazać, jak ciężko został pobity, i w ten sposób uniknąć kary. Musiał wiedzieć, że to nie pomoże, ale ze strachu ludzie gotowi są chwytąć się wszystkiego.

Lench złapał Mantaniego za brodę i poderwał do pionu. Obrócił go w swoją stronę i przytrzymał na wyciągnięcie ręki — tej z nożem sprężynowym. Twarz Mantaniego zasłaniała kominiarka, ale szeroko otwarte brązowe oczy pełne były strachu. I słusznie. Jego szef nie był człowiekiem, którego można bezkarnie zawieść.

— Co się stało? — zapytał Lench dziwnie wysokim głosem, który zupełnie nie pasował do jego postury.

— Daniels — wysapał Mantani. — Sukinsyn zdzielił mnie w łeb pistoletem, jak się odwróciłem... Uciekł z więźniem... Zaraz po naszej rozmowie. Przepraszam...

Gdyby Lench należał do ludzi, którzy ulegają nagłym impulsom, w tej właśnie chwili użyłby noża sprężynowego. Jednak był na to za mądry. To prawda, Mantani popełnił błąd, ale on również — kiedy zatrudniał Danielsa. Facet był stanowczo zbyt inteligentny jak na najemnego zbira i jak się okazało, nie można mu było ufać. Niestety, Lenchowi brakowało ludzi, którym mógł powierzyć zabijanie w jego imieniu. Nie każdy potrafi mordować bez skrupułów i wyrzutów sumienia, a jednocześnie rozumieć polecenia i posłusznie je wykonywać. Tacy ludzie trafiali się rzadko, a Mantani był jednym z nich. Gdyby się go teraz pozbył, wyłącznie by na tym stracił.

— Spieprzyłeś sprawę — powiedział cicho.

Jednocześnie mocniej ścisnął tchawicę podwładnego, aż ten zaczął rozpaczliwie łapać powietrze słabymi, chrypliwymi haustami.

— Szeffie, proszę... Duszę się...

— Dobrze ci płacę, Mantani. Lepiej, niż powinno się płacić byłemu więźniowi bez żadnych perspektyw. W zamian oczekuję niezawodności. Dzisiaj mnie rozczarowałeś. Jeszcze jeden taki błąd, a zabiorę się do ciebie i skończę dopiero, jak będziesz krwawił oczami. Zrozumiano?

Mantani zdołał kiwnąć głową, a wtedy Lench go puścił, pozwalając, żeby opadł ciężko na podłogę. Leżał tam, oparty na jednej ręce, i masował gardło. Lench się odwrócił.

— Idź do mojego samochodu i tam na mnie poczekaj — rozkazał. — Muszę wykonać poufny telefon.

Kiedy Mantani wyszedł z pomieszczenia i jego kroki rozbrzmiały na schodach, Lench wyjął komórkę i zadzwonił do człowieka, z którym wcale nie miał teraz ochoty rozmawiać.

Po blisko minucie ktoś wreszcie odebrał. W tle słychać było gwar, z którego wybijał się kobiecy śmiech. To żona zleceniodawcy, najwyraźniej znów pod wpływem alkoholu. Pracodawca powiedział tylko dwa słowa:

— Znalazłeś to?

— Mamy problem.

— Moment, wyjdę na zewnątrz.

Mężczyzna zamilkł na jakieś pół minuty. Lench usłyszał odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Hałas w tle w końcu ucichł.

— Jak poważny jest ten problem? — spytał w końcu mowodawca.

— Możliwy do rozwiązania. Uciekł nam cel numer jeden.

Lench stosował się do procedury operacyjnej i w rozmowach telefonicznych nie używał nazwisk.

— Na pewno możecie rozwiązać ten problem?

— Zabrał nasz wóz — odparł Lench, nie wspominając o tym, że uciekinierowi pomógł jeden z jego własnych ludzi — ale możemy go śledzić.

— Jak?

— W samochodzie jest zainstalowane urządzenie sygnalizujące. Jeśli nam się poszczęści, może zawiedzie nas prosto do celu numer dwa.

— Poleganie na szczęściu mnie nie interesuje — powiedział zleceniodawca i po raz pierwszy w jego głosie pobrzmiwała przygana.

Zwykle traktował Lencha z wielkim szacunkiem, graniczącym z autentyczną sympatią, jak syna, którego nigdy nie miał. To właśnie dlatego Lench był wobec niego tak lojalny. I dlatego dotknęła go ta uwaga.

— Proszę się nie martwić. Dorwiemy go. Przysięgam.

— I zadbaj o to, żeby zaczął gadać. Musimy jak najprędzej zakończyć tę sprawę.

— Będzie gadał, spokojna głowa — odparł Lench, przyglądając się swej ogromnej dłoni w rękawicze. Wyobrażał

sobie, jak jeden po drugim łamie palce więźniowi. — Najpierw będzie krzyczał, potem zacznie gadać.

19

— Tak na marginesie, to wciąż masz na głowie kominiarkę — odezwałem się do kierowcy.

Jechaliśmy cichą ulicą z szeregową zabudową. W tle majaczyło osiedle domów komunalnych.

— A rzeczywiście — powiedział, po czym jednym szybkim ruchem ściągnął ją i rzucił między siedzenia.

Zobaczyłem ciemnowłosego trzydziestolatka o szczupłej twarzy i ostrych rysach. Wyglądał na sportowca albo na wojskowego.

— No dobra — rzekłem, przyglądając mu się — skoro jesteś policjantem, to dlaczego chciałeś mnie zastrzelić?

— Nie chciałem, blefowałem. Nie pociągnąłbym za spust. Jestem tu po to, żeby cię chronić.

Zanim skręcił w kolejną ulicę, ponownie zerknął we wsteczne lustro. Wciąż się obawiał pościgu.

Spytałem, jak się nazywa.

— Daniels — odparł. — Działalem jako wtyka, pracując dla człowieka, który po ciebie jechał, Lencha. Nie znam jego pełnego nazwiska, ale wiem, że to bezwzględny morderca. Dlatego cię stamtąd wyciągnąłem.

— Tam na ulicy walnąłeś mnie w brzuch — powiedziałem z wyrzutem.

Wciąż pamiętałem, w jaki sposób po raz pierwszy znalazłem się w tym samochodzie.

— To dlatego, że odgrywałem rolę. Podawałem się za faceta z wyrokiem za napaść z bronią, który kiedyś przestrzelił kolano członkowi własnego gangu. Trudno, żebym nagle wymiękał, kiedy się robi nieprzyjemnie.

— Bolało.

— Przepraszam — powiedział, ale zupełnie nie wyglądało, żeby mu było przykro.

Szczerze mówiąc, zachowywał się tak, jakby dzisiejsze zajścia nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Jakby porwania i tortury stanowiły dla niego typowy element wieczoru. W gruncie rzeczy, skoro pracował jako policyjna wtyka w gangu, pewnie właśnie tak było.

Wciąż mu nie ufałem. Może i był gliniarzem, ale równie dobrze mógł kłamać. Tego dnia spotkałem wystarczająco wielu drani, żeby wiedzieć, że nietrudno o kolejnego.

— Długie miesiące przygotowywaliśmy tę operację — powiedział, nie odrywając wzroku od drogi — a teraz już po wszystkim. Moi zwierzchnicy nie będą zadowoleni.

Mówił to takim tonem, jakby to była moja wina.

— Wybacz, jeśli nie będę ci współczuł — odparłem. — Sześć godzin temu miałem normalne życie. A teraz z jakiegoś niewiadomego powodu ludzie, których nigdy wcześniej nie widziałem, usiłują mnie zabić, a do tego zaginęła moja żona.

— Witamy w wielkim, paskudnym świecie, panie Meron.

— Skąd wiesz, jak się nazywam?

Zaśmiał się pogardliwie.

— Ty naprawdę musisz sporo nadrobić.

Bez wątpienia w tym stwierdzeniu było sporo racji. Zastanawiałem się, czy to on mnie oświeci. Tymczasem ponownie skręcił i po lewej stronie drogi ukazało się pustkowie. Zaczynałem czuć się nieswojo

— Dokąd jedziemy? — spytałem.

— No cóż — odparł, wyjmując paczkę marlboro light z kieszeni skórzanej kurtki — przypuszczam, że mówisz prawdę i naprawdę nie masz pojęcia, czego szukamy.

Włożył do ust papierosa i wcisnął samochodową zapalniczkę.

— Mówię prawdę. Mogę jednego?

Podsunał mi paczkę, a ja wyjąłem papierosa.

— A teraz może byłbyś taki uprzejmy i powiedział mi, czego my tak właściwie szukamy?

Zapalniczka pstryknęła. Mężczyzna przypalił swojego papierosa, po czym podał ją mnie. Po raz pierwszy od dziesięciu lat zapaliłem i mocno się zaciągnąłem. Zakręciło mi się w głowie, ale właściwie i tak już mi się kręciło. Powtórzyłem pytanie.

— W tym cały problem — odrzekł. — Ja też nie wiem, co to takiego jest. Mantani też nie. Mieliśmy cię tylko przywieźć do magazynu, żeby Lench mógł cię przesłuchać. Przypuszczam, że on wie.

Pokręciłem głową, kompletnie zdezorientowany. Znowu się zaciągnąłem. Papieros smakował dziwnie.

— To co my teraz zrobimy?

— Teraz — odparł spokojnie — poszukamy twojej żony. Bo jedno ci mogę powiedzieć: nawet jeśli ty nie wiesz, czego szukamy i gdzie to jest, ona wie na pewno.

20

Bolt i Mo dotarli do pubu za pięć dziewiąta. Był to niewielki, staroświecki lokal na rogu jednej z przecznic odchodzących od głównej ulicy dzielnicy Highgate. W dzisiejszych czasach takie miejsca są powoli zamykane. Zastępują je większe, głośniejsze bary z salami jak hangary lotnicze; wchłaniają wszystko dokoła. Wnętrze pubu było wysłużone — wytarty bordowy dywan nosił ślady po petach, a ściany i sufit, niegdyś kremowe, pod wpływem dymu papierosowego dawno stały się własną żółtobrązową parodią. Stoły ustawiono w kształcie litery U wokół centralnie usytuowanego baru z rzędem kranów z piwem. Za ladą stał wiekowy, chudy jak szczapa barman o nawoskowanych wąsach i skórze barwy takiej samej jak ściany. Choć był to sobotni wieczór, w lokalu panował spokój. Paru starszych facetów — którzy najwyraźniej się znali — gadało z barmanem, a jedna trzecia stolików w pubie zajęta była przez pary i grupki osób w podobnym wieku.

Tuż za winkiem, w sporym, rzucającym się w oczy boksie, czekała kobieta, z którą byli umówieni. Skinęła im głową na powitanie. Mężczyźni zamówili napoje — sok pomarańczowy i lemoniadę dla Bolta, który wołałby coś innego, ale uważał, że przynajmniej jeden z gliniarzy nie powinien pić alkoholu, oraz kufel becksza dla Mo, który był oficjalnie po służbie.

Tina Boyd była atrakcyjną kobietą przed trzydziestką, ale wydarzenia kilku ostatnich miesięcy odcisnęły na niej piętno. Ciemne włosy, które na okładce „Przeglądu Policyjnego” miała

zawadiacko ufryzowane, teraz wisiały bezwładnie. Oczy miała zmęczone i podpuchnięte. Nawet kiedy wstała, żeby się przywitać się, była przygarbiona, jakby właśnie wzruszyła ramionami. Widać, że w ostatnim czasie dostała o jeden cios za dużo. Miała na sobie skromną białą bluzkę, granatowy sweter zapinany na guziki oraz džinsy — i ani śladu biżuterii czy makijażu. Jej uśmiechu nie można było co prawda nazwać wymuszonym, ale też nie wyglądał na spontaniczny.

Policjanci przedstawili się i usiedli przy stoliku. Mo wyciągnął papierosy i poczęstował Tinę, widząc na blacie otwartą paczkę.

Kiedy już przypaliła, Bolt pochylił się w jej kierunku i od razu przeszedł do rzeczy:

— Co pani dla nas ma?

Tina wypiła spory łyk wina z na wpół pełnego kieliszka. Bolt dostrzegł jej spękane, poobgryzane paznokcie. Na krawędziach widział mocno zaczerwienioną skórę. Przypomniał sobie idealny manikiur na zdjęciu w „Przeglądzie Policyjnym”.

— Jak daleko zasłiście w sprawie? — spytała równie bezpośrednio. — Wygląda na samobójstwo?

— W tej chwili takie jest oficjalne stanowisko, ale jak już wcześniej mówiłem, dzisiaj byliśmy na miejscu zabójstwa kogoś blisko związanego ze zmarłym, więc mamy powody do podejrzeń.

— I słusznie.

— Znała pani ofiarę? — spytał Mo. — Prezesa Sądu Najwyższego.

Pokręciła głową.

— Nie, ale wiem o nim coś, czego nie wie nikt inny — odparła i zaciągnęła się papierosem. — Zacznę od początku. Słyszeliście o moim byłym przyjacielu, Johnie Gallanie?

Przytaknęli. Mo złożył wyrazy współczucia.

— W zeszłym roku, tuż po Bożym Narodzeniu, John zaczął się zachowywać trochę dziwnie. Nie ulegało wątpliwości, że coś zaprzęta mu myśli. Nasz związek stawał się poważny, więc go o to spytałam, ale powiedział, że wszystko jest w porządku. Kiedy chciał, umiał trzymać język za zębami. Martwiłam się. Nie mieliśmy tajemnic, a w każdym razie tak mi się wydawało, ale mijały tygodnie, a ja byłam coraz bardziej zaniepokojona. Wciąż się dziwnie zachowywał, nie mogłam zrozumieć, o co może chodzić. Posunęłam się nawet do tego, żeby wejść do jego mieszkania pod jego nieobecność i przeszukać mu rzeczy — przyznała z zażenowaniem. — Zwykle nie zachowuję się tak paranoicznie, ale szczerze mówiąc, podejrzewałam, że mnie zdradza.

Westchnęła.

— W każdym razie pewnego wieczoru pod koniec stycznia byliśmy w restauracji. W samym środku kolacji Johnowi zadzwoniła komórka. Przeprosił mnie i wyszedł na zewnątrz, a kiedy wrócił, był zdenerwowany. Miałam dość. Byłam pewna, że chodzi o kobietę, więc zapytałam wprost. Jego reakcja kompletnie mnie zaskoczyła. Bardzo spokojnie, z powagą, opowiedział mi, że kilka tygodni wcześniej otrzymał z anonimowego źródła poufne informacje związane z pewną sprawą kryminalną. Nie mógł o niej mówić aż do otrzymania stosownego pozwolenia. Był w kontakcie z oficerami łącznikowymi z najwyższych szczebli Scotland Yardu, którzy zajmowali się tą sprawą. Dzwonił właśnie jeden z nich. John był taki poruszony, bo powiedziano mu, że śledztwo zostało definitywnie wstrzymane. Zabroniono mu o tym z kimkolwiek rozmawiać, ponieważ groziło to złamaniem tajemnicy służbowej. Oczywiście było mu przykro i przeprosił mnie, że dotąd milczał. To dla niego typowe. Przeprosił mnie, chociaż to ja bezpodstawnie oskarżyłam go o niewierność.

Zaciągnęła się papierosem i wydmuchnęła dym w stronę wiszącego na ścianie obrazka, na którym kilka psów grało w bilard. Kiedy rozgrzebywała swą niedawną przeszłość, jej twarz pełna była żalu. Bolt szczerze jej współczuł. Przez chwilę wydawało mu się, że Tina się rozplacze, ale szybko doszła do siebie — znów nie było po niej widać emocji. Wypiła łyk wina i opowiadała dalej.

— Nawet wtedy nie chciał mi o tym opowiedzieć. Nie dlatego, że bał się konsekwencji prawnych. Takie rzeczy go nie martwiły. Po prostu był tak cholernie uczciwy. Kazali mu milczeć, więc milczał. Oczywiście miał kiepski nastrój, ale po powrocie do domu otworzyliśmy butelkę wina. Kiedy ją opróżniliśmy, był gotów mówić.

Po raz ostatni zaciągnęła się mocno papierosem, po czym zgasiła go w popielniczce.

— To, co usłyszałam... cóż, przyznam, że wtedy nie bardzo chciało mi się w to wierzyć.

Mówiąc to, pierwszy raz spojrzała dwóm mężczyznom prosto w twarz. Oczy miała ciemne, ponure, a malujący się w nich ból był aż nazbyt odczuwalny.

— Czasami żałuję, że w ogóle mi o tym powiedział.

Na kilka chwil przy stoliku zapanowało milczenie. Przy barze ktoś zaśmiał się chrypliwie. Mimo że to zaledwie kilka metrów od nich, dźwięk zdawał się bardzo daleki. Bolt podświadomie czuł, że informacja, którą poznają za chwilę, będzie istotna dla śledztwa, ale niewesoła. Ani on, ani Mo nie popędzali Tiny. Czekali.

— John powiedział mi, że od mężczyzny, którego chyba znał, choć nigdy nie zdradził mi jego tożsamości, otrzymał sporządzone przez niego akta dotyczące kręgu pedofilów, działającego pod koniec lat dziewięćdziesiątych w południowowschodniej Anglii. Należeli do niego ludzie z wysokich sfer establishmentu. Byli odpowiedzialni za

morderstwo małej dziewczynki w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku. Jej zwłoki wrzucili do jeziora w hrabstwie Dorset. Ludzi z tego kręgu łączono także z kilkoma innymi zabójstwami, popełnionymi pod koniec zeszłego roku w Londynie. Usiłowali zatrzeć ślady pierwszej zbrodni. Od pchnięcia nożem zginął wtedy między innymi mój ówczesny partner, nadkomisarz Simon Barron.

To dlatego Tina Boyd dorobiła się przydomku Czarna Wdowa. Jej partnerzy mieli zwyczaj umierać.

— Ale kiedy nadkomisarz Barron zginął, pracowała pani z nim nad sprawą. Nie dowiedziała się pani niczego o tych pedofilach? — zapytał Bolt.

— Nie. Śmierć nadkomisarza Barrona oficjalnie pozostaje niewyjaśniona. Nigdy nie było żadnych dowodów na istnienie grupy odpowiadającej temu opisowi. Ale w aktach Johna znalazły się konkretne nazwiska, a kilka z tych osób w zeszłym roku zginęło w niejasnych okolicznościach. Między innymi wasz samobójca, Tristram Parnham-Jones.

Bolt był w szoku. Zerknął na Mo, który najwyraźniej też był poruszony.

— Czy my mówimy o tym samym Parnham-Jonesie, prezesie Sądu Najwyższego?

Oczywiście wiedział, że tak, ale musiał zapytać, tak bardzo zaskoczyła go ta wiadomość.

— Owszem — powiedziała chłodno, jakby komisarz kwestionował jej inteligencję. — Wasz samobójca. Najwyraźniej był zamieszany w morderstwo dziewczynki z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku.

— Czy przeciwko Parnham-Jonesowi świadczyły jakieś mocne dowody? — spytał Mo.

— Akta wyjawiały tożsamość ofiary i dokładne miejsce ukrycia jej ciała. Dziewczynka o tym nazwisku zaginęła mniej więcej w tym samym czasie, ale oficer ze Scotland Yardu

powiedział Johnowi, że w jeziorze nie znaleziono żadnych zwłok.

Bolt pochylił się w jej kierunku.

— Nie twierdzę, że tak właśnie jest, ale w takim razie możliwe, że te akta są skomplikowaną mistyfikacją, prawda?

— Oczywiście wtedy też tak myślałam. To dość niewiarygodne oskarżenie. Poza tym z tego, co mi powiedział John, jasno wynikało, że Scotland Yard zajął się tą sprawą. Najwyraźniej nawet podjęto pewne działania, jak choćby przeszukanie jeziora, ale postanowiono nie poświęcać dalszych środków na weryfikację zawartości akt. Czyli chyba także uznano to za mistyfikację. Jednak John był przekonany, że to prawda, a zapewniam was, że do głupców nie należał.

— Znam trochę jego przeszłość — odrzekł Bolt — więc nie wątpię, że wiedział, co robi.

Zmusiła się do uśmiechu, ale jej twarz nie stała się przez to ani trochę mniej smutna.

— Wiedział — potwierdziła.

— Czy widziała pani te akta? — zapytał Mo.

Tina zaprzeczyła ruchem głowy.

— Prosiłam, by mi je pokazał, ale nie chciał się zgodzić. Mówił, że nic już nie da się zrobić, więc nie ma sensu, żebym je oglądała. Myślę, że uraziła go decyzja Scotland Yardu. I chyba uważał, że chciano ukryć prawdę, ponieważ Parnham-Jones był tak wysoko postawioną osobą.

Bolt głośno wypuścił powietrze.

— Niewątpliwie był — powiedział. — Czy John próbował prowadzić śledztwo na własną rękę?

— Nie wiem. Na pewno się tym zadręczał i nie potrafił zapomnieć, ale nie wiem, czy zrobił cokolwiek w związku z tą sprawą ani czy w ogóle mógł coś zrobić. Wiem natomiast, że przez to wszystko ucierpiał nasz związek. W lutym

spotykaliśmy się rzadziej niż kiedykolwiek wcześniej. Nie mogłam się pogodzić z myślą, że najważniejszy sędzia w kraju miałby być powiązany z zabójstwem małego dziecka oraz mojego kolegi. Nie chciałam, żeby mój chłopak miał na punkcie tej sprawy obsesję. Jestem realistką, znam swoje ograniczenia. Nie podoba mi się, kiedy zbrodnie uchodzą złoczyńcom na sucho, ale jednocześnie nie lubię oskarżać ludzi na podstawie marnych dowodów. A tu dowody niemal w ogóle nie istniały. — Na moment zamilkła. — Ale kiedy myślę o tym teraz, wiem, że powinnam była coś zrobić.

— Ale cóż pani mogła zrobić? — spytał Bolt, chcąc ją pocieszyć.

Czuł, że ból, który widział na jej twarzy, poruszył go bardziej, niż powinien.

— Nie wiem. Ale w miesiąc po tamtej rozmowie ze Scotland Yardem John już nie żył.

— Popełnił samobójstwo, prawda?

— Owszem, tak orzeczono w śledztwie.

— Ale pani w to nie wierzy?

— John nie miał skłonności samobójczych. Przepadał za swoją nastoletnią córką, nigdy by jej nie zostawił. Był na to zbyt odpowiedzialny. Poza tym to nie ten typ człowieka. I zanim mi powiecie, że bliscy osób, które odebrały sobie życie, zawsze tak mówią, pamiętajcie, że byłam policjantem na tyle długo, żeby znać ten rodzaj ludzi. Poznałabym symptomy.

— Ale powiedziała pani, że się zadrećzał — wtrącił Mo. — Czy możliwe, że... — na chwilę zamilkł, zastanawiając się, jakich użyć słów. Kiedy trzeba, potrafił być dyplomatą. — Że widziała pani oznaki, ale nie doceniła powagi sytuacji?

— Nie zachowywał się jak samobójca. Zachowywał się tak, jakby miał obsesję na punkcie tej konkretnej sprawy i był sfrustrowany, że nic nie może zrobić. Ale nigdy by się przez to nie zabił. Jestem tego absolutnie pewna.

Znów sięgnęła po kieliszek z winem. Bolt dostrzegł, że drży jej ręka. Coś wpadło mu do głowy.

— Jaka była bezpośrednia przyczyna zgonu? — zapytał.

— Przedawkowanie środków nasennych — odparła. — I to kolejny problem: on ich nigdy nie brał.

Mo i Bolt wymienili spojrzenia. Tina to zauważyła; natychmiast zapytała, w jaki sposób zmarł Parnham-Jones.

Bolt westchnął.

— Nieoficjalnie, ale to naprawdę zupełnie nieoficjalnie — Tina kiwnęła głową na znak, że rozumie — to były środki nasenne. Konkretnie fenytoina.

Kobieta wzięła głęboki oddech.

— No właśnie.

— Chce pani powiedzieć, że John też przedawkował fenytoinę?

— Tak — odparła. — Dokładnie to chcę powiedzieć.

Boltowi przyszła do głowy kolejna myśl.

— Czy zostawił list?

Na twarzy Tyny po raz pierwszy pojawiła się wątpliwość.

— Tak. Krótki, na dwie linijki.

— Odręczny czy napisany na komputerze?

— Na komputerze.

— Podpisany?

Kiwnęła głową. List Pamham-Jonesa nie był podpisany. Początkowy entuzjazm Bolta nieco przygasł.

— Czy podpis był podrobiony?

— Nie — powiedziała z ociąganiem. — Widziałam ten list. Podpis wyglądał na autentyczny. Ale sam list był dziwny. Te słowa... — z wysiłkiem zastanawiała się nad właściwym określeniem. — One do niego nie pasowały. Nigdy by nie powiedział: „Wybaczenie, nie mogę dłużej znieść bólu istnienia”. No i napisał by dużo więcej. Wyjaśniłby swoją decyzję i na

pewno wspomniał o Rachel, o córce. Albo napisałby do niej oddzielny list.

Nagle przerwała i wbiła wzrok w policjantów.

— O co chodzi? — zapytała. — Dlaczego tak na mnie patrzycie?

Bolt poczuł, jak entuzjazm powraca ze zdwojoną siłą.

— Czy pamięta pani, jak dokładnie brzmiał list? — spytał tak spokojnie, jak tylko potrafił.

Tina zapaliła kolejnego papierosa. Opuściła wzrok i było widać, że usiłuje się uspokoić.

— Czytałam go wiele razy — powiedziała w końcu — więc owszem, pamiętam jego treść. Jak mówiłam, nie był długi. Brzmiał tak: „Ten list kieruję do wszystkich, którzy są i byli mi bliscy. Wybaczcie, nie mogę dłużej znieść bólu istnienia. Problemy tego świata to czasem zbyt dużo. Kocham was”, po czym następował jego oficjalny podpis. To też do niego nie pasowało, bo zawsze podpisywał się „John”.

Bolt usłyszał, jak Mo głośno wypuszcza powietrze. Sam zrobił to samo. List był identyczny jak ten, który Parnham-Jones wydrukował na firmowym papierze i przed śmiercią położył na stoliku przy łóżku.

Wbiłem wzrok w Daniela, bezskutecznie usiłując zrozumieć, o co mu chodzi. Staliśmy na świątlach. Na dworze padał rześisty deszcz.

— Dlaczego niby miałbym ci pomóc znaleźć moją żonę? — zapytałem stanowczo.

— Dlatego — odparł, obracając się w fotelu i rewanzując równie przenikliwym spojrzeniem — że w tej chwili jestem jedyną osobą, która wierzy, że rzeczywiście nie masz pojęcia, co tu się dzieje. Wszyscy chcą cię dorwać. Przyda ci się każda pomoc, a jak na razie mogę ci ją zaoferować tylko ja.

Westchnąłem, po czym głęboko zaciągnąłem się dymem. Zmieniło się światło i ruszyliśmy ze skrzyżowania. Papieros zaczynał smakować nieco lepiej, ale wciąż nie na tyle, żebym mógł zrozumieć, dlaczego w młodości paliłem po dwadzieścia pięć dziennie. Za oknem przemykały nieznane mi okolice Londynu. Cała podróż zdawała się koszmarnie nierealna.

— Kim jest Lench? — zapytałem. — I dlaczego mu się wydaje, że ktoś taki jak ja może mieć coś, co go interesuje? Na litość boską, ja sprzedaję pieprzone programy komputerowe.

— Lench to cyngiel, zabija na zlecenie. Jest odpowiedzialny za co najmniej cztery zabójstwa i dwa zaginięcia, ale to tylko te przypadki, co do których mamy pewność. W sumie może mieć na koncie około dwudziestu morderstw.

— Jezu. Jak to możliwe, że jeszcze nie siedzi?

Na ustach Daniela pojawił się uśmiešek.

— Masz wzruszającą wiarę w siłę policji.

— Co, a ty może nie? Wspaniale.

Najwyraźniej dziś był dzień, w którym rozwiewały się moje złudzenia.

— My to wszystko wiemy — ciągnął mężczyzna, ignorując mój sarkazm — ale rzecz w tym, że Lench jest ostrożny. Nie zostawia niedokończonych wątków. Często brakuje nawet zwłok. Posługuje się tylko takimi ludźmi, którym całkowicie ufa, a oni sami są już tak głęboko umoczeni, że nigdy w życiu nie będą przeciwko niemu zeznawać. W gruncie rzeczy nawet wciąż nie znamy jego tożsamości. Dlatego żeby zdobyć dowody, potrzebny był ktoś wewnątrz.

— Mówisz, że zabija na zlecenie. Dla kogo pracuje?

— Dla bardzo bogatego biznesmena, zaangażowanego w masę różnych interesów, obecnie w większości legalnych. Nie powiem ci, jak on się nazywa, bo może o nim słyszałeś. Zaczynał jako przemytnik kokainy i heroiny, a potem zamiast jak wielu jemu podobnych przehulać to, co zarobił, zainwestował kasę w nieruchomości i dorobił się niezłej oferty. Z czasem rozszerzył działalność na budownictwo i pokrewne dziedziny. Zamiast kupować budynki sam je stawiał. Odniósł wielki sukces, a to między innymi dlatego, że nie zmienił swoich metod od czasów, kiedy przemycał prochy. Jeżeli napotyka sprzeciw, najpierw próbuje łapówek, a jak to nie pomaga, wzywa Lencha. Ten wraz ze swoimi ludźmi sprawia, że problem znika. Śledzimy tego biznesmena od lat, ale trzyma się bardzo daleko od brudnej roboty. Doszliśmy do wniosku, że jedynym sposobem, by go dorwać, będzie zdobycie dowodów na Lencha, który potem zezna, że za sznurki pociągał właśnie ten facet. A teraz nagle wszystko trafił szlag.

Nic z tego nie wyjaśniało mojej sytuacji.

— I co ci o mnie powiedzieli? Dlaczego nagle stałem się celem?

— Od jakichś sześciu miesięcy pracowałem na obrzeżach jego ekipy. Wykonywałem mało istotne zadania. Raz na jakiś czas zastraszanie dłużników i osób, które próbowały się stawiać, ale nic poważniejszego. W kręgu zaufanych Lencha

jest bardzo niewielu ludzi, może trzech, czterech. W tym Mantani i to dla niego głównie pracowałem. Ostatnio zaczęli mnie dopuszczać bliżej. Parę razy spotkałem Lencha i wyglądało na to, że mnie akceptuje. Mimo to dalej pozostawałem outsiderem. Przynajmniej do dzisiaj rano. Wtedy razem z Mantanim zostaliśmy wezwani do Lencha i nie ulegało wątpliwości, że coś się szykuje. Oznajmił, że mamy nagłą sytuację, i kazał nam czekać przy telefonie na rozkazy. Mieliśmy być osiągalni cały czas, nawet jak pójdziemy się odlać. Zatrzymał Mantaniego i powiedział mu parę rzeczy, których nie chciał powiedzieć mnie. Ale potem Mantani się wygadał, że polecenia pochodziły od zleceniodawcy Lencha, który wpadł w jakieś tarapaty. Musiał coś znaleźć. Nie mam pojęcia co takiego, Mantani też nie, ale wiemy, że ktoś to schował i że za wszelką cenę trzeba to odnaleźć.

— I dlatego chcą mnie dorwać? Myślą, że ja to mam?

— Dostaliśmy rozkazy o szóstej. Mieliśmy cię namierzyć i zawieźć w bezpieczne miejsce, gdzie Lench miał sprawdzić, co wiesz. Więc owszem, wygląda na to, że on i jego szef sądzą, że ty to masz. Mantani chyba sam chciał coś z ciebie wyciągnąć, żeby zdobyć uznanie Lencha.

Przypomniałem sobie, w jaki sposób Mantani mnie przesłuchiwał, ani razu nie nazywając tego, czego szukał. Doszedłem do wniosku, że Daniels może mówić prawdę. Niestety, w ten sposób wysnułem bardzo ponure przypuszczenie. Ja nie wiedziałem, o co chodzi, ale czy mogła to wiedzieć Kathy?

— Mieliśmy bardzo konkretne wskazówki — ciągnął Daniels.
— Zostałeś zidentyfikowany z nazwiska jako facet, którego szukamy. Tom Meron. Mieszkasz przy St. Mary's Close dwa, prawda?

Wolno skinąłem głową.

— Tak, to mój adres.

Pomyślałem o mężczyźnie, którego widziałem w swoim domu, i o tym, jak o godzinie 15.01 zadzwonił mój dawny przyjaciel Jack Calley. Spytałem Daniela, co wie o śmierci Jacka.

— Nic. — Wzruszył ramionami. — Nigdy o gościu nie słyszałem.

— Więc myślisz, że Lench będzie mnie ścigał tak długo, aż mnie dorwie?

— Ciebie i twoją żonę.

— Nie znalazł jej jeszcze, prawda?

— Wątpię. Usłyszelibyśmy o tym. Ale mogę ci powiedzieć co innego: on jej teraz szuka i dlatego my koniecznie musimy ją znaleźć pierwsi.

— A potem?

— Potem umieścimy was pod ochroną policji.

— Policja wciąż mnie ściga pod zarzutem zabójstwa. Dziś po południu na uniwersytecie zamordowano nożem niejaką Vanessę Blake. Pracowała z moją żoną. Nic o tym nie wiesz, prawda?

— Wiem tyle, ile ci powiedziałem. Nic więcej. Rozumiem, że ty nie miałeś z tym nic wspólnego?

— Oczywiście, że nie. Już ci mówiłem, jestem pieprzonym sprzedawcą oprogramowania.

— No to nie masz się czym martwić.

— Policja mnie puściła, ale chyba się rozmyślili, bo jak wychodziłem z komisariatu, zaczęli mnie gonić. Parę minut później wy mnie znaleźliście.

— Tom, gdzie jest twoja żona?

Dreszcz przebiegł mi po krzyżu. Coś było nie tak.

— Skoro nie miałeś pojęcia, że mnie aresztowali, to skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać?

Odpowiedział bez mrugnięcia okiem.

— Zadzwonili do Mantaniego o wpół do siódmej. Namierzyli cię w komisariacie. Mieliśmy czekać w pogotowiu, a potem był kolejny telefon, że cię wypuszczają.

— Jezu, oni mają kogoś w policji?

— Północny Londyn to ulubione miejsce naszego głównego podejrzanego. Stąd pochodzi, na tych ulicach od prawie dwudziestu pięciu lat robi interesy. Przez ten czas zbudował sieć świetnych kontaktów, także w policji. Mówiąc wprost: w tej części miasta nie jesteś bezpieczny. Musimy cię z Kathy przewieźć w bezpieczne miejsce, gdzie nasi ludzie się wami zaopiekują.

— Kim konkretnie są wasi ludzie?

— Wydział do walki z przestępczością zorganizowaną. Konkretnie tajna specjalistyczna jednostka zwana „Strażnikami”. Na stronie wydziału nic o nas nie znajdziesz. Działamy w kompletnej tajemnicy.

— Normalnie James Bond. I przez to mam ci zaufać? Bo pracujesz w zespole, o którego istnieniu nikt nie wie?

Obdarzył mnie przenikliwym spojrzeniem, oznaczającym, że mam go uważnie słuchać.

— Tom, chcesz, żebym cię wypuścił? Żebym tutaj zaparkował i się z tobą pożegnał? O to ci chodzi? Proszę bardzo. Nie ma sprawy, mogę to zrobić, ale pozwól, że powtórzę, bo najwyraźniej kiepsko u ciebie ze słuchem: facet taki jak ty nie przetrwa pięciu minut w starciu z ludźmi, którzy na ciebie polują.

Zatrzymał auto przy krawężniku. Na dworze wciąż padało, może nawet gęściej niż dotąd, a my znajdowaliśmy się na ulicy wśród domów, przy czym tym razem były to nowe, niewysokie bloki mieszkalne o urodzie domków z Lego. Zresztą robiły wrażenie, jakby właśnie klocki Lego stanowiły ich główny budulec. Ulica była całkiem pusta.

— Powiem ci, czego chcę — odparłem stanowczo. — Chcę jakiegoś dowodu, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

Ku mojemu zaskoczeniu się uśmiechnął.

— Przypuszczałem, że będziesz na to nalegał — stwierdził, po czym wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. — Za parę minut wracam. Jeśli chcesz uciec, to teraz masz szansę. Do najbliższej stacji metra idzie się do końca tej ulicy, w lewo, a potem za światłami w prawo. Ale pamiętaj: będziesz sam.

Zniknął w drzwiach najbliższego bloku, które otworzył własnym kluczem. Ja zostałem w ciemnym samochodzie. Wsłuchiwałem się w rytmiczne bębnienie deszczu i świetnie wiedziałem, że Daniels ma rację. Sam nie miałem żadnych szans. Wyglądało na to, że ludzie, którzy mnie ścigali, wielokrotnie dopuszczali się morderstw i nigdy nie zostali zatrzymani. Nie zwrócili nawet uwagi mediów. Trudno było to uwierzyć, ale przecież trudno było uwierzyć w wiele rzeczy, które wydarzyły się tego dnia, co wcale nie znaczyło, że stały się przez to mniej realne. Moi prześladowcy byli bezkarni i dysponowali różnorodnymi środkami, w tym płatnymi zabójcami i wtykami w policji. Co więcej, jak słusznie zauważył Daniels, brakowało mi przyjaciół — i to głównie dlatego nie otworzyłem drzwi i nie odszedłem. Drugą przyczyną był fakt, że w zasadzie nie miałem dokąd pójść. I w pewnym sensie przerażało mnie to jeszcze bardziej niż fakt, że ktoś na mnie polował.

Nagle zdałem sobie sprawę, że odkąd niemal godzinę temu opuściłem komisariat, nie próbowałem się skontaktować z Kathy. Nie podejrzewałem, żeby mi się udało, ale mimo to znów zadzwoniłem na jej komórkę. Natychmiast włączyła się poczta głosowa. Ze złością przerwałem rozmowę. Przez chwilę myślałem, czy nie zadzwonić do teściowej, żeby sprawdzić, co u dzieci, ale uznałem, że to zły pomysł. Nie było sensu jej niepokoić, a maluchom na pewno nic u niej nie groziło. Nikt nie

wiedział, że tam są, i trudno by je było znaleźć, bo Irene nosiła inne nazwisko.

Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, jak Daniels zdecydowanym krokiem zmierza w stronę samochodu, rozmawiając przez komórkę. Patrzył prosto na mnie i w jego ostrych rysach dostrzegalem wyraz triumfu. Nie byłem pewien, czy zdając się na niego, podejmuję właściwą decyzję.

Wsiadł do środka, włączył lampkę w kabinie i zamachał mi przed nosem legitymacją policyjną. Na zdjęciu rzeczywiście był on — patrzył zuchwale prosto w obiektyw, lekko przekrzywiając głowę. Znajdujący się obok napis faktycznie potwierdzał przynależność do wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną. Mężczyzna palcem wskazującym przykrywał znajdujące się poniżej nazwisko i chyba robił to celowo. Nie poprosiłem, żeby odsłonił, natomiast przyjrzałem się uważnie legitymacji i w końcu doszedłem do wniosku, że albo jest prawdziwa, albo to oszałamiająco dobry falsyfikat.

— Zadowolony? — zapytał Daniels, chowając dokument do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki.

Następnie sięgnął po papierosy.

— Wygląda dość autentycznie.

— Bo jest autentyczna.

— Z kim teraz rozmawiałeś?

— Z szefem. Zostawiłem mu wiadomość. A teraz mi coś powiedz: jak myślisz, gdzie jest twoja żona

Chwila prawdy. Przez trzydzieści pięć lat moje życie biegło dość bezproblemowo, aż nagle dzisiaj w jednej chwili wszystko stanęło na głowie. Cała moja przyszłość zależała od tego, co teraz zrobię.

— Jest tylko jedno miejsce, gdzie może teraz być — powiedziałem w końcu. — Jeśli wie, że ma kłopoty, a sądzę, że wie, to znajdziemy ją właśnie tam.

22

Bolt i Mo spędzili z Tiną jeszcze dwadzieścia minut. Nie wspomnieli jej o jednakowych listach pożegnalnych, ale jasne było, że sama się czegoś domyśliła. W zasadzie w ogóle nie powiedzieli jej zbyt wiele — ilekroć pytała, zasłaniali się tajemnicą śledztwa. Ona natomiast wróciła do tego, o czym mówiła wcześniej. Nie dowiedzieli się niczego nowego. W rzeczach Gallana nie znalazła niczego, co potwierdzałoby jego zarzuty.

— Nie mogłam tylko nigdzie znaleźć laptopa — powiedziała. — Pytałam Karen, byłej żony Johna, pytałam Rachel, ale żadna z nich go nie brała.

Bolt spytał, czy jej zdaniem komputer został skradziony. Odparła, że byłoby typowe dla Johna, gdyby przeniósł wszystkie informacje na twardy dysk i zniszczył papierową kopię. Zatem owszem, jeśli faktycznie został zamordowany, to zabójca na pewno ukradł laptop.

— A to oznacza, że ktokolwiek to zrobił, zabrał ze sobą wszystkie dowody — dodała.

Jednak opowieść Tiny wciąż budziła wątpliwości. John Gallan mógł myśleć różne rzeczy, ale wyglądało na to, że nie dysponował żadnymi dowodami, które obciążałyby lorda Parnham-Jonesa. Więc po co ktoś miałby go zabijać i w ten sposób otwierać autentyczną puszkę Pandory? Chyba że posiadał coś jeszcze. Coś rzeczywiście jednoznacznego.

— Czy po domniemanym samobójstwie Johna policja nie zainteresowała się jego śledztwem? — spytał Bolt.

— Oficerowie z miejscowego wydziału śledczego przesłuchali mnie w związku z jego śmiercią i powiedziałam im wszystko, co wiedziałam. Ale szczerze mówiąc, chyba uznali, że oszalałam z tą całą teorią spiskową. Widziałam, jak na mnie patrzyli. Jakbym rzeczywiście była tą czarną wdową, jak o mnie mówią za moimi plecami. Poza tym próbowałam się skontaktować z ludźmi ze Scotland Yardu, z którymi pracował John, ale nie znałam żadnych nazwisk, a każdy, z kim rozmawiałam, twierdził, że o niczym nie wie. A potem przestali oddzwaniać. Stawałam się pośmiewiskiem.

Zapaliła trzeciego już papierosa. Z jej twarzy łatwo było odczytać, jak bardzo się czuła osamotniona.

— Nisko się stoczyłam od czasu okładki „Przeglądu Policyjnego”. Byłam bardzo rozczarowana i dlatego odeszłam z policji. Kiedy w zeszłym miesiącu zakończyło się śledztwo i orzeczono samobójstwo, to był już szczyt wszystkiego. Nawet mnie nie wezwali do przedstawienia dowodów. Ot, banalna sprawa. Tragedia dla wszystkich zainteresowanych.

Ostatnie słowa wypowiedziała sarkastycznym tonem i Bolt zrozumiał, jak bardzo wydarzenia ostatnich miesięcy ją sponiewierały. Autentycznie jej współczuł, bo przecież sam dobrze wiedział, jak to jest, kiedy świat, który się wokół siebie zbudowało, nagle wali się w gruzy. Jakby w jednej chwili odpłynął z człowieka wszelki entuzjizm i wola działania. Znika wtedy cała chęć do życia, do wstawania rano i wykonywania codziennych czynności. Żeby wziąć się w garść, trzeba stoczyć walkę, jakiej nie toczyło się nigdy dotąd. A wszystko ze względu na alternatywę. Alternatywę, o której nie da się myśleć.

Mo chyba wyczuł, że Bolt chce porozmawiać z Tiną w cztery oczy, bo przeprosił ich oboje i udał się do toalety. Kiedy odszedł, Bolt pochylił się w stronę kobiety.

— Dziękuję, że nam pani powiedziała, przez co przeszła — rzeki, kładąc dłoń na jej dłoni. Wypadło to bardziej intymnie, niż zamierzał. — Wiem, co to znaczy kogoś stracić.

Tina opuściła wzrok na ich ręce, a potem spojrzała mu prosto w oczy. Nagle zrobiło mu się trochę głupio i szybko cofnął dłoń.

— Czytałam, co się panu przydarzyło — powiedziała. — Świetnie się pan po tym pozbierał.

Podniosła kieliszek i wypila resztkę wina.

— Wiem, że musi pani być wkurzona tym, jak ją potraktowała policja. Ja to rozumiem.

— To nie tylko to. Chodziło o wszystko razem. O śmierć Simona Barrona, o to, jak w zeszłym roku byłam trzymana pod bronią jako zakładniczka... Sprawy zaszły za daleko i nie mogłam już tego dłużej znieść.

— Co pani teraz robi?

Uśmiechnęła się smutno.

— Niewiele. Wydaję resztkę pieniędzy i rozmyślam, co dalej zrobić z własnym życiem.

— Kiedy mnie się to wszystko przydarzyło, długo rozmyślałem, czy nie odejść. I prawie się zdecydowałem. Chciałem zwiedzać świat, sprawdzić, czy plaże z palmami i piękne widoki pomogą mi zapomnieć. Ale w końcu zostałem. Bo wiedziałem, że i tak pewnego dnia musiałbym wrócić i od nowa zmierzyć się z przeszłością. — W tym momencie Bolt zobaczył powracającego Mo. — Słyszałem, że była pani bardzo dobrym gliną — rzeki, ponownie na nią spoglądając. — Niezależnie od tego, co pani myśli, w policji potrzeba ludzi takich jak pani.

— Zdaje się to samo mówili Simonowi Barronowi, żeby przekonać go do powrotu z emerytury. Kiepsko na tym wyszedł.

Bolt nie czuł się urażony dosadnością jej słów. Spodziewał się tego. Jednak autentycznie wierzył w to, co mówiła.

Począł, aż Mo wróci do stolika, a wtedy podniósł się i wyciągnął dłoń do Tiny.

— Będziemy się już związać. Dzięki za informacje. Chyba nam się przydadzą.

Wstała i podała mu rękę. Dłoń miała suchą, a uścisk stanowczy. Owszem, Tina Boyd była w dołku, ale teraz Bolt widział wyraźnie, że absolutnie nie jest jeszcze przegrana.

— Wiecie, że żaden z nich nie popełnił samobójstwa, prawda? — powiedziała.

— Uważam, że jest to wysoce wątpliwe — odrzekł ostrożnie Bolt.

Spojrzała mu wtedy prosto w oczy. Zaskoczyła go zaciętość, którą dostrzegł w jej twarzy.

— W takim razie dowiedźcie się, kto zabił Johna. Proszę. Zasłużył na to.

— Zrobimy, co tylko będziemy mogli — odparł i odwrócił się.

23

Gdy wyszli na dwór, przez okno zobaczyli, jak Tina idzie zamówić kolejnego drinka. Podstarzali faceci przy barze przesunęli się, by ją przepuścić. Mierzyli ją wzrokiem, co albo ignorowała, albo we wszechobecnym dymie papierosów po prostu tego nie dostrzegła. Bolt zapragnął, żeby poszła do domu i zastanowiła się nad swoim życiem bez pomocy alkoholu. To nie było miejsce dla niej.

— Mocne rzeczy nam opowiedziała, szefie — odezwał się Mo, kiedy cichą ulicą, po mokrym chodniku, szli w kierunku samochodu. — Myślisz, że to wszystko ma związek z tymi aktami?

— Myślę, że o ile nie podejrzewamy Parnham-Jonesa o telepatię, to został zamordowany. A skoro tak, to John Gallan też. Nie da się inaczej wytłumaczyć, że ich listy pożegnalne były identyczne.

— No, zupełnie identyczne nie były, prawda? Parnham-Jones swojego nie podpisał.

— I tak dziwny zbieg okoliczności.

Mo z rezygnacją pokręcił głową.

— Nie chce się wierzyć, że ktoś taki jak prezes Sądu Najwyższego mógłby być zamieszany w podobne gównno.

Człowiek traci całą wiarę w ten system. — Spróbował zapalić papierosa, ale za mocno padało, więc schował paczkę

do kieszeni. — A co z Jackiem Calleyem, tym prawnikiem? Albo z Meronem? Jaką oni w tym wszystkim grają rolę?

— Wiesz, Mo, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia — odrzekł Bolt, kuląc się przed deszczem. Pomyślał o Tinie i jej smutku. — Ale tak czy inaczej zamierzam się tego dowiedzieć.

Tymczasem dotarli do samochodu. Szybko wsiedli, a gdy Mo zapalił silnik, Bolt włączył komórkę i zadzwonił do konstabla Matta Turnera, który wziął domowy komputer Parnham-Jonesa do analizy. Nie odbierał telefonu, więc Bolt nagrał się na pocztę głosową. Polecił przejrzeć wszystkie pliki na komputerze sędziego, sprawdzić, czy znajdowały się tam dokumenty zaszyfrowane albo interesujące z jakiegoś innego powodu, i jak najszybciej oddzwonić.

— Dokąd teraz, szefie?

Wizja powrotu do domu wydawała się bardzo kusząca. Na pewno dobrze by było zrobić sobie przerwę, przeanalizować wszystko, co wydarzyło się tego dnia, poszukać związków między tymi wydarzeniami i zastanowić się nad dalszym tokiem śledztwa. Ta sprawa zdecydowanie wymagała przemyślenia, najlepiej w domowym zaciszu, przy zimnym piwie i tajskim żarciu. Ale Bolt jeszcze na dziś nie skończył.

Powiedział Mo, że musi wykonać ostatni telefon.

24

Domek w New Forest był jednym z tych zakupów, których dokonuje się pod wpływem nagłego impulsu, nie myśląc o konsekwencjach. Zwykle potrafię dobrze zarządzać pieniędzmi, ale i ja, i Kathy daliśmy się ponieść marzeniom. Zresztą wtedy to się wydawało naprawdę dobrym pomysłem.

Jedliśmy obiad z pewnym małżeństwem z naszego osiedla oraz jeszcze jedną parą, której wcześniej nie znaleźliśmy — Warrenem i Midge. W gruncie rzeczy głupie imiona, ale za to mili ludzie. Po wypiciu ogromnej ilości wina i przegadaniu masy czasu o pracy — najnudniejszy temat rozmów ludzi przedmieścia — Midge, właścicielka bujnych kręconych włosów barwy kasztanu, masy hipisowskiej biżuterii, a także niewiarygodnie dużego biustu, która kompletnie nie wyglądała na księżową z City — oznajmiła, że wraz z Warrenem kupują na spółkę letni domek. I to nie byle jaki, ale stu pięćdziesięcioletnią chłopską chatę na terenie leśnego rezerwatu, zaledwie dwie godziny drogi od Londynu i niecałe piętnaście kilometrów od dziewiczych wybrzeży hrabstwa Dorset.

— To prawdziwy skrawek rajy — zawołał Warren, zupełnie jakby cytował prospekt pośrednika nieruchomości (zresztą pewnie właśnie tak było). — Ucieczka od kłopotów współczesnego świata. Nasze dzieciaki oszaleją na punkcie tego miejsca.

Entuzjazm Warrena i Midge był zaraźliwy. Nasze starsze dziecko miało wtedy trzy lata, a drugie roczek, więc

zagraniczne podróże przestały nas kusić, a idea wakacji dwie godziny od domu robiła wrażenie całkiem wygodnego rozwiązania. A poza wszystkim innym wypiliśmy przecież dużo wina. No i proszę bardzo, okazało się, że potrzebują jeszcze jednej rodziny do wykupienia ostatniej ćwiartki udziału. Wystarczyło pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów, i to w samym środku trwającego boomu nieruchomości. Za te pieniądze mieliśmy dysponować domkiem przez jedną czwartą roku, jeden tydzień w miesiącu oraz w Święta i Nowy Rok raz na dwa lata. Warren miał nawet przy sobie prospekty — chatka rzeczywiście wyglądała sielsko. Działka miała prawie dwa tysiące metrów kwadratowych, a część porośnięta była lasem. Najbliższy dom stał dwieście metrów od jej granicy. Cena wydawała się bardzo atrakcyjna — chociaż oczywiście nie dysponowaliśmy takimi pieniędzmi. Zdobycie ich zajęło nam miesiąc — zastawiliśmy część własnej nieruchomości — i w ten sposób staliśmy się dumnymi właścicielami dwudziestu pięciu procent Sandfield Cottage, na spółkę z Warrenem i Midge, bratem Warrena z rodziną oraz koleżanką Midge z banku i jej partnerem.

To było dwa i pół roku temu. Z perspektywy czasu myślę, że wyrzuciliśmy pieniądze w błoto. Miło było tam wpaść, kiedy nadarzała się okazja, ale korzystaliśmy z domku dużo rzadziej, niż pierwotnie przypuszczaliśmy. Przez cały zeszły rok spędziliśmy tam w sumie może tydzień. Podobnie jak na tyle innych rzeczy, również na to brakowało nam czasu — i to chyba dlatego tak późno pomyślałem, że Kathy mogła się tam schować. Teraz jednak wydawało się to prawdopodobne, głównie z tej przyczyny, że nie przychodziło mi do głowy żadne inne miejsce, dokąd mogłaby uciec — oczywiście przy założeniu, że w ogóle uciekła i nie była teraz gdzieś przetrzymywana wbrew własnej woli. Zawsze ceniła fakt, że dom stanowił schronienie, w którym można było odpocząć od

miejskiego wyścigu szczurów. Kiedy pewnego razu potrzebowaliśmy pieniędzy i zaproponowałem sprzedaż naszego udziału, zaoponowała. „Od czasu do czasu potrzebuję zaszyć się na odludziu” — powiedziała. Przepuszczałem, że jeśli teraz wiedziała, iż ma kłopoty, potrzebowała zaszyć się na odludziu bardziej niż kiedykolwiek. Co więcej, właśnie wypadła przypisany nam weekend, więc było jeszcze bardziej prawdopodobne, że ją tam znajdę. Myślałem, czy nie zadzwonić do domku na telefon stacjonarny, ale miałem do Kathy zbyt wiele pytań, a jednocześnie zaczynałem podejrzewać, że gdybym ją poinformował o swoim przyjeździe, mogłaby nie czekać, żeby na nie odpowiedzieć. Poza tym szansa, że ją tam zastanę, dawała mi nadzieję, której nie chciałem rozwiewać.

Na początku podróży zarzucałem Danielsa pytaniami o tę całą tajną operację, chcąc wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji o Lenchu, ale udzielał bardzo ogólnikowych odpowiedzi i nie był skory do rozmowy. Ruch na drodze przy wyjeździe z Londynu był niewielki. Autostradą M4 dotarliśmy do M25, a potem zjechaliśmy na M3 i ruszyliśmy na południowy zachód. Jechaliśmy szybko. Mimo że droga była mokra, a z nocnego nieba wciąż lał deszcz, Daniels prawie nie zwalniał poniżej stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Kiedy byliśmy na M4, poprosiłem go o jeszcze jednego papierosa. Kazał mi się poczęstować. Jechaliśmy, a ja wciąż się częstowałem, aż wreszcie na M3 musiał się zatrzymać na stacji i kupić nową paczkę, a także trochę wody i czekoladę. Zaoferowałem mu dwa funty, przekonany, że ich nie przyjmie. Odparł, że powinienem zapłacić z pięć, po czym wziął pieniądze, nie mówiąc nawet „dziękuję”.

— W życiu daleko się nie zajdzie, jeżeli się nie daje nic od siebie — powiedział, widząc moją reakcję.

Musiałem przyznać, że Daniels był dziwnym typem. Z jednej strony chłodny i opanowany, kiedy już się odzywał, mówił

powoli, spokojnym tonem człowieka panującego nad sytuacją. Lubił przy tym wrzucać tu i ówdzie swoje filozoficzne mądrości w stylu tego *w życiu daleko się nie zajdzie, jeżeli się nie daje nic od siebie*. Chyba uważał się za kogoś w rodzaju mistycznego wojownika z Dalekiego Wschodu, który niesie sprawiedliwość, uzasadnioną przemoc i dobre rady. Jednak czaiło się w nim też swego rodzaju napięcie, jakby znał jakieś tajemnice i toczył w głębi duszy straszliwą walkę, by ukryć je przed światem. Patrzyłem, jak prowadzi samochód — z napiętą twarzą, zaciśniętymi szczękami i jasnymi oczami utkwionymi w drodze. Widać było, że pod jego czaszką wiele się dzieje.

Nie ufałem mu. Był zbyt skomplikowany, a z doświadczenia wiedziałem, że osoby o skomplikowanej osobowości zawsze mają jakieś ukryte motywy.

Kiedy opuściliśmy stację i wróciliśmy na autostradę, zapytałem, dlaczego pozwolił Mantanemu mnie pobić i po co był ten cały teatr z grożeniem mi pistoletem.

— Musiałeś sobie wyobrazić, jaki byłem przerażony — powiedziałem, przelękając kawałek batonika Mars.

— Zastanawiałem się — odrzekł Daniels.

— Miło wiedzieć. Nad czymś konkretnym?

— Wiesz co, Meron? Twój problem polega na tym, że myli ci się sarkazm z humorem. Daj sobie spokój, nie jestem w nastroju. Nie zareagowałem od razu, bo się zastanawiałem, co do cholery mam zrobić i w jaki sposób. Sześć miesięcy zajęło mi wejście w struktury tej organizacji, a i tak wciąż brakowało dowodów, żeby skazać kogokolwiek za cokolwiek. Wiedziałem, że jeśli cię wyciągnę, pół roku pracy pójdzie na marne. Ale byłeś w niebezpieczeństwie, więc się na to zdecydowałem. Okaz przynajmniej trochę wdzięczności. Bo gdyby dopadł cię Lench, w tej chwili już byś był w kawałkach.

Całą tę ognistą mowę wygłosił, ani na chwilę nie odrywając wzroku od szosy.

— Dobrze, dobrze, rozumiem.

— Nie, myślę, że nie rozumiesz. Myślę, że nawet sobie nie wyobrażasz, co to znaczy przez całe życie dzień po dniu odgrywać jakąś rolę, ze świadomością, że jeśli zrobisz jeden błąd i ludzie, których próbujesz rozpracować, zorientują się, to już jest po tobie. Jesteś trupem. I to jest cały problem z wami, cywilami — ciągnął, tym razem zaszczycając mnie spojrzeniem. — Życie sobie przyjemnie na przedmieściach i nie widzicie tego całego gówna: przemocy, zabójstw, dzieciaków na prochach, gotowych zrobić wszystko za kolejną działkę. A wiesz dlaczego? Bo was przed tym chronimy. To my odwalamy całą robotę, my usuwamy problemy, które są tuż obok was i nie widzicie ich tylko dlatego, że nie chce wam się nawet poszukać. My dbamy o to, żeby to wszystko zostało gdzieś pod ziemią i żebyście przypadkiem nie musieli się tym martwić. I w rezultacie nie macie zielonego pojęcia, jacy z was jebani farciarze.

Zaskoczyło mnie, jak bardzo Daniels nagle się ożywił. Wyglądało na to, że w ten sposób uszło z niego ciśnienie, i gdy skończył mówić, wydawał się rozluźniony.

— Moje gratulacje, Meron — dodał. — Dzisiaj zobaczyłeś ten inny świat i od tej chwili będziesz mądrzejszym człowiekiem.

Milczałem. Pewnie miał rację, ale nie uważałem, żeby to stwierdzenie wymagało komentarza. Wyjąłem papierosa z nowej paczki. Dziesięć lat byłem od tego wolny, a już od nowa wpadałem w nałóg. Postanowiłem sobie, że kiedy będzie już po wszystkim — a z jakiejś przyczyny miałem teraz więcej optymizmu, może dlatego, że obok mnie w samochodzie siedział zawzięty skurczybyk, który akurat nie planował mnie zabić — ucałuję Kathy, uściskam dzieciaki, otworzę butelkę wina za dziesięć funtów i przysięgnę, że nigdy więcej nie tknę fajek.

Jednak do tego czasu nie miałem zamiaru zaprzętać sobie głowy drobiazgami w rodzaju perspektywicznego zdrowia. Na razie musiałem zatroszczyć się o najbliższą przyszłość.

25

Czterdzieści minut później skręciliśmy z szosy A31 na zachód od Southampton i wjechaliśmy na teren parku narodowego New Forest. Sandfield Cottage stało w pewnej odległości od drogi, za gęstą ścianą sosen, w cichym lasku nieopodal miejscowości Bolderwood. Do domku docierało się wyboistą dróżką długości może trzydziestu metrów, praktycznie niewidoczną dla kogoś, kto nie wiedział, że ona tam jest. Na moją komendę Daniels zwolnił i w nią skręcił. Między drzewami już z daleka dostrzegłem światło.

W domku ktoś był.

Kiedy dróżka dotarła do trawnika przed wejściem, ujrzeliśmy nowe hyundai coupè Kathy, jej oczko w głowie. Stało przy płocie, który dzielił teren na dwie części. Innych samochodów nie było. Głośno odetchnąłem z ulgą. Daniels zaparkował za hyundaiem.

— To samochód twojej żony, prawda? — spytał.

Skinąłem głową.

— Więc chyba jest bezpieczna — stwierdził i wyłączył silnik.

Spojrzałem w kierunku domu. Światło paliło się tylko w sypialni na górze. Na dole panował kompletny mrok, a zasłony były rozsunięte. Wyglądało na to, że Kathy nas nie usłyszała. Lekko ścisnęło mnie w gardle.

— Mogę pójść pierwszy? Nie chcę jej wystraszyć.

— Jasne — skinął głową.

Wysiadłem i zacząłem szukać po kieszeniach kluczy. Potem szybkim krokiem ruszyłem do drzwi. Moje buty chrzęściły na żwirze. Wciąż lało i nie miałem ochoty moknąć dłużej niż to absolutnie konieczne.

Przez ogromne okno w wykuszu zajrzałem do pokoju dziennego. Był pusty, ale poduszki na kanapie nie leżały na swoich miejscach, zaś na stoliku stała filiżanka po kawie oraz pusta szklanka.

Kiedy dotarłem do drzwi frontowych, pochyliłem się i zerknąłem przez szparę na listy. W środku panowała kompletna cisza, rozpraszana wyłącznie przez szum deszczu. Chciałem zawołać Kathy, ale coś mnie powstrzymało. Włożyłem klucz do zamka i delikatnie go przekręciłem. Mechanizm szczęknął i drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Prześlizgnąłem się przez szparę i wszedłem do przedsionka. Na podłodze po lewej stronie stał równy rząd turystycznego obuwia. Butów mojej żony nie było. Na wieszaku nie znalazłem także jej kurtki.

Ale na podjeździe stał jej samochód, więc i ona musiała tu być. Gdzieś w tym domu.

Wszedłem głębiej. Po mojej prawej ręce otwierała się przestrzeń pokoju dziennego. Dalej, na wprost, znajdowały się drzwi prowadzące do nowego aneksu kuchenno-jadalnego w formie parterowej przybudówki, dostawionego przez poprzednich właścicieli. Schody na lewo od drzwi wiodły do dwóch sypialni na pierwszym piętrze. Podszedłem do nich powoli, nasłuchując jakichkolwiek oznak czyjejś obecności.

— Kathy?

W ciszy starego domu o niskich, drewnianych stropach oraz podłodze, która trzeszczała przy każdym kroku, szept zabrzmiał nienaturalnie głośno.

Krzyk dobiegł z lewej strony — wysoki, przerażający pisk. Wraz z nim zza poręczy schodów ktoś wyskoczył. W dłoni trzymał nóż, który groźnie błyszczał w ciemności.

Uniosłem ręce w desperackim geście obronnym. Postać zeskokczyła z dwóch ostatnich schodków i runęła na mnie, przewracając mnie swoim ciężarem na jedno z krzeseł. Bezwładnie opadając, odsunąłem krzesło i walnąłem plecami o twardą podłogę. Jedną dłonią złapałem nadgarstek z nożem, drugą zacisnąłem na szyi napastnika. Mój uścisk był mocny i byłby jeszcze mocniejszy, gdybym się nie zorientował, że patrzę w wykrzywioną gniewem twarz mojej żony.

— Kathy, to ja! Na litość boską, co ty wyprawiasz?

Rzucała się jak ryba na haczyku, dyszała wściekle, a wolną ręką okładała mnie po twarzy. Nóż wciąż wisiał nade mną gotowy do ciosu, a trzymała go tak mocno, że aż jej zbieleły palce. A potem nagle jej twarz się uspokoiła, ręka opadła bezwładnie, a nóż uderzył o sosnową posadzkę tuż obok mojego ramienia. Wreszcie widziałem, że mnie poznaje. Puściłem ją, ale ona, zamiast paść mi w ramiona, zsunęła się ze mnie, usiadła na podłodze i ukryła twarz w dłoniach. Miała na sobie to samo ubranie, w którym rano wyszła z domu — dżinsy, zamszowy żakiet oraz krótkie botki z odrapanymi obcasami.

— Boże — jęknęła w końcu. — Ja już tak dłużej nie mogę.

— Już w porządku.

Podniosłem się i objąłem ją troskliwie ramieniem. Przytuliłem i zapewniłem, że wszystko będzie dobrze. I w tym momencie naprawdę w to wierzyłem. Wreszcie byliśmy razem. Nie zrobiliśmy nic złego. Byłem przekonany, że damy radę się z tego wyplątać.

Kątem oka dostrzegłem, że Daniels wszedł do domu i stał nieco zmieszany przy wieszaku na kurtki.

Kathy wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Patrzyła na mnie w sposób, którego nie pojmowałem. Była zdenerwowana, ale oczy miała suche. Widziałem w nich zawziętość, jaka pojawiała się tam chyba tylko wtedy, gdy była na mnie zła. Ani śladu ulgi albo podobnego uczucia.

— Ze mną wszystko w porządku — powiedziała nieobecny głosem. — A z tobą?

— Tak — oparłem. — Od paru godzin dobijam się do ciebie na komórkę.

— Chyba nie ma zasięgu. Jestem tu od popołudnia. Czy z dziećmi wszystko dobrze?

— Tak, są u twojej mamy.

Byłem ciekaw, jak dużo wie. Na pewno nic o telefonie od Jacka i o jego śmierci, ale o śmierci Vanessy pewnie tak — w końcu obie były dziś razem na uczelni. Miałem jednak wiele pytań, na które musiała mi odpowiedzieć.

Zanim zdołałem zadać pierwsze z nich, Kathy wskazała w stronę drzwi.

— Kim jest twój kolega?

— To jest Daniels. Pomaga mi. Daniels, to moja żona Kathy.

Kathy skinęła głową, a on wszedł do pokoju i zapalił światło. W jednej chwili w pomieszczeniu zrobiło się strasznie jasno. Uścisnęli sobie dłonie.

— Miło mi panią poznać — powiedział z wymuszonym, ponurym uśmiechem.

I wtedy Kathy gwałtownie cofnęła dłoń, a jej twarz kompletnie się zmieniła. Teraz gościło na niej inne uczucie.

Strach.

26

Kiedy Bolt i Mo zajechali pod dom Jacka Calleya, była za dziesięć dziesiąta. Na poboczu nadal stało kilka wozów policyjnych, a zza drzew, od strony miejsca zbrodni, gdzie wciąż pracowali technicy, przebijały światła reflektorów. Warunki były koszarne, ale poszukiwania śladów nic nie mogło wstrzymać. Grunt, że nie ja to muszę robić — pomyślał Bolt, wysiadając z samochodu. W pobliżu nikogo nie zauważyli. Dobrze się składało, gdyż komisarz nie miał ochoty tłumaczyć się Lambdenowi, który na pewno by się wkurzył i mógłby im robić kłopoty.

Nie przestawało lać, więc prędkim krokiem ruszyli w stronę domu, przed którym wcześniej widzieli to starsze małżeństwo. Dwupiętrowy budynek w stylu śródziemnomorskiej willi, z pobielanymi ścianami i okiennicami w oknach, był większy niż dom Calleya. Po murze piął się bluszcz. Wzdłuż całego parteru biegł zadaszony ganek, na którym stała masa roślin doniczkowych. Dwie wiszące lampy, niczym kule światła, wskazywały drogę do drzwi. Bolt chętnie by zamieszkał w takim domu, przy czym wolałby go przenieść do Włoch, Grecji czy innego miejsca, gdzie kryminaliści mają więcej klasy.

Wskoczyli pod daszek, unikając strumieni wody, i przygotowali legitymacje. Bolt zadzwonił i po dłuższej chwili usłyszeli czyjeś kroki. Drzwi uchyliły się na tyle, na ile pozwalał łańcuch, a w szczelinie zobaczyli twarz tego samego siwowłosego mężczyzny, którego widzieli wcześniej. Malowała

się na niej nieufność, co było zrozumiałe, ponieważ obaj policjanci mieli na sobie cywilne ubrania.

— Słucham panów?

Bolt się przedstawił i wyjaśnił, że pracują nad sprawą powiązaną z dzisiejszym morderstwem.

— Przepraszam, że niepokoimy pana o tak późnej porze, ale czy moglibyśmy na chwilę wejść?

Mężczyzna powoli kiwnął głową. Z głębi domu dobiegł głos żony. Pytała, kto przyszedł.

— Policja — odpowiedział, odczepiając łańcuch.

Poprowadził Bolta i Mo do dużego, wygodnego pokoju dziennego. Na ścianach i półkach pełno było pamiątek turystycznych i różnych innych bibelotów — porcelanowych talerzy z mapami greckich wysp, butelek wina w koszach, obrazków ze śródziemnomorskich plaż, a nawet kilka miniaturowych osiołków. Teoretycznie powinno to wyglądać tandetnie, ale właścicielom domu w jakiś sposób udało się tego uniknąć.

Starszy pan przedstawił się jako Bernard Crabbe. Jego żona, niewielka, okrągłutka pani, podobnie jak mąż dobiegająca siedemdziesiątki, miała na imię Debbie. Krzątała się wokół gości jak kwoka, która nie za bardzo wie, co robić.

— Chcielibyśmy państwu zadać kilka pytań na temat Jacka Calleya — wyjaśnił Bolt.

— Proszę, niech panowie usiądą — zaproponował pan Crabbe.

— Dziękujemy, długo nie zabawimy. Na pewno chcieliby państwo już iść spać.

— Trochę trudno przy tym całym zamieszaniu.

— Jack był bardzo dobrym sąsiadem — wtrąciła się pani Crabbe. — Kiedy wyjeżdżaliśmy, zawsze karmił Monty'ego i

Horace'a, nasze koty. To okropne, kiedy ktoś odbiera życie komuś tak młodemu.

Bolt i Mo ze współczuciem pokiwali głowami.

— Czy wiedzieliście panowie, że Jack był adwokatem prezesa Sądu Najwyższego, lorda Parnham-Jonesa? — spytała pani Crabbe z podnieceniem w głosie.

— Tak — odrzekł Mo, przyglądając się koronkowej serwetce z parą tancerzy flamenco pośrodku, która dumnie spoczywała na telewizorze.

— Widzieliśmy, jak do niego przyjechał — dodał pan Crabbe. — Nawet nie tak dawno, jakieś dwa, trzy tygodnie temu. Kiedy zapytałem o niego Jacka, powiedział, że służył lordowi usługami prawnymi.

— To też taka tragedia — stwierdziła pani Crabbe, nie przestając się krzątać. — Lord wydawał się takim wspaniałym stróżem sprawiedliwości. Nie ulegał populizmowi. Najwyższa pora, żeby ktoś się postawił brukowcom.

Bolt zastanawiał się, co by powiedziała, gdyby usłyszała oskarżenia, które dziś poznali.

— Przede wszystkim chcemy się dowiedzieć, czy widzieli państwo kiedyś Jacka w towarzystwie tego mężczyzny — powiedział, pokazując im fotografię Toma i Kathy Meronów.

— Niech no tylko założę okulary — rzekła pani Crabbe, nerwowo rozglądając się wokół siebie. — Bernardzie, czy widziałeś moje okulary?

Pan Crabbe zaprzeczył. Założył natomiast własne, zawieszane na łańcuszku wokół szyi. Wziął zdjęcie od Bolta i zaczął mu się bacznie przyglądać.

— Czy poznaje go pan? — spytał komisarz.

— Jego nie, ale ją tak. Była u Jacka parę razy, ale nie wiemy, jak się nazywa. Policjanci, którzy z nami wcześniej rozmawiali, też jej szukają.

— To ona? — spytała pani Crabbe, wciąż bez okularów, zaglądając mężowi przez ramię.

— Tak, tak — odparł mężczyzna i postukał w podobiznę Kathy Meron palcem. — Ta kobieta była dzisiaj u Jacka.

Bolt i Mo wymienili spojrzenia.

— O której tu była? — spytał Bolt.

— No właśnie dlatego tamci policjanci byli tacy zaciekawieni. Była u Jacka tuż przed tym, jak to się stało. Siedziałem w ogródku przed domem i widziałem ją w samochodzie. Tuż po lunchu, może o wpół do drugiej.

Zatem Kathy Meron była jedną z ostatnich osób, które widziały Jacka Calleya żywego — pomyślał Bolt. Czyli mogła widzieć zabójców.

Albo, co gorsza, mogła im towarzyszyć.

27

Kathy zerwała się na nogi i zaczęła odsuwać od Daniela. Ten patrzył na nią zdziwiony, ale nie ruszył w jej stronę.

— Kathy, o co chodzi? — spytałem.

Jej wzrok pobiegł w kierunku noża, który wciąż leżał tam, gdzie upadł. Jednym ruchem porwała go z ziemi i wycelowała w Daniela. Dłoń trochę jej drżała, ale z oczu biła ponura determinacja, która wcale mi się nie podobała.

— Ty tam byłeś — syknęła.

— Gdzie? — spytał Daniels zdeprymowany.

— U Jacka. Dzisiaj. Byłeś jednym z nich, prawda?

— Nie wiem, o czym pani mówi.

— Wiesz, i to dobrze.

— Przykro mi, chyba mnie pani z kimś pomyliła.

— Nie traktuj mnie jak idiotki. Ja się w ten sposób nie myślę.

— Kathy, co to ma znaczyć? Skąd wiesz, że był u Jacka Calleya?

— Chcesz wiedzieć, skąd wiem? — pytanie skierowała bardziej do Daniela niż do mnie.

Czubek noża wycelowany był prosto w jego tchawicę. Dzielił ich metr.

— Nie widziałam cię, inaczej też bym nie żyła, prawda? Ale cię słyszałam. Wszystkich was słyszałam i poznaję twój głos.

Uśmiechnęła się pogardliwie, a cała jej twarz nabrała jeszcze większej zawziętości. W tej chwili w ogóle nie

przypominała mojej żony. Ale nawet wtedy — pewnie dlatego, że tego dnia doznałem szoku już tyle razy — nie powiązałem faktów.

— Kathy, co ty robiłaś u Jacka? Nie widzieliśmy go od czterech lat.

— No dobrze, dobrze — rzekł Daniels, robiąc krok w tył i podnosząc ręce w uspokajającym geście. — Chyba rozpoczęliśmy znajomość nie tak, jak trzeba.

Błyskawicznie sięgnął pod kurtkę i już sekundę później celował do Kathy z pistoletu.

— Daniels, na litość boską, nie strzelaj. To moja żona.

Zignorował mnie i odbezpieczył broń.

— No dobrze, zacznijmy od nowa. Proszę odłożyć nóż. Kathy nawet nie drgnęła.

— Zabiłeś Jacka, sukinsynu. Zapłacisz mi za to.

W tej właśnie chwili zdałem sobie sprawę z oczywistości. Można by rzec, że nieco późno. Ja co prawda nie widziałem się z Jackiem od paru lat, ale wyglądało na to, że Kathy podtrzymywała przyjaźń za nas oboje. Chyba w głębi serca już od jakiegoś czasu wiedziałem, że ma romans. Wracała z pracy później niż kiedyś, w weekendy wyjeżdżała na konferencje, inaczej się zachowywała. Znow zaczęła używać perfum, kupowała drogą bieliznę. Ale tak to już bywa, że mimo widocznych oznak nie przyjmujemy tego do wiadomości. Znajdujemy racjonalne wytłumaczenia. Właśnie dlatego, kiedy usłyszałem z jej ust przyznanie się do winy, poczułem się, jakbym dostał przez łeb.

Jack. Kręciło mi się w głowie. Skurwiel.

— To nie tak, jak pani myśli. Proszę odłożyć nóż. Porozmawiajmy.

— Co to znaczy „nie tak, jak myślę”? Słyszałam, jak go torturowałeś.

— W ogóle go nie dotknąłem. Byłem tam, ale przysięgam, że nic mu nie zrobiłem.

— Więc to wszystko kłamstwo — powiedziałem.

Co prawda te słowa skierowane były do Danielsa, ale odpowiedziała na nie Kathy, ani na chwilę nie spuszczać z niego wzroku.

— Wybacz, Tom. Nie chciałam, żebyś się o tym dowiedział w ten sposób.

— Dlaczego? — tym razem zwróciłem się do Kathy, choć odpowiedzi na to pytanie było z pewnością wiele.

— Nie mogę o tym teraz mówić.

— Niech pani odłoży nóż.

Kathy ledwo zauważalnie pokręciła głową, a jej twarz stężała.

— Nie.

Daniels ruszył naprzód, złapał ją za nadgarstek i brutalnie wykręcił rękę. Lufą uderzył w odkryte przedramię. Krzyknęła i wypuściła broń. Odepchnął ją, podniósł nóż i cisnął w róg pokoju, jak najdalej od nas. Wszystko to stało się, zanim w ogóle zdążyłem zareagować.

Przez chwilę myślałem, że Kathy zacznie płakać, ale szybko się opanowała. Podszedłem i ją przytuliłem, choć świadomość, że nie kocha mnie już tak, jak ja kocham ją, wykręcała mi wnętrzności. Kathy ukryła twarz na mojej piersi. Ciepło jej ciała było przyjemne i uspokajające.

Rzuciłem Danielsowi spojrzenie pełne gniewu.

— Więc jednak byłeś u Jacka?

Skinął głową.

— Byłem, ale nie mogłem ci o tym wcześniej powiedzieć, bo nie zaufałyś mi.

Popatrzyłem na jego pistolet, wciąż wycelowany w naszym kierunku.

— Więc nie jesteś gliną?

— Jestem. Co do tego nie kłamałem.

Kathy wyrwała się z moich ramion.

— To niemożliwe. Policja nie robi takich rzeczy.

— Miałem za zadanie wnikać w ich struktury — wyjaśnił.

Opuścił broń, po czym w skrócie powtórzył jej to, co wcześniej mi opowiedział. Kathy słuchała w milczeniu.

— Dziś po południu zadzwonił Lench. Ja i Mantani mieliśmy pojechać do domu niejakiego Jacka Calleya. Kazał nam włożyć garnitury i rękawiczki. Po drodze wyjaśnił, że Calley ma informacje, które musimy z niego wyciągnąć. Na miejscu Mantani zapytał, co z nim zrobimy, jak już się wszystkiego dowiemy. Lench powiedział, że go zabijemy, i to tak, żeby wyglądało na samobójstwo. To jedna z jego specjalności. Zapukaliśmy do drzwi, a Lench czekał za rogiem. W tych garniturach wyglądaliśmy normalnie, więc Calley chyba nic nie podejrzewał. Kiedy otworzył, Mantani potraktował go gazem pieprzowym, wszyscy trzej wparowaliśmy do środka, zaciągnęliśmy Calleya na górę i przywiązaliśmy do łóżka. Krztusił się, kasłał i mówił, żebyśmy wzięli, co chcemy, i nie robili mu krzywdy. Strasznie się bał. Lench wepchnął mu do ust piłkę golfową, usiadł mu na nogach i zaczął przypalać jaja zapalniczką. Potem wyjął piłkę i mówi: „Gdzie to jest? Wiemy, że to masz”. Calley krzyczał, że nie wie, o co chodzi, więc Lench znów go zaczął przypalać, tym razem dłużej. Potem go zapytał, komu się wygadał. Nie powiedział, na jaki temat, ale miałem wrażenie, że Calley rozumie, o co mu chodzi. Wciąż milczał, więc Lench z powrotem go zakneblował i dał pięć minut na przemyślenie sprawy. Zszedł na dół, a ja razem z nim. Na straży zostawiliśmy Mantaniego. Lench nastawił w kuchni czajnik, a potem popatrzył mi prosto w oczy i powiedział, że zanim w ogóle zaczniemy przesłuchiwać Calleya, będę musiał zanieść czajnik na górę i oblać faceta wrzątkiem po twarzy i

ciele. Dzięki temu zrozumie, że nie żartujemy. Miał mnie sfilmować komórką, żebym był kompletnie umoczony. Wiedziałem, że muszę stamtąd spieprzać, ale zanim zdążyłem wywołać jakieś zamieszanie, z góry dobiegły krzyki. Ten idiota Mantani poszedł się odlać i zostawił Calleya samego. Patrzę, a Calley pędzi z góry i wylatuje przez boczne drzwi. Mantani za nim. Lench kazał mi iść uruchomić silnik, żebyśmy mogli szybko uciec, a potem pobiegł za tamtymi.

— Nie słyszałam, żeby coś takiego mówił — przerwała Kathy.

— Więc ty tam byłaś? — spytałem cicho, głosem pełnym rezygnacji.

Odwróciła się do mnie i lekko skinęła głową. Wyglądała pięknie. Jej gładkiej skóry o oliwkowej barwie nie szpeciły łzy, a z oczu promieniowało ciepło i mądrość, przez co tym trudniej było się pogodzić z tym, że mnie zdradzała. Była dobrym człowiekiem, wspaniałą matką. Nie rozumiałem, jak mogła zrobić coś takiego.

— Tom, posłuchaj, ja...

Urwała. Widziałem, że jest jej przykro z mojego powodu, ale w jej twarzy nie dostrzegałem poczucia żalu ani pragnienia, by to wszystko jakoś naprawić. To nie z mojego powodu cierpiała.

— Jak długo to trwało?

Westchnęła.

— Tom, porozmawiamy o tym później, dobrze? Teraz chcę wiedzieć, kim jest ten człowiek, bo nie wierzę w to, co mówi.

— Mówię prawdę — odparł Daniels spokojnym tonem. — Lench i Mantani pobiegli za Calleyem, a ja musiałem wrócić do samochodu, który zaparkowaliśmy z dala od domu, żeby nikt go nie skojarzył. Wrócili po pięciu minutach i powiedzieli, że Calley nie żyje, ale przed śmiercią przyznał im, że już nie ma tego, czego szukaliśmy. Powiedział, że dał to Tomowi Meronowi.

— Ale ja go nie widziałem od lat — zaproponowałem.

Daniels wzruszył ramionami.

— Powtarzam, co od nich usłyszałem. Poza tym mówili, że kiedy Calley uciekał, zadzwonił do ciebie. Po drodze Lench sam wykonał jakiś telefon. Ma naprawdę świetne kontakty, potrzebował tylko paru minut, żeby się dowiedzieć, kim jest twoja żona i gdzie oboje pracujecie. Wysłał ludzi, żeby się tobą zajęli do jego przyjazdu, a potem kazał się odwieźć. Mieliśmy się pozbyć tamtego samochodu i czekać na dalsze polecenia. Resztę znasz.

— To absurd — powiedziałem, kompletnie zdezorientowany. — Jack Calley nigdy mi nic nie dał.

— Jakie to wygodne, że nie miałaś nic wspólnego ze śmiercią Jacka, prawda? — głos Kathy był pełny jadu. — Widziałeś, co oni mu zrobili? Ja widziałam. Poszłam do lasu go szukać. Powiesili go na drzewie jak psa. Nikt nie zasługuje na taką śmierć.

Daniels zignorował tę uwagę.

— Więc gdzie pani wtedy była? Przypuszczam, że w sypialni, tak? W szafie?

Kathy westchnęła.

— Kiedy przyjechaliście, byliśmy z Jackiem na górze. Zadzwonił dzwonek i Jack zszedł otworzyć. Potem usłyszałam z dołu szamotaninę i krzyki. Spanikowałam i pierwsze, co mi wpadło do głowy, to żeby się schować w szafie z ubraniami. Weszłam najgłębiej, jak się dało, przykryłam się garniturami i siedziałam cicho. Usłyszałam, jak wchodzicie do pokoju, rzucacie Jacka na łóżko, a potem... Potem go torturowaliście. — Głos jej się łamał, gdy opowiadała o tych wydarzeniach. — On cierpiał. I żadnego z was to nie obchodziło.

Daniels milczał, więc mówiła dalej.

— Kiedy zszedłeś na dół, a ten drugi poszedł do ubikacji, to była moja szansa, żeby pomóc Jackowi. Wyszłam z szafy i zobaczyłam, jak leży na łóżku z osmalonym kroczem. Twarz miał wykręconą bólem, ale nie stracił przytomności. Pokazywał, żebym wróciła do szafy, bo wiedział, że mnie zabiją, ale nie mogłam go tak zostawić. Słyszałam tamtego faceta w ubikacji, więc wiedziałam, że mamy tylko parę sekund. Odwiązałam mu jedną rękę, a on poradził sobie z drugą. Drzwi toalety już się otwierały, Jack mnie odepchnął i zaczął uciekać. Zaraz potem usłyszałam, jak zbiega po schodach. I tak wyglądało nasze pożegnanie.

Kathy wzięła kilka głębokich oddechów i utkwiała wzrok w Danielsie.

— I nie słyszałam, żeby ktokolwiek mówił coś o pójściu do samochodu — powiedziała.

— Ale tak właśnie było — odparł mężczyzna, wzruszając ramionami.

Moja żona kręciła głową.

— Miałeś udział w tym morderstwie. Ja to wiem.

— Kathy, Daniels mnie uratował — wtrąciłem. — Myślę, że jest tym, za kogo się podaje.

— Tom, ciebie tam nie było. A ja byłam. Nie wiem, czy jest gliniarzem, ale on brał w tym udział.

— Jack zadzwonił do mnie, kiedy go gonili — powiedziałem. — Prosił mnie o pomoc. I zanim umarł, podał im pierwsze dwie linijki naszego adresu. Dlaczego?

Daniels spojrzał na Kathy.

— Może Calley dał pani to, czego szuka Lench, ale mimo tortur nic nie powiedział, żeby panią chronić.

— Jack niczego mi nie dał.

— Na pewno?

Rzuciła mu wściekle spojrzenie.

— Kimkolwiek jesteś, nie muszę ci się tłumaczyć. Nieważne, że masz pistolet.

Następnie zwróciła się do mnie:

— Tom, chyba musimy wezwać policję. Trzeba to wyjaśnić.

— Radzę pani tego nie robić — powiedział Daniels. Znów uniósł broń i naprężył palec na spuście.

— Vanessa też nie żyje — powiedziałem zrezygnowany. — Zamordowano ją dzisiaj na uniwersytecie.

Oczy Kathy zrobiły się wielkie z przerażenia.

— O Boże, nie!

— Kathy, muszę cię o to zapytać: wiesz coś o tym?

Pokręciła głową.

— Oczywiście, że nie. Jezu, co się stało? — spytała piskliwym, pełnym rozpacz głosem.

— Policjanci mi nie powiedzieli, ale chyba została pchnięta nożem.

— Wiesz coś o tym? — Kathy zwróciła się do Daniela. Teraz z kolei on pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia, dlaczego miałyby być celem. Widzi pani jakiś powód?

— Nie. Na litość boską, ona była zwykłym nauczycielem akademickim. — Kathy otarła twarz dłonią. — Boże, biedna Vanessa.

— Musisz wiedzieć coś jeszcze — powiedziałem.

Gwałtownie podniosła głowę i spojrzała na mnie.

— Co?

— Na narzędziu zbrodni były twoje odciski palców.

— Nie — powiedziała stanowczym tonem. — To niemożliwe. To musi być jakaś pomyłka.

Przyglądałem się uważnie jej reakcji. To bardzo niemiłe uczucie, kiedy nie można ufać w nic, co mówi własna żona.

— I wciąż nie wiem, po co Jack do mnie dzwonił i dlaczego chciał, żebym mu pomógł — dodałem.

— Ja też nic na ten temat nie wiem — odparła.

Ale kiedy odwróciła się w moim kierunku, w jej oczach widziałem niepewność. Kłamała. Byłem tego pewien.

Daniels najwyraźniej był tego samego zdania.

— Pani coś wie. Będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli nam to pani zdradzi.

— Tobie? Komuś zamieszanemu w zabójstwo człowieka, na którym mi zależało? Komuś, kogo nigdy wcześniej nie widziałam i kto teraz mierzy do mnie z pistoletu? Nie ma mowy. Dzwonię na policję. Im wszystko opowiem.

— Proszę tego nie robić — warknął Daniels.

Napięcie w jego głosie było aż nadto wyraźne. Celował w głowę Kathy.

Stałem między nimi.

— Na litość boską, Daniels, przestań celować do mojej żony.

Odepchnął mnie na bok, sycząc: „Stul pysk”, po czym znów zwrócił się do Kathy:

— Proszę posłuchać, w sprawę zamieszani są policjanci. Wystarczy, że trafi pani na takiego, i może pani skończyć martwa. Proszę tego nie robić.

— Bo co? Co mi zrobisz? Zastrzelisz mnie?

Twarz Daniela była napięta.

— Owszem, jeśli będę musiał.

— Zaraz zadzwonię pod dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć i wezwę tutaj policję. Jeśli jesteś policjantem, to musisz to zaakceptować, prawda?

Patrzyli na siebie nieruchomo. Kathy trzymała dłoń na słuchawce, a na jej twarzy malowała się ponura determinacja. Podobne emocje widziałem u Daniela, przy czym zdawał się być pod presją, mimo że to on miał broń. Wiedziałem, że nie

chce jej zrobić krzywdy, ale wcale nie miałem pewności, czy w końcu się na to nie zdecyduje. Trzymał broń pewnym chwytem. Lufa ani drgnęła.

— Niech mnie pani do tego nie zmusza. Niech mi pani powie, gdzie to jest, wtedy się dogadamy.

W tym momencie zdałem sobie z czegoś sprawę. Z czegoś tak oczywistego, że powinienem być tego świadom, odkąd tylko go poznałem.

— Ty wiesz, co to jest, prawda? — spytałem Daniela. — Wiesz, czego szuka Lench i jego szef. I sam chcesz to zdobyć.

Nie odpowiadał, skupiony wyłącznie na Kathy.

W głowie kłębiły mi się dziesiątki myśli. Czy powinienem się na niego rzucić i próbować wyrwać broń? Czy moja żona zasługiwała na pomoc? Nogi się pode mną uginały, napięcie robiło się nie do wytrzymania. W pokoju panowała cisza wprost gęsta. To już nie było miejsce, w którym spędziliśmy tyle przyjemnych wieczorów. Wtedy pomyślałem, nieco niestosownie w tej sytuacji, że będziemy musieli sprzedać nasz udział w domku. Nie potrafiłbym tu więcej przyjeżdżać, nie po tym wszystkim.

— Proszę, niech pani tu podejdzie i porozmawiamy.

Rzuciłem się naprzód, chwyciłem Daniela za nadgarstek i odepchnąłem broń od Kathy. Wolną ręką usiłowałem go złapać za gardło, ale zwinnym ruchem odskoczył w tył, poza mój zasięg, wskutek czego runąłem na poręcz. Ciosem w tył czaszki posłał mnie naprzód, tak że grzmotnąłem boleśnie o drewnianą ściankę. Ręka Daniela z łatwością oswobodziła się z mojego uścisku.

— Pierdol się, Meron — syknął mężczyzna.

W głowie mi dudniło, ale starałem się na to nie zważać. Nie wstając, obróciłem się, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Z tej niezbyt komfortowej pozycji widziałem, jak Daniels, ze wzrokiem wbitym w Kathy, znów mierzy do niej z pistoletu.

Słuchawka zwisała bezwładnie w jej dłoni i chyba jeszcze nigdy nie widziałem żony aż tak bladej.

— Co ja, kurwa, powiedziałem? — krzyknął Daniels.

— Na litość boską, Daniels, nie strzelaj.

— Nie musi — odezwała się Kathy. — Telefon nie działa.

Na długą chwilę zapanowała cisza. Jedynym dźwiękiem było rytmiczne bębnienie deszczu na betonie za oknem.

W końcu odezwał się Daniels, a jego słowa brzmiały jak wyrok.

— Już tu są.

Daniels dotarł skulony do wyłącznika u wylotu przedsionka i zgasił światło.

— Schylcie się — szepnął.

W półmroku dobrnął do okna w wykuszu. Powoli uniósł głowę i wyjrzał na podjazd.

Postąpiliśmy zgodnie z jego poleceniem. Ja schowałem się za kanapą, a Kathy przykucnęła przy ścianie. Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę i zobaczyłem w jej oczach strach. Nie było tam jednak żadnego innego uczucia, żadnego żalu. Szybko odwróciła wzrok.

— Widzisz coś? — spytałem Daniela głośnym szeptem.

— Na razie nic, ale muszą gdzieś tam być.

— Jak oni nas znaleźli?

— Nie pora o tym myśleć. Teraz musimy się skoncentrować na tym, jak się stąd wydostać. Dokąd prowadzi tylne wyjście?

— Ogród przylega do lasu — powiedziałem — ale jest obsadzony kolczastymi krzewami dla ochrony przed nieproszonymi gośćmi. Praktycznie nie da się przez nie przejść.

— Więc od tyłu w ogóle nie ma wyjścia?

— Do lasu da się wyjść przez atelier — odezwała się Kathy.

— To oddzielny budynek z tyłu ogrodu. Wystarczy wyjść przez okno.

Głowa Daniela obracała się bardzo powoli; lustrował przestrzeń za oknem. Nagle znieruchomiał. Patrzył w lewo, w

stronę samochodu mojej żony.

— Ktoś tam jest? — zapytała drżącym głosem.

Na dworze bez przerwy padał deszcz.

— Nie jestem pewien — szepnął Daniels, wciąż wpatrzony w tamto miejsce. — Chyba tak.

Musiałem się jakoś uzbroić. Potrzebowałem czegoś, czym w ostateczności mógłbym się bronić. W kuchni znajdował się zestaw japońskich noży — koleżanka Midge była zapaloną kucharką. Uznałem, że to mój jedyny ratunek. Chociaż trudno mi było sobie wyobrazić, że mógłbym pchnąć kogoś którymś z nich. Ba, trudno mi sobie było wyobrazić, że w ogóle mógłbym kogoś pchnąć nożem, ale nie chciałem dłużej pozostawać bezbronny. Nie podnosząc się z kucek, ruszyłem do kuchni.

Sześć noży, wsuniętych aż po uchwyty w trójkątny stojak z drewna, stało na blacie tuż przy kuchence. Wyjąłem największy z nich, z szerokim, dwudziestocentymetrowym ostrzem. Było cienkie, ale ostre jak brzytwa. W przeszłości nieraz kroiliśmy nim mięso i warzywa, więc nie wątpiłem w jego skuteczność. Wyobraziłem sobie, jak bez trudu przebija skórę tego sadysty Mantaniego, i o dziwo, ta myśl sprawiła mi przyjemność. Nie jestem z natury okrutny, a przy tym uważam, że mam silne poczucie sprawiedliwości, ale jednocześnie pragnę zemsty na ludziach, którzy mnie skrzywdzili. Mantani bez wątpienia do nich należał. On i mój stary przyjaciel Jack Calley, ale ten drugi był już poza moim zasięgiem.

Wstałem, ściskając nóż w dłoni. Spojrzałem na swoje niewyraźne odbicie w kuchennej szybie, po której spływały nierówne strużki deszczu. Wciąż wyglądałem fatalnie, ale Kathy nawet nie zapytała o moje rany. Nic ją nie obchodziłem. Najwyraźniej nie obchodziłem jej już od dłuższego czasu, tylko tego, głupiec, nie zauważałem.

Nagle za szybą, jak duch, pojawiła się twarz w czarnej kominiarce. Potem zobaczyłem dłoń w rękawiczce, a w niej —

pistolet z długą lufą. Zanim w ogóle zdążyłem zareagować, za plecami usłyszałem głośny wybuch i trzask. Szyba wyglądała jak pajęczyna z dziurą w samym środku. Sukinsyn do mnie strzelał! Lufa znów błysnęła i pomieszczeniem wstrząsnął następny wybuch. Tym razem runęła cała szyba. Kawałki szkła sypały się na ziemię jak zabójcze płatki śniegu.

Wtedy wreszcie się ruszyłem. Padłem na podłogę i zdałem sobie sprawę z tego, że mnie nie trafił, chociaż stał niecałe pół metra ode mnie. Za chwilę zrozumiałem dlaczego. Czołgając się w kierunku drzwi, usłyszałem, jak coś wpada do środka. Głuchy huk — i cała kuchnia wypełniła się światłem i żarem. Obróciłem głowę i zobaczyłem, że szafki i blaty stoją w ogniu. Wściekle pełgające płomienie sięgały już prawie sufitu. On mnie nie chciał zabić — on chciał nas wykurzyć na dwór.

Kłęby gęstego, gryzącego dymu posłużyły mi za osłonę. Zerwałem się i pobiegłem z powrotem do pokoju dziennego. W tej samej sekundzie frontowe okno posypało się do środka. Daniels już był na nogach, z daleka od deszczu szklanych odłamków. W ręku miał broń, którą błędził w poszukiwaniu celu. Kathy także się podniosła — i stała jak sparaliżowana.

— Mają butelki z benzyną! — krzyknąłem. — Kuchnia się pali!

W ułamek sekundy później, zanim któreś z nich zdążyło odpowiedzieć, usłyszeliśmy huk wystrzału. Pocisk wywalił w drzwiach frontowych dużą dziurę tuż pod klamką. Daniels natychmiast przyklęknął z wyciągniętą bronią i oddał trzy strzały w drzwi. Ogłuszający huk rozniósł się echem po pokoju.

Kolejny wystrzał wyrwał jeszcze większy otwór, drzazgi posypały się do wnętrza z ogromnym impetem. Daniels krzyknął z bólu i złapał się za ramię. Kazał nam iść na górę, więc wziąłem Kathy za rękę i pociągnąłem w stronę schodów. On tymczasem się pozbierał i przełożył broń do drugiej ręki.

Tam, gdzie trafiły go odłamki, miał rozdartą kurtkę, ale wyglądało na to, że się trzyma.

Nagle drzwi frontowe otwały się gwałtownie, z trzaskiem uderzając o szafkę na buty. Za nimi nie było nikogo — widzieliśmy tylko deszcz lejący się strumieniami z czarnego nieba. Z tyłu do pokoju zaczynał się wkradać ciemny, duszący dym. Daniels czekał bez ruchu, wciąż w tej samej pozycji strzeleckiej.

Zza krawędzi drzwi wyłoniła się dłoń. Trzymała pełną benzyny butelkę po mleku, w którą zatknięta była płonąca szmata. Daniels po raz czwarty pociągnął za spust, a butelka potoczyła się po podłodze w jego kierunku. Zerwał się na nogi, strzelił w ciemno w kierunku drzwi, po czym popędził do schodów.

— Właźcie, kurwa, na te schody! — ryknął, nadziawszy się na moje plecy.

Popchnąłem Kathy. Wspinała się na czworakach, a ja i Daniels kryliśmy tyły. Na sekundę wszystko zamilkło, a zaraz potem, jak tylko odwróciłem głowę, nastąpił wybuch. Dywan ognia pokrył drewnianą posadzkę. Płomienie natychmiast pochłoneły kanapę.

— Czy z góry da się uciec przez okno? — Daniels usiłował przekrzyczeć huk pożaru.

— Z dużej sypialni — odpowiedziałem. Potknąłem się, starając jak najprędzej uciec przed gęstym, gryzącym dymem. — Okno wychodzi na ogród. Można wyjść na dach przybudówki.

— Idziemy tam.

U szczytu schodów Kathy skręciła w prawo. Na piętrze świeciło się światło — było tak jasne, że na moment mnie oślepiło. Kathy popędziła do drzwi sypialni i otworzyła je na oścież. Biegłem tuż za nią, więc kiedy wpadła pokoju i nagle

krzyknęła, natychmiast znalazłem się w środku. Nie żeby to cokolwiek pomogło.

W ciemnym pokoju stał zamaskowany mężczyzna — zapewne ten sam, który wrzucił pierwszą butelkę do kuchni. Obejmował Kathy ramieniem wokół szyi, a wolną ręką przyciskał jej do twarzy lufę obrzyna. Cofał się do okna, zmuszając moją żonę, żeby cofała się wraz z nim, nienaturalnie wygięta. Za nimi znajdowało się otwarte okno. Na dachu przylegającej do starej części domu parterowej przybudówki — z którego najwyraźniej ten człowiek dostał się tutaj — zobaczyłem drugiego, identycznie ubranego mężczyznę. Chyba nie był uzbrojony. Poślizgnął się na mokrych dachówkach i upadł na tyłek.

Za mną pojawił się Daniels, więc odruchowo usunąłem się na bok. Zaklął, po czym uniósł broń.

— Nawet się, kurwa, nie waż, Daniels — odezwał się mężczyzna z bronią. Natychmiast rozpoznałem jego głos; to był ten sukinsyn Mantani. — Rzuć to albo ją zabiję.

— Puść ją, Mantani — powiedział spokojnie Daniels. On sobie mógł pozwolić na spokój, w końcu to nie o jego żonę chodziło. — Puść ją albo cię zastrzelę. Wiesz, że to zrobię.

— Daniels, błagam, rób, co on każe. Nie pozwól mu skrzywdzić mojej żony.

Mantani wciąż cofał się w stronę okna, ciągnąc z sobą Kathy. Zostało mu już tylko półtora metra. Za nim ten drugi już się pozbierał i powoli zbliżał w naszym kierunku.

— Jak się nie będziesz wtrącał, to cię puścimy — powiedział Mantani Danielsowi. — Chociaż jestem ci coś winny po tym, co mi zrobiłeś. Chcemy tylko Merona i jego paniusi, nic więcej.

Daniels zrobił krok naprzód, potem następny. Do pokoju zaczynał napływać czarny, duszący dym. Trzask płomieni z parteru był coraz głośniejszy.

Mantani docisnęła lufę do policzka Kathy.

— Stój, bo ją rozwalę — zagroził. Twarz wykrzywił mu grymas wściekłości, widoczny nawet przez maskę. — Zabiję ją. Dobrze o tym wiesz. Jeszcze jeden krok i po niej.

Daniels zrobił kolejny krok.

— Daniels, kurwa, co ty wyrabiasz? — wrzasnąłem piskliwym, nie swoim głosem. — On ją zabije.

— Nie zabije. Prawda, że jej nie zabijesz, Mantani? Bo wtedy ja zabiję ciebie, a widzę, że nie chcesz umrzeć.

Teraz ja zrobiłem krok naprzód. W dłoni wciąż ścisnąłem nóż i zastanawiałem się, co u diabła powinienem zrobić.

— Błagam, Daniels, nie ryzykuj. To jest moja żona.

— Daniels, ja ją zajebię. Wiesz o tym. Ona nic dla mnie nie znaczy.

Drugi mężczyzna dotarł już do okna. Zobaczył broń Daniela i natychmiast uskoczył z linii strzału. Mantani oparł się o parapet.

Kathy milczała. Usta jej drżały, rozszalały wzrok padał to tu, to tam. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałem. Zdenerwowaną, zmartwioną — owszem, ale nigdy tak przerażoną. Czuję się bezsilny. Byłem pewien, że ten sukinsyn na moich oczach zamorduje mi żonę. A Daniels jeszcze go podjudzał. W pokoju robiło się już gęsto od dymu. Słyszałem kroki, ktoś wchodził po schodach. Byliśmy osaczeni. Nogi się pode mną uginały. Zacząłem myśleć o dzieciach. O dniu, kiedy urodziła się Chloe, nasze pierwsze dziecko. O radości na twarzy Kathy; o radości, która na pewno była i na mojej twarzy. O tym, jak razem trzymaliśmy córeczkę po pierwszym ważeniu. O początku nowej rodziny. A teraz to wszystko miało się skończyć wśród dymu, w płonącym domku. Miałem umrzeć z bolesną świadomością, że zdradziła mnie żona, i prawdopodobnie nigdy się nie dowiedzieć, dlaczego to się wszystko stało.

— To twoja ostatnia szansa, Mantani. Natychmiast odłóż broń.

Daniels zrobił kolejny krok. Od dawnego kolegi dzieliły go już tylko dwa metry. Głos wciąż miał spokojny, ale słysząc w nim było napięcie. Mantani odchylił się, jakby usiłował maksymalnie zwiększyć tę odległość. W ten sposób okazywał słabość, jednak wciąż mocno ścisnął strzelbę.

— Pierdol się, Daniels. To ty odłóż broń. Jesteś otoczony.

Strzał mnie ogłuszył. Na jego dźwięk aż drgnąłem.

Głowa Mantaniego odskoczyła, uderzyła w szybę, szkło pokryła drobna mgielka krwi. Obrzyn zakołysał się w powietrzu, po czym wypalił w sufit z jeszcze głośniejszym hukiem. Ciało Mantaniego bezwładnie opadło na bok. Kathy wywinęła się z jego uścisku i wpadła w ramiona Daniela. Człowiek za oknem się podniósł. Jednak miał broń, ale zamiast jej użyć, rzucił się do ucieczki po dachu, znów się poślizgnął, a potem zniknął. Daniels odepchnął Kathy i strzelił w jego kierunku. Chyba nie trafił, bo usłyszałem, jak tamten, zeskakując z dachu, urywa rynnę.

Dym gęstniał coraz bardziej, robiło się nie do wytrzymania.

— Wynoście się stąd, szybko! — krzyknął Daniels w moją stronę.

Nie musiał mi dwa razy powtarzać. Rzuciłem się do okna. Kathy była już prawie na zewnątrz.

— Ktoś idzie po schodach — rzuciłem, mijając Daniela.

W tej właśnie chwili w drzwiach sypialni pojawiła się kolejna ubrana na czarno postać, ze strzelbą powtarzalną w dłoni. Ale ten człowiek różnił się od pozostałych. Był potężniejszy, dużo potężniejszy. Pomimo tego, że otaczał go gęsty, ciemny dym, biła od niego aura ponurego spokoju, jakby nie zważał na rozgrywający się wokół dramat i śmierć jednego ze swoich ludzi. Od razu wiedziałem, że to właśnie ten, którego nazywają Lench. Wiedziałem też, że jeśli nas dopadnie, nie będziemy mieli żadnych szans.

Daniels odtrącił mnie na bok, chwycił ciało Mantaniego i nacisnął spust. Lench strzelił, wybijając kolejną szybę, i natychmiast schował się za framugą. Daniels się zachwiał, ale nie dlatego, że został trafiony. Poderwał zwłoki i przykucnął za nimi, tak że wraz z łóżkiem tworzyły osłonę przed ostrzałem. Jeszcze raz krzyknął, żebym uciekał.

Przecisnąłem się obok niego i rzuciłem przez okno, wciąż ściskając w dłoni nóż. Z tyłu w drzwiach znów pojawił się Lench i znów wystrzelił. Wylądowałem na brzuchu i zacząłem ześlizgiwać się po dachu w kierunku rynny. Wolną ręką usiłowałem się czegoś uchwycić, jakoś zatrzymać. Dokładnie pode mną była kuchnia. Czułem dobiegający stamtąd żar. Wiedziałem, że dach lada moment runie, a ktokolwiek będzie się na nim znajdował, spadnie prosto w ogień.

Kathy była jakieś półtora metra nade mną. Siedziała okrakiem na kalenicy u szczytu domu. Rękami przytrzymywała się cegieł i spoglądała w dół, nieco na prawo, tam gdzie drugi mężczyzna właśnie się podnosił. Obok niego na trawniku leżały roztrzaskane szczątki rynny. Zza domu szedł w naszym kierunku kolejny, już czwarty bandyta. On również miał broń — i już po chwili do nas celował. Z wnętrza dobiegły kolejne strzały — strzelby Lencha i pistoletu Danielsa.

— Tędy! — krzyknęła Kathy i zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, zaczęła zjeżdżać na pupie z drugiej strony dachu.

Rzuciłem nóż na ziemię i ruszyłem za nią. Przy krawędzi złapałem się rynny i zawisłem przy murze. Bałem się oglądać za siebie, ale zeskoczyłem na dół. Wylądowaliśmy w tym samym momencie, jakieś dwa metry od siebie. Przed nami, przy końcu trawnika, mniej więcej piętnaście metrów dalej, stał drewniany, parterowy domek, w którym Midge urządziła sobie atelier malarskie. Za nim zaczynał się las, w którym bylibyśmy bezpieczni.

— Biegnij — syknąłem przez zęby.

Gorączkowo szukałem kluczy w kieszeni. Te do domu nosiłem razem ze wszystkimi, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć, czy klucz do atelier także wciąż tam był. Zdjąłem go z breloczka parę miesięcy temu, żeby zamówić nowy, i nie byłem pewien, czy założyłem z powrotem. Modliłem się, żebym go miał. Drugą ręką złapałem z ziemi nóż. Rzuciliśmy się ku drzwiom atelier na złamanie karku, wiedząc, że nasi prześladowcy są tuż za nami.

W ciemności nie rozróżniałem kluczy. Ogarnęła mnie panika. Pamiętałem, że ten do atelier jest mniejszy niż pozostałe, że jest cienki i że ma okrągłą główkę. Usiłowałem namacać kształt każdego po kolei, prosząc los, żeby ten właściwy był na breloczku. Błagam, niech on tu będzie. Błagam. Strzały w domu ustały. Słyszałem tylko szum deszczu oraz huk pożaru. Domek, który miał być cichym schronieniem przed stresami współczesnego świata, pochłonęły płomienie.

— Pospiesz się, oni tu idą — krzyknęła Kathy. — Już tu idą.

Namacałem kluczyk z okrągłą główką. Z całej siły wcisnąłem go w zamek. Za plecami słyszałem zbliżające się kroki. Ktoś krzyknął, żebyśmy podnieśli ręce do góry — głos był stłumiony, ale dobiegał z bliska.

Wreszcie udało mi się otworzyć drzwi. Wepchnąłem Kathy do środka, sam wszedłem za nią, nie tracąc czasu na wyjęcie klucza z zanika. Zatrzasnąłem drzwi i zacząłem szukać zasuwki. W atelier pachniało werniksem i kadzidełkami. Wiedziałem, że Midge podczas malowania pali tu trawę. Wystarczyło popatrzeć na jej obrazy — były tak fatalne, że mogły się zrodzić tylko w umyśle odurzonym narkotykami, a poza tym kiedyś znalazłem walające się po kątach skрэty.

Z drugiej strony ktoś napał na drzwi z takim impetem, że uderzenie wytrąciło mi z ręki nóż. Uchyliły się na jakieś piętnaście centymetrów, w szparze pojawiła się osłonięta

rękawiczką dłoń, chwyciła je mocno i zaczęła coraz szerzej rozwierać.

— Zrób coś! — wrzasnęła Kathy piskliwym głosem.

Całym ciężarem ciała przycisnąłem drzwi, usiłując zmniejszyć szparę.

— Nóż mi upadł!

Włączyła światło. Czuję, że zaczynam się przesuwac po kamiennej posadzce — wiedziałem, że za parę sekund oni się tu dostaną. Zobaczyłem nóż. Leżał półtora metra ode mnie, poza zasięgiem.

Kathy rzuciła się przed siebie, zgarnęła broń z podłogi. Zanim się obejrzałem, złapała napastnika za nadgarstek i zatopiła ostrą krawędź noża w odsłoniętym przedramieniu. Na skórze pojawiła się smużka krwi. Deszcz ciężkich kropli opadł na drewniany parkiet. Mężczyzna zawył z bólu, zaklął i cofnął rękę. Kathy zatrasnęła drzwi, a ja szybko je zaryglowałem.

Padł strzał. Kula przeleciała między nami na wysokości głowy, z drzwi posypały się drzazgi. Poczułem piekący ból twarzy i odruchowo odwróciłem głowę.

Kathy aż podskoczyła.

— Jezu! — krzyknęła.

Chwyciłem ją za ramię i pociągnąłem w głąb. Ściany pokrywały abstrakcyjne malowidła — bezkształtne plamy kolorów, które zdawały się w ogóle niczego nie przedstawiać. Pośrodku stał stółek i sztalugi, a na nich — niedokończony obraz w odcieniach błękitu i zieleni, który wyglądał, jakby namalował go zezowaty szympan.

Huknął kolejny strzał. Kula przebiła obraz i zrykoszetowała od ściany. Biegliśmy dalej, już w milczeniu, aż dotarliśmy do okna, za którym był las. Nacisnąłem kłamkę — zamknięte. To cholerne okno było zamknięte. Do niego klucza na pewno nie miałem. Pięć metrów za nami bandyci kopali w drzwi. Chcieli je

wyważyć — i chyba byli na dobrej drodze. Znaleźliśmy się w potrzasku i miałem ledwie sekundy na podjęcie decyzji.

— Kurwa mać, wybij to okno! — wrzasnęła Kathy, rozglądając się za odpowiednim narzędziem.

Zerwała z półki porcelanowy dzbanek i cisnęła nim o szybę. Bez skutku. Okno było nowe, więc pewnie wykonane z grubego szkła.

Kiedy zabrzmiał trzeci strzał, jeden z zawiasów drzwi ustąpił. Złapałem stołek przy sztalugach i walnąłem nim w okno z całą siłą, na jaką potrafiłem się zdobyć. Na szkłe pojawiła się cienka rysa, więc zrobiłem rozbieg i zaatakowałem po raz drugi, jeszcze mocniej. Rysa się rozszerzyła — ale ja już dyszałem z wysiłku. Drzwi wejściowe wisiały na ostatnim zawiasie, który także lada chwila puści. W szparze widziałem obu mężczyzn, a jeden celował do nas z pistoletu.

Zebrałem całą siłę, jaka mi jeszcze została, i uderzyłem w okno po raz trzeci — i tym razem szyba pękła na dwie części, które wyleciały na zewnątrz z głośnym brzękiem. W ramie sterczał jeszcze tylko jeden spory kawałek, więc odłukłem go stołkiem.

Za nami drzwi z hukiem się otwały. Nasi prześladowcy dostali się do środka — w jasnym pomieszczeniu mieli nas teraz jak na dłoni. Ale tym razem za żadne skarby nie mieliśmy zamiaru się zatrzymać.

Odrzuciłem stołek na bok, chwyciłem Kathy i zanim zdążyła zaprotestować, podniosłem ją (dzięki Bogu, była szczupła) i przepchnąłem przez otwór okienny. Zrobiłem trzy kroki rozbiegu i — nie zważając na zbliżające się kroki oraz dziwnie przytłumione okrzyki, żeby podnieść ręce do góry — puściłem się naprzód i rzuciłem przez okno. Poczułem ostry, piekący ból — to kawałek szyby u dołu okna przeciął mi ubranie i rozorał skórę na brzuchu.

Przeleciałem nad potłuczonym szkłem, wylądowałem na rękach i przekoziółkowałem, uderzając nogami podnoszącą się właśnie Kathy. Natychmiast się zerwałem, złapałem ją za rękę i razem pobieглиśmy po mokrym od deszczu poszyciu. Wdychałem chłodne powietrze, przepełniony uczuciem ulgi. Kathy się potknęła — przytrzymałem ją. Przebiliśmy się przez jeżyny, przeskoczyliśmy nad leżącym pniem drzewa i biegliśmy coraz szybciej. Wiedzieliśmy, że jesteśmy wolni. Że pokonaliśmy sukinsynów. Naprawdę ich pokonaliśmy. W tamtej chwili wszystko inne nie miało znaczenia.

 Za nami okrzyki naszych prześladowców ginęły w deszczu.

Lench wyskoczył na korytarz i skrył się za drzwiami sypialni. Kula Danielsa minęła go o włos. Wiedział, że zasadzka się nie udała. Przygotował ją ze świadomością, że Daniels jest uzbrojony, więc frontalny atak nie obyłby się bez strat w ludziach. Dlatego kazał Mantanemu wspiąć się na parterową przybudówkę i stamtąd dostać do środka. Potem wrzucili koktajle Mołotowa z obu stron domu, żeby albo wykurzyć całą trójkę na dwór, albo — co było bardziej prawdopodobne — zmusić ją do wejścia po schodach, gdzie miał na nich czekać Mantani. Jego zadaniem było pozbycie się Danielsa, tak żeby Meronowie nie mieli innego wyjścia i musieli się poddać.

Lench założył, że Daniels pierwszy wejdzie na piętro i przez to będzie stosunkowo łatwym celem. Tak się jednak nie stało i teraz Mantani nie żył, a Lench sam musiał wszystko naprawić. Lepiej było obrzucić cały dom butelkami z benzyną i poczekać, aż wyjdą — odurzeni i bezbronni. Lata temu na wojnie w Chorwacji i Bośni nauczono go, że plan zawsze powinien być prosty. Komplikacje wiążą się ze stratą czasu. Ludzie, a szczególnie cywile, to w gruncie rzeczy tchórzliwe istoty, które łatwo ulegają panice. Żeby nad nimi zapanować, wystarczy element zaskoczenia i przeważająca siła. Tym razem zignorował tę prawdę. Próbował być chytry i poniósł konsekwencje. Wciąż jednak mógł uratować sytuację. Jeżeli tylko będzie działał szybko.

Skulony ruszył do sypialni, cały czas zwrócony w stronę rozbitego, zakrwawionego okna. Meron właśnie przez nie wychodził, a ze dwa metry dalej klęczał Daniels. W jednej ręce trzymał broń, a drugą usiłował unieść ciało Mantaniego, chcąc go użyć jako tarczy.

Lench nacisnął spust jeszcze w wyskoku. Daniels również wystrzelił, i to trzy razy. Kule przecięły powietrze jak smagnięcia bicia. Oba nie trafili. Lench wylądował na boku. Jego broń znów wystrzeliła, tym razem przypadkowo. Na suficie ponad łóżkiem pojawił się pierścień okrągłych dziurek — a z góry posypał się kurz i tynk. Daniels odpowiedział dwoma strzałami i oba pociski wbiły się w ścianę obok Lencha. Nastąpiła cisza. Nie widzieli się nawzajem. Lench słyszał, jak Daniels przesuwając się wzdłuż okna, zapewne chcąc uciec przez rozbity fragment. Wystrzelił trzynaście razy, a jego broń — glock, którego dostał od Lencha — miała magazynek na piętnaście naboju plus jeden w komorze. A zatem Danielsowi pozostały jeszcze trzy strzały. Czyli wciąż był groźny. Lench miał w strzelbie już tylko dwa pociski — i żadnych zapasowych. Kolejna lekcja z Bałkanów, którą zlekceważył: zawsze trzeba być przygotowanym na najgorsze.

Może miał wiele wad, jednak strach przed śmiercią na pewno nie był jedną z nich. Skoczył — zaskakująco zwinnie jak na tak potężnego mężczyznę — właściwie obliczył położenie Daniela i bez zastanowienia wypalił.

Daniela aż odrzuciło, ale chował się za ciałem Mantaniego i to ono przyjęło na siebie całą siłę uderzenia. Jego twarz zniknęła za gejzerem krwi i odłamków kości, który obryzgał policjanta. Daniels puścił zwłoki i z wściekłością pociągnął za spust glocka, wystrzelił dwukrotnie — i chybił. Wtedy Lench oddał swój ostatni strzał.

Pocisk trafił Daniela prosto w tors. Impet rzucił nim na potłuczone szkło. Broń wypadła mu z ręki, a zmasakrowane

ciało Mantaniego osunęło się na podłogę z głuchym tąpnięciem. Daniels stęknął z bólu, co napełniło Lencha tym przyjemnym uczuciem, jakie w jego doświadczeniu zawsze wiązało się z odebraniem komuś życia. Daniels chwiał się na nogach, ale Lench chciał, żeby w swych ostatnich sekundach życia był przytomny. Chciał być blisko przy umierającym człowieku. Cisnął broń na bok i wyjął jak dzikie zwierzę, rzucił się w poprzek łóżka.

Ale jak na faceta o krok od śmierci Daniels miał w sobie jeszcze sporo energii. Odskoczył na bok, Lenchowi jednak udało się go chwycić jedną ręką. Próbował go objąć, lecz Daniels się bronił. Lench zupełnie się nie spodziewał mocnego ciosu prosto w twarz.

Dwaj mężczyźni wciąż się szarpali. Lench usiłował zbliżyć rękę z podpiętym nożem do brzucha przeciwnika, ale kiedy napierał na jego korpus, pod ubraniem poczuł coś twardego. Sukinsyn miał na sobie kamizelkę kuloodporną. Nic dziwnego, że wciąż stawiał opór. Lench przełożył rękę z nożem pod pachę Danielsa, ale ten nagle szarpnął się gwałtownie, odepchnął od okna, złapał go za nadgarstek i wykręcił rękę.

Lench wolną pięścią wymierzył mu dwa mocne ciosy w twarz, po czym szybkim ruchem nadgarstka zwolnił ostrze, które rozcięło Danielsowi kciuk i o centymetry minęło szyję. Oszołomiony mężczyzna zachwiał się, wciąż nie puszczając przeciwnika. Lench wiedział, że musi się z nim przestać bawić. Musiał go wreszcie zabić, i to szybko. Pokój był pełen dymu, a z dworu dochodziły okrzyki dwóch jego ludzi, którzy gonili Meronów. Lench musiał czym prędzej odzyskać panowanie nad sytuacją.

Daniels złapał go za drugi nadgarstek, uniemożliwiając wymierzenie kolejnego ciosu. Wobec tego Lench mocno pchnął przeciwnika, przechylając go przez parapet. Korzystając z tego, że znajduje się w lepszej pozycji, naparł na Danielsa całym

ciężarem, usiłując wbić mu nóż w tchawicę. Ten wychylił się maksymalnie przez otwarte okno. Starał się zrobić unik przed ostrzem, które było coraz bliżej. Miał zakrwawioną twarz i oczy wybałuszone w napięciu. Nie potrafił zapanować nad drżeniem zranionej ręki. Lada chwila nie wytrzyma, puści nadgarstek Lencha, a wtedy śmierć będzie nieunikniona. Czubek noża był już tylko osiem centymetrów od jego jabłka Adama. Lench uśmiechnął się szeroko.

— Czas umierać, kolego — szepnął czule. — Czas rozlać krew.

Jego głos kipiał od triumfu.

Chwilę później jęknął zaskoczony — Daniels z całej siły wbił mu kolano w krocze, a następnie — zanim Lench zdążył dojsć do siebie — grzmotnął jego ręką z nożem o ramę okna, podniósł się i uderzył go głową w brodę. Lench stracił równowagę, Daniels odepchnął go, po czym odwrócił się i wyskoczył przez okno na dach przybudówki. Ignorując ból w kroczu, Lench próbował złapać go za nogę, ale Daniels kopnął go w dłoń, po czym zaczął się czołgać w stronę krawędzi.

Przez szpary w podłodze sączyły się strużki dymu. Lench zrozumiał, że za chwilę wszystko się zawali. Ale jego zdobycz nie mogła uciec. Wygramolił się przez okno i zeskoczył prosto na Daniela, trafiając go kolanami w plecy. Nadwerężony dach głośno skrzypnął, jednak Lench na to nie zważał. Złapał sukinsyna za włosy, gotowy poderżnąć mu gardło. Znowu coś skrzypnęło.

Daniels był jednak godnym przeciwnikiem, nie przyjmował przegranej do wiadomości. Gwałtownie przewrócił się na bok i strząsnął z siebie Lencha, pozbawiając go równowagi. Obaj zaczęli się staczać — i po chwili byli już w powietrzu.

Wylądowali na twardej ziemi: pierwszy Lench, a na nim Daniels. Upadek pozbawił Lencha tchu, ale wciąż miał on tyle przytomności umysłu, żeby zamachnąć się nożem. Minął

policzek przeciwnika o milimetry. Daniels już się wyswobodził, uskoczył przed ostrzem i podniósł się chwiejnie.

Rzucił się w stronę krzaków, ale po chwili skręcił gwałtownie, ponieważ z domku naprzeciwko wyłoniło się dwóch ludzi Lencha. Popędził zatem w kierunku drewnianego ogrodzenia, które oddzielało ogród od podjazdu. Pokonał przeszkodę, podciągając się na rękach.

Lench zdał sobie sprawę, że nie tylko Meronowie mogą mu uciec, ale także ten sukinsyn Daniels. Człowiek, za którego on sam był odpowiedzialny. Nie mógł na to pozwolić. Porażka nie wchodziła w grę. Nie dzisiaj.

Jeden z jego ludzi gestem pokazał, że Meronowie zbiegli. Lench zaklął, schował nóż, a potem podbiegł do mężczyzn i pierwszemu z nich zabrał pistolet.

— Dokąd oni uciekli, do jasnej cholery?

— Do lasu — odparł ten, któremu odebrał broń, głosem niezdradzającym zdenerwowania.

Bał się Lencha, tak jak wszyscy, którzy go znali, ale jednocześnie rozumiał, że szef w tej chwili ich potrzebuje, więc nie zrobi nic lekkomyślnego.

— Nie ma mowy, żebyśmy ich tam dorwali — dodał. — Mają nad nami z pięćdziesiąt metrów przewagi, może więcej.

Lench kazał im czekać, po czym popędził za uciekinierem. Wspiął się na ogrodzenie i usiadł na nim okrakiem. Daniels chwiejnym krokiem biegł w poprzek podjazdu z kluczykami w dłoni. Od terenowego nissana dzieliło go już tylko dziesięć metrów. Lench dokładnie przymierzył. Był piętnaście metrów od swojej ofiary. Broń ręczna słynie z braku celności na większą odległość, ale on był świetnym strzelcem. Nauczył się strzelać z pistoletu w 1991 roku w Chorwacji i od tamtej pory regularnie ćwiczył tę sztukę. Często jeździł na strzelnicę w Normandii, gdzie mógł wykorzystać swą wielką kolekcję legalnej broni. Glock 17, którego właśnie trzymał w dłoni, był jednym z tych

pistoletów. Kilka miesięcy wcześniej przeschmuglował go do Anglii w dostawie mikroprocesorów. Wycelował w tył głowy Daniela i zamarł w bezruchu. Jego ofiara nawet nie wiedziała, że jest na muszce. Ręka Lencha ani drgnęła. Daniels znajdował się już tylko osiem metrów od samochodu. Siedem. Lench pociągnął za spust. Sekundę później mężczyzna z szeroko rozpostartymi rękami runął twarzą w żwir.

Lench pozwolił sobie na uśmiech triumfu. Kolejna osoba na liście ofiar. Każdą z nich pamiętał, potrafił przywołać jej twarz i okoliczności śmierci. Czasem, kiedy tylko miał możliwość, zatrzymywał sobie trofeum. W szafce przy łóżku wciąż trzymał pukiel gęstych, kruczoczarnych włosów przepleciony przez małą złotą obrączkę. To pamiątka po ofierze, której zamordowanie jak dotąd sprawiło mu najwięcej radości: oszałamiająco pięknej osiemnastoletniej muzulmance. Była tuż po ślubie. W życiu nie widział równie błękitnych oczu. Wtargnął do domu dziewczyny w przygranicznym bośniackim miasteczku Banić zimą 1992 roku. Odebrał jej życie w trakcie krwawej orgii, która zapewne trwała tylko parę godzin, ale Lench miał wrażenie, że w ekstazie spędził długie lata.

Daniels się nie ruszał. Nie żył — co do tego nie było wątpliwości. Teraz nie mógł już Lenchowi więcej zagrozić. Problem polegał jednak na tym, że ludziom, którzy stanowili autentyczne zagrożenie — Tomowi i Kathy Meronom — znowu udał o się uciec.

Lench podniósł wzrok na ołowiane niebo; sprawiał wrażenie, jakby węszył zapach mokrego, nocnego powietrza. W oddali słyhać było wycie syren — wiedział, że jadą właśnie tu. Dom cały stał w ogniu, płomienie pełzały po murze, żar roznosił się po okolicy gęstymi, przyjemnymi falami. Widok pożaru i odgłosy strzelaniny wystarczyły, żeby zwrócić uwagę wszystkich w promieniu kilometra.

Zsunął się z ogrodzenia i podbiegł do pozostałych mężczyzn. Wiedział, że Meronów na razie stracił.

Nadeszła pora podnieść stawkę. Nadeszła pora, żeby skontaktować się z Dorrielem Grahamem.

Mike Bolt miał następującą teorię na temat pracy detektywa: nigdy nie da się wyjaśnić wszystkiego. Detektyw może się mniej więcej orientować co do motywacji przestępcy, ale rzadko kiedy — jeśli w ogóle kiedykolwiek — jest w stanie dostrzec pełny obraz. To samo dotyczy okoliczności zbrodni. Czasami mają miejsce rzeczy, które przeczą wszelkiej logice. Na przykład w uniwersyteckiej bibliotece zostaje zamordowana kobieta, a na narzędziu zbrodni znajdują się odciski palców jej koleżanki z pracy, którą kilka godzin wcześniej widziano piętnaście kilometrów dalej, w domu mężczyzny zabitego w zupełnie innych okolicznościach i zapewne przez kogoś innego. Nie wiadomo, czy te dwie sprawy w ogóle cokolwiek łączyło. W takich przypadkach nie warto dręczyć sobie umysłu wymyślaniem teorii — trzeba znaleźć świadków, którzy wypełnią za nas wszystkie luki. Tym razem oznaczało to konieczność odszukania Meronów.

Tuż przed jedenastą Bolt i Mo zajechali przed bazę grupy, gdzie na komisarza czekał samochód.

— Przepraszam, że schrzałem ci wieczór — powiedział Bolt, wysiadając z wozu partnera.

Mo się uśmiechnął.

— Nie ty, tylko wszyscy inni. Gdyby raczyli nie umierać nagle w tajemniczych okolicznościach i nie zostawiać za sobą

podejrzanej przeszłości, leżałbym teraz na kanapie z piwem w dłoni i oglądał Mecz tygodnia.

— No dobra, jedź już i trochę odpocznij. Zadzwoń rano.

— Jasne. Roześlesz komunikat w sprawie Meronów?

— Tak, zajmę się tym w drodze do domu.

Zatrzasnął drzwi i patrzył, jak Mo odjeżdża z parkingu. Deszcz już nie padał, a chmury na nocnym, pomarańczowym niebie powoli się przecierały. Bolt był wykończony. Ta sprawa nie przypominała żadnej z tych, z którymi dotąd miał do czynienia. Co chwila pojawiały się kompletnie do siebie nieprzystające elementy układanki, a wydarzenia toczyły się w zawrotnym tempie. Komisarz przywykł do spraw ciągnących się miesiącami, do żmudnego, długotrwałego zbierania dowodów przeciwko nieuchwytnym i szalenie ostrożnym osobnikom. Nie stykał się do tej pory z seriami przestępstw, w które mogły być zamieszane osoby z samego wierzchołka establishmentu, zaś zarówno podejrzani, jak i ofiary na pierwszy rzut oka byli zwykłymi, ciężko pracującymi ludźmi.

Bolt zastanawiał się, czy kluczem do tego wszystkiego był człowiek, którego rzekomym samobójstwem obecnie się zajmowali. Jeśli Parnham-Jones rzeczywiście należał do bezwzględnego gangu pedofilów, to musiały istnieć jakieś ślady. Najpewniej w jego komputerze.

Kiedy szedł w stronę forda oriona, którym teraz jeździł, jeszcze raz zadzwonił do Matta Turnera. Znów od razu włączyła się poczta głosowa. Bolt poprosił Turnera, żeby jak najprędzej do niego zatelefonował, nieważne o której godzinie.

Wyłączył telefon i zapalił silnik. Burczało mu w brzuchu, ale nie był głodny. Ten etap miał już za sobą. Teraz czuł po prostu pustkę. Pustkę i zmęczenie.

Wrzucił bieg i odjechał z parkingu.

31

Las za naszym domem ciągnął się nieprzerwanie przez dwa kilometry, po czym ustępował miejsca terenom rolnym. Biegliśmy w deszczu przez zarośla i wydawało nam się, że mijają długie godziny. Byliśmy wyczerpani i oszołomieni wydarzeniami tego koszmarnego dnia. Nie zwracaliśmy uwagi na to, że pędy jeżyn rozrywają nam ubranie i ranią odkrytą skórę — wiedzieliśmy, że jeśli chcemy przeżyć, nie możemy się zatrzymywać. Po raz pierwszy w życiu na świecie byli ludzie, którzy chcieli nas zabić.

W końcu dotarliśmy na skraj lasu. Padliśmy na kolana. Przed nami była spokojna wiejska droga, niewiele szersza od polnej ścieżki. Za nią rozciągało się pole pszenicy, które biegło w zagłębieniu terenu przez pół kilometra, po czym znów zaczynał się las. Dawniej, w szczęśliwszych czasach chodziliśmy tu czasami z dziećmi. Pamiętałem, że po drugiej stronie pola znajdują się szopy, niewidoczne z drogi. W powietrzu słychać było tylko nasze ciężkie oddechy, nieustanny stukot kropel deszczu oraz odległe wycie syren gdzieś za nami.

Po chwili Kathy podniosła się i spojrzała na mnie. To, co malowało się na jej twarzy, niepokojąco przypominało współczucie.

— Boże, Tom, przepraszam, że cię w to wszystko wplątałam. Kathy była ode mnie dużo sprawniejsza — ja wciąż klęczałem na ziemi i głośno dyszałem. Nic nie odpowiedziałem, ale moja mina była chyba wystarczająco wymowna.

— Nie wiedziałam, że przyjdą po Jacka — ciągnęła. — Byłam tam po prostu dlatego, że... no wiesz...

Wyobraziłem ich sobie na jego wielkim łóżku — wiedziałem, że musiało być wielkie. Kathy, a na niej Jack. Wyobraziłem sobie, jak ją rżnie. Moją żonę. Nasze życie intymne stało się ostatnio dość sporadyczne. W gruncie rzeczy było sporadyczne już od dość dawna. Teraz wiedziałem dlaczego. Ta zdrada ciążyła mi niemal fizycznie.

— Jak długo to trwało? — zapytałem, nie podnosząc się z kolan.

Ta pozycja wydawała mi się dość adekwatna. Idealnie oddawała moje upokorzenie.

— Jakiś czas — odparła. — Prawie dwa lata.

To był dla mnie szok. Owszem, wbrew pozorom wyglądało na to, że wciąż było mnie stać na przeżycie takowego. Oczywiście coś już wcześniej podejrzewałem, ale dwa długie lata? To tylko pogarszało sprawę.

Deszcz nieprzerwanie lał mi się na twarz. Wytarłem ją ze złością.

— Z moim najlepszym przyjacielem — powiedziałem.

— Ja tego przecież nie planowałam. To się samo stało.

— Jak?

— Spotkałam go w pubie u O’Neilla w Harrow. Byłam tam z kolegami z pracy.

— No, masz klasę.

— Tom, nie zaczynaj w ten sposób. Akurat teraz nie potrzebujemy twojego sarkastycznego poczucia humoru. Zresztą sam też nie jesteś taki znowu święty, prawda?

Tu mnie miała. Pięć lat wcześniej zdarzył mi się przelotny romans z dziewczyną z pracy. Nazywała się Bev i była ode mnie siedem lat młodsza. Zaczęło się właściwie przez przypadek. Wypiliśmy parę drinków za dużo na jednym z tych idiotycznych

wyjazdów motywacyjnych, na które w dzisiejszych czasach firmy ciągle wysyłają pracowników, żeby uczyli się kompletnie nieprzydatnych rzeczy, takich jak bieg na orientację albo wspinaczka skałkowa. Potem parę razy zdarzyło nam się baraszkować w biurze po pracy, spędziliśmy też jedną noc w hotelu w Brighton, ale chyba tak naprawdę obojgu nam niezbyt zależało na kontynuowaniu tej znajomości, a mnie trudno się było pogodzić z poczuciem winy. Więc kiedy Bev postanowiła zakończyć romans — skądinąd niezbyt dyplomatycznie: powiedziała, że się znudziła, i nie wspomniała nic o zostaniu przyjaciółmi — w gruncie rzeczy poczułem ulgę. Oczywiście szybko mi przeszło, kiedy ktoś — Bóg wie kto; ja się tego nigdy nie dowiedziałem — doniósł o wszystkim Kathy. Rozstaliśmy się przez to na parę tygodni, ale w końcu mi wybaczyła. Niemniej przyszło mi do głowy, że może ta sprawa przyczyniła się do wszystkiego, co zdarzyło się potem. Tak czy inaczej wyglądało na to, że nigdy mi tego do końca nie darowała.

— No dobrze, dobrze — powiedziałem. — Punkt dla ciebie. Więc od razu zaczęliście romansować?

Rzuciła mi pełne pogardy spojrzenie swych ciemnych oczu.

— Naprawdę masz o mnie tak kiepskie zdanie? Oczywiście, że nie. Trochę pogadaliśmy, postawił mi drinka, potem się pożegnaliśmy i od tamtego czasu długo go nie widziałam. Dobre parę miesięcy. Ale potem pewnej soboty wpadliśmy na siebie na ulicy. Byłam sama, bez dzieci, więc poszliśmy na kawę. Dobrze nam się rozmawiało, więc parę tygodni później umówiliśmy się na lunch. Parę razy się w ten sposób spotkaliśmy.

— Za moimi plecami.

— Tak jest, Tom. Za twoimi plecami. Nie układało nam się wtedy za dobrze. W ogóle od dłuższego czasu nie układa nam się za dobrze. A może nie zauważyłeś?

Nie odpowiedziałem. Chyba rzeczywiście było gorzej niż kiedyś, zanim urodziły się dzieci, ale wydawało mi się, że to typowe. Naturalna konsekwencja posiadania potomstwa. Wychodzi na to, że byłem w błędzie. Najwyraźniej myliłem się co do wielu rzeczy. Żyłem jakimiś złudzeniami.

— Z Jackiem dobrze się czułam. Tyle mogę powiedzieć. Nasza znajomość bardzo długo była platoniczna, ale w końcu zmieniała się w coś innego.

Cały Jack Calley. Zawsze był wytrwały. Nie tylko w relacjach z kobietami, ale w ogóle w życiu. Dokładnie sobie wyobrażałem, co myślał, kiedy urabiał moją żonę. Spokojnie, powoli. Bądź cierpliwy, a wreszcie ulegnie. Praw jej komplementy. Opowiadaj, jaka jest ładna. Jak jej mąż tego nie docenia. W ten sposób zaciągnął do łóżka dziesiątki kobiet. Swego czasu nawet go za to podziwiałem. Teraz wiedziałem, że był po prostu egoistycznym sukinsynem. Szkoda, że przekonałem się o tym dopiero teraz, już po jego śmierci. Miło by było powiedzieć mu w twarz, że jest kompletnym dupkiem. Nie byłem w stanie uwierzyć, że potrafił mi zrobić coś takiego. Wybrać Kathy i poświęcić długoletnią przyjaźń, jakby zupełnie nic nie znaczyła.

— Przykro mi — powiedziała. — Naprawdę.

Widziałem, że mówi szczerze.

Westchnąłem.

— Mieliście zamiar powiedzieć mi kiedyś?

— Rozmawialiśmy o tym, ale nigdy nie nadarzyła się dobra okazja. A ja nie chciałam zrobić czegokolwiek, co mogłoby skrzywdzić dzieci. To był... nie wiem... tak jakby zupełnie oddzielny związek od mojego życia z tobą i rodziną. Istniał równoległe.

— Istniał dość długo.

— Owszem — odparła. — To prawda.

W tym momencie usłyszeliśmy, że drogą zbliża się jakiś samochód. Opony zakłaskały w mokrym błocie. Nadjeżdżał powoli; światło reflektorów sunęło niespiesznie po linii drzew. Oboje odruchowo przykucnęliśmy. Kiedy nas mijał, zamarliśmy w ciszy. Nie dałem rady mu się przyjrzeć — zresztą specjalnie się nie starałem, w obawie, że ktoś z samochodu mógłby mnie zauważyć. Pewnie jechali w nim kompletnie niewinni ludzie, ale wydarzenia dzisiejszego dnia już mnie nauczyły, że lepiej dmuchać na zimne.

— Co teraz zrobimy? — spytała szeptem Kathy.

Kiedy światła samochodu zniknęły na horyzoncie, podniosła się z kolan.

— Schowamy się przed deszczem. A potem musimy zadzwonić na policję. Jest parę rzeczy, z których musisz się wytłumaczyć.

Także wstałem. Wyjąłem telefon, ale nadal nie było zasięgu.

— Bo jest jeszcze jedna sprawa — powiedziałem.

— Jaka?

— Przy ciele Vanessy znaleźli moje rękawiczki ze śladami krwi. Chyba ktoś mnie próbuje zrobić.

Kathy wyglądała na wstrząśniętą.

— Wiesz, skąd się tam mogły wziąć? — zapytała.

— Nie mam pojęcia. Na szczęście policja jeszcze nie wie, że są moje. Ale pewnie mają jakieś testy, które pomogą im to ustalić. A ja naprawdę nie chcę następnych dwudziestu lat spędzić w więzieniu za coś, czego nie zrobiłem. — Na chwilę zamilkłem. — Więc wiesz, jeśli...

— Tom, ja nie miałam nic wspólnego ze śmiercią Vanessy. I nie wiem, skąd na nożu wzięły się moje odciski palców. Wierzysz mi, prawda?

Z jej głosu poznałem, że potrzebuje, bym jej zaufał.

— Dlaczego Jack do mnie zadzwonił, kiedy go gonili? Jak dużo tak naprawdę o tym wszystkim wiesz?

Uniosłem głos, zdając sobie sprawę, że lada chwila możemy rozpocząć regularną kłótnię, co w tej sytuacji byłoby bardzo głupie.

— Nie miałam z tym wszystkim nic wspólnego — powiedziała stanowczym tonem. — I ja też nie chcę, żeby policja wrobiła mnie w morderstwo Vanessy.

— Wcześniej czy później i tak będziemy musieli z nimi porozmawiać. Zresztą szczerze mówiąc, to kto inny nas może ochronić?

Powoli się uspokajałem. Podeszedłem do Kathy, objąłem ją ramieniem i wtuliłem twarz w jej szyję. Miała mokrą skórę, nie pachniała perfumami tak jak zwykle. Pocałowałem ją delikatnie.

— Nie martw się, wszystko będzie dobrze — powiedziałem w miarę optymistycznym tonem. — A teraz schowajmy się przed deszczem. Potem zdecydujemy, co dalej robić.

Przebiliśmy się przez krzaki na skraju lasu, przeszliśmy na drugą stronę drogi, przez plot i znaleźliśmy się na polu. Musiało być niedawno orane — błoto spowalniało naszą wędrowkę. W pewnej odległości widziałem dwie duże drewniane szopy. Na betonowym podjeździe przed pierwszą z nich stał traktor, ale w okolicy nikogo nie było. Obróciłem się za siebie w biegu. W oddali, za lasem, niebo świeciło ognistą łuną. To tam płonął nasz domek. Pomyślałem o Warrenie i Midge. Zastanawiałem się, jakie będą mieli miny, kiedy usłyszą, co się stało. Chociaż od czasu, gdy kupiliśmy nasz udział, moja sympatia do nich osłabła — miałem wrażenie, że dla nich Jesteśmy, bo jesteśmy” — to i tak było mi ich żal. Oni ten dom uwielbiali.

Kiedy dotarliśmy do najbliższej szopy, ja znów dyszałem z wycieńczenia. Podbiegłem do ogromnych wrót i z radością

stwierdziłem, że nie są zamknięte. Otworzyłem je nie bez wysiłku, po czym weszliśmy do środka, wreszcie kryjąc się przed deszczem. Pachniało tam sianem i olejem silnikowym, ale po tych wszystkich miejscach, w których znalazłem się tego wieczoru, to wydawało się bardzo atrakcyjne. Odszukałem włącznik i zapaliłem światło. Pomieszczenie okazało się ogromne. Wzdłuż ścian ciągnęły się puste regały, wysokie aż do sufitu, zaś wewnątrz było tyle miejsca, że spokojnie można by wjechać traktorem. Pod przeciwległą ścianą stał land-rover. Ruszyłem w jego stronę, jednocześnie ściągając z siebie mokrą kurtkę. Kathy podążyła za mną.

Znów zerknąłem na telefon. Dalej brak zasięgu. Zaczynało mnie to wkurzać. To chyba ostatnie miejsce w całym kraju, gdzie nie działały komórki. Oczywiście dawniej, kiedy już w jakiś weekend udało nam się tu dotrzeć, ten fakt stanowił spory plus. Nikomu nie dawaliśmy numeru stacjonarnego do domku, więc znajdowaliśmy się tutaj kompletnie poza zasięgiem naszych szefów. Dzięki temu wreszcie mogliśmy się naprawdę odprężyć. Jednak teraz byliśmy na tym pustkowiu jak w pułapce, a do tego szukali nas bezwzględni ludzie — i brak działającej komórki stawał się autentycznym problemem.

Mielibyśmy za dużo szczęścia, gdyby w land-roverze znajdowały się kluczyki, ale przynajmniej był otwarty, a na siedzeniu kierowcy leżał gruby sweter. Wgramoliłem się do środka i podałem sweter żonie. Ściągnęła zamszową kurtkę oraz bluzkę — obie kompletnie przemoczone — po czym wzięła go ode mnie.

— Dzięki — szepnęła.

— Masz może zasięg?

Pokręciła głową. Rozpięła stanik, odsłaniając jędrne piersi z sutkami barwy ciemnej wiśni. Miała szczupłe, zgrabne ciało i skórę o złotawym odcieniu. Przyglądałem jej się przez chwilę,

pełen żalu, dopóki nie wciągnęła swetra i nie wsiadła z drugiej strony.

— Boże, jestem wykończona — westchnęła, zamykając oczy.

— My tu przecież nie możemy zostać — powiedziałem, ale było jasne, że Kathy nie ma zamiaru się stąd ruszyć.

— Muszę trochę pomyśleć — dodała, a w jej głosie słychać było zmęczenie.

Ja też musiałem to zrobić, chociaż wcale nie miałem ochoty. W opowieści Kathy było pełno luk i na pewno nie mówiła mi wszystkiego. Na tylnym siedzeniu znalazłem koc w szkocką kratę; w myślach podziękowałem właścicielowi wozu za przezorność. Kiedy się rozebrałem i ponownie położyłem w fotelu, przykryty po szyję, Kathy już spała. Cicho oddychała przez usta. Spróbowałem się do niej przytulić, ale najwyraźniej zachowała jeszcze trochę świadomości, bo się ode mnie odsunęła.

Po chwili usłyszałem, jak płacze. To było ponad moje siły. Moje małżeństwo legło w gruzach, a przez ostatnie Bóg wie ile lat kobieta, którą szczerze kochałem, żyła w totalnym kłamstwie.

Pozostawało tylko pytanie, czy kiedykolwiek przekonam się o jego skali.

Część druga

NIEDZIELA

Dorriel Graham, dwudziestodziewięcioletni haker, osadził swe bezkształtne cielsko hipopotama na specjalnie wzmocnionym fotelu naprzeciw supernowoczesnego komputera i rozpoczął cyberpolowanie na informacje, których zażądał jego klient. Klientem tym był Lench, ale obaj mężczyźni nie znali swej prawdziwej tożsamości. Nigdy się nawet nie spotkali. Dla Lencha Graham był jedynie numerem telefonu, pod który można było zadzwonić o każdej porze. On sam istniał natomiast wyłącznie jako Lima 2 — raz na jakiś czas korzystał z usług Dorriela, który zawsze mógł się od niego spodziewać odpowiedniej zapłaty.

Wirtualny świat Internetu stanowił dla Grahama całe życie. Dorriel był technonajemnikiem, który wykorzystując swe hakerskie umiejętności, potrafił odnaleźć każdego. Dane osobowe przeciętnego pełnoletniego obywatela Wielkiej Brytanii znajdują się w dziesiątkach, czasem setkach baz danych. Nawet ludzie, którzy nigdy nie biorą udziału w telefonicznych ankietach, świadomie unikają udzielania komukolwiek informacji na swój temat, jak najmniej rejestrują na własne nazwisko — oni też wszędzie pozostawiają wirtualne ślady. Wystarczy użyć karty płatniczej, a w jakiejś bazie danych znajdzie się zapis o tym, gdzie, kiedy i jakiego zakupu się dokonało. Jeśli korzysta się z telefonu komórkowego, a osoba, która chce nas odszukać, zna nasz numer, również trafi na nasz trop. Tylko najpoważniejsi, najlepiej zorganizowani przestępcy,

którzy znają wszystkie sztuczki, płacą wyłącznie gotówką i praktycznie niczego nie rejestrują na własne nazwisko, stanowią wyzwanie. Ale nawet ich da się namierzyć. Wystarczy dobrać się do ich rodziny i mniej ostrożnych znajomych.

Chodzi o to, że jeśli się tylko wie, gdzie szukać, można znaleźć każdego. A Dorriel Graham zawsze wiedział. Tego wieczoru dostał dwa nazwiska: Thomas i Katherine Meron. Miał za zadanie znaleźć miejsce zamieszkania ich najbliższych krewnych, a w pierwszym rzędzie tych, którzy mieszkali niedaleko. Lima 2 dodał, że to bardzo pilna robota — dał na nią tylko dwie godziny. W innych okolicznościach Graham wysłałby takiego klienta na drzewo. Na jego usługi był tak duży popyt, że mógł przebierać. Jednak tym razem ze zleceniem wiązało się niebagatelne honorarium w wysokości trzech tysięcy funtów, przy czym wiedział, że Lima 2 nie będzie się wymigiwał od zapłaty.

Graham ugryzł kawałek ekstradużego batona snickers, po czym zabrał się do Thomasa Merona. Szybko wpisał nazwisko w Google i okazało się, że mężczyzna od ośmiu lat pracuje w firmie Ezyrite Software Services z siedzibą w Harrow. Następnym krokiem było zatem włamanie się do bazy danych kadrowych Ezyrite. Ponieważ chodziło o firmę informatyczną, Dorriel przypuszczał, że może to stanowić trudne zadanie. Jak się okazało, nie miał powodów do obaw. Ich główny firewall miał tyle dziur, że Graham czytał dane osobowe Merona już po jedenastu minutach. W ten sposób poznał imiona jego rodziców oraz młodszego brata. Następnie absolutnie legalnie dostał się do spisu wyborców, z którego dowiedział się, że rodzice Merona mieszkają w Sidmouth w hrabstwie Devon, a brat — na wschodzie hrabstwa Kent.

Z Katherine Meron poszło już trochę trudniej. Co prawda bardzo szybko sprawdził, gdzie pracuje, ale uniwersytecka baza danych kadrowych okazała się zaskakująco dobrze

zabezpieczona. Dostał się do systemu dopiero po dwudziestu siedmiu minutach. Katherine miała starszą siostrę, która nie figurowała w spisie wyborców i nawet Google niczego nie znalazł. Dorriel był zmuszony skorzystać z mniej wyrafinowanych metod. Wszedł na stronę Friends Reunited. Kobieta korzystała z tego serwisu podobnie jak miliony innych ludzi, którzy pragną nawiązać kontakt z dawnymi kolegami ze szkoły. Zamieściła tam bardzo pomocną informację, że mieszka teraz w Sydney wraz z cudownym mężem oraz „swoimi maleństwami”, dwoma dalmatyńczykami: Harrym i Spikiem.

Tym samym Dorriel miał już wszystko, czego potrzebował. Minęła tylko godzina i dwadzieścia dwie minuty od chwili, gdy Lima 2 złożył zlecenie. Haker nawet przez chwilę się nie zastanawiał, w jaki sposób klient może się posłużyć tymi danymi. Dorriel nie należał do ludzi towarzyskich i szczerze mówiąc, nic go to nie obchodziło. Między innymi to właśnie dzięki temu można mu było ufać.

— Masz to, czego potrzebuję? — spytał głos w słuchawce.

— Tak — odrzekł Dorriel, poprawiając cielsko w fotelu i jednocześnie logując się na ulubioną stronę porno. — Sprawdziłem wszystkich krewnych. Najbliżej mieszka matka Katherine Meron, Irene Tyler. Ma pan długopis? Podaję adres.

33

Komisarz Mike Bolt mieszkał w samym sercu Londynu. Nie można sobie było wymarzyć miejsca bardziej centralnego niż garstka cichych uliczek odbijających z obu stron od Clerkenwell Road — tam, gdzie kończy się West End i zaczyna finansowa dzielnica City. Dawniej mieściły się tu drukarnie i browary, ale w ostatnich latach okolica zyskała wyższy status. Zaczęli się tu wprowadzać młodzi, modni i bogaci, więc wiele starych magazynów zmieniło się w apartamenty.

Bolt zajmował atrakcyjną kawalerkę na trzecim piętrze przebudowanego magazynu tuż obok jubilerskiego rejonu Hatton Garden, niedaleko stacji Farringdon. Od dwóch lat wynajmował to mieszkanie od ukraińskiego biznesmena, Iwana Stanewycza. Lokal był po prostu rewelacyjny, urządzony w najwyższym standardzie. Długi, obszerny, wyłożony posadzką z polerowanego drewna. Sypialnia znajdowała się na otwartym półpiętrze. Wzdłuż całej ściany biegły okna z widokiem na wschód, na światła Londynu. Wysokościowce Barbican Estate górowały nad okolicznymi domami jak trzy słupy. Stanewycz, właściciel firmy deweloperskiej, spokojnie mógł brać za to mieszkanie pięćset funtów tygodniowo, może nawet więcej. Ale Boltowi liczył tylko sto pięćdziesiąt funtów za miesiąc. Powód: Bolt kiedyś coś dla niego zrobił. Coś bardzo ważnego.

Dwa i pół roku wcześniej, wkrótce po tym, jak Bolt został przeniesiony do wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną, konkurencja Stanewycza porwała jego

dwunastoletnią córkę sprzed szkoły w Chelsea. Grozili, że ją uduszą, jeśli mężczyzna nie odda udziałów w kompleksie hotelowym na południu Francji. Pod presją żony Stanewycz niechętnie zgłosił się na policję. Sprawę powierzono zespołowi pod kierownictwem Bolta.

Na miejsce spotkania wyznaczono kawiarnię w Tottenham. Zgodnie z umową doszło do przekazania udziałów, jednak porywacze nie chcieli, żeby cokolwiek stanęło im na drodze. Dlatego też do czasu zakończenia formalności pojмали również samego Stanewycza. Następnie planowali odsprzedać udziały innej firmie. Bolt z zespołem monitorował spotkanie, jednak postanowił nie interweniować. Pozwolił porywaczom zabrać ukraińskiego biznesmena, a następnie podążył za nimi w bezpiecznej odległości.

Nigdy wcześniej ani później nie nadzorował równie trudnego pościgu. Porywacze musieli mieć ogromne doświadczenie w myleniu śladów. Podczas czterdziestopięciominutowego rajdu przez centrum Londynu wielokrotnie zmieniali kierunki, zawracali w niedozwolonych miejscach, momentami rozwijali na wąskich uliczkach Islington prędkość do stu dziesięciu kilometrów na godzinę (co wydawało się niemalże fizycznie niemożliwe; Bolt nigdy więcej czegoś podobnego nie zobaczył), a nawet wjechali pod prąd w jednokierunkową ulicę. Wszystko po to, żeby zgubić każdego, kto mógłby ich śledzić. Niemal im się to udało, ale jakimś cudem, przy wykorzystaniu licznych kamer telewizji przemysłowej oraz wielu różnych telefonów, Bolt nie stracił śladu porywaczy aż do ich kryjówki — mieszkania w suterenie w Fulham.

Bolt wezwał tam wszystkich dostępnych funkcjonariuszy, a także jednostkę antyterrorystyczną, która mogłaby pomóc, gdyby zaistniała konieczność ratowania porwanych.

Sam musiał podjąć decyzję. Czy poczekać i zobaczyć, jak potoczy się sytuacja, czy też wkroczyć z pełną siłą, zakładając,

że dziewczynka również się tam znajduje? Miał świadomość, że nawet jeśli postanowi czekać, oni i tak mogą zabić biznesmena oraz jego córkę. Rosyjska mafia nie ma skrupułów.

W końcu Bolt wybrał trzecią drogę. Zdobył numer telefonu do mieszkania i umieściwszy wcześniej na miejscu jednostkę uderzeniową, zadzwonił do porywaczy z pokoju operacyjnego w Scotland Yardzie. Liczył na to, że z ciekawości podniosą słuchawkę. Nie pomylił się — telefon odebrał sam szef porywaczy. Wówczas Bolt, łamiąc wszystkie podręcznikowe zasady, poinformował go, że nigdy nie zdobędzie udziałów w hotelu, że nigdy ich nikomu nie odsprzeda, nigdy nie wywinie się z sytuacji, w którą sam się wpędził, bo w Anglii nikt nie negocjuje z porywaczami, i wreszcie — że resztę życia spędzi za kratkami. Ale jeśliby wypuścił oboje zakładników, istniałaby szansa, że sędzia potraktuje sprawę ulgowo. Wyrecytował to wszystko, zanim człowiek na drugim końcu linii zdążył cokolwiek powiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że wiele ryzykuje, gdyż dziewczynka i tak mogła już nie żyć, a porywacze, zaalarmowani obecnością policji, mogli uznać, że nie mają już nic do stracenia, i zdecydować się na strzelaninę. Bolt nie miał duszy hazardzisty, ale był stanowczy i nie cofał się przed wzięciem odpowiedzialności za swoje działania.

W tym przypadku się udało. Porywacze mocno się przestraszyli i po przeprowadzeniu dalszych telefonicznych negocjacji, podczas których Bolt kilka razy powtórzył, że są otoczeni i nie mają żadnych szans, poddali się i uwolnili więźniów całych i zdrowych.

Stanewycz nigdy nie zapomniał, co Bolt dla niego zrobił.

Uważał, że uratował życie jemu i jego córce. Od tamtej pory utrzymywali sporadyczny kontakt i kiedy biznesmen dowiedział się, że Bolt szuka mieszkania, zaoferował pomoc. Zaproponował policjantowi nieodpłatny pobyt w jednym z jego lokali przez dowolnie długi okres. Bolt powinien był odmówić —

przyjęcie takiej oferty stało w sprzeczności z wszelkimi możliwymi przepisami. Gdyby wyszło na jaw, mógł przez to stracić pracę. W owym czasie był jednak wkurzony na życie, niezbyt się przejmował, co mówią zasady, a przede wszystkim nie miał grosza przy duszy, toteż zgodził się, ale pod jednym warunkiem: że będzie płacił choć trochę. Stanewycz nie chciał przyjąć ani grosza, ale Bolt nie lubił mieć u nikogo długów. W końcu zgodzili się na stawkę sto pięćdziesiąt funtów miesięcznie i komisarz wkrótce wprowadził się do nowego mieszkania.

Właśnie minęła północ. Bolt wdrapał się na trzecie piętro z torbą pełną tajskiego żarcia i wreszcie zamknął za sobą drzwi. Zdarzało się, że kiedy po dniu intensywnej pracy wracał do ciemnego, pustego domu, ogarniało go przygnębienie. Tak właśnie było tego wieczoru. Zapalając światło w przedpokoju, myślał o Tinie Boyd, o samotności, która wyzierała z jej ciemnych oczu. Zastanawiał się, czy w jego oczach też ją było widać.

Postawił torbę na metalowym blacie w kuchni, po czym otworzył puszkę Stelli. Natychmiast wypił łyk upragnionego napoju. Wyszedł z aneksu kuchennego i stanął w półmroku na środku pokoju, wpatrzony w pomarańczową poświatę nocnego miasta. Delektował się dźwiękami samochodów i głosami przechodniów, które dobiegały z ulicy. To wszystko było w stanie rozwiać jego ponury nastrój. Bolt mieszkał w Londynie od prawie dwudziestu lat, ale kiedy tak stawał przy oknie, wciąż czuł dreszcz podniecenia. Wywoływała go świadomość, że znajduje się w sercu jednego z najstarszych miast na świecie, tętniących życiem jak mało które. Wielu ludzi mówiło o Londynie krytycznie, a zresztą on sam pierwszy gotów był przyznać, że wiele rzeczy jest tu nie w porządku — na przykład potwornie wysoki wskaźnik przestępczości — ale nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby mieszkać gdziekolwiek indziej.

Tutaj czuł się bezpieczny i tutaj było jego miejsce. Nie umiał wyjaśnić tego uczucia, ale było dla niego równie prawdziwe i oczywiste jak podłoga, na której teraz stał. To miasto było jego podporą.

Przyzwyczał się już do samotnego życia. Chociaż spadło to na niego nagle, w sposób, którego nikt by sobie nie życzył, to jednak z czasem stwierdził, że mu odpowiada. Nie musiał się nikomu tłumaczyć, gdzie idzie i skąd wraca, mógł gotować to, na co miał ochotę, mógł hałasować, ile tylko chciał. Co więcej, lokalizacja mieszkania i fakt, że tuż za progiem czekała masa atrakcji, pomagały ukoić najgorsze napady melancholii, które zdarzały się, kiedy zbyt dużo myślał o wydarzeniach tamtej nocy sprzed trzech lat. Na razie nie miał ochoty zmieniać tej sytuacji.

Albo przynajmniej lubił to sobie wmawiać.

Właśnie nakładał jedzenie — rybę w sosie tamaryndowca ze smażonym ryżem kokosowym — i popijał piwo z puszki, kiedy zadzwoniła komórka.

Dzwonił Turner. Powiedział, że dopiero co wrócił z kina. Był na tym nowym filmie z Tomem Cruise'em.

— Kompletne dno. A dziewczyna, z którą byłem, zaraz po wyjściu z kina powiedziała, że jest zmęczona i chce do domu. Chyba film na całe życie wybił jej z głowy mężczyzn.

Bolt oparł się o blat i łyknął trochę piwa.

— Ech, nie ma sprawiedliwości na tym świecie, kolego.

— Święta prawda. A życie jest za krótkie na takie zmarnowane wieczory. Chyba powinienem złożyć pozew.

— Przeciw komu? Dziewczynie czy wytwórni?

— Obojgu.

Bolt roześmiał się. Lubił Turnera. Nie ulegało wątpliwości, że facet nie każdemu pasuje — tak jak najwyraźniej nie pasował dzisiejszej dziewczynie. Turner przedwcześnie łyślał,

miał pociągłą twarz i rzadko się uśmiechał. Lubił serwować cięte, cyniczne dowcipy, zawsze ze śmiertelną powagą. Nikt nie potrafił zgadnąć, dlaczego został gliniarzem. Na pewno nawet nie próbował utożsamiać się ze społeczeństwem, które darzył niechęcią ocierającą się o pogardę. Miał natomiast błyskotliwy umysł, w mgnieniu oka poznawał, gdy ktoś próbował mu wcisnąć kit, a przy tym jak mało kto znał się na komputerach. Nie mówiąc o tym, że był na tyle sumienny, żeby w weekend oddzwonić do szefa po północy.

— Rozumiem, że dostałeś moją wiadomość. Miałeś okazję spojrzeć na laptop Parnham-Jonesa?

— Nie było żadnego laptopa.

— Mamy informacje, czy w ogóle go posiadał?

— Na razie nie. Założyłem, że nie. Ale w ten czy inny sposób możemy się dowiedzieć, czy to prawda.

— Jutro zadzwonię do jego sprzątaczkii.

— Natomiast był komputer stacjonarny. Po południu tylko na niego rzuciłem okiem, ale kiedy odsłuchiwałem twoją wiadomość, przyjrzałem mu się dokładniej.

— Coś ciekawego?

— Tak — odrzekł Turner po chwili wahania. — Jest coś ciekawego.

Bolt zamarł w oczekiwaniu.

— Mów dalej.

— Jest jeden e-mail. Był zapisany jako jedyny plik w jego osobistym folderze. Zwróciłem na niego uwagę, bo miał zabezpieczenie hasłem. Łatwo je złamałem. Nie mogło zatrzymać nikogo, kto wie, co robi. Właśnie skończyłem czytać. Ktoś go w tym e-mailu szantażował.

— Masz to przed sobą? Możesz przeczytać?

— List jest krótki i treściwy. „Szanowny Lordzie. Wszystko wiemy. Znamy wszystkie szczegóły. Tysiąc dziewięćset

dziewięćdziesiąty ósmy. Dziewczynka. Jej ojciec też nie żyje, prawda? Powiesił się w więzieniu. Jeśli nie chcesz przez resztę życia gnić za kratkami, będziemy musieli się umówić co do paru spraw. Inaczej wszystko nagłośnimy. Wkrótce się odezwiemy”. — Turner zawiesił głos, ale Bolt milczał. — I to tyle — wyjaśnił po chwili. — Nie mam pojęcia, co on niby zrobił. Na dysku nie ma żadnych innych dokumentów, które mogłyby świadczyć o czymś niezgodnym z prawem. Nie ma też innych listów od szantażysty.

— Sprawdzales historię odwiedzanych stron?

— Pobieźnie. Niewiele korzystał z sieci i w odwiedzanych stronach nie ma niczego niezwykłego. Amazon, BBC, tego typu sprawy. Lubił czytać artykuły o sobie samym. Spodziewales się znaleźć coś innego?

— Nie — skłamał Bolt. — Tak tylko pytam.

Wciąż nie dawał mu spokoju brak laptopa. Czy Parnham-Jones mógł mieć prywatny komputer, za pomocą którego prowadził swe bardziej nikczemne przedsięwzięcia? Czy mógł go potem skraść zabójca, tak jak w przypadku Johna Gallana?

— Właśnie przesłałem ci tego e-maila — powiedział Turner.

— Rozumiem, że nie wiemy, kto jest nadawcą?

— Został wysłany z konta na Hotmailu. Adres już nie istnieje, a poza tym jeśli szantażysta wiedział, co robi, wysłał e-maila z kafejki internetowej, więc będzie go bardzo trudno namierzyć.

— Ale data wysłania jest znana, prawda?

— Tak. Jedenasty maja. Dziesięć dni temu.

Zatem niedawno. Czyli niemal na pewno ma związek ze śmiercią sędziego.

— To chyba stawia całą sprawę w innym świetle, no nie? — spytał Turner retorycznie.

— Zdecydowanie.

— Masz jakiś pomysł, o co może chodzić z tą zabitą dziewczynką i jej ojcem?

— Na razie nie — znowu skłamał Bolt.

Poprosił Turnera, żeby dalej przeszukiwał komputer, podziękował i rozłączył się.

Spojrzał na jedzenie bez większego zainteresowania. Owszem, pachniało apetycznie, ale on zbyt był teraz zaaferowany nowymi informacjami. Nie miał już wątpliwości, że prezesa Sądu Najwyższego zamordowano. Był też niemal całkowicie przekonany, że ten sam sprawca kilka miesięcy wcześniej zabił Johna Gallana. Istniało zbyt wiele silnych powiązań, żeby te dwie sprawy mogły nie mieć związku. Policjant na pewno zginął dlatego, że prowadził dochodzenie w sprawie oskarżeń lorda o pedofilię i morderstwo. Jednak dlaczego w takim razie zabito samego Pamham-Jonesa? Być może po to, by go uciszyć i nie dopuścić do upublicznienia potencjalnie sensacyjnych tajemnic. W takim razie mordercą musiał być jeden z pedofilów. Być może nawet członek establishmentu, chcący zapobiec skandalowi, który mógłby doprowadzić do upadku rządu.

Z tą teorią wiązało się jednak zasadnicze pytanie. Przecież osoba z najbardziej oczywistym motywem zabójstwa Pamham-Jonesa (chęć uniknięcia skandalu) by go nie szantażowała. Wręcz przeciwnie. Na niczym nie zależałoby jej tak bardzo jak na tym, żeby w panice nie zrobił jakiegoś głupstwa.

Więc kto u diabła wysłał tego e-maila?

34

Minęła trzecia nad ranem. Ulica była pusta.

Z krzaków w pobliżu frontowych drzwi domu Irene Tyler wyszedł czarny kot i z pogardą spojrzął na zamaskowanego mężczyznę w czerni, który majaczył w ciemności. Przeciął mu drogę, po czym zniknął w zaroślach. Lench nie pamiętał, czy to dobry, czy zły znak, ale szczerze mówiąc, nic go to nie obchodziło. Nie był przesądny i zawsze fascynowała go naiwność tych, którzy byli. Uważał, że ludzie sami kreują los poprzez swoje działania. Szczęście jest czysto przypadkowe. Nie istnieje życie pozagrobowe, nie ma świata umarłych. W przeciwnym razie Lencha dręczyłyby duchy wszystkich czterdziestu trzech osób, które zamordował, a tymczasem każdej nocy spał spokojnie i nie bał się ciemności.

Wyciągnął wytrych i zabrał się do pięciobolcowego zamka w drzwiach. Rozpracowanie go zajęło niecałą minutę. Potem wystarczyło już tylko otworzyć yale'owski zamek, na co Lench potrzebował ledwie kilku sekund. Następnie powoli uchylił drzwi. Były zamknięte na łańcuch, z którym rozprawił się za pomocą szczypców do cięcia drutu. Najwyraźniej Irene Tyler bardziej dbała o swoje bezpieczeństwo niż przeciętny obywatel, ale niewiele to pomogło. Dobry włamywacz jest w stanie wejść wszędzie — a Lench odbył w życiu wiele lekcji. Już na zewnątrz widział, że w domu założony jest alarm, toteż schował szczypce i wyjął wskaźnik laserowy. Obecnie wielu ludzi włącza na noc alarm na parterze. Biorąc pod uwagę, że Irene Tyler miała w

drzwiach dwa zaniki i łańcuch, można się było spodziewać, że należała do takich właśnie osób. Lench bardzo powoli wszedł do przedsionka i na ścianie po prawej ręce dostrzegł migające światelko czujnika ruchu. Kilka sekund celował wskaźnikiem, aż wreszcie trafił w sam środek czerwonej lampki, oślepiając w ten sposób czujnik.

Nogą zamknął drzwi wejściowe i krok po kroku zaczął się przesuwac wzdłuż ściany, utrzymując promień lasera całkowicie nieruchomo. Wreszcie dotarł do schodów i wszedł trzy stopnie. Z tak ostrego kąta nie mógł trafić w czujnik. Wiedział jednak, że w tym momencie jest już bezpieczny. Schował wskaźnik i ruszył na piętro.

Od razu trafił do sypialni Irene Tyler. Pokój był przestronny, ciepły, a w widmowym, niebieskawym świetle lampy ulicznej Lench wyraźnie widział jej postać. Leżała na boku przykryta kołdrą. Jej długie, siwe włosy rozrzucone były na poduszce. Chrapała cichutko. Zaniknął drzwi, niczym zjawia zbliżył się do krawędzi łóżka — niemal bezszelestnie, mimo że miał na nogach ciężkie buty. Wyczuwał delikatny zapach perfum. Kobieta mogła mieć jakieś sześćdziesiąt pięć lat. Skóra wokół jej ust nieco zwiotczała, ale w sumie patrzyło się na nią bez przykrości.

Lench pochylił się tak nisko, że jego twarz znalazła się o centymetry od twarzy Irene. Tak blisko, że był w stanie chłonać jej głęboki, senny oddech. Lench wysunął gadi język i powiódł czubkiem wzdłuż orlego nosa kobiety, niemalże go dotykając. Tak bardzo chciał ją polizać, poczuć ciepło jej skóry, jak wielokrotnie czynił z żeńskimi ofiarami w ogarniętej chaosem Bośni. Był to intymny gest, który w jego odczuciu zbliżał go do nich, a tym samym dawał mu większą władzę, kiedy w końcu pozbawiał je życia.

Ale tym razem musiał być ostrożny. Wiedział, że nie może pozostawić żadnych śladów DNA. Odgarnął więc siwe włosy

kobiety i dłonią w rękawiczce dotknął jej małżowiny. Irene wzdrygnęła się, ale nie obudziła. Wobec tego wepchnął jej palec w ucho. To podziałało. Wybałuszyła oczy i usiłowała wstać, ale przycisnął ją do łóżka i zasłonił usta. Drugą ręką wyciągnął długi sztylet, którym delikatnie przesunął jej po gardle.

— Czy alarm jest włączony? — syknął. — Kiwnij głową na tak albo pokręć na nie.

Kiwnęła, usiłując wydać z siebie jakiś stłumiony dźwięk.

— Jak zabiorę rękę, podasz mi kod. Jeśli będziesz się ościagać albo podasz mi niewłaściwy, wydlubię ci oko.

Był opanowany, mówił powoli, niemalże uspokajająco, dość wysokim głosem z akcentem wykształconego Anglika, który to głos kompletnie nie pasował do jego ogromnej postury i nie wiedzieć czemu czynił jego słowa jeszcze bardziej przerażającymi. Czubek noża przesunął się po jej twarzy i wreszcie zatrzymał na luźnej fałdzie skóry pod prawym okiem. Nie było najmniejszej wątpliwości, że mężczyzna mówi poważnie. Kobieta znów kiwnęła głową, tym razem po to, by potwierdzić, że rozumiała. Lench odsłonił jej usta. Nie cofnął jednak noża, więc aż zmrużyła oczy.

— Pięć dwa osiem jeden.

— Dobrze. — Schował nóż. — Odwróć się.

— Niech pan bierze, co chce, ale niech pan nie robi krzywdy dzieciom.

Więc tu są. Dobrze wiedzieć.

— Nie interesują mnie — skłamał, żeby była bardziej skora do współpracy. — A teraz rób, co każe.

Przewróciła się na brzuch. Lench wyjął dwie pary plastikowych więzów, jedną spętał jej nadgarstki, a drugą kostki. Nie stawiała oporu, ale wciąż powtarzała, żeby wziął, co chce, i nie robił krzywdy jej wnukom.

— Szeroko otwórz usta — polecił.

Włożył jej do ust piłkę golfową i zakleił taśmą maskującą.

Kiedy uznał, że już się nie oswobodzi, wrócił na parter. Tym razem nawet nie próbował się kryć przed czujnikiem ruchu. Kiedy rozbrzmiał alarm, Lench podszedł do klawiaturki w holu i wprowadził kod. Syrena natychmiast zamilkła.

Teraz mógł zacząć działać. Wyciągnął z kieszeni komórkę.

— Za minutę furgonetka ma być przed frontowym wejściem. Nie gaście silnika — polecił, po czym wrócił na piętro.

Na ludziach, których wziął do tej roboty, mógł polegać. Byli sprawdzonymi mordercami, ale mimo to wiedział, że miewają spore wątpliwości, kiedy chodzi o dzieci. Uważał to za słabość. W jego świecie nie istniała żadna nieprzekraczalna granica. Nauczył się tego podczas czterech lat spędzonych na jugosłowiańskich polach śmierci, gdzie walczył dla tej strony, która w danej chwili płaciła najwięcej. Każdy, stary czy młody, był potencjalną ofiarą. Ot, worki wypełnione krwią, nic więcej. Ale nie każdy to rozumiał — więc żeby uniknąć ewentualnego buntu, za ten wieczór obiecał swoim ludziom podwójną zapłatę.

Chłopiec i dziewczynka spali smacznie na piętrowym łóżku w pokoju na tyłach domu, wyłożonym tapetą z bohaterami Disneya, pełnym zabawek i pluszowych zwierzaków. Nawet dla kogoś takiego jak Lench było jasne, że Irene Tyler szaleje za wnukami. Mężczyzna przeszedł przez ciemny pokój i wyjął chłopca z łóżka. Mały się poruszył, ale nie obudził. Lench cichutko przeniósł go przez dom. Słyszał, jak Irene szamocze się w sypialni, jednak wiedział, że na pewno nie zdoła się uwolnić.

Gdy był w przedsionku, usłyszał, jak jego ludzie zajeżdżają przed dom bedfordem. Pchnął drzwi i szybkim krokiem podążył ścieżką w stronę ulicy. Dziecko wciąż spało spokojnie w jego ramionach. W furgonetce czekał kierowca oraz jeszcze jeden mężczyzna, który teraz wysiadł i otworzył tylne drzwi. Nie miał

już na głowie kominiarki, ale czapkę z daszkiem, naciągniętą głęboko na czoło, żeby zasłonić twarz. Wewnątrz leżały dwa materace. Lench położył chłopca na jednym z nich, po czym wrócił do domu. Po drodze rozejrzał się, czy w którymś z sąsiednich domów nie pali się światło. Nie paliło się.

Dziewczynka wierciła się przez sen. Robiła wrażenie, jakby miała się obudzić. Gdyby to było konieczne, Lench zakleiłby jej usta taśmą i spętał kończyny, ale ze względu na współpracowników wołał, żeby do tego nie doszło. Na szczęście mała spała dalej, również wtedy, gdy podniósł ją z łóżka i zabrał na dół.

— To mi się nie podoba — syknął mężczyzna w czapce, zamykając drzwi wozu.

Dzieci były już w środku.

— Nic im nie będzie — odrzekł Lench — bylebyście tylko nie nawalili. Bo macie bardzo dużo do stracenia.

Obaj mężczyźni wiedzieli, że Lench dysponuje informacjami, przez które mogliby spędzić resztę życia w więzieniu.

Podwładny mruknął coś pod nosem i wsiadł do furgonetki. Chwilę później odjechała spod domu i zniknęła na końcu uliczki. W okolicznych budynkach wciąż było ciemno. Żadnych odchylnych zasłon. Lench powolnym krokiem ruszył z powrotem do domu. Czuł znajomy dreszczyk podniecenia, jakby chłodne, delikatne palce łaskotały go w krocze.

Nie musiał zabijać Irene Tyler. Przecież nie widziała jego twarzy i w ogóle nie potrafiłaby go opisać, może z wyjątkiem głosu, co nie na wiele by się zdało. Mógłby ją tam zostawić, związaną jak świnie, niezdolną do wszczęcia alarmu.

Ale to by była straszna szkoda. Ostatnimi czasy tak rzadko miał okazję sobie pofolgować. Poza tym, jak wiele lat temu powiedział mu dowódca w spalonej wiosce w zachodniej Bośni, od niechcienia przeglądając stertę trupów — sztywniejące szczątki dziesięcioosobowej rodziny:

Martwi nie mogą cię wskazać palcem.

35

Spałem bezbarwnym snem i nic mi się nie śniło. Jak przez mgłę pamiętam, że w pewnym momencie na wpeł się obudziłem, bo zdrętwiało mi ramię, ale nie zwracałem na to większej uwagi, podobnie jak na wiele innych kłopotów, które ostatnio stały się moim udziałem. Zbyttno byłem zmęczony, żeby sobie nimi zwracać głowę, i już po chwili znowu odpłynąłem w sen.

Kiedy się już naprawdę obudziłem, bolała mnie z kolei twarz — tam, gdzie poprzedniego dnia zostałem zraniony nożem. Nożem, na którym znajdowały się odciski palców mojej żony. Kathy leżała zwinięta na fotelu pasażera. Głowę opierała o szybę. Koc prawie całkiem ze mnie ściągnęła — miała taki zwyczaj tak długo, jak byliśmy małżeństwem — i chyba było jej całkiem wygodnie. Zastanawiałem się, czy można by powiedzieć, że śpi snem niewiniątka.

Ziewnąłem. Było mi zimno i nie czułem się najlepiej. Spojrzałem na zegarek — za dwadzieścia siódma. Na dworze panował już dzień. Chciało mi się pić, jeść zresztą też. Prawie nic nie jadłem od wczorajszego lunchu — od którego, takie miałem wrażenie, minęły już chyba lata. Przed snem zdjęłem koszulę i dżinsy. Odłożyłem je na tylne siedzenie land-rovera, licząc na to, że przez noc wyschną. Niestety, kiedy je teraz znów włożyłem, dalej były mokre i lepkie.

Otworzyłem drzwi i wysiadłem rozprostować nogi. Stałem na kamiennej posadzce szopy. Dlaczego Kathy nie chciała iść na policję? To pytanie najbardziej mnie nurtowało. Czy

rzeczywiście była zamieszana w morderstwo Vanessy? Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić, ale wciąż wracałem myślami do jednego pytania: skąd, u diabła, na nożu wzięły się jej odciski palców? Policja też na pewno je zada, a Kathy najwyraźniej nie miała ochoty odpowiedzieć. Jednak nie ulegało wątpliwości, że i tak wcześniej czy później będziemy musieli wypić piwo, którego nawarzyliśmy — więc równie dobrze mogliśmy to zrobić od razu. Ja miałem zamiar oddać się w ręce policji, nawet jeśli Kathy była temu przeciwna. Przynajmniej zdobyłbym jakąś ochronę, tak dla siebie samego, jak i dla dzieci.

No właśnie, dzieci. Wszystkie dramatyczne wydarzenia zeszłego dnia sprawiły, że o nich zapomniałem. W tej chwili zdałem sobie jednak sprawę, że za nimi tęsknię. Najwyższa pora to wszystko zakończyć.

Otworzyły się drzwi pasażera i z samochodu wyszła Kathy z zapuchniętymi oczami.

— Dzień dobry — powiedziała i podeszła do mnie wolnym, niepewnym krokiem.

— Cześć.

— Posłuchaj...

— Musimy iść na policję — stwierdziłem.

Milczała, jakby się nad tym zastanawiając.

— Nie wiem jak ty, ale ja idę.

Powoli skinęła głową.

— Pójdę z tobą — powiedziała.

Nawet po tym wszystkim, co przeszła, oraz po gównianej nocy w samochodzie moja żona wciąż świetnie wyglądała. Kiedy na nią patrzyłem, żal aż mnie ścisnął za gardło. Gdybym tylko był w stanie, chyba bym się rozplakał, ale nie wiedzieć czemu problemy osobiste nigdy nie były w stanie doprowadzić mnie do łez. W ogóle rzadko kiedy płaczę, a jeśli już, to zwykle

w związku z czymś, wobec czego jestem bezsilny, tak jak śmierć mojej babci piętnaście lat temu albo porażka w bardzo ważnym meczu piłkarskim. No i zdarza się to tylko wtedy, kiedy za dużo wypiję — co chyba też coś o mnie mówi. Kiedy tak staliśmy naprzeciw siebie, zacząłem się zastanawiać, w którym momencie nasze małżeństwo naprawdę zaczęło się sypać. Jeśli miałem być ze sobą samym szczerzy, to pewnie wtedy, gdy przestała we mnie widzieć kochanka. Pewnie na długo zanim spotkała Jacka Calleya.

— Jak dostaniemy się do komisariatu? — zapytała.

— Masz jeszcze kluczyki do swojego hyundaia?

— Są w kurtce. Chcesz powiedzieć, że mamy się z powrotem zakraść do domu i zabrać samochód? Przecież tam będzie policja, prawda? Na pewno ktoś słyszał strzały, nie wspominając już o pożarze.

— Jeśli tak, to po problemie, no nie?

Skinęła głową, ale nie wyglądała na przekonaną.

Powrót zajął piętnaście minut. Widok resztek domu nami wstrząsnął. Całe pierwsze piętro w ogóle przestało istnieć. Stały tylko cztery zewnętrzne ściany — nierówne, osmalone. W niektórych miejscach nie miały nawet dwóch metrów wysokości. Ze strawionego przez ogień wnętrza wciąż unosiły się cieniutkie nitki dymu. Cały dom otaczała żółta taśma policyjna.

Przemknęliśmy na przód posesji. Na podjeździe parkował radiowóz, był jednak pusty, a w zasięgu wzroku nie dostrzegłem nikogo. Hyundai coupè mojej żony również tam stał. Dym okopcił rdzawoczerwoną karoserię, ale poza tym samochód wyglądał na nieuszkodzony.

— Daj kluczyki — powiedziałem, wyciągając rękę.

— Mowy nie ma — warknęła. — Ja prowadzę. Chodź, idziemy.

Zanim zdążyłem zaproponować, Kathy puściła się przez podjazd niezdarnym jak zwykle biegiem, chrząszcząc obcasami w żwirze. Nie miałem wyboru — musiałem podążyć za nią. Kiedy ją dogoniłem, z zaskoczeniem stwierdziłem, że uśmiecha się od ucha do ucha.

Z lewej strony ktoś krzyknął. Jakieś dziesięć metrów od nas zza ruin domu wyłonił się umundurowany gliniarz. Miał z dziesięć kilo nadwagi oraz różową, puciołowatą twarz, której widok nie napawał specjalnym optymizmem, jeśli chodzi o perspektywy zwalczania przestępczości na południu Anglii. Wyglądało na to, że przeszkodziliśmy mu w załatwianiu potrzeby fizjologicznej.

Kathy wyłączyła pilotem centralny zamek i podbiegła do drzwi od strony kierowcy.

— Ej! Zatrzymać się! — zawołał policjant i zaczął toczyć się w naszym kierunku.

Ja przystanąłem — ale nie Kathy. Wskoczyła do hyundaia i zapaliła silnik.

— Kathy, na litość boską, co ty wyprawiasz? On jest z policji.

— Proszę się nie ruszać — wydyszał gliniarz, pędząc w stronę drzwi wozu.

Kathy wrzuciła wsteczny bieg i ruszyła po podjeździe. Spod kół prysnął żwir. Policjant puścił się biegiem za samochodem.

Podjąłem szybką decyzję. Nie rozumiałem nawet połowy tego, co się wokół mnie działo, ale miałem silne wrażenie, że Kathy wie dużo więcej. Było możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, że jeśli nie będę jej towarzyszył tak długo, jak tylko się da, nigdy nie poznam prawdy. Dlatego także popędziłem za samochodem.

Kiedy gliniarz zobaczył, że też mam zamiar zwiać, rzucił się w moim kierunku, rozpościerając ramiona jak koszykarz broniący dostępu do kosza. Muszę powiedzieć, że wyglądał dosyć komicznie, i musiałem się powstrzymać, żeby nie

wybuchnąć śmiechem. Bez trudu go wyminąłem, odepchnąłem, gdy złapał mnie za kurtkę, i biegłem dalej — z prędkością, jakiej (jeśli nie liczyć wczorajszej ucieczki przed policją) nie osiągałem od czasów szkoły.

Kathy wciąż jechała na wstecznym i jednocześnie dawała mi znaki, żebym wsiadał. Po dziesięciu metrach zwolniła i otworzyła drzwi od strony pasażera. Słyszałem za sobą policjanta, ale wiedziałem, że jestem od niego szybszy. Hyundai toczył się już całkiem powoli. Chwyliłem otwarte drzwi i wskoczyłem do kabiny, a wtedy Kathy gwałtownie przyspieszyła i z piskiem opon wyjechała na drogę. Za nami gliniarz stał bezradnie na środku podjazdu i wykrzykiwał coś gorączkowo do krótkofalówki. Kathy wrzuciła pierwszy bieg i z maniakałnym śmiechem ruszyła naprzód pustą ulicą.

Znacie to uczucie, gdy budzicie się wczesnym rankiem, za oknem jest jeszcze ciemno, a wy przez te pierwsze kilka chwil nie jesteście tak do końca pewni, czy to jeszcze sen, czy już nie? Teraz tak się właśnie czułem. Moja żona, trzydziestopięcioletni nauczyciel akademicki, matka dwójki dzieci, zachowywała się jak jakiś szaleniec. Potrafiłem to wyjaśnić wyłącznie tym, że podobnie jak ona, ja też postradałem zmysły.

— Kathy, co się z tobą, do cholery, dzieje? Mieliliśmy się oddać w ręce policji, a nie kuma odstawić *Thelmę i Louise*.

Wyszczерzyła zęby w uśmiechu.

— No co, Tom, nie lubisz od czasu do czasu odrobiny ryzyka? Nie lubisz, prawda? Nigdy za bardzo nie lubiłeś ryzykować.

— Owszem, nie lubię uciekać przed policją. A przynajmniej nie wtedy, kiedy chcę się z nią skontaktować. Może już zapomniałaś, ale twoja koleżanka z pracy i twój kochanek nie żyją.

Natychmiast przestała się uśmiechać. Na jej twarzy pojawił się za to jednak wyraz hardości, determinacji, co zupełnie nie przypominało Kathy, którą znałem. Ale, jak wiele wskazywało — chyba jej nie znałem.

— Kiedy oddamy się w ręce policji, chcę, żeby to się odbyło na moich warunkach — powiedziała. — Chcę wejść do komisariatu na oczach wielu świadków, żeby nic mi się nie mogło stać. Nie mam zamiaru podchodzić do pierwszego lepszego grubasa w mundurze. Rozumiesz?

— Nie — odrzekłem. — Chyba nie rozumiem.

Zanim któreś z nas zdążyło coś dodać, zadzwonił mój telefon. Dziesięć sekund później odezwała się także komórka Kathy. Najwyraźniej wjeżdżaliśmy w zasięg. Miałem wiadomość w skrzynce głosowej. Dostałem także jedną wiadomość wideo. Nadawca zastrzegł numer. Na ekranie widniało pytanie, czy chcę ją odtworzyć. Zastanawiałem się, czy to nie jakiś spam. Mogłem się o tym przekonać tylko w jeden sposób.

Nacisnąłem „play”.

Po sekundzie na ekranie pojawiło się moich dwoje dzieci. Wyglądały na przestraszone i zagubione. Chloe musiała chyba płakać. Znajdowały się w nieznanym mi pokoju, siedziały na podwójnym łóżku. Na pomarańczowej ścianie za ich plecami nie było żadnych obrazów ani ozdób. Kamera pokazywała dzieci przez jakieś pięć sekund. Siedziały nieruchomo i nic nie mówiły. Potem na ekranie pojawił się mężczyzna ubrany od stóp do głów na czarno. Jego twarz zasłaniała tradycyjna już kominiarka. Stał pod drugą pomarańczową ścianą, także pustą. Mógł to być jeden z ludzi, z którymi zetknęliśmy się wczoraj — trudno powiedzieć. Zresztą to nie miało znaczenia. Komunikat był prosty: moje dzieci znajdowały się teraz w rękach bezwzględnych bandytów.

Nagranie się skończyło, a ze mnie jakby uleciało życie. Przepeliła mnie ponura mieszanka przygnębienia, bezsilności

i przerażenia. Tylko nie moje dzieci. Błagam, wszystko, tylko nie moje dzieci. Dla rodziców nie może być nic gorszego niż świadomość, że ich dziecko jest w niebezpieczeństwie i że nic na to nie mogą poradzić. Kompletna niemoc aż cię wtedy rozdziera. Stajesz się wrakiem człowieka, uległym, błagającym o litość — i przypuszczam, że oni na to właśnie liczyli.

Kathy zjechała na pobocze. Jęknęła — ona też obejrzała wiadomość na swojej komórce. Nie byłem nawet w stanie na nią spojrzeć. Uszła ze mnie cała energia i tym razem naprawdę zacząłem płakać. I modlić się. Modliłem się, żeby im się nic nie stało. Obiecałem Bogu, w którego nie wierzyłem przez ostatnie trzydzieści lat, że zrobię wszystko, co tylko będzie chciał, byleby tylko porywacze je wypuścili. Będę chodził do kościoła, oddam wszystkie swoje pieniądze na cele charytatywne, pojedę do Afryki pracować z głodującymi dziećmi... zrobię wszystko. Tylko błagam, niech im się nie stanie krzywda.

— O Boże — usłyszałem głos Kathy. — O Boże. Tylko nie moje maleństwa.

Otarłem oczy i spróbowałem się uspokoić. Na razie Maksowi i Chloe nic się nie stało. Musieliśmy zadbać o to, żeby ich porywacze dostali to, czego chcą, i tym razem bez żadnego chrzanienia. Przypuszczałem, że nagraniu powinna towarzyszyć jakaś wiadomość, więc połączyłem się z pocztą głosową. I rzeczywiście, wkrótce usłyszałem głos nieznanego mężczyzny.

— Wiecie, co mamy — powiedział takim tonem, jakby opisywał asortyment swojego sklepu. Jego głos był całkowicie zwyczajny, choć dosyć wysoki. — Jeśli chcecie je odzyskać w całości, zadzwońcie pod ten numer. — Następnie podał numer komórki, po czym się rozłączył.

Zacząłem szukać w schowku czegoś do pisania. Na końcu system podał godzinę nagrania wiadomości: 5.53, czyli niewiele ponad godzinę temu. Znalazłem długopis, ale papieru nigdzie

nie było, więc odsłuchałem nagranie raz jeszcze, zapisując numer na odwrocie karty drogowej.

— Chcą, żebyśmy do nich zadzwonili — powiedziałem, patrząc przez przednią szybę na wysadzaną drzewami drogę.

— Zadzwon — odparła Kathy, szlochając cicho.

— Wszystko, czego chcą. Cokolwiek wiesz, wszystko im powiesz, dobrze?

Wciąż na nią nie patrzyłem.

— Jasne.

— Żadne „jasne”. Masz powiedzieć „tak”.

— Tak, tak, tak. Tylko już zadzwon... proszę.

Chciałem jej powiedzieć, że to wszystko jej wina — ale tego nie zrobiłem. Wziąłem głęboki oddech i wybrałem numer. Telefon odebrano po pięciu sygnałach.

— Dobrze, że zadzwoniłeś — odezwał się mężczyzna, ten sam, który zostawił wiadomość na poczcie głosowej. — Musimy zakończyć tę sprawę jak najszybciej.

— Czy naszym dzieciom nic się nie stało?

— Nic im nie jest — powiedział z przekonaniem w głosie, ale nie wiedziałem, czy mogę mu wierzyć. — A teraz powiedz mi, gdzie jesteście.

— Jakies dwa kilometry od domku, niedaleko Bolderwood. W samochodzie.

— Czym?

— Mojej żony. Zabraliśmy go spod domu.

— I nikt was nie widział?

— Nie, chyba nie.

— Dobrze. Mam dla was wskazówki. Jeśli tylko się do nich ściśle zastosujecie, wypuścimy dzieci całe i zdrowe. Kiedy skończymy tę rozmowę, masz skasować wiadomość wideo, którą ci wysłaliśmy, i natychmiast wyłączyć telefon. Twoja żona ma zrobić to samo ze swoim. Następnie wyrzucicie swoje

telefony gdzieś, gdzie raczej ich nikt nie znajdzie. Nie próbujcie żadnych sztuczek z niewyłączaniem komórek. Ten sam człowiek, który ustalił tożsamość i adres twojej teściowej, w ciągu najbliższej godziny będzie regularnie dzwonił na te numery. Dysponuje technologią, dzięki której stwierdzi, czy wasze telefony wysyłają sygnał. Jeśli uzna, że zignorowaliście moje polecenia, jedno z waszych dzieci straci ucho. Będziecie mogli wybrać które.

— Błagam, nie róbcie krzywdy Maksowi i Chloe — powiedziałem, celowo używając ich imion. Chciałem, żeby porywacz nabrał do nich bardziej indywidualnego stosunku, chociaż byłem pewien, że na nic to się nie zda. — Obiecuję, że tym razem nikt nie będzie was próbował wyrolować. Dostaniecie od nas wszystko, czego chcecie.

Kątem oka widziałem, jak Kathy w otepieniu potakująco kiwa głową, a po twarzy ciekną jej łzy.

— Nic im się nie stanie, jeśli zrobicie, co każę. Masz coś do pisania?

— Moment.

Wolną ręką znów złapałem długopis i kartę drogową samochodu. Dłonie mi się trzęsły, ale głos pozostawał nienaturalnie spokojny. Powiedziałem mu, że jestem gotowy.

— Słuchaj uważnie. Kiedy pozbędziecie się telefonów, pojedziecie autostradą M trzy do Basingstoke i skróćcie na szosę A trzydzieści trzy w stronę Reading. Przejedziecie Reading i pojedziecie drogą na Henley-on-Thames. W Henley skróćcie na Marlow. Po pięciu kilometrach będzie skręt w lewo do miejscowości Hambleton. Zapisaleś?

Notowałem zaciekle.

— Tak, zapisałem.

— Zaparkujecie na rynku. Stoi tam budka telefoniczna. Za niewiele ponad godzinę, o ósmej piętnaście, zadzwonimy tam.

Radzę się pospieszyć, bo jeśli telefon nie zostanie odebrany, jedno z dzieci zapłaci za waszą opieszałość.

— Będziemy na czas, obiecuję. Proszę, nie róbcie im krzywdy. Przyj edziemy.

— Wtedy otrzymacie dalsze wskazówki — ciągnął, całkowicie ignorując moje błaganie. — O tej porze w niedzielę rano powinniście bez kłopotu zdążyć na ósmą piętnaście i jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dzieci jeszcze przed południem będą z wami. Ale zapamiętaj sobie dobrze: odstępście choć trochę od tego, co wam powiedziałem, dacie się złapać policji, zanim tu przyjedziecie albo spróbujecie się do kogoś zwrócić o pomoc, a wasze dzieci zginą samotną, bolesną śmiercią.

Każde słowo było jak cios, który pozbawiał mnie resztek sił. Zanurzałem się coraz głębiej w rozpacz, z której nie było ucieczki.

— Rozumiem — powiedziałem ledwie słyszalnym głosem.

— Czy mojej mamie nic nie jest? — odezwała się Kathy jakby z oddali. — Spytaj go, czy mojej mamie nic nie jest.

— Możesz sobie darować to pytanie — odparł mężczyzna, który najwyraźniej to usłyszał.

W tym momencie zrozumiałem, że Irene nie żyje, ale tak naprawdę to do mnie nie dotarło. Było zbyt wiele rzeczy, o których musiałem teraz myśleć.

— Pozbądźcie się telefonów i natychmiast jedźcie do Hambleden. Czekam.

Po tych słowach się rozłączył.

Kathy chwyciła mnie za ramię i zbliżyła twarz do mojej twarzy. Nigdy wcześniej nie widziałem w jej ciemnych oczach aż tyle bólu. Bólu, który był na pewno także w moich.

— Co powiedział? — zapytała.

— Dzieciom nic nie jest. Nie wiem, co z twoją mamą.

— O Boże. Oni ją zabili, prawda? Prawda?

— Nie wiem. Daj mi swój telefon. On chce, żebyśmy je wyłączyli i wyrzucili, żeby policja nie mogła nas po nich namierzyć. Potem mamy pojechać do miejscowości Hambleton koło Henley.

Kathy wyjęła komórkę z kieszeni i mi ją podała.

— Wiesz, że oni nas zabiją, prawda? Jak przyjedziemy. Po tym wszystkim za nic nas nie wypuszczą.

— Kathy, my już nie mamy wyboru — odparłem, patrząc jej w oczy. — Tym razem naprawdę mają nas w garści.

Wysiadłem z samochodu i podszedłem do drzew na poboczu. Wyłączyłem swój telefon i rzuciłem go w krzaki. Potem wyłączyłem telefon Kathy. Ale nie wyrzuciłem, bo wiedziałem, że ona ma rację. Kiedy oddamy naszemu prześladowcy — którym, jak przypuszczałem, był człowiek nazywany przez Daniela Lenchem — to, czego od nas żąda, kiedy już będzie miał wszystkie potrzebne informacje, staniemy się dla niego zbędnym balastem, którego trzeba się pozbyć. Ale nie to mnie martwiło. Niepokoił mnie fakt, że mogą się chcieć pozbyć także Maksa i Chloe. Cała nasza rodzina zostanie usunięta z powierzchni Ziemi, jakby nigdy nie istniała. Nie wiedziałem, kto mógłby nam pomóc, za to miałem pewność, że jeśli wyrzucę komórkę Kathy, pozbędę się ostatniej deski ratunku.

Włożyłem telefon do kieszeni i wróciłem do samochodu.

— Jedź na autostradę — powiedziałem.

Bez słowa zjechała z pobocza i ruszyła na północ.

Było dziesięć po siódmej.

36

Bolta obudził ostry sygnał komórki, która wibrując, sunęła po szafce nocnej jak jakaś rozentuzjasmowana zabawka z sex shopu. Komisarz ziewnął przeciągle i sięgnął po telefon. Nie zdążył jeszcze nawet otworzyć oczu, kiedy ze słuchawki zaczął na niego krzyczeć wyraźnie rozzłoszczony głos, którego Bolt w pierwszej chwili nie rozpoznał.

— Jesteście mi winni zajebiście wielkie przeprosiny, komisarzu Bolt. Co to ma być? Wam się wydaje, że skoro działamy gdzieś na przedmieściach, to jesteśmy tak kompletnie nieudolni, że nie warto sobie nami zawracać głowy? Że możecie mieć gdzieś nasze śledztwo i nawet się nie pofatygować, żeby nam powiedzieć, czego się dowiedzieliście?

Bolt uchylił jedno oko. Według budzika była godzina 7.17 rano. Dotarło do niego, że rozmawia z policjantem kierującym śledztwem w sprawie zabójstwa Jacka Calleya.

— Ach, nadkomisarz Lambden. Wcześniej pan wstał.

— Nie róbcie sobie ze mnie jaj, Bolt. Właśnie rozmawiałem z sąsiadem Calleya, Bernardem Crabbe. Okazuje się, że pan i pana kolega odwiedziliście go wczoraj z fotografią Toma i Kathy Meronów.

Bolt usiadł na łóżku, już w pełni rozbudzony.

— Skąd pan o nich wie?

— No na pewno nie od pana. Pewnie obaj dowiedzieliśmy się z tego samego źródła. Sprawdziliśmy wykaz rozmów Calleya i

okazało się, że ostatni telefon wykonał do domu Meronów. Pewnie nie przypuszczaliście, że też to potrafimy, co?

— Proszę posłuchać, ja naprawdę nie próbuję niczego ukryć...

— Dowiedzieliśmy się także, że pani Meron jest poszukiwana w związku z zabójstwem niejakiej Vanessy Blake — ciągnął Lambden, wciąż mocno poirytowany. — Wygląda na to, że nie jesteśmy takimi skończonymi ignorantami, jak się panu wydaje.

Bolt przetarł oczy.

— Nie mówiłem, że jesteście ignorantami.

— Czyny mówią więcej niż słowa.

— Jeśli tylko da mi pan chwilę, opowiem wszystko, co wiem.

— Świetnie. Słucham.

— Po pierwsze naprawdę przepraszam. Wczoraj wszystko działo się tak szybko, że trochę się zagalopowałem. Dziś rano miałem zamiar do pana zadzwonić i o wszystkim opowiedzieć.

— Dobrze, przeprosiny przyjęte — skwitował. — A teraz niech mi pan powie coś, co mi ułatwi znalezienie tego, kto powiesił Jacka Calleya.

Bolt wiedział, że musi dać Lambdenowi coś przyzwoitego, jeśli chce, żeby tamten pozostał po jego stronie. Wstał z łóżka i ruszył do łazienki, opowiadając nadkomisarzowi, że samobójstwo Parnham-Jonesa wyglądało raczej na morderstwo oraz że przed śmiercią ktoś go szantażował. Nie wspomniał o molestowaniu dzieci, ponieważ na razie nie miał nic, czym można by podeprzeć tę teorię.

— Nie wiem, jaki związek ma śmierć Parnham-Jonesa z Calleyem i Meronami, ale to chyba trochę za dużo jak na zbieg okoliczności — podsumował.

— Meronów ktoś szuka — powiedział Lambden. — Dziś rano dowiedziałem się, że zeszłej nocy doszczętnie spłonął domek w

New Forest, którego byli współwłaścicielami. Sąsiedzi wspominali o odgłosach strzałów. Tamtejsza policja wysłała na miejsce techników, żeby przejrzeni zgliszcza w poszukiwaniu ciał.

— Jeśli Meronowie nie żyją, to mamy kłopot. Chyba nikt inny nie będzie potrafił wyjaśnić śmierci Jacka Calleya i Vanessy Blake. Namierzyliście ich komórki?

— Między innymi dlatego do pana dzwonię — odparł nadkomisarz. — Sam pan wie, jak trudno na to dostać zgodę. Chcielibyśmy śledzić telefon Kathy Meron. Pan jako komisarz z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną ma większą szansę dostać zezwolenie. Jeśli dałby pan radę coś takiego zrobić, bardzo by to nam pomogło.

Bolt nalał sobie wody.

— Zajmę się tym. I tym razem obiecuję informować pana na bieżąco, dobrze?

— Dziękuję.

— To co, bez urazy?

— Oczywiście.

Lambden chyba mówił to absolutnie szczerze i Bolt zaczął mieć wyrzuty sumienia. Może wczoraj ocenił go zbyt surowo. Nadkomisarz podał numer telefonu komórkowego Kathy Meron, po czym się rozłączył.

Jeśli Tom albo Kathy mieli przy sobie włączone komórki, operator był w stanie określić ich dokładne położenie, śledząc sygnał. Jean Riley mogłaby to pewnie załatwić w mgnieniu oka, biorąc pod uwagę, jakie miała kontakty. Jednak w brytyjskiej policji zawsze są jakieś przeszkody do pokonania. Żeby zdobyć pozwolenie na takie działanie, Bolt musiał dotrzeć aż na samą górę — do szefa wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną, nadinspektora Steve'a Evansa. Postanowił natychmiast do niego zadzwonić.

Nadinspektor znany był z tego, że zwykł wczesnie wstawać. Przyzwyczał się do tego w wojsku. Odebrał telefon przy drugim sygnale, zupełnie jakby na to czekał. Bolt przedstawił sytuację krótko i konkretnie. Powiedział, że potrzebuje zgody na śledzenie sygnału telefonów Kathy i Toma Meronów, i wyjaśnił dlaczego.

Evans słuchał cierpliwie, a kiedy Bolt skończył mówić, również odpowiedział krótko i konkretnie.

— Udzielę ustnego zezwolenia na namierzenie sygnału telefonu Kathy Meron, ale nie Toma — powiedział. — W jego przypadku brakuje nam podstaw.

Bolt nie dyskutował. Nie było sensu. Evans i tak nadstawiał karku. Podziękował szefowi za pomoc.

— Informujcie mnie o przebiegu śledztwa — powiedział nadinspektor. — Formalności załatwimy później.

Następnie Bolt obudził Jean Riley. Jej głos brzmiał okropnie, ledwie była w stanie sklecić zdanie.

— Szefie, jest dwadzieścia po siódmej. O co chodzi? Spałam tylko trzy godziny.

Dwudziestoczteroletnia Jean była imprezowiczką i kiedy nie pracowała, lubiła zaszaleć. Pod tym względem stanowiła dokładne przeciwieństwo Matta Turnera i pewnie właśnie dlatego tak dobrze się rozumieli.

— Nagły wypadek — odparł Bolt bez cienia współczucia.

Następnie wyjaśnił jej, co mu jest potrzebne. Skacowana dziewczyna jęczała żałośnie i co chwila zanosila się ostrym kaszlem. Bolt nie zwracał na to uwagi.

— Rany — powiedziała, wreszcie się rozbudziwszy. — Ta sprawa naprawdę zaczyna być własnym życiem, no nie? Jakies pomysły, o co tu w ogóle może chodzić?

— Liczne, ale na razie nie wiadomo, czy którykolwiek trafny. Zadzwon, jak namierzysz telefon Kathy Meron.

Potem włożył szlafrok, zrobił sobie mocnej kawy i zadzwonił do Mo, żeby przekazać mu najświeższe nowiny, poczynając od e-maila od szantażysty na komputerze Parnham-Jonesa, a kończąc na pożarze domku w New Forest. W domu Khanów była właśnie pora śniadania. W tle Bolt słyszał baraszkuje dzieci Mo oraz Sairę, która z niewielkim powodzeniem usiłowała nad nimi zapanować. Wszystkie te hałasy ostro kontrastowały z ciszą w kuchni Bolta.

— Więc ktoś jeszcze wiedział o hobby kolegi P-J?

— Na to wygląda. Turner próbuje ustalić, skąd wysłano e-maila. Ma się do mnie potem odezwać. Dzwonię tylko po to, żeby się podzielić nowościami. Dzisiaj nie mam dla ciebie żadnych zadań. Spędź trochę czasu z rodziną.

— Dzięki — odrzekł Mo i poprosił komisarza, żeby chwilę zaczekał.

Bolt usłyszał odgłos zamykanych drzwi i hałasy w tle ucichły.

— Słuchaj, szefie — szepnął Mo — nie chcę, żeby mnie cokolwiek ominęło. Ta sprawa jest zbyt ważna. Jeśli tylko będziesz mnie potrzebował, daj znać, dobrze? Planujemy spokojny poranek, więc w niczym nam nie przeszkodzisz.

— Jasne. Jeśli coś wypadnie, zaraz zadzwonię. Ale na razie baw się dobrze z rodziną, OK?

— Myślisz, że Meronowie nie żyją? — spytał Mo.

— Możliwe — przyznał Bolt. — Najwyraźniej to, co wiedzą, jest na tyle cenne, że warto ich zabić, by to zdobyć. Jeśli zginą, ich tajemnica zginie razem z nimi. I bardzo się boję, że wtedy znajdziemy się znowu w punkcie wyjścia.

Na chwilę obaj zamilkli.

— W każdym razie — w końcu odezwał się Mo — wiesz, gdzie mnie szukać.

37

— Chyba jesteś mi winna wyjaśnienie — powiedziałem w końcu.

Zmierzaliśmy autostradą M27 na wschód w kierunku Southhampton i autostrady M3. Przez ostatnie dwadzieścia minut jechaliśmy w całkowitej, ponurej ciszy.

Kathy westchnęła i zaczęła się wiercić w fotelu, unikając mojego wzroku. Odniosłem wrażenie, że miała zamiar go teraz unikać aż do końca życia — kiedykolwiek miał on nastąpić.

— Kiedy wczoraj byłam u Jacka, dał mi klucz do schowka na dworcu King's Cross.

— Co tam jest?

— Nie powiedział. Mówił tylko, że gdyby jemu coś się stało, mam tam pójść, wyjąć zawartość i ją upublicznić. Powiedział, że on sam nie może tego zrobić, bo to by było nieetyczne.

— A od kiedy on się martwił o etykę? Sypianie z żoną przyjaciela też jest nieetyczne, a jakoś mu to nie przeszkadzało.

— Tom, ja tylko powtarzam, co on powiedział.

— Oni właśnie tego szukają, prawda? Tego, co jest tam w skrytce.

— Nie wiem. Pewnie tak.

— A ty go nie zapytałaś, co to takiego?

— Zapytałam, ale powiedział tylko tyle, że to należy do jego klienta. Zanim zapytasz: nie, nie wiem do którego.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem.

— I wzięłaś ten klucz? Dlaczego musiałaś się w to mieszać? Co to do cholery miało z tobą wspólnego?

— Słuchaj, Tom, wiem, że popełniłam błąd.

— Kurwa, błąd? Tak to nazywasz? To trochę więcej niż błąd, skarbie. Co najmniej trzy osoby, które znam, nie żyją, a teraz jakiś sadysta porwał nasze dzieci. A wszystko przez to, że miałaś romans z tym pokrętnym, kłamliwym sukinsynem.

— Tom, kurwa, ja wiem. Przestań mi o tym przypominać.

Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić.

— I naprawdę nie masz pojęcia, co jest w schowku?

Kathy też się chyba uspokoiła, a kiedy odpowiedziała, jej głos był delikatniejszy.

— Nie i wcale nie chcę się dowiedzieć. Cokolwiek tam jest, mogą sobie to wziąć.

— Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałaś?

— Kiedy miałam powiedzieć? Po śmierci Jacka nie wiedziałam, co robić. Spanikowałam i pojechałam do domku. Próbowałam wymyślić, co dalej. A potem przyjechałeś ty i ten facet, który podawał się za policjanta...

— Daniels.

W całym tym zamieszaniu zupełnie o nim zapomniałem. Zeszłej nocy uratował nam życie. Zastanawiałem się, czy też mu się udało uciec.

— Tak, on. Kiedy rozpoznałam jego głos, przeraziłam się. Byłam pewna, że szuka tego, co jest w skrytce. Myślałam, że gdyby się dowiedział, nie bylibyśmy mu już potrzebni i by się nas pozbył.

Brzmiało wiarygodnie, choć Bóg jeden wie, co mogło być w schowku. Na pewno coś wybuchowego. Ale dlaczego Jack dał klucz Kathy? Jego gadka o powodach etycznych nie była niczym innym jak tym właśnie — pustą gadką. Dał jej klucz z jakiegoś

powodu i znów byłem pewien, że Kathy nie mówi mi całej prawdy.

Jeszcze raz zapytałem, skąd na nożu wzięły się jej odciski palców. Odparła, że naprawdę nie wie.

— Wierysz mi, że nie miałam nic wspólnego ze śmiercią Vanessy, prawda? Przecież mężczyzna, który ją zabił, ciebie też zaatakował, a ty mi dalej nie ufasz?

— Ja już nie wiem, w co wierzyć — odparłem.

Mówiłem prawdę — nie wiedziałem.

Znowu zapadła pełna napięcia cisza. Nasze myśli skupiły się na tym, co najważniejsze: bezpieczeństwie naszych dzieci.

38

Bolt wypił dwie kawy, zjadł resztę tajskiego zarcia z zeszłego wieczoru oraz banana, wziął prysznic i właśnie się ubierał, kiedy znów zadzwoniła komórka.

— Mam jedną dobrą i jedną złą wiadomość.

To Jean Riley. Mówiła o wiele bardziej dziarsko niż poprzednio.

— Dawaj tę złą.

— Nie mogą namierzyć Kathy Meron. Ma wyłączony telefon.

— A ta dobra?

— Wszystko wskazuje na to, że żyją. A przynajmniej Tom Meron. Udało mi się dotrzeć do jego wykazu rozmów. Dziś rano z jego komórki dzwoniło o godzinie siódmej osiem z okolic Bolderwood w New Forest. Połączenie trwało dziewięćdziesiąt osiem sekund. Łączono się z telefonem na kartę, na nikogo niezarejestrowanym.

Bolt spojrział na zegarek. Ósma pięć. To było niecałą godzinę temu.

— Da się namierzyć tamten telefon?

— Trzeba by pogadać z samą górą.

Nie było wielkich szans, żeby nadinspektor Evans zgodził się na to, skoro nie zgodził się na namierzanie telefonu Toma Merona. Zresztą jeśli ta komórka należała do ludzi, którzy ścigali Meronów, na pewno dawno ją wyłączyli. Jednak sam

fakt, że z aparatu Toma ktoś dzwonił, mógł napawać niejakim optymizmem.

— Wyświadczysz mi jedną przysługę?

— Kolejną?

— Obiecuję, że ostatnią. Musisz zadbać o to, żeby cię powiadomiono, jak tylko telefon Kathy Meron zacznie wysyłać sygnał. Wtedy natychmiast do mnie zadzwoń. A gdybyś mogła trochę pomarudzić i poprosić kogoś, żeby cię poinformowali także o komórce Toma, to byłoby jeszcze lepiej.

— To w sumie dwie przysługi.

— Ale już ostatnie. Wiem, że to nie do końca zgodne z przepisami, ale zobacz, co da się zrobić. Jak następnym razem pójdziemy do pubu, masz u mnie drinki przez cały wieczór.

— Wie pan — odparła — wołałabym po prostu dowiedzieć się, co Meronowie mają wspólnego z samobójstwem lorda Parnham-Jonesa.

Nie ty jedna — pomyślał Bolt, rozłączając się.

39

Miasteczko Hambleton, położone na skraju wzgórz Cotswold, to kwintesencja angielskości. Kręcono tam wiele filmów i programów telewizyjnych. Wiem to, bo kilka widziałem. Jest tam mały, ładny rynek z czternastowiecznym kościołem, sklepikiem, rodzinną rzeźnią oraz pubem „Pod Jeleniem i Myśliwym” na rogu ulicy. W miasteczku stoją stare, urocze domki, niektóre kryte strzechą.

Kiedy podjechaliśmy pod budkę telefoniczną, była godzina 8.13. Wsiadłem, nie oglądając się na Kathy, i wszedłem do środka. W budce pachniało stęchlizną, ale o dziwo nie czuć było smrodu moczu, typowego w Londynie. Może tutaj woleli chodzić do toalety.

Stałem tam bez ruchu, drżąc z zimna, wpatrzony we wskazówkę sekundową na moim zegarku. Osiągnęła szczyt tarczy i sunęła dalej. 8.14. Jeszcze minuta. Dzięki Bogu, że Kathy jechała jak szalona. Mimo to nie mogłem odpędzić myśli, że może dotarliśmy tu za późno. Moje dzieci, moje kochane dzieci, mogły już nie żyć. Pięcioletnia dziewczynka i czteroletni chłopiec — dla mnie były wszystkim, jednak dla porywaczy tylko kartą przetargową i zbędnym balastem. Wciągnięte w to wszystko przez zdradę mojego dawnego przyjaciela, a potem mojej żony. Nic mnie nie obchodziło, co jest w tym zasranym schowku na King's Cross. To coś nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Ja tylko chciałem, żeby moje życie było znowu takie jak dawniej, kiedy układało mi się małżeństwo, świat nie stał na

głowie, a moje dzieci były szczęśliwe i roześmiane. Jednak gdy się tak wpatrywałem we wskazówkę sekundową, która nieugięcie sunęła naprzód i właśnie minęła szóstkę, wiedziałem, że przeszłość odeszła bezpowrotnie, a nasza przyszłość może być bardzo krótka i bardzo ponura.

Wreszcie zadzwonił telefon. Głośny, ostry dzwonek wyrwał mnie z zamyślenia. Zerknąłem na Kathy. Patrzyła tępo przez przednią szybę. Jej twarz była spięta i udręczona. Przez ostatnią godzinę moja żona postarzała się o dziesięć lat. Podniosłem słuchawkę. Miałem kompletnie sucho w gardle.

— Tom Meron — wychrypiałem do słuchawki.

— Widzę, że zdążyliście — powiedział ten sam mężczyzna, z którym rozmawiałem wcześniej. — Zakładam, że zastosowałeś się do moich poleceń.

— Tak.

— Wyłączyłeś i wyrzuciłeś telefony?

— Tak. Nie mam zamiaru narażać moich dzieci na niebezpieczeństwo.

— Bardzo słusznie. Mam dla was nowe wskazówki. Pójdziecie na północ przez rynek w kierunku pubu. Miniecie go po prawej stronie. Idźcie dalej pod górę. Ktoś wyjdzie tam wam na spotkanie. Będzie w masce. Pójdziecie z nim. Jeśli ktoś was śledzi, dowiemy się o tym, a wtedy zginie jedno z waszych dzieci.

Zadrzałem. Dobrze wiedziałem, że nie żartuje. Ze strachu aż mnie mdliło.

— Nie będziemy próbować żadnych sztuczek, przysięgam — powiedziałem.

Ale mówiłem to już do głuchego telefonu.

Wyszedłem z budki i dałem Kathy znak, żeby gdzieś zaparkowała. Znalazła miejsce pod murkiem okalającym miejscowy cmentarz. Wysiadła z samochodu. Poruszała się

niepewnie, jakby za chwilę miała się przewrócić. Cerę miała ziemistą. W ogóle jej nie współczułem — to ona nas w to wszystko wpakowała.

— Tędy — powiedziałem, wskazując na wzgórze, które wznosiło się za pubem i sklepem rzeźnika. — Musimy się pospieszyć.

Dogoniła mnie i w milczeniu ruszyliśmy drogą. W drzwiach jednego z domków stanął siwy mężczyzna po siedemdziesiątce, w tweedowej marynarce z krawatem. Uśmiechnął się i pomachał nam na powitanie. Odruchowo odwzajemniłem ten gest. Szczerze zazdrościłem każdemu, kto tego dnia miał jakikolwiek powód do uśmiechu.

Za pubem droga robiła się coraz bardziej stroma. Wzdłuż niej rosły drzewa, których gałęzie zwieszały się nad naszymi głowami. Wkrótce szeregowe domki się skończyły, a dębobukowy las zgęstniał. Tylko co jakiś czas między drzewami przebierały pojedyncze budynki. Słysząc było jedynie tokowanie bażantów oraz nieprzerwany warkot samolotów ponad gęstą powłoką białych chmur. W pewnym momencie z ogrodu jednego z domów nagle dobiegł nas śmiech małych dzieci. Wszystko się we mnie ścisnęło tak bardzo, że ledwie mogłem oddychać. Z trudnością utrzymywałem się na nogach, ale zmusiłem się, by iść naprzód. Chciałem uciec jak najdalej od tego dźwięku i od myśli, którą przywodził. Kathy dotrzymywała mi kroku, ale jej twarz zastygła w grymasie potwornego bólu. Wiedziałem, że ona też nie może tego znieść.

Z czasem droga stała się tak stroma, że dalszy marsz przypominał raczej wspinaczkę. Wsunąłem dłoń do kieszeni wciąż wilgotnej kurtki i namacałem telefon Kathy. Roztaczający się dookoła las był całkowicie cichy, nie było już domów, a droga stopniowo zmieniała się w wąską, wyboistą ścieżkę. Rozejrzałem się w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby nas śledzić, ale jeśli rzeczywiście gdzieś tam był, to świetnie się ukrywał.

Podobnie jak ja, Kathy również miała telefon z klapką, więc otworzyłem go teraz w kieszeni, kciukiem odnalazłem włącznik, wcisnąłem go i przytrzymałem, aż usłyszałem stłumione piknięcie.

Wreszcie, może cztery minuty po opuszczeniu samochodu, weszliśmy na płaski szczyt wzgórza. Po obu stronach drogi wciąż rosły drzewa, jednak w większych odstępach i znacznie trudniej byłoby się ukryć. Za nimi w oddali rozciągały się pola i stały zabudowania jakiegoś gospodarstwa. Wciąż nikogo nie widziałem.

Namaciałem kciukiem przycisk „2”. Kathy zawsze kiepsko pamiętała numery i dlatego w komórce miała bardzo prosty PIN: 2222. Cztery razy wcisnę klawisz i telefon zacznie wysyłać sygnał. Czytałem gdzieś, że to wystarczy, żeby operator mógł namierzyć jego położenie z dokładnością do kilku metrów. Podejmowałem straszliwe ryzyko i jakiś głos w mojej głowie mówił mi, że włączając komórkę, skazuję dzieci na śmierć. Jednak głębszy instynkt podpowiadał, że jeśli nie postaram się dać znać, gdzie jesteśmy, to będzie po nas — po całej naszej rodzinie. Oczywiście gdyby mnie przeszukali i znaleźli telefon, nie byłoby już ratunku. Musiałem go więc gdzieś wyrzucić, ale jak najbliżej miejsca, do którego zmierzaliśmy. Kłopot polegał na tym, że z każdym krokiem szansa, że odkryją mój podstęp, stawała się coraz większa. Nawet teraz ktoś mógł obserwować przez lornetkę każdy mój ruch.

Wprowadziłem PIN, zatrzasnąłem klapkę i zacisnąłem telefon w dłoni. Wyjąłem rękę z kieszeni i w momencie, gdy mijałem kałużę gęstego błota na poboczu drugi, pozwoliłem mu się wysunąć. Jednocześnie zbliżyłem się do Kathy, oparłem dłoń na jej ramieniu i powiedziałem — głośniejszym głosem, niż było konieczne — że wszystko będzie w porządku.

— Gówna, a nie w porządku — odburknęła, nawet na mnie nie patrząc.

Ale przynajmniej nie usłyszała, jak telefon upada na ziemię.

Natychmiast pożałowałem tego, co zrobiłem, ale teraz było już za późno, żeby się martwić. Kości zostały rzucone. Czasami w ułamku sekundy podejmujemy decyzje, które zmieniają całe nasze życie. Rzecz w tym, że niezależnie od wszystkiego musimy je podejmować. Szedłem dalej, nie gubiąc rytmu, tak żeby ktoś, kto być może nas obserwował, nawet się nie domyślił, że coś knuję. Nie odezwałem się już do Kathy, ani ona do mnie.

Tymczasem skończył się las, a zaczęły pola. Ścieżka biegła przez środek i znikła tam, gdzie teren zaczynał opadać. Około stu metrów w bok od dróżki stał samotny dom.

— Dobra, zatrzymać się — powiedział nieznamy głos z odległości kilku kroków z prawej strony.

Wykonałem polecenie. Zza gęstego krzaka ostrokrzewu wyszedł szczupły mężczyzna w masce Homera Simpsona. Ze dwa metry za nim, częściowo przesłonięty przez krzak, stał odeskowany parterowy budynek. Mężczyzna trzymał w ręku pistolet z długim, podobnym do cygara tłumikiem, przy którym jego wąski, nieowłosiony nadgarstek i niewielka dłoń wydawały się zupełnie malutkie. Miał na sobie dzinsy oraz czarną bluzę z kapturem, a na niej bajerancką czcionką napisane było SURF. Chociaż nie widziałem jego twarzy, potrafiłem stwierdzić, że jest młody. Mógł mieć dwadzieścia, może dwadzieścia parę lat. Robił wrażenie trochę niezdarnego i speszzonego — jakby nie był na sto procent przekonany, że postępuje właściwie.

Kiwnął na nas bronią i kiedy się zbliżyliśmy, popchnął nas za krzak, tak żebyśmy nie byli widoczni z drogi.

— Opróżnijcie kieszenie — polecił, machając pistoletem.

Zrobiliśmy, co kazał. Niewiele tego było. Ja miałem długopis, trochę drobnych i portfel z kartami kredytowymi. Kathy nie miała nic. Rzeczy osobiste zwykle nosiła w torebce, którą chyba

zostawiła w domku. To oznaczało, że teraz został z nich już tylko popiół.

— Rzuć to wszystko na ziemię.

Wypuściłem rzeczy z rąk i podniosłem ramiona, żeby mógł mnie przeszukać. Zrobił to po amatorsku, a potem zajął się Kathy. Popatrzyła na niego z wściekłością i mocno zacisnęła nogi, poddając się nieco bardziej szczegółowemu przeszukaniu.

Kiedy skończył, kazał mi z powrotem podnieść rzeczy.

— A teraz do środka — powiedział, popychając Kathy i mnie w kierunku parterowego budynku.

Dla podkreślenia swych słów wepchnął mi w plecy lufę pistoletu i wyglądało na to, że ta odrobina władzy sprawia mu przyjemność. Z przygnębieniem pomyślałem, że świat jest pełen ludzi, którzy czerpią zadowolenie i satysfakcję z zadawania bólu.

Dom najwyraźniej niedawno za duże pieniądze przerobiono ze stodoły i przez to przypominał luksusową chatę z bali. Duże okna frontowe z podwójnymi szybami miały zasunięte zasłony, tak że nie dało się zobaczyć, kto jest w środku. Podążyliśmy wybrukowaną ścieżką do drzwi wejściowych. Gdy znajdowaliśmy się dwa kroki od nich, otworzyły się z rozmachem. Stał w nich ogromny mężczyzna w kominiarce, który wczoraj wtargnął ze strzelbą powtarzalną do sypialni w domku. Człowiek, którego Daniels nazywał Lenchem. Tym razem nie był uzbrojony. Wciąż jednak miał na sobie to samo czarne ubranie, z tym że teraz upaćkane jasnym błotem. Ogromna postura oraz długie, małpie ramiona z mięśniami pękatymi jak kule armatnie upodabniały go do średniowiecznego kata z ilustracji w podręczniku historii. Mimo maski emanował chłodną pewnością siebie, która w naturalny sposób sprawiała, że w jego obecności ludzie czuli się słabsi. W świecie interesów co jakiś czas stykałem się z

takimi ludźmi, ale nigdy tak ogromnymi. Wszyscy odnosili sukcesy — i wszyscy, co do jednego, byli psychopatami.

— Wejdźcie do środka — powiedział Lench zwyczajnym, może nieco kobiecym głosem, który ani trochę nie osłabiał otaczającej go mrocznej aury.

Wszedłem pierwszy. Wskazał mi drogę do dużej, bardzo nowoczesnej kuchni, wykończonej sosnowym drewnem. Pośrodku stał dębowy stół na osiem osób. Wzdłuż ścian wisiały garnki, uporządkowane według rozmiaru. Wszystko lśniło czystością. Podeszedłem do okna naprzeciw wejścia i wyjrzałem na pole. Dołączyła do mnie Kathy, podczas gdy Lench usiadł naprzeciw nas, u szczytu stołu. Młody mężczyzna, który wcześniej nas przeszukał, stał niedaleko drzwi z bronią przy nodze. Maską Homera Simpsona uśmiechała się do nas głupkowato.

— Wiecie, czego chcę — odezwał się Lench, przechodząc od razu do rzeczy. — A ja wiem, że jedno z was to ma. Nasz wspólny przyjaciel Jack wskazał was, Tom, ale tak coś czuję, że chciał kogoś chronić.

Uśmiechnął się pod maską i spojrzał na Kathy. Wytrzymała jego spojrzenie, a strach, który wcześniej malował się na jej twarzy, ustąpił miejsca niemej wściekłości. Kathy była cała spięta i przez moment myślałem, że za chwilę zrobi coś głupiego, na przykład rzuci się na niego. Stała jednak nieruchomo i milczała.

— Rozmyślałem o tym od wczoraj. Kiedy Jack wiedział, że go zabijemy, spróbował wymyślić jakiś sposób, żeby ochronić kobietę, którą rznął, więc powiedział, że to jej mąż ma to, czego szukamy. Właśnie w ten sposób zostałeś w to wszystko wplątany, Tom. Naprawdę bardzo to wszystko niefortunne. — Pochylił się, oparł łokcie na stole i zaczął się nam przyglądać. — A teraz chwila prawdy. Czy będzie musiało zginąć dziecko, czy jednak powiecie mi, gdzie to jest?

Spojrzałem na Kathy, ale ona była dalej nieruchomo wpatrzona w Lencha.

— Zamordowałaś Vanesę, prawda? — powiedziała.

— Mówisz o tej kobiecie na uczelni? To był niestety skutek pomyłki, no i nie ja to zrobiłem. Mój kolega wpadł na nią, kiedy szukał ciebie. Szybko ustaliliśmy, kim jesteś i gdzie pracujesz. Ale nie interesuje mnie dyskusja na ten temat. Wiesz, czego chcę. Powiesz mi, gdzie to jest?

Z twarzy Kathy biła nienawiść i znów zacząłem się obawiać, że może zrobić jakieś głupstwo. Zbliżyłem się i położyłem dłoń na jej ramieniu.

— Proszę pamiętać, że pani dzieci liczą na panią.

Przez kilka sekund patrzyła na niego wyzywająco, ale w końcu schyliła się i podciągnęła nogawkę džinsów. Rozpięła suwak buta i wyjęła ze skarpetki niewielki złoty klucz. Posunęła go po blacie stołu w kierunku Lencha.

— Jack dał mi to wczoraj, zanim go zabiliście. To klucz do skrytki na stacji King's Cross. Nie wiem, czego wy właściwie szukacie, ale przypuszczam, że znajdziecie to właśnie tam.

— Trzysta dwadzieścia osiem — mruknął pod nosem Lench, oglądając klucz.

Następnie wyjął komórkę z kieszeni kurtki. Na naszych oczach wybrał numer, a następnie odwrócił się i wydał szereg poleceń na tyle cicho, żebyśmy nie słyszeli, co mówi. Zaledwie kilka sekund później z powrotem schował telefon.

— Mój człowiek dotrze na King's Cross za czterdzieści minut. Jak tylko zweryfikuje zawartość skrzynki, wypuścimy was i wasze dzieci. Ale jeśli nie byliście z nami całkowicie szczerzy, pod każdym względem — wydawało mi się, że wypowiadając te słowa, przeszywa mnie wzrokiem na wylot — to wszyscy zginiecie.

Pomyślałem o telefonie, który leżał w błocie pięćdziesiąt metrów stąd. Zastanawiałem się, czy nas uratuje, czy zgubi.

Dwadzieścia minut po pierwszym telefonie Jean Riley znów zadzwoniła do Mike'a Bolta. Tym razem komisarz chodził w tę i z powrotem po pokoju i jednym okiem oglądał Sky News. Rozpaczliwie szukał jakiegoś zajęcia. Dziennikarze analizowali wczorajszy mecz. Jak to często bywało, Anglia przegrała 2:0 z teoretycznie słabszym przeciwnikiem. Bolt przegapił drugiego gola — który padł w wyniku ogromnego zamieszania na polu bramkowym, po fatalnym błędzie bramkarza. Na szczęście Sky News przypomniało tę bramkę. Reporter nazwał to „szkolnym błędem” i Bolt musiał przyznać, że wyświechtane określenie w tym przypadku idealnie pasowało do sytuacji.

Jak dotąd w wiadomościach nie wspomniano o zabójstwie Jacka Calleya ani koleżanki Kathy Meron z uczelni. Najwyraźniej media na razie nie powiązały Jacka z lordem Parnham-Jonesem. Śmierć Vanessy Blake — zwyczajne zasztyletowanie, jakich aż nazbyt wiele w Londynie — mogłaby trafić co najwyżej do wiadomości lokalnych, a może i to nie.

Bolt natychmiast odebrał telefon.

— Mają sygnał z komórki Kathy Meron — oznajmiła Jean. — Miejscowość Hambleden w Buckinghamshire, jakieś dwanaście, trzynaście kilometrów od autostrady M czterdzieści.

— Wiem, gdzie to jest.

Bolt zawitał tam kiedyś z byłą żoną podczas jednego z wypadów za miasto, które urządzali sobie raz na jakiś czas. Zapamiętał Hamblenden jako uroczą miejscowość, otoczoną świetnymi terenami do pieszych wycieczek.

— Z jaką dokładnością możecie ustalić jej położenie?

— Jest na szczycie Ranger's Hill, które zaczyna się na północnym skraju wioski. Żeby dokładnie ustalić miejsce, trzeba by spojrzeć na mapę. Wybiera się pan tam?

Oczywiście, że się wybierał.

— Owszem, chyba się rozejrzę. Dam znać szefostwu, dokąd jadę. Jeśli ustalę położenie Kathy Meron, wezwę posiłki. Daj mi znać, gdyby były jakieś nowości.

Wiedział, że w tej chwili nie było sensu starać się o zaangażowanie większej siły — sama lokalizacja komórki Kathy Meron to za mało. Poza tym nie chciał, żeby okolica zarośla się od lokalnej policji. Meronowie mogli przecież znajdować się w niebezpieczeństwie, a wtedy ich życie zależałoby od zachowania dyskrecji.

Rozłączywszy się z Jean, Bolt zadzwonił do nadinspektora Evansa, ale telefon był zajęty. Wobec tego zostawił na poczcie głosowej wiadomość, w której o wszystkim szczegółowo zaraportował. Następnie skontaktował się z Keithem Lambdenem, którego również chciał poinformować o rozwoju śledztwa.

— Dowiedzieliśmy się, że Kathy Meron jeździ rdzawoczerwonym hyundai coupè — powiedział Lambden. — Godzinę temu do centrum koordynacyjnego zadzwoniła kobieta, która wczoraj około trzynastej trzydzieści widziała jej samochód zaparkowany za drzewami jakieś dwadzieścia metrów od domu Calleya. Z ulicy ledwie go było widać.

— O trzynastej trzydzieści? Chwilę wcześniej sąsiedzi widzieli, jak przejeżdżała. Dziwne. Ci sąsiedzi, państwo Crabbe,

mówili, że wcześniej widywali ją z Jackiem Calleyem kilka razy, więc uznałem, że pewnie mieli romans.

— To chyba logiczne przypuszczenie.

— Ale skoro tak, to dlaczego nie zaparkowała u niego na podjeździe? Tam by się zmieściły trzy samochody, a Calley miał tylko jeden. Po co miała zostawiać samochód dwadzieścia metrów dalej, i to w ustronnym miejscu?

— Może u Calleya już ktoś był?

— Albo — odparł Bolt — może chciała, żeby jej nikt nie zauważył.

Wydawało się, że czekamy bez końca. Minuty ciągnęły się niewyobrażalnie. Kathy i ja unikaliśmy kontaktu wzrokowego. Przez większość czasu staliśmy w miejscu, kompletnie bezradni, ale czasem któreś z nas zaczynało dreptać przy końcu stołu albo na chwilę siadało na jednym z krzeseł, zawsze unikając szyderczego spojrzenia Lencha.

On sam w ogóle się nie odzywał. Siedział niemal bez ruchu. Czekał, pewny siebie, z cierpliwością kota, który podchodzi ofiarę. Nie było sensu błagać go o litość — chyba oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Oto mieliśmy przed sobą człowieka, który czuł się bardzo dobrze z własnym okrucieństwem. Znaczyliśmy dla niego mniej niż sylwetki wycięte z tektury. To samo dotyczyło naszych dzieci. Zabiłby nas wszystkich bez chwili namysłu. Nie byliśmy nawet godni tego, by z nami rozmawiać, chyba że mogliśmy mu dostarczyć potrzebnych informacji. Nie sądzę, żeby na świecie było wielu ludzi o równie zimnym sercu. Przeklinałem swój parszywy los, że mnie z nim zetknął.

Po jakimś czasie Lench odsunął krzesło, szurając nim głośno po wyłożonej kafelkami posadzce, i wyszedł z pomieszczenia. Został tylko mężczyzna w masce Homera Simpsona. On również milczał.

Znów wyrząłem przez okno. Na zewnątrz było ładnie i zielono. W zwyczajnych okolicznościach podobałby mi się taki widok. Jednak dzisiaj żałowałem, że nie patrzę na coś brzydkiego, co bardziej by pasowało do stanu mojej duszy. Złomowisko albo hałda popiołu. Albo wysypisko odpadów. Zastanawiałem się, czy ktoś zareagował na moje SOS i właśnie szedł nam z pomocą. Przestań marzyć — powiedziałem sobie.

Nikt ci nie przyjdzie z pomocą. Jesteś zdany na siebie. Zawsze byłeś zdany na siebie.

Znów zerknąłem na zegarek. Dziesięć po dziewiątej. Czterdzieści minut już minęło. Człowiek, którego wysłał Lench, na pewno zdążył dotrzeć na King's Cross. Zbliżała się chwila prawdy. A wraz z nią zapewne śmierć. Jednak w tym momencie nie to zajmowało moje myśli. Coś mi nie dawało spokoju. Coś, co powiedziała Kathy, brzmiało fałszywie. Odtworzyłem w głowie naszą wcześniejszą rozmowę w samochodzie. Przyznała, że Jack dał jej klucz i że w skrytce jest coś ważnego, co należy do jednego z klientów Jacka. To samo powtórzyła Lenchowi i powiedziała mu, gdzie znaleźć skrytkę.

Nie, chodziło o coś innego...

Spojrzałem na nią. Siedziała z lekko pochyloną głową, z opuszczonym wzrokiem. Dłonie ułożyła płasko na blacie stołu. Jeden z kciuków miarowo poruszał się to w prawo, to w lewo, jak wycieraczka na przedniej szybie samochodu. To była jedyna widoczna oznaka napięcia, które musiało ją przecieżyć wykańczać. Ona nigdy nie reagowała żywiołowo. W przeciwieństwie do mnie zawsze tłumiła w sobie przejawy emocji, co niezmiennie mnie w niej irytowało.

Jej odciski palców znajdowały się na nożu, którym zabito Vanessę. Jednak to nie ona zabiła. Widziałem mordercę, a poza tym Lench nie ukrywał, że zrobił to jeden z jego ludzi. Więc nie Kathy. Ale jej odciski palców znajdowały się na nożu.

I wtedy do mnie dotarło. Wczorajszego wieczoru w ogóle mnie nie zapytała o to, skąd wzięły się moje rany. Daniels też nic o nich nie mówił. Więc nie mogła wiedzieć, że zaatakował mnie morderca Vanessy. Mimo to kiedy dziś rozmawialiśmy, wspomniała o tej napaści. Ba, mówiła nawet, że był to mężczyzna.

Skąd, u diabła, mogła wiedzieć?

Zacząłem gorączkowo szukać w pamięci momentu, w którym coś mi się mogło wymknąć, ale w ogóle bardzo niewiele rozmawialiśmy i miałem właściwie stuprocentową pewność, że o niczym jej nie powiedziałem. To mogło oznaczać tylko jedno.

Wczoraj po południu była w bibliotece.

Z Clerkenwell Bolt pojechał do Angel Gate i skręcił w lewo, ruszając Pentonville Road w kierunku zachodnim. Pentonville Road przeszła w Euston Road, potem w Marylebone Road i wreszcie w autostradę M40. Zwykle na tej trasie był duży ruch, ale w niedzielny poranek przed dziewiątą panował tu spokój i Bolt dotarł na autostradę w dwadzieścia minut.

Nie zwalniał poniżej stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i po kwadransie opuścił M40 na zjeździe numer 5 przy High Wycombe i ruszył szosą A404 do Marlow. Przez całą drogę ani razu nie zadzwonił telefon, co uznał za dobry znak. Nic nowego się nie wydarzyło. Albo Jean wróciła do łóżka, albo komórka Kathy Meron wciąż była włączona i nie zmieniła położenia.

Wciąż jechał szybko, łamiąc wszelkie ograniczenia, i o 9.10, w czterdzieści minut od momentu, gdy wyruszył z domu, wreszcie skręcił w wiejską drogę, która po dwóch kilometrach doprowadziła go do Hambleton.

Odwiedził tę miejscowość z Mikaelą ostatniego lata przed jej śmiercią. Było słonecznie i nie za ciepło, a na łące na skraju miasteczka toczył się mecz krykieta. Zjedli obiad w ogródku pubu. Grzali się na słońcu i cieszyli absolutnym spokojem, jaki ich otaczał. Kontrast z miejskim zgiełkiem był tak ogromny, że Boltowi przez moment zamarzyło się życie tutaj, z dala od całego zamieszania. Mikaela najwyraźniej myślała to samo. „Jeśli kiedyś będziemy mieli dzieci, chciałabym, żeby się tu

wychowywały” — powiedziała, sącząc wino. Rozglądała się po zielonych, pofalowanych pagórkach, a w blasku słońca jej długie blond włosy były prawie białe. „Moglibyśmy kupić trochę ziemi i hodować kurczaki”.

Wówczas już od wielu miesięcy wiedział, że Mikaela chce mieć dzieci. Ten temat coraz częściej pojawiał się w rozmowach. Jemu brakowało podobnej pewności. Kochał ją, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Ale dzieci... Dzieci to wielka odpowiedzialność, a biorąc pod uwagę zawód, który wykonywał, po prostu nie był przekonany, czy oboje są na to gotowi. „Poczekajmy jeszcze trochę. Rok, dwa. Przecież nie ma pośpiechu” — odrzekł wtedy, odsuwając to od siebie, chociaż dobrze wiedział, że pewnego dnia będzie musiał wybrać: albo założy rodzinę, albo straci Mikaelę.

Przejechał przez stary most, który wiódł prosto na rynek. Niemal natychmiast zauważył rdzawoczerwonego hyundaia. Sprawdził rejestrację — tak, to samochód Kathy. Bolt jechał dalej, po prawej stronie minął rzeźnika i pub, i dotarł tam, gdzie kończyła się miejscowość, a droga zaczynała się pięć pod górę. Z mapy systemu nawigacji satelitarnej zamontowanego w samochodzie dowiedział się, że jest u stóp Ranger's Hill. Jednak zamiast wjeżdżać na szczyt, skręcił na miejscowy parking, gdzie przy kilku samochodach stała luźna grupka wędrowców w średnim wieku. Mieli na sobie szorty i pionierki, i głośno rozmawiali. Postanowił, że resztę drogi pokona piechotą. W ten sposób nie będzie się rzucał w oczy.

Wysiadł z wozu, przełączył komórkę na tryb wibracji i rozpoczął marsz, zastanawiając się, co go czeka.

43

Dum-dum, dum-dum — słyszałem, jak łomocze mi serce. Każdy szanujący się lekarz natychmiast przepisałby mi betablokery. Każda minuta zdawała się trwać lata. Lata pełne strachu, niepewności i zdrady. Moje dzieci znajdowały się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Moja żona żyła kłamstwem, którego rozmiary rosły z każdą kolejną odkrywaną przeze mnie warstwą fałszu. Jak ja tego mogłem nie widzieć? Wiedziałem, że Kathy jest — a raczej była — dobrym człowiekiem. Kochającą matką. Osobą przyjazną wobec ludzi, których poznawała. Kimś, kogo wszyscy lubili — dużo bardziej niż mnie. Jednak pod tą całą powłoką coś było bardzo, bardzo nie tak. Wczoraj była w bibliotece. Teraz miałem już całkowitą pewność. Na nożu znajdowały się jej odciski palców, a poza tym to by również wyjaśniało obecność moich rękawiczek. Znów na nią zerknąłem, ale nie zauważyła mojego spojrzenia, wciąż wpatrzona we własne dłonie.

Na moim zegarku była dziewiąta dwadzieścia. Wkrótce w ten lub inny sposób to wszystko miało dobiec końca. Gdyby tylko wypuścili moje dzieci, to by mi w zupełności wystarczyło. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale w owej chwili perspektywa, że ktoś przyłoży mi pistolet do skroni i skończy całe moje cierpienie, niemalże napawała mnie poczuciem ulgi. Chętnie odszedłbym z tego świata, zanim dane mi będzie poznać kolejne ponure fakty, które bezpowrotnie zrujnowały moje

życie. Gdybym tylko wiedział, że moim dzieciom nic się nie stanie.

Otworzyły się drzwi i do kuchni wszedł Lench. Przez kominiarkę trudno było odczytać emocje na jego twarzy, ale coś mi mówiło, że nie jest zadowolony. Przystanął po przeciwległej stronie stołu i wbił wzrok w Kathy.

— Powiedziała mi pani, że nie wie, co jest w skrytce — rzeki ponuro.

— Bo nie wiem — odparła Kathy, podnosząc wzrok. Jej ton wyrażał święte oburzenie.

Nie poskutkowało.

— Mój człowiek sprawdził zawartość schowka — Lench nawet nie usiłował ukryć poirytowania. — Jest tam to, czego szukamy, ale sądzimy, że to nie wszystko. I uważamy, że pani wie, gdzie znajduje się reszta.

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

— A ja myślę, że pani kłamie.

W jego głosie było coś mrozącego krew w żyłach. Jakaś nutka podniecenia, jakby cieszyło go, że Kathy stawia opór, bo dawało mu to powód, by zrobić jej krzywdę. Powolnym krokiem obszedł stół i zbliżył się do niej.

Kathy chyba to wyczuła, bo kiedy się znów odezwała, jej ton był już łagodniejszy.

— Przysięgam, że nie kłamie. Jack poprosił, żebym pilnowała klucza, nic więcej.

— Kathy, jeśli coś ukrywasz, proszę cię, powiedz mu — powiedziałem.

Poczułem nagły przypływ troski. Bóg wie czemu — po tym wszystkim, co się stało.

Lench zatrzymał się z metr od niej.

— Chcę wiedzieć, czy istnieją kopie.

— Kopie czego? Daję słowo, że nie wiem, o co chodzi.

— Na litość boską, powiedz mu, co chce wiedzieć. I tak to z ciebie wyciągnie. — Położyłem jej rękę na ramieniu i mocno ścisnąłem. — Proszę cię.

Lench obrócił się w moją stronę, a potem spojrział przez ramię na Homera Simpsona.

— Zabierz go stąd — powiedział, robiąc w moim kierunku lekceważący ruch ręką.

Homer Simpson ruszył się ze swego miejsca przy drzwiach i podszedł do mnie. Spojrzałem na Kathy błagalnym wzrokiem, ale ona patrzyła w innym kierunku. Homer złapał mnie bezceremonialnie za ramię, wbił mi tłumik w plecy i pociągnął do wyjścia.

— Kathy, na litość boską, on ma nasze dzieci! Powiedz mu wszystko, co chce wiedzieć. Pojebało cię?

Coś we mnie płonęło. Gniew. Gniew na Lencha, na Kathy, na faceta w gównianej masce Homera Simpsona. Na cały zasrane świat. Kiedy Homer znów mnie pociągnął, odepchnąłem go, ignorując fakt, że przykłada mi pistolet do pleców.

— Niczego nie próbuj, Meron — warknął Lench. — Jak sam powiedziałaś, mamy wasze bachory. Jeśli będzie trzeba, to je posiekamy na plasterki.

Potem zwrócił się do Homera:

— Zabierz go stąd. Gdyby podskakiwał, możesz go zabić. Już go nie potrzebujemy, więc jak chce popełnić samobójstwo, to jego sprawa.

Wciąż wrzał we mnie gniew, więc kiedy Homer wyprowadzał mnie z pomieszczenia, rzuciłem w stronę Lencha jeszcze jedną uwagę:

— Jeśli moim dzieciom coś się stanie, będą cię ściagać nawet na koniec świata. Wiesz o tym, prawda? W tym kraju nie tolerują morderców dzieci.

Jednak Lench po prostu odwrócił się do mnie plecami, jakbym się już w ogóle nie liczył. Wyciągnął w stronę Kathy swą ogromną dłoń w rękawiczce. W oczach Kathy błysnął strach.

Homer otworzył drzwi i wypchnął mnie na korytarz. Zaciągnął mnie do pokoju dziennego, którego okna, podobnie jak te w kuchni, wychodziły na obie strony posesji. I tak samo jak w kuchni, panował tutaj nieskazitelny porządek. Na ścianie wisiał telewizor plazmowy, wkoło stały drogie, skórzane meble, a jednak pomieszczenie było kompletnie pozbawione charakteru.

— Naprawdę chcesz, żeby cię kojarzono z mordercami dzieci? — zapytałem.

— Gównu mnie to obchodzi — odparł od niechcienia i zamknął drzwi kopniakiem.

Natychmiast zrozumiałem, że mówi szczerze. Nic go nie obchodził los moich dzieci, podobnie jak ból mój i Kathy.

Najwyraźniej postrzegałem dotąd świat i ludzi zbyt optymistycznie. Zawsze wierzyłem, że ludzie są w gruncie rzeczy dobrzy. Teraz jednak z każdą chwilą coraz lepiej rozumiałem, że po ziemi chodzi pełno zdeprawowanych sukinsynów, którzy nie mają żadnych pozytywnych cech, nie kierują się w życiu żadnymi zasadami i w najmniejszym stopniu nie dbają o innych ludzi. Ten dumy śmieć był jednym z nich.

Gniew wybuchł we mnie nagle i od tej chwili postępowałem instynktownie, wolny od balastu świadomych myśli oraz towarzyszącego im strachu. Kiedy Homer pchnął mnie w kierunku niskiej, obitej czarną skórą kanapy, która pewnie kosztowałaby mnie miesięczne zarobki, obróciłem się bez ostrzeżenia, pogardliwym ruchem odepchnąłem jego pistolet i zanim w ogóle zdążył zareagować, wyrzuciłem go czołem w nasadę nosa. Usłyszałem trzask, który świadczył o pęknięciu chrząstki. Z tak niewielkiej odległości brzmiało to jak wystrzał. Z nozdrzy trysnęła mu krew, zachwiał się na nogach jak pijany i

z szeroko otwartymi oczami grzmotnął tyłem głowy we framugę. W dłoni wciąż trzymał broń, więc złapałem go za nadgarstek i podniosłem mu ramię do góry, kierując lufę w sufit. Zerwałem mu z twarzy maskę i powtórzyłem cios, trzykrotnie, raz za razem, w to samo miejsce. Ponieważ głową opierał się o framugę i nie mógł zrobić uniku, przyjął pełną siłę każdego uderzenia. Jednocześnie grzmotnąłem go pięścią w brzuch, a potem w jaja. Jęknął, a nadgarstek opadł bezwładnie. Wykorzystałem to i wyrwałem mu z ręki broń. Potem wycelowałem ją w niego i wreszcie miałem okazję mu się przyjrzeć. Twarz niezbyt atrakcyjnego dwudziestolatka, w tej chwili na wpół nieprzytomnego, była blada i obsypana bliznami po ospie, a teraz także ochlapana krwią. Kiedy osuwał się po ścianie na gruby dywan, kopnąłem go w nią, łamiąc kolejne kości.

Cały atak przeprowadziłem w niemal idealnej ciszy, ale i tak zastanawiałem się, czy nikt mnie nie usłyszał. W końcu od miejsca, gdzie Lench trzymał moją żonę, dzieliło nas tylko kilka metrów i parę ścian.

Spojrzałem na pistolet, który trzymałem w dłoni. Ręka trochę mi drżała. Popatrzyłem na Homera Simpsona. Szybko nie wstanie. Zadałem sobie proste pytanie: co ja teraz mam zrobić?

Wtedy usłyszałem huk wystrzału, brzęk tłuczonego szkła i już nie musiałem odpowiadać na to pytanie.

Dotarłszy na szczyt wzgórza, Bolt zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Nie słyszał jednak nic poza naturalnymi odgłosami lasu: szumiały liście, śpiewały ptaki, a od czasu do czasu odezwał się bażant. Komisarz wiedział, że jest we właściwym miejscu. Telefon Kathy Meron powinien gdzieś tu być — na szczycie Ranger's Hill. Nigdzie jednak nie było ani śladu samej Kathy. Między drzewami w odległości około trzydziestu metrów Bolt widział zarysy budynków, ruszył więc w ich kierunku. Zszedł z drogi i po cichu przemyczał od pnia do pnia.

Kiedy doszedł na skraj lasu, ujrzał świeżo skoszony ogród, przylegający do drewnianego domku w stylu norweskim. Wokół nie było nikogo. Bolt nie widział również żadnych innych zabudowań. Spojrzał na zegarek. 9.20. Komórka wciąż znajdowała się gdzieś w pobliżu i emitowała sygnał. Nie oznaczało to oczywiście, że Kathy również tu jest. Możliwe, że telefon porzucono, ale jeśli tak, musiało to być celowe działanie. Ktoś chciał zostawić ślad. To zaś oznaczało, że Bolt musiał sprawdzić ten dom.

Wyszedł spomiędzy drzew, nisko skulony, i skierował się w stronę najbliższego okna. Szedł powoli, krok za krokiem, kryjąc się najpierw za egzotycznym krzakiem, a następnie za sdrewnianą ławką. Wiedział, że gdyby właściciel domu go zauważył, jak skrada się przez jego ogródek, wyglądałby jak skończony idiota. Jednak martwił się tylko do chwili, kiedy

pokonał ostatnie cztery czy pięć metrów dzielące go od okna. Bo kiedy został mu już tylko metr — zamarł. Przez szybę zobaczył mężczyznę w czarnej kominiarce. W dłoni trzymał pistolet i najwyraźniej mówił do kogoś, kogo Bolt nie widział. Ręka trzymająca pistolet była wyprostowana, lufa nieco pochylona, a sam mężczyzna idealnie spokojny.

Bolt poczuł przypływ euforii. Przecucie go nie myliło. Właśnie znów się pochylał, a jednocześnie sięgał po komórkę, żeby wezwać pomoc, kiedy złośliwym zrzędzeniem losu człowiek w kominiarce z jakiegoś powodu spojrział w jego kierunku. Spojrzenia dwóch mężczyzn się spotkały i nawet przez podwójną szybę Bolt wiedział, że patrzy w oczy mordercy. Świadom, że jest kompletnie odsłonięty, rzucił się w bok. W tej samej chwili padł strzał i pękła szyba. Kula gwizdnęła mu nad głową. W mózgu Bolta włączył się instynkt ucieczki. Policjant przetoczył się przez trawnik, skoczył na nogi i puścił pędem w stronę drzew, gdzie byłby bezpieczny. Huknął drugi strzał i tym razem pocisk niemal musnął jego ramię. Bolt skoczył na bok i runął całym ciałem na ławkę. Przeleciał przez oparcie i wylądował na brzuchu pół metra od linii drzew.

Przez niesamowicie długą sekundę czekał na kolejny strzał, jednak kiedy ten padł, był stłumiony i zdawał się pochodzić z wnętrza domu. Bolt przewrócił się na plecy, otworzył klapkę komórki i zadzwonił pod 999.

45

Czasem stajemy w życiu przed wyborem, którego w ogóle nigdy nie powinniśmy być zmuszeni dokonywać. To była jedna z takich sytuacji. Wiedziałem, że jeśli wpadnę do kuchni z bronią w rękę, zaryzykuję życie. Narażę także na niebezpieczeństwo życie Kathy. Jeśli mi się uda i zabiję Lencha, wówczas mogą zginąć moje dzieci. Natomiast jeśli zostanę tutaj, ryzykuję wszystkie te ewentualności. Oczywiście nie był to żaden wybór. Mój umysł przetworzył te myśli w sekundę i zanim rozum zdążył mnie zatrzymać, wybiegłem z pokoju i popędziłem korytarzem prosto do drzwi kuchni, oczywiście zupełnie nie wiedząc, co tam zastanę.

Wpadłem do środka, wymachując pistoletem, z jakimś niezrozumiałym okrzykiem wojennym na ustach, dokładnie w momencie, gdy padł drugi strzał. Lench stał do mnie plecami i strzelał przez okno. Kathy wciąż siedziała przy stole, usiłowała jednak odsunąć się jak najdalej. Na jej nieruchomej twarzy malował się strach i dezorientacja. Kiedy spostrzegła, że mam broń, krzyknęła:

— Nie! Jest nam potrzebny!

Zawahałem się, nie wiedząc, co dalej robić. Kiedy tak stałem, Lench obrócił się z zadziwiającą prędkością, jedną ręką złapał Kathy w żelazny uścisk, a pistolet skierował w moją stronę.

Wszystko zaczęło się toczyć w zwolnionym tempie. Patrzyłem, jak lufa zatacza łuk i mierzy w moją klatkę piersiową. Czułem się słaby i wycieńczony — zupełnie inaczej niż Lench, rozluźniony, zwinny jak kot. Wiedziałem, że jeśli strzelę, mogą zginąć moje dzieci oraz moja żona. Jeśli nie — na pewno zginę ja. Nie wiem, czy to był odruch — wolę myśleć, że tak — ale mimo wszystko pociągnąłem za spust. Strzeliłem trzykrotnie, raz za razem, celując powyżej Kathy, w głowę i ramiona Lencha. Zaskoczył mnie słabo wyczuwalny odrzut broni. Kule opuściły lufę pistoletu z wściekłym sykiem, jak powietrze, które ulatuje z balonu. W tej samej chwili po całym pomieszczeniu rozniósł się huk trzeciego strzału Lencha.

Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale to ja wystrzeliłem pierwszy, a jakimś cudownym zrzędzeniem losu przynajmniej jedna kula dosięgnęła celu. Lench zachwiał się na nogach, buty zapiszczały na kafelkach i wyglądało, jakby miał się przewrócić. Jego pocisk nie trafił mnie i rozbił jeden z talerzy na ścianie. Puścił wciąż krzyczącą Kathy, która zaraz potem rzuciła się na ziemię, a ja wystrzeliłem po raz czwarty. Kula trafiła w okno, zostawiając w szybie ślad podobny do pajęczyny. Lench upadł na bok, ale wciąż we mnie celował. Uskoczyłem z linii ognia prosto w szafki kuchenne, a on ponownie nacisnął spust.

Działaliśmy teraz całkowicie instynktownie. Nie wiedziałem, ile zostało mi pocisków, ale miałem świadomość, że w ograniczonej przestrzeni muszę strzelać tak długo, aż unieszkodliwię swój cel albo on unieszkodliwi mnie. W ogóle nie myślałem o tym, że właśnie staram się zabić drugiego człowieka. Przekroczyłem już tę barierę, a poza tym wcale nie zależało mi na tym, by go zabić. Chciałem go jedynie obezwładnić, tak żeby nie miał wyboru i musiał powiedzieć, gdzie są moje dzieci.

Leżąc na ziemi, widziałem go pod stołem. Przetoczył się na plecy i obrócił w moją stronę. Srebrny pistolet połyskiwał w

czarnej rękawiczce. Nie miałem czasu szukać Kathy. Kątem oka odnotowałem jakiś kształt przesuwający się powoli po podłodze. Przymierzyłem najlepiej, jak umiałem, i strzeliłem.

Trafiłem go w podeszwę. Kula zrobiła w bucie niewielką, okrągłą dziurę, która natychmiast zaczęła dymić. Wrzasnął z bólu i sam pociągnął za spust. Nad moją głową coś huknęło ogłuszająco, usłyszałem też trzask pękającego drewna. Zaczęło mi dzwonić w uszach. Skuliłem się, tak żeby stanowić możliwie jak najmniejszy cel, a jednocześnie sam dwukrotnie wystrzeliłem. Jednak Lench już był znowu w akcji. Przetoczył się na bok, wstał niepewnie i pokuśtykał w stronę drzwi. Usiłowałem strzelać w nogi. Moje pociski trafiały w kuchenne szafki, szybkę zmywarki, drzwiczki lodówki. We wszystko, tylko nie w niego. Później wyszedł zza stołu i nagle znaleźliśmy się zaledwie o dwa metry od siebie. Pochylił się, przygotowując do strzału. Dłoń wciąż miał zaskakująco nieruchomą. Lufę wycelował mi prosto w oko i w tym momencie zrozumiałem, że już po mnie. Po raz pierwszy w ciągu ostatnich kilku minut poczułem paniczny strach.

Kathy wrzasnęła; jej krzyk nie był równie wysoki co krzyk Lencha, kiedy trafiłem go w stopę. Przerażony i zdesperowany, sam także wycelowałem w niego.

— Policja! Rzucić broń!

Okrzyk doszedł gdzieś zza drzwi kuchennych. Lench zawahał się przez ułamek sekundy i nieznacznie obrócił głowę w tamtych kierunku. Właśnie dlatego mnie nie trafił. Zachwiał się i upadł na jedno kolano. W tym momencie straciłem opanowanie. W końcu nie wytrzymałem świadomości, że oto ja, podrzędny sprzedawca oprogramowania, biorę udział w strzelaninie z człowiekiem o wiele silniejszym i bardziej bezwzględny. Poczłogałem się pod stół, w stronę Kathy. Odpychałem ciężkie, drewniane krzesła, czekając na

nieuniknioną chwilę, kiedy następna kula trafi mnie między łopatki.

— Wyjdźcie z domu z podniesionymi rękoma! Jesteście otoczeni!

Ale kolejny strzał już nie padł. Chwyciłem Kathy i osłoniłem ją własnym ciałem. Objąłem ją, wyczerpany i zrozpaczony.

I wtedy szyba w oknie roztrzaskała się na tysiąc kawałków.

Kiedy Lench usłyszał okrzyk „Policja!”, po raz pierwszy od wielu lat poczuł przyływ paniki. Nawet niespodziewany opór ze strony Toma Merona, o tyle dla niego żenujący, że w jego wyniku po raz pierwszy w życiu został ranny, speszył go tylko na chwilę. Obrażenia — powierzchowna rana ramienia oraz trafienie w stopę — można było zaleczyć. Nie miał wątpliwości, że Tom Meron, choć może miał w sobie ducha walki, to jednak był tylko amatorem, a w jego celnych strzałach było więcej szczęścia niż umiejętności. Dlatego końcowy rezultat strzelaniny mógł być tylko jeden. Lench najpierw wykończy Toma, a potem zabije jego żonę. Powiedziała już wszystko, czego potrzebował, więc oboje stali się zbędni. Kathy Meron wiedziała, że zginie, kiedy tylko wyjawi ostatnią tajemnicę. Właśnie z tego powodu tak długo się opierała. Lench musiał przyznać, że zyskała tym jego uznanie. Miała dużo odwagi. Ale to bez znaczenia. Zgodnie z planem zamierzał zabić Meronów, a potem pozbyć się również Grelliera, czyli faceta w masce Homera Simpsona, którą dziś ze sobą przyniósł. Lench liczył, że tamten zostanie wtedy obciążony winą za zabójstwo Meronów. Grellier był nowy. Ot, pospolity bandzior bez ambicji, natomiast odpowiednio zepsuty i dlatego bez żalu można go było spisać na straty. Niestety, właśnie dziś udowodnił dlaczego — dał się obezwładnić i rozbroić przestraszonemu sprzedawcy komputerów.

Ale do chwili kiedy Lench usłyszał okrzyki policji, wszystko było pod kontrolą. Teraz jednak stanął twarzą w twarz ze swą jedyną wielką obawą — że na resztę życia trafi do więzienia. Od dawna przygotowywał się na ten dzień, wiedząc, że wcześniej czy później musi nadejść. Dlatego natychmiast rozpoczął wykonywanie procedur, które wpoił sobie na tę ewentualność. Najpierw upuścił broń. Przestała być przydatna. Odpiął nóż sprężynowy spod przedramienia i również rzucił go na ziemię. Regularnie go czyścił i sterylizował — ostatni raz ledwie przed kilkoma godzinami — więc policja na pewno nie znajdzie na nim śladów krwi ani tkanek żadnej z jego ofiar. Następnie ściągnął rękawiczki. Co prawda znajdowały się na nich ślady powystrzałowe, ale Lench zaprzeczy, że rękawiczki należą do niego. W ten sposób pozbył się wszystkich obciążających dowodów rzeczowych. Teraz była to kwestia jego słowa przeciwko słowu Meronów. Nic na niego nie mieli. W ciągu kilku godzin do komisariatu dotrze zespół prawników zatrudnionych przez jego zleceniodawcę. Będą się domagać wyjaśnienia, na jakiej podstawie został zatrzymany i naciskać na policjantów, żeby go wypuścili.

Kiedy jednak Lench z grymasem bólu na twarzy podniósł się na nogi, dotarło do niego, że to nie koniec kłopotów. Grellier pewnie wciąż żył, a więc mógł zeznawać. W domu znajdował się także telefon, na który dzwonił Tom Meron. Bilans nadal był niekorzystny. To wszystko mogło wystarczyć, żeby postawiono mu zarzuty. Nawet jeśli ludzie jego zleceniodawcy dotarliby do przysięgłych, jak to już w przeszłości bywało, mogliby niewiele wskórać. Lench uznał, że lepiej zostawić tutaj dowody i ratować się ucieczką. Przynajmniej będzie miał świadomość, że spróbował wszystkiego.

-Wyjdźcie z domu z podniesionymi rękoma! Jesteście otoczeni!

Pokuśtykał w stronę tylnego okna. Po drodze chwycił krzesło i cisnął je w szybę z taką siłą, że rozbiła się w drobny mak. Wtedy Lench zrozumiał, że policjanci niemal na pewno nie obstawili tyłu domu — albo nie byli uzbrojeni — bo na wyrzucenie krzesła nikt nie zareagował. Nie oglądając się za siebie, wskoczył na błądź, wyrzwał do pustego ogrodu, po czym zanurkował w otwór, który przed chwilą wybił.

Natychmiast się podniósł i na wpół biegiem, na wpół w podskokach puścił się w stronę pól. Nikt nie próbował go zatrzymać. Nikt nie wołał „policja”, ani z prawa, ani z lewa. Biegł dalej, nie zważając na ból.

Poczuł wolność.

47

Gdy tylko z wnętrza dobiegł odgłos kolejnych strzałów, Bolt zerwał się na nogi i pobiegł w stronę budynku, z telefonem przy uchu. Podał operatorowi nazwisko oraz stopień i zażądał uzbrojonej jednostki policji oraz karetki do domu na szczycie Ranger's Hill w Hambleton.

— Nie znam adresu, ale potwierdzam, że oddano strzały. Możliwe porwanie. Potwierdzam: oddano strzały. Natychmiast przyślijcie posiłki.

Rozłączył się. Nie chciał pozostawać na linii i myśleć o dwóch rzeczach naraz. Był sam, zgodnie z przepisami nie miał broni i bez dwóch zdań narażał życie, ale czuł, że musi coś zrobić. Tam niemal na pewno ginęli ludzie.

Dotarł do drzwi frontowych. Były zamknięte. Podniósł klapkę skrzynki i pomyślał, że błąd to jego jedyna szansa. W takich sytuacjach rzadko kiedy jest wystarczająco dużo czasu, żeby się nad wszystkim dobrze zastanowić. W przeciwnym razie nie ruszałoby się bez broni na większość bandytów, których spotyka się na swej drodze.

Z wnętrza dobiegł donośny huk kolejnego wystrzału, a także kilka nie tak głośnych, z pewnością wyciszonych przez tłumik. Kule trzaskały o drewno i dzwoniły o metal.

— Policja! Rzucić broń! — krzyknął.

Włożył w te słowa tyle przekonania, ile tylko potrafił. Teraz mógł już tylko liczyć, że jakoś to będzie.

Strzały ucichły. Natychmiast. Bolt odczekał ze dwie sekundy, żeby się upewnić, że ludzie w środku nagle nie zmieniają zdania i nie zaczną strzelać do niego. Rozejrzał się na prawo i lewo. Nikt nie próbował go podejść.

— Wyjdźcie z domu z podniesionymi rękoma! — zawołał. — Jesteście otoczeni!

Nie miał bladego pojęcia, co zrobi, jeśli faktycznie wyjdą z podniesionymi rękoma. Nie wiedział nawet, kim są bandyci. Wiedział jednak, że jeśli będzie dostatecznie przekonujący i tamci rzeczywiście opuszczą dom bez broni i z rękoma w górze, prawdopodobnie da sobie z nimi radę aż do przybycia posiłków.

Odsunął się od drzwi, gotów przyłożyć pierwszemu, który przez nie przejdzie, na wypadek gdyby ten zauważył, że Bolt jest sam, i zaczął sprawiać problemy. Jednak moment później usłyszał brzęk tłuczonej szyby. Po nieco dłuższej chwili jakiś mężczyzna zawołał, że nie jest uzbrojony, a człowiek, którego szukają, właśnie ucieka. To mogła być pułapka, ale głos mężczyzny brzmiał bardzo szczerze. Bolt otworzył drzwi, wbiegł do środka, kierując się w stronę, z której wcześniej dochodziły odgłosy strzałów.

Na podłodze w kuchni, częściowo przesłonięte stołem, leżały dwie osoby, splecione w uścisku, który wyglądał zarówno na nienaturalny, jak i bardzo niewygodny. Mężczyzna i kobieta podnieśli ku niemu wzrok i chociaż ich twarze były udręczone i brudne, Bolt natychmiast rozpoznał, że to Kathy i Tom Meronowie. Chyba nie byli ranni. Jakieś półtora metra od Toma leżał pistolet, browning albo jakiś podobny, z dziesięciocentymetrowym tłumikiem. Z kolei na podłodze przed Meronem znajdował się srebrny walther ppk — z lufy wciąż wydobywała się cienka strużka dymu — a także nóż oraz para rękawiczek.

— On ucieka — krzyknął Meron, wyswobadzając się z uścisku żony. W szeroko otwartych oczach Bolt widział rozpacz.

— Ma nasze dzieci. Musicie coś zrobić.

Policjant spojrział na okno. W szybie był wielki otwór, przez który bez trudu mógł się zmieścić człowiek. Kiedy podbiegł bliżej, zobaczył, jak mężczyzna w kominiarce, który przed dwiema minutami do niego strzelał, kuśtyka w kierunku niewysokiego płotka, za którym zaczynało się leżące odłogiem pole, a dalej — las. Facet był wyraźnie ranny, ale mimo to poruszał się dość szybko. Wsparcie policyjne mogło dotrzeć najprędzej za pięć, dziesięć minut, toteż uciekający miał spore szanse.

Tom Meron podszedł do Bolta i spojrział przez okno w tym samym kierunku.

— Gdzie reszta?

— Jestem sam — odparł policjant. — Blefowałem.

— Musi pan go zatrzymać! — krzyknęła Kathy Meron, podnosząc się z ziemi. — Inaczej zabije nasze dzieci. W ten sposób nas tutaj ściągnął.

— Dogonię go — oznajmił Meron i odwrócił się w stronę drzwi.

Bolt złapał go za ramię.

— Proszę tu zostać — powiedział. — Ja go zatrzymam.

W pośpiechu założył rękawiczki, których używa się na miejscu zbrodni, po czym podniósł oba pistolety i schował je do kieszeni zamszowej marynarki. Nie chciał ich zostawić Meronom — mogli zrobić coś głupiego. Następnie wybiegł przez drzwi frontowe, obiegł dom i puścił się w pogoń za mężczyzną w czerni.

Uciekinier właśnie z trudnością przedzierał się przez płot — kłopot sprawiała mu ranna noga. Mężczyzn dzieliło dwadzieścia pięć metrów. Bolt rzucił palenie przed pięcioma laty, chodził na siłownię dwa, czasem trzy razy w tygodniu, a w szkole był mistrzem w sprincie. Wiedział więc, że doścignie zbiega. Za

plecami słyszał jednak kroki i ciężki oddech. Gonił go Tom Meron, może także Kathy. Jeśli nie będzie ostrożny, mogą mu kompletnie spieprzyć zatrzymanie.

Mężczyzna w czerni wreszcie przedarł się przez płot i chwiejnie biegł dalej. Widział, że jest ścigany, ale się nie zatrzymywał, choć musiał wiedzieć, że nie zdoła uciec.

Bolt przyspieszył, dobiegł do płotu, przeskoczył go zwinnie, opierając się na jednej ręce — tak zwinnie, że jego samego to trochę zaskoczyło — i popędził za zbiegiem. Mężczyzna w czerni był pokaźnego wzrostu, jednak to samo tyczyło się Bolta. Przestępca miał nad nim jednak dobre kilkanaście kilo przewagi, z czego najwyraźniej większość stanowiły mięśnie. Uciekinier próbował się odwrócić, ale ranna noga nie wytrzymała ciężaru i upadł na jedno kolano. Bolt dziesięć lat spędził w lotnej brygadzie londyńskiej policji na ściganiu sprawców rabunku z bronią w ręku. Był przyzwyczajony do dramatycznych i brutalnych zatrzymań, więc nie zwolnił, podskoczył i wykorzystując impet, kopnął mężczyznę prosto w zakrytą kominiarką twarz. Zbieg runął w tył, policjant przewrócił go na brzuch, wbił mu kolano w nerki i wykręcił ujęmione ramię za plecami. Mężczyzna praktycznie nie stawiał oporu.

Bolt pochylił się do ucha zatrzymanego i syknął:

— Jesteś aresztowany, kolego.

— Jasne — odparł mężczyzna tonem celowo nonszalanckim, mimo że wyraźnie cierpiał. — Nie ma sprawy.

— Aresztuję cię pod zarzutem porwania i usiłowania zabójstwa — komisarz wyrecytował standardowe policyjne powiadomienie.

W tym momencie usłyszał, jak Tom Meron przedziera się przez płot i biegnie w ich kierunku.

— Proszę się nie zbliżać! — krzyknął.

Za Tomem w odległości kilku metrów nieco wolniej biegła Kathy. Robiła wrażenie, jakby za chwilę miała paść z wyczerpania.

Meron zignorował polecenie.

— Gdzie moje dzieci? — wrzasnął. Przykucnął przy mężczyźnie w czerni i usiłował zerwać mu kominiarkę. — Gdzie moje dzieci, skurwysynu? Gadaj albo cię zabiję!

— Proszę go ode mnie zabrać — zatrzymany spokojnym tonem zwrócił się do Bolta.

— Panie Meron, proszę się uspokoić. Ja się tym zajmę.

Bolt patrzył na Toma z odległości ledwie kilku centymetrów i widział wyraźnie cierpienie wyryte na jego twarzy. Od Merona bił pierwotny, zwierzęcy strach. Nawet włosy stały mu dęba. Policjant wiedział, że nie przemówi mu do rozsądku, i szczerze mówiąc, wcale się nie dziwił.

— Nazywa się Lench i porwał moje dzieci. Musimy je znaleźć. Błagam!

Meron wreszcie zdarł zbiegowi kominiarkę i zaczął go desperacko drapać po twarzy.

— Gadaj, gdzie moje dzieci, gnido! Gadaj!

Lench próbował się od niego uwolnić, ale nie dawał rady. Przez chwilę Bolt nie robił nic, żeby powstrzymać Merona, który wbijał paznokcie w bladą, ospowatą twarz mężczyzny.

— Nie mam pojęcia, o czym on mówi — odezwał się Lench, usiłując spojrzeć na policjanta.

Miał martwe, onyksowe oczy, pozbawione wszelkich emocji. Bolt widział takie oczy w wielu różnych celach i pokojach przesłuchań. Oczy mordercy.

— Jestem atakowany podczas zatrzymania. Powstrzymaj go, albo trafisz przed komisję skarg.

Bolt nie miał najmniejszej ochoty pomagać temu aroganckiemu sukinsynowi, który najwyraźniej świetnie znał

prawo, włącznie ze wszelkimi jego ograniczeniami. Kiedy jednak nadbiegła Kathy Meron i wymierzyła mu kopniaka w żebra, wrzeszcząc, że go zabije, jeśli nie zacznie gadać, komisarz wiedział, że sprawy zaczynają się wymykać spod kontroli.

Podjął decyzję.

— Niech pan natychmiast zabierze stąd żonę — polecił Tomowi.

Spojrzenia dwóch mężczyzn na chwilę się spotkały. W oczach Bolta Meron wyczytał jasny sygnał, że w ten czy inny sposób policjant zdobędzie informację, której tak bardzo potrzebują.

— Wracajcie do domu. Natychmiast.

— Nie wiem nic o ich dzieciach — powiedział Lench.

— Błagam, niech mi pan pomoże — Tom Meron prosił Bolta.

Komisarz kiwnął głową. Meron podniósł się z ziemi i objął Kathy, zanim zdołała wymierzyć kolejnego kopniaka.

— Co ty robisz? — krzyknęła, kiedy zaczął ją odciągać od Lencha. — Tylko on wie, gdzie są nasze dzieci! Nie możemy go puścić.

Meron szepnął jej coś do ucha i uspokoiła się trochę. Razem przeszli na drugą stronę płotu.

Zadzwoiła komórka Bolta. Pozwolił, żeby włączyła się poczta głosowa. Wciąż nie słyszał żadnych syren. Minęły najwyżej trzy minuty, odkąd wezwał pomoc, ale już niedługo powinna tu być. Zwłaszcza że przestał odbierać telefon.

— Mów, gdzie są dzieci, Lench — powiedział spokojnym tonem.

Obiema rękami wygiął mu ramię wysoko do góry. Lench stęknął z bólu i bezskutecznie usiłował się opierać.

— Zostałem pomyłony z kimś innym. Nie wiem, o czym ten człowiek mówi. Proszę mnie puścić. To jest napaść na

zatrzymanego.

— Jeśli coś im się stanie, resztę życia spędzisz w pierdłu, rozumiesz? Każdego dnia aż do śmierci będziesz patrzył na świat przez kraty ze świadomością, że ten widok się nigdy nie zmieni.

Wciąż naciskał na ramię Lencha i wyginał je pod coraz bardziej niebezpiecznym kątem. Wiedział, że może je złamać, jeśli dociśnięcie jeszcze mocniej.

— Teraz to już na pewno cię upierdołę za napaść — syknął Lench przez zaciśnięte zęby. — Moi prawnicy to rottweilery. Rozniosą cię na strzepy. Dobrze wiesz, że nic na mnie nie masz.

Z oddali wreszcie dobiegł dźwięk syren. Niedługo tu będą. Za dwie, góra trzy minuty.

— Gdzie są dzieci? — ponownie zapytał Bolt. — Mów albo złamię ci rękę.

— Spróbuj, a pożegnasz się z emeryturą. Nie dasz rady się z tego wytłumaczyć.

Lench z pewnością cierpiał, mimo to zdobył się na lekki śmiech. Świetnie sobie zdawał sprawę z tego, że Bolt blefuje.

Komisarz spotkał w swojej karierze wielu takich ludzi. Zatwardziałych kryminalistów, niepozbawionych inteligencji i sprytu. Ludzi, którzy znają na wylot wszystkie słabości systemu. Którzy wiedzą, że największym błędem, jaki mogą popełnić, jest przyznanie się do czegokolwiek. Którzy wiedzą, że sprytni, dobrze wykształceni adwokaci są w stanie obalić nawet najlepsze dowody. Że przez prawne szczególności wiele spraw kończy się brakiem wyroku, bo sędziowie w tych swoich perukach i togach kurczowo trzymają się litery prawa, nawet jeśli to się kłóci ze zdrowym rozsądkiem. Że jeśli tylko ma się dość determinacji, przysięgłych zawsze można przekupić i zastraszyć. I wreszcie — że prawo jest korzystne dla przestępcy. Skoro tak, to po co się do czegokolwiek przyznawać?

Bolt zwolnił nacisk i podniósł się z ziemi. Lench przetoczył się na plecy. Miał małą, okrągłą twarz o okrutnych, niezdrowych rysach oraz bladą, jakby martwą cerę, pokrytą bliznami po trądziku, napiętą na nierównych, wydatnych kościach policzkowych i zimne, wąskie oczy. Przyglądał się Boltowi przez chwilę, potem zaczął rozcierać ramię, a jego bezkrwiste wargi rozchyliły się w złośliwym, znaczącym uśmiechu.

— Zapłacisz mi za to — powiedział dużo pewniejszym tonem. — Może jak już będzie po wszystkim, wpadnę do ciebie i coś zrobię twoim dzieciom.

— Nie mam dzieci.

— Jaka szkoda. To może kiedyś?

Lench usiadł, wciąż rozcierając ramię. Spojrzał na postrzeloną stopę.

— Wezwij mi karetkę — powiedział. — Ktoś musi obejrzeć moją nogę.

Bolt nauczył się cierpliwości wobec aresztowanych. Każdy gliniarz musiał się jej nauczyć. Reakcja na zaczepki, szczególnie w czasach, kiedy na każdym kroku są kamery, mogła mieć katastrofalne skutki. Zwykle przestępcy tylko sobie w ten sposób dodawali odwagi. Ignorowało się ich zatem, skoro i tak mieli trafić za kratki. Jednak z tym człowiekiem było inaczej. Sukinsyn dobrze wiedział, że ma przewagę. Wiedział również, że jeśli choć słowem wspomni o dzieciach oraz ich położeniu, sam się obciąży. Komisarz zastanawiał się, jaki los może spotkać dzieci Meronów. Ludzie, którzy je przetrzymywali, byli bezlitośni. Zapewne łatwiej by im było się ich pozbyć niż je wypuścić. Zamordować je i usunąć ciała.

Bolt pomyślał o Mikaeli. Wyobraził ją sobie taką, jaka była. Co ona by mu doradziła?

— Lepiej będzie dla ciebie, jeśli jedna z tych syren to jest karetka. Muszą mi opatrzyć stopę.

Policjant spojrzął za siebie. Nie widział już Kathy i Toma. Na pewno czekali na niego w budynku. Czekali, aż Bolt wydobędzie z Lencha informacje. Ufali, że ich nie zawiedzie. Syreny były coraz bliżej, chyba już w miasteczku. Czas dobiegał końca.

Komórka komisarza znów zaczęła dzwonić.

Dzieci mogły zginąć. Może już nie żyły. A może już były wolne. Bolt tego po prostu nie wiedział. Mężczyzna, który teraz siedział przed nim na ziemi z bezczelnym wyrazem twarzy, był jedyną osobą, która dysponowała tą wiedzą.

Bolt wyjął z kieszeni pistolet z tłumikiem. Odbezpieczył go i wycelował w brzuch Lencha.

Na twarzy przestępcy pojawiła się niepewność, jednak znikła tak szybko, że policjant był niemal gotów uznać to za przywidzenie.

— A teraz powiesz mi, gdzie są dzieci, albo strzelę.

Ręka Bolta ani drgnęła, twarz była beznamiętna, ale w głębi duszy szalała burza sprzecznych emocji. Wiedział, że decydując się na to, co za moment miał zrobić, ryzykuje całą swoją karierę, a może nawet wolność. Groził śmiercią więźniowi. Nigdy wcześniej nie zrobił nic podobnego. Raz zastrzelił człowieka, kiedy pracował w lotnej brygadzie, ale wtedy to była zasadzka, a jego ofiara miała broń, stawiała opór przy zatrzymaniu i celowała w głowę Bolta z remingtona z obciążoną lufą. Innymi słowy, to, co wtedy zrobił, było uzasadnione. Ale teraz... teraz było zupełnie inaczej. Jednak nie opuszczał broni.

Lench westchnął tak, jak wzdycha nauczyciel poirytowany zachowaniem wyjątkowo krnąbrnego ucznia.

— No to teraz odpowiesz nie tylko za napaść, ale jeszcze za zagrożenie śmiercią. Ładnie się wpakowałeś.

Bolt pociągnął za spust i strzelił mu w brzuch. Pęd pocisku pchnął Lencha w tył, ale nie przewrócił. Stęknął, rozpaczliwie łapiąc powietrze, wybałuszył oczy i chwycił ranę palcami,

usiłując uśmierzyć ból. Wreszcie, głośno jęcząc, upadł na ziemię.

Komisarz złapał go za kołnierz i przyciągnął do siebie, tak że teraz byli twarzą w twarz.

— Mów, gdzie są dzieci, albo odstrzelę ci jaja.

— Pierdol się — prychnął Lench.

Z kącika ust płynęła mu strużka krwi.

Bolt przyłożył tłumik do krocza mężczyzny.

— Daję ci ostatnią szansę. Chyba że do końca życia chcesz pisać jak dwuletnia dziewczynka — powiedział i oparł się na broni. — Ja i tak już mam przesrane. Równie dobrze ciebie też mogę załatwić.

Ich oczy się spotkały. Nie ulegało wątpliwości, że Bolt nie żartuje.

— Limestone Street dwadzieścia cztery w Hendon. Parter. Tam są.

Z ust Lencha znów popłynęła krew, tym razem obficie. Pocięła po brodzie. Zaczął się krztusić, powiedział coś o karetce, ale nie dało się go zrozumieć.

Bolt wstał. Samochody już wjeżdżały na wzgórze. Były tylko kilka metrów stąd. Co najmniej cztery różne syreny. Musiały wypłoszyć wędrowców w promieniu wielu kilometrów.

— Policja! — krzyknął bez ostrzeżenia. — Natychmiast rzuć broń! Rzuć broń!

Lench przetoczył się na plecy i spojrzał na Bolta. Jego twarz nagle zrobiła się spokojna. Już wiedział, co się dzieje. Dla niego to był koniec trasy. W gruncie rzeczy przyjął to z ulgą.

— Policja! — wrzasnął jeszcze raz Bolt, po czym strzelił mu prosto w oko.

Krew trysnęła na trawę, a ciałem Lencha zaczęły wstrząsać konwulsje.

Jednocześnie komisarz rzucił walthera ppk na ziemię obok zdrowej ręki umierającego. Sięgnął do kieszeni po komórkę i wybrał numer Mo Khana. Prosił los, żeby Mo odebrał telefon.

Odebrał, po trzech sygnałach. W tle znowu hałasowały dzieci.

— Cześć szefie. Co nowego?

Bolt zaczął mówić szybko.

— Zadzwoń anonimowo na dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć i powiedz, że właśnie widziałeś, jak dwoje dzieci wprowadzono do mieszkania przy Limestone Street dwadzieścia cztery w Hendon i że masz stuprocentową pewność, że robiono to wbrew ich woli. Zrozumiałeś?

— Nie ma sprawy. Mam tam pojechać?

— Tak. Jedź i sprawdź to miejsce, ale nie interweniuj, chyba że nie będziesz miał wyboru.

Samochody były już na podjeździe przed domem.

— I jeszcze jedno: tej rozmowy nigdy nie było. Jasne?

— Oczywiście, szefie. Co tylko powiesz.

Rozłączył się bez słowa.

Bolt głośno odetchnął. Wiedział, że Mo wykona polecenie. Ale w ciągu tych kilku chwil ich relacje na zawsze uległy zmianie.

Schował telefon i odwrócił się w stronę domu. Czuł, że ledwo stoi na nogach. Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie zrobił. Chciał wymiotować, ale musiał się wziąć w garść. Zdawał sobie sprawę, że wyjdzie z tego wszystkiego w jednym kawałku tylko wtedy, jeśli zachowa zimną krew.

Przedarł się przez płot i wolnym krokiem ruszył przez ogród w kierunku dwóch policjantów w czarnych kombinezonach, którzy ostrożnie szli ku niemu z karabinami gotowymi do strzału.

Kiedy na podjazd dotarły dwa radiowozy na sygnale oraz karetka, staliśmy z Kathy przed domem. Ścisnąłem ją mocno i zapewniałem, że policjant w cywilu, który nas uratował, dowie się, gdzie są Chloe i Max. Modliłem się, żebym się nie mylił. Samochody zatrzymały się z piskiem opon. Z pierwszego wyskoczyło trzech gości z karabinami, które chyba ukradli z Robocopa.

— Mieliliśmy tutaj nagłe wezwanie — zawołał jeden z nich, trzydziestoparolatek o okrągłej głowie. — Proszę się rozdzielić i założyć ręce na głowę.

— To nie my — krzyknęła Kathy. Jej brudną twarz pokrywały zaschnięte ślady łez. — Oni są w ogrodzie.

— Proszę wykonać polecenie — zażądał policjant.

Stał pięć metrów od nas i chociaż niby w nas nie celował, to mimo wszystko robił wrażenie gotowego do strzału. Z drugiego samochodu wysiedli kolejni dwaj funkcjonariusze, tym razem nieuzbrojeni. Personel karetki nie opuszczał wozu. Tymczasem zbliżały się kolejne syreny.

Wykonaliśmy polecenie i założyliśmy ręce na głowę. Pomyślałem, że w ciągu niecałych dwudziestu czterech godzin już czwarty raz ktoś w ten czy inny sposób grozi mi bronią.

— Proszę uklęknąć na ziemi.

Kathy głośno zaklęła. Jako wykładowca uniwersytecki zawsze była zbuntowana wobec policji. Ale ci faceci

najwyraźniej nie byli w nastroju do dyskusji, a i ja dawno straciłem na to ochotę. Uklęknałem, a w chwilę później to samo zrobiła Kathy.

— Czy ktoś jest ranny?

— Nic nam nie jest — odrzekłem — ale policjant, który nas uratował, pobiegł do ogrodu za tym przestępcą.

— On ma nasze dzieci — dodała Kathy. — Ten człowiek, który nas więził, ma nasze dzieci. Nie zabijajcie go.

— Czy jest uzbrojony?

— Tak — potwierdziliśmy oboje. — W domku jest jeszcze jeden mężczyzna — dodałem. — Ale nie ma broni. Jest ranny.

— Został postrzelony?

— Nie.

— Mieliśmy doniesienia o strzelaninie. Kto jeszcze brał w niej udział?

Opowiedziałem mu w skrócie o tym, co się tutaj wydarzyło. Spojrzył na mnie zmieszany, jakby nie potrafił sobie wyobrazić kogoś takiego jak ja z bronią w ręku. Nie dziwiłem mu się.

— Dobrze, zabezpieczmy teren.

Po tych słowach powiedział coś szybko do dwóch uzbrojonych towarzyszy, którzy natychmiast zniknęli za domem.

Tymczasem na poboczu zatrzymał się policyjny rangę rover, z którego wysiedli kolejni trzej uzbrojeni policjanci. Zamienili kilka słów z okrągłogłowym gliniarzem, po czym dwóch z nich podeszło do mnie. Kazali mi się podnieść, a następnie zostałem szybko i sprawnie przeszukany.

— Jest czysty — zawołał policjant.

Powiedziano mi, że mogę iść. Nie za bardzo tylko wiedziałem dokąd.

Poczekałem, aż nieuzbrojona policjantka, która nagle wyrosła jak spod ziemi, przeszuka Kathy. Po chwili oznajmiła,

że moja żona również jest czysta. Wtedy poprowadzono nas do karetki. Dwaj sanitariusze spytali, czy nic nam nie jest.

— Chcemy tylko odzyskać dzieci — powiedziałem, oglądając się za siebie.

— Na pewno nic im nie jest — odparł starszy z mężczyzn.

— A niby skąd pan to może wiedzieć? — odezwała się Kathy.

Jego kolega, krępy mężczyzna w wieku dwudziestu kilku lat, mówiący z południowoafrykańskim akcentem, zapewnił ją, że policja robi, co może. Miał kojący głos. Posadził moją żonę na schodku karetki i przykucnął, żeby ją zbadać. Miałem nadzieję, że ma rację. Kiedy tamten policjant, który nas uratował, kazał mi zabrać Kathy do domu, w jego szczupłej, pokrytej bliznami twarzy i błękitnych oczach zobaczyłem coś, co przez całe życie widziałem niewiele razy: niezachwianą moralność. Ten człowiek dał mi znak, że sobie poradzi. Że umie sprawić, by taki zimny bydlak zaczął mówić. Nie wątpiłem w niego.

Ale czy mu się udało?

Starszy sanitariusz położył mi dłoń na ramieniu i podał butelkę wody. Skinąłem głową w geście podziękowania. Piłem łapczywie i wciąż oglądałem się w stronę domu.

I wtedy zza rogu wyszedł ten policjant. Był dobre kilkanaście centymetrów wyższy od dwóch funkcjonariuszy, którzy szli po jego obu stronach. Jeden z nich niósł w rękę pistolet z tłumikiem. Policjant w cywilu spojrzał mi w oczy. Miał grobową minę.

Wyrwałem się sanitariuszowi.

— Powiedział panu, gdzie są nasze dzieci? — zapytałem. Drugi z umundurowanych gliniarzy, ten, który nie niósł pistoletu, próbował zagrozić mi drogę ręką, ale odepchnąłem ją.

Policjant, ten nasz, też się zatrzymał. Dzielił nas teraz metr.

— Miał broń. Zastrzeliłem go, nie miałem wyboru.

— Nie żyje? — spytałem z niedowierzaniem.

Skinął głową.

— Chyba tak. Przykro mi.

Zanim któryś z gliniarzy zdążył mnie zatrzymać, złapałem go za kołnierz i przyciągnąłem do siebie.

— Ty sukinsynu! — wykrzyczałem mu w twarz, ale jednocześnie obróciłem głowę tak, żeby mógł mi coś powiedzieć na ucho.

Wypowiedział dwa słowa, które napełniły mnie uczuciem euforii:

— Załatwiłem sprawę.

Potem dodał coś, co brzmiało jak: „Mój człowiek tam jedzie”.

Jeden z uzbrojonych funkcjonariuszy brutalnie mnie odepchnął. Podbiegła Kathy.

— Co się stało? Co się, do cholery, stało?

Złapałem ją za ramię i odszedłem jak najdalej od wszystkich.

— Udawaj załamaną — syknąłem i chyba zrozumiała, co mam na myśli. — On mówi, że załatwił sprawę. Lench powiedział, gdzie są dzieci. Ktoś tam już jedzie.

Przyciągnąłem ją do siebie i szepnąłem, że Lench nie żyje.

— To dobrze — powiedziała.

Zaraz potem dała taki popis aktorski, że aż mnie zadziwiła. Padła na kolana, zanosząc się od płaczu.

Momentalnie pojawił się przy niej sanitariusz z południowoafrykańskim akcentem i zaczął ją uspokajać. Po chwili wraz z policjantką, która wcześniej ją przeszukiwała, pomogli Kathy wstać.

Odwrociłem się i zobaczyłem, jak naszego policjanta wprowadzają do jednego z radiowozów. Mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym, wyglądający na gorliwca, wkładał pistolet z tłumikiem do plastikowej torebki. W ręku wciąż trzymałem

butelkę z wodą, więc pociągnąłem z niej kolejny łyk. Miałem nadzieję, że naszemu policjantowi nic się nie stanie.

Gdybym jednak był hazardzistą, nie postawiłbym na to pieniędzy.

49

Mo Khan zajechał na Limestone Street tuż przed dziesiątą. Od telefonu Bolta nie minęło pół godziny. Przy cichej ulicy stały powojenne bliźniaki, które lata świetności miały już chyba za sobą. Drogę mniej więcej w połowie długości blokowało kilka radiowozów i karetek. Mo wiedział, że go nie przepuszczą, ale i tak tam podjechał.

Od grupki policjantów, którzy gromadzili się przy jednej z karetek, odłączył się młody funkcjonariusz. Wyszedł na środek ulicy z wyciągniętą ręką. Na jego twarzy malowała się irytacja. Mo zatrzymał się dwa metry przed nim i opuścił szybę. Kiedy policjant się do niego zbliżył, Mo obdarzył go rozbajającym uśmiechem.

— Przepraszam, panie władzo, coś się stało? Ja tu mieszkam.

Z twarzy funkcjonariusza natychmiast zniknęła złość. Mo zawsze zadziwiało, jak szybko można sobie zjednać ludzi grzecznością.

— Przykro mi, ale nie może pan wjechać. Prowadzimy tu operację.

Mo udał zaskoczenie.

— Ale to nic poważnego, prawda? To zawsze była taka spokojna ulica. Ja mam dzieci. Nie chcę nawet myśleć, że coś mogłoby mieć na nie zły wpływ.

— Spokojnie, proszę pana, nie ma się czym martwić. Daję panu słowo.

— Mam nadzieję, że to nic wspólnego z narkotykami, prawda? Proszę, byle nie narkotyki.

Policjant nachylił się jeszcze bardziej i posłał Mo porozumiewawcze spojrzenie.

— Szczerze mówiąc, wygląda na to, że ktoś pozostawił dwójkę małych dzieci bez opieki.

— O Boże, to straszne — oburzył się Mo. — Kto by mógł coś takiego zrobić?

— Dostaliśmy anonimowy telefon. Podobno ktoś je zaciągnął do mieszkania siłą. Dlatego przyjechaliśmy tu tak licznie.

— Ale nic im nie jest, prawda? Tym dzieciom.

— Są całe i zdrowe. Trochę zszokowane, ale to zrozumiałe. Nie mają żadnych obrażeń. Teraz są tam, za karetką. Poza nimi w mieszkaniu nikogo nie zastaliśmy. Myślę, że to jakiś zatroskany sąsiad zadzwonił. A porwanie wymyślił po to, żebyśmy na pewno przyjechali.

Wzruszył ramionami, co miało oznaczać, że takie wyjaśnienie go satysfakcjonuje.

— Grunt, że dzieciom nic się nie stało — powiedział Mo. — Dziękuję za informację.

Pożegnał się i wycofał z uliczki na wstecznym biegu. Wykonał polecenie szefa, ale teraz zachodził w głowę, w jaki sposób komisarz dowiedział się o dwójce porwanych dzieci. Domyślał się, że to dzieci Meronów, ale biorąc pod uwagę, jak do tej pory przebiegało śledztwo, wcale by się nie zdziwił, gdyby okazały się owocem romansu lorda Parnham-Jonesa z żoną premiera.

Mo znał Mike'a Bolta od ponad dwóch lat. W pełni mu ufał i zawsze był wobec niego lojalny. Mimo to się martwił. Szef nalegał na anonimowe zgłoszenie zamiast wykorzystania tradycyjnych kanałów. Przyczyna mogła być tylko jedna: Bolt

nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, że informacja pochodzi od niego. To z kolei oznaczało, że zdobył ją nielegalnie.

Mo nie był naiwny i dobrze wiedział, że aby osiągnąć wyniki, w policji czasem chodzi się na skróty. Jemu samemu czasem się to zdarzało. Jego szefowi również — w lotnej brygadzie miał przecież do czynienia z bezwzględnyimi przestępcami. Ale ton głosu Bolta, kiedy wydawał zwięzłe polecenia, jakaś cicha desperacja, która się w nich kryła, sugerowały, że tym razem było inaczej. Że tym razem posunął się za daleko. Mo nie miał zamiaru wydawać sądu, dopóki nie dowie się czegoś więcej, ale wcale mu się to wszystko nie podobało.

Zadzwoił do szefa z zestawu głośnomówiącego, ale Bolt miał wyłączone komórkę. Mo nie zostawił wiadomości.

Ktoś mu kiedyś powiedział, że człowiek musi być w pierwszym rzędzie lojalny wobec rodziny, w drugim — wobec przyjaciół. Władze, państwo, prawo — to wszystko znajduje się na tej liście gdzieś bardzo nisko. Jednak nie to martwiło Mo Khana. Mikę Bolt był jego przyjacielem, ale jeśli chroniąc go, będzie musiał kłamać, czy w ten sposób nie zaryzykuje kariery, a co za tym idzie — nie narazi na niebezpieczeństwo również dobra swojej rodziny?

Miał nadzieję, że nie będzie zmuszony dokonać takiego wyboru.

Następna godzina minęła niepostrzeżenie. Zostaliśmy pobieżnie przebadani przez siwego doktora, który bez przerwy coś do siebie mamrotał. Orzekł, że oboje jesteśmy w świetnym stanie, co dobitnie świadczyło o kompletnym braku spostrzegawczości. Następnie zniknął za domem — poszedł obejrzeć Lencha.

Wyglądający na gorliwca policjant w płaszczu przeciwdeszczowym aresztował Kathy w związku z zabójstwem Vanessy Blake. Usiłowała protestować, ale nie patrzyła w moim kierunku, zaś nie zareagowałem, gdy ją odprowadzano do policyjnego forda escorta. Mnie samego odprowadzono do innego samochodu. Powiedziano mi, że wiozą nas na komendę w Reading, gdzie oboje zostaniemy indywidualnie przesłuchani. Policjanci z wydziału śledczego chcieli mnie wypytać o wydarzenia w tym budynku. Z kolei wydział śledczy z Southampton miał kilka pytań w związku z tym, co zaszło poprzedniej nocy w naszym domku w lesie. W ruinach znaleziono ciało mężczyzny. Policjanci, co w sumie było zrozumiałe, chcieli się dowiedzieć, skąd on się tam wziął. Zapytałem o Daniela, ale żaden z dwóch funkcjonariuszy, którzy mi towarzyszyli, nic na jego temat nie wiedział. To chyba oznaczało, że udało mu się uciec. Taką przynajmniej miałem nadzieję. Na pewno było w nim coś podejrzanego, ale w końcu przynajmniej raz, a może nawet dwa razy uratował mi życie. To jednak coś znaczy.

Znajdowaliśmy się już tylko pięć minut od komisariatu. Siedziałem w radiowozie i wciąż do mnie nie docierało, że pobiłem do nieprzytomności zatwardziałego kryminalistę oraz prowadziłem wymianę ognia z wielokrotnym mordercą. Nagle odezwało się policyjne radio. Ktoś pytał, czy w wozie jest kierowca. Padła twierdząca odpowiedź, a wtedy ten sam głos poinformował nas, że policja znalazła Maksa i Chloe całych i zdrowych w mieszkaniu w Hendon. Dzieci zawieziono na profilaktyczne badania do Royal Free Hospital. Nie wstydzę się przyznać, że kiedy to usłyszałem, po raz drugi tego dnia się rozpłakałem. Tak wielką poczułem ulgę.

— Już dobrze — policjant, który siedział przede mną na fotelu pasażera, położył mi rękę na ramieniu. — Nie musi się pan krępować.

Więc płakałem.

W komisariacie dostałem kubek mocnej kawy, a zaraz potem powiedziano mi, że w domu, w którym wychowała się Kathy, znaleziono ciało Irene Tyler, mojej teściowej. Nigdy się nie dogadywaliśmy, ale wiadomość o jej śmierci mimo to mocno mnie ugodziła. Chyba mocniej, niż mogłem przypuszczać. Nie chcieli powiedzieć, jak zginęła — poinformowali mnie tylko, że sprawę uznano za podejrzaną.

Kiedy dopiłem kawę, zaprowadzono mnie do pokoju przesłuchań. Tam para detektywów kazała mi opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło, odkąd zeszłego wieczoru wypuszczono mnie z komisariatu. Obiecali, że zaraz potem zawiozą mnie do Londynu, do dzieci.

— A co z moją żoną? — zapytałem, ale nie chcieli odpowiedzieć.

Nie nalegałem i po prostu wszystko im opowiedziałem. Co jakiś czas przerywali, prosząc o szczegóły albo wyjaśnienie, ale przede wszystkim słuchali. Nie okazywali sceptycyzmu wobec mojej wersji zdarzeń, nawet wówczas, gdy opisałem, jak w obronie własnej postrzeliłem Lencha i zraniłem go w stopę. Spodziewałem się pytań o detektywa oraz o śmierć Lencha, ale policjanci ominęli ten temat. Wobec tego sam postanowiłem nadmienić, że detektyw go ścigał, a przestępca był uzbrojony. Dodałem, że ani ja, ani Kathy nie widzieliśmy, co było dalej. Miałem nadzieję, że w ten sposób mu pomagam.

Jeśli chodzi o rolę Kathy w tym wszystkim, wyjawilem im prawdę, głównie dlatego, że nie widziałem innego rozwiązania. Powiedziałem, że miała romans z Jackiem Calleyem, a on dał jej klucz do skrytki zawierającej coś, co należało do jego klienta. Jacyś ludzie najwyraźniej bardzo chcieli to zdobyć. Torturowali

Jacka, próbując dowiedzieć się, gdzie to jest, a wreszcie go zabili. Potem zaczęli ścigać Kathy i mnie, aż w końcu nas złapali.

— I nie wie pan, co zawierała ta skrytka? — spytała czterdziestokilkuletnia komisarz o prostej fryzurze, która zupełnie do niej nie pasowała.

— Coś, co można kopiować — odrzekłem, przypomniawszy sobie, jak Lench przesłuchiwał Kathy.

— Sądzi pan, że pańska żona może wiedzieć więcej? — pytała dalej policjantka.

— Nie — odparłem, choć tak naprawdę wcale nie byłem tego taki pewien.

— A ten klient? Wie pan, kto to może być?

Pokręciłem głową.

— Oto jedyne nazwiska, jakie poznałem: Daniels, ten policjant incognito; Mantani, jeden z ludzi, którzy mnie porwali; oraz Lench, który zginął dziś rano.

— Skąd pan wie, że zginął? — spytał drugi detektyw, dużo młodszy facet o bardzo wysokim czole.

Robił wrażenie osoby święcie przekonanej, że jest jej pisana przyszłość o wiele bardziej świetlana niż praca w prowincjonalnym komisariacie. Trochę mi przypominał mojego szefa, Wesleya „Mów mi Wes” O’Shea — zadufanego w sobie faceta, który dąży po trupach do celu. Gdyby był w armii, to jak dwa razy dwa cztery zastrzeliliby go towarzysze broni.

— Powiedział mi o tym ten detektyw, który nas uratował.

Para policjantów spojrzała na siebie, a potem znowu na mnie. Na moim zegarku było dziesięć po jedenastej. Siedziałem w tym pokoju już od trzech kwadransów i nagle poczułem się wyczerpany.

— Powiedziałem już wszystko, co wiem — stwierdziłem ze znużeniem. — Dajcie mi wreszcie zobaczyć się z dziećmi.

Policjantka kiwnęła głową.

— Dobrze. Przesłuchanie zawieszono o godzinie jedenastej jedenaście.

— A, i jeszcze coś, zanim wyłączycie nagrywanie — dodałem. — Chciałbym powiedzieć, że moja żona nie miała nic wspólnego z morderstwem Vanessy Blake. Zabił ją ten sam mężczyzna, który zaatakował mnie w bibliotece przy użyciu narzędzia zbrodni.

— Przekażemy pana uwagi funkcjonariuszom prowadzącym tę sprawę — powiedziała kobieta współczującym tonem. — Dziękujemy za pomoc.

Skinąłem głową i uściśnąłem jej dłoń. Jej kolega nie raczył mi podać ręki. Nie ulegało wątpliwości, że mi nie uwierzył. Chrzań się, cwaniaczku. Wierz sobie, w co chcesz. Gdybyś w jeden dzień przeszedł tyle co ja, nie zrobiłby na tobie wrażenia arogancki karierowicz w dobrze skrojonym garniturze.

Wyszedłem na korytarz. Pod ścianą stał rząd pustych krzeseł. Usiadłem, żeby poczekać, aż pojawi się ktoś, kto zgodnie z obietnicą policjantki zawiezie mnie do Londynu. W komisariacie panował spokój, zapewne dlatego, że był niedzielny poranek, a to zdecydowanie nie jest ulubiona pora przestępców. Nikogo nie przyjmowano do aresztu, kręcił się tu tylko jeden zakapturzony wyrostek, który czekał na spotkanie ze swoim kuratorem. Przypomniało mi się, że przecież znów zacząłem palić. Nagle poczułem nieprzyjemny głód papierosa, choć nawet gdybym miał przy sobie paczkę, nic by to nie zmieniło. W tej części komisariatu obowiązywał zakaz palenia, co wydawało mi się trochę nie fair. W końcu człowiekowi, który staje wobec perspektywy aresztu, może nawet na dłuższy czas, można by przynajmniej pozwolić zapalić papierosa, żeby łatwiej zniósł całą sytuację.

— Jak się pan miewa, panie Meron? — tuż obok rozległ się głos, przerywając moje rozmyślenia.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem nadkomisarza Rory'ego Caplina, jednego z dwóch mężczyzn, którzy siedemnaście godzin wcześniej przesłuchiwali mnie w związku z zabójstwem Vanessy Blake. Jego rudosiwa czupryna wyglądała na jeszcze bardziej zwichrzoną niż wtedy. Był ubrany na luzie: w dżinsy oraz czarną, skórzaną kurtkę, zbyt krótką, by ją uznać za modną.

— Mam pana podwieźć do dzieci do szpitala — powiedział.

Obdarzył mnie przy tym serdecznym, współczującym uśmiechem. Takich uśmiechów widziałem przez cały ranek już wiele, ale w jego wykonaniu mógł on nawet ująć za szczery.

Ziewnąłem.

— Ktoś tak ważny jak pan?

— Moi koledzy przesłuchują pańską żonę i odwalają przy tym kawał dobrej roboty. Ja muszę wracać do komisariatu, a szpital jest po drodze — powiedział, pokazując kluczyki do samochodu, które trzymał w ręku. — Chodźmy, mam dzisiaj jeszcze dużo do zrobienia.

— Czy znaleźliście już faceta, który mnie zaatakował w bibliotece? — spytałem, kiedy wychodziliśmy z posterunku.

— Nie, jeszcze nie. I nie widział go żaden ze świadków, chociaż spisaliśmy już parę zeznań.

Nieszczególnie starał się ukryć sceptycyzm.

— Panie nadkomisarzu, ja naprawdę tego nie wymyśliłem. Zaatakował mnie mężczyzna uzbrojony w nóż, którym zabił Vanesę Blake. Ten nóż, który mi wczoraj pokazywaliście.

— Tak, wiem, ten z odciskami palców pana żony. Ale tak czy inaczej, nie znaleźliśmy tego człowieka.

Podeszliśmy do samochodu Caplina. Była to złotozielona toyota sedan, mocno zabłocona po bokach. We wnętrzu pachniało odświeżaczem powietrza oraz dymem.

— Czy znaleźliście jakieś ślady, które mogą pomóc znaleźć mordercę? — spytałem.

— Tak — odrzekł policjant, przekręcając kluczyk w stacyjce. Zaległa cisza.

— A coś więcej? — powiedziałem w końcu.

— Vanessa Blake miała romans z osobą pozostającą w związku małżeńskim. W jej domu znaleźliśmy korespondencję, z której jednoznacznie wynikało, że wkrótce planowała z tym kimś zamieszkać.

— Przesłuchaliście już tego jej kochanka? — zapytałem.

Tymczasem wyjechaliśmy na ulicę.

— Przesłuchujemy jej kochankę właśnie w tej chwili — odrzekł i tym razem na jego twarzy malowało się naprawdę szczere współczucie. — Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale jest nią pańska żona.

Przez te wszystkie lata Mike Bolt przesłuchiwał dziesiątki, setki osób i znał każdą technikę przesłuchań na wylot. Przypuszczał, że równie dobrze znał je mężczyzna, którego godzinę temu zastrzelił. Sztuczka polegała na tym, żeby wierzyć w historię, którą się opowiada. W każdą można uwierzyć, jeśli tylko powtórzy się ją w myślach odpowiednio wiele razy — nawet jeśli to kłamstwo. A to, co mówił Bolt, bez wątpienia było kłamstwem.

Kiedy przywieziono go do komisariatu w Reading — nie został co prawda aresztowany, ale nie miał też dużego wyboru w tej kwestii — przesłuchujący go policjanci z wydziału dochodzeniowo-śledczego wypytywali w kółko o jego wersję zdarzeń. Starali się uchodzić za przyjaciół, ale jednocześnie — jak wszyscy dobrzy gliniarze — polowali na wszelkie nieścistości. Bolt jednak konsekwentnie trzymał się swojej historii. Mężczyzna, którego zastrzelił — uzbrojony i ubrany w kominiarkę — wyskoczył przez kuchenne okno i uciekł przez ogród aż na przyległe pola. Ponieważ Bolt wiedział, że podejrzany ma broń i jest gotów jej użyć, podniósł z podłogi browninga z tłumikiem — czyli pistolet, którego Tom Meron miał użyć w strzelaninie — po czym rozpoczął pogoń. Podejrzany był ranny, toteż poruszał się powoli i Bolt szybko zbliżył się do niego na kilka metrów. Działo się to już na polu. Policjant dwukrotnie zawołał, żeby podejrzany rzucił broń. W odpowiedzi mężczyzna odwrócił się z bronią w ręku i wszystko

wskazywało na to, że zamierza strzelać. Bolt w biegu oddał strzał, trafiając podejrzanego w brzuch. Jednak ten nie upadł i wciąż celował w policjanta. Wobec tego komisarz przystanął, wycelował i ponownie wystrzelił, tym razem trafiając w głowę. Podejrzany się przewrócił, a Bolt, słysząc nadjeżdżające wozy, szybkim krokiem wrócił w stronę domu, żeby wezwać pierwszą pomoc.

Wszystko to brzmiało całkiem prawdopodobnie i jako że komisarz mówił bez zająknięcia, przesłuchujący go detektywi nie mieli żadnych podstaw do podjęcia dalszych działań. Była to jednak sytuacja bardzo nietypowa — a tego w angielskiej policji nikt nie lubi. Poinformowano go, że sprawa trafi automatycznie do Niezależnej Policyjnej Komisji Skarg i że będzie się musiał stawić, kiedy tylko komisja zechce z nim rozmawiać. Bolt potwierdził, że to rozumie. Następnie został poinstruowany, żeby nie opuszczał pokoju przesłuchań, ponieważ właśnie przyjechał jego szef z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną, nadinspektor Steve Evans. Bolt przyjął kolejny kubek kawy, już trzeci, i czekał.

Nie miał wyrzutów sumienia, że kłamie. Był natomiast przygnębiony, iż sytuacja zmusiła go do zabicia człowieka, i to w gruncie rzeczy z zimną krwią. Wstrząsnęło nim to, co zrobił, ponieważ odebranie komuś życia, choćby bardzo na to zasłużył, pozostaje strasznym czynem, który na zawsze pozostawia ślad w każdym, kto ma sumienie. Oto unicestwiło się człowieka, odebrało mu wszelkie marzenia, wszelkie uczucia i wszelkie wspomnienia. To przerażająca myśl, szczególnie dla Bolta, ponieważ przeczyła wszystkiemu, czego uczono go jako stróża porządku. Jednak stało się i komisarz miał nadzieję, że dzięki temu uratował życie dwóm niewinnym istotom.

Nie powiedziano mu, czy dzieci Meronów zostały uwolnione, on zaś nie pytał, ponieważ według jego wersji wydarzeń nie rozmawiał z podejrzanym. Miał jednak przecucie, że wszystko

dobrze się skończyło. Żaden przestępca nie chciałby zabić dwojga dzieci, chyba że to absolutnie konieczne. Konsekwencje mogą być zbyt poważne. Jednak Bolt nie chciał ryzykować. Raz jeszcze powtórzył w myślach, że postąpił właściwie. Cały czas to sobie powtarzał. Wlepił wzrok w kubek z kawą i powtarzał raz za razem. Postąpiłeś właściwie. Zasłużył sobie na to. Postąpiłeś właściwie.

Ktoś zastukał do drzwi i już po chwili do pomieszczenia wszedł nadinspektor Evans. Był niewysokim, drobnym mężczyzną przed pięćdziesiątką. Twarz zdobiły mu starannie przystrzyżone wąsy w stylu wojskowym. Nawet dziś, w swój wolny dzień, miał na sobie nienagannie wyprasowany garnitur, koszulę i krawat. Gdyby jego imię lub nazwisko zaczynało się na W, na całe życie przyłgnąłby do niego przydomek „wytworniś”. Jednak ponieważ „Steve Wytwomiś” nie brzmiało dostatecznie atrakcyjnie, został po prostu nadinspektorem Evansem. Bolt spotkał go kilkakrotnie i zdołał wyrobić sobie o nim dobre zdanie. W przeciwieństwie do wielu wysokich rangą oficerów policji, Evans naprawdę dbał o swoich podwładnych i był gotów stanąć w ich obronie. Biorąc pod uwagę bieżącą sytuację, bardzo dobrze się składało.

Komisarz wstał i podał rękę szefowi. Uścisk nadinspektora był niemal bolesny, a jego dłoń całkowicie sucha.

— Witaj, Mike — rzeki Evans, patrząc mu prosto w oczy. — Trzymasz się jakoś?

— Daję radę. Niezbyt przyjemnie znaleźć się po niewłaściwej stronie stołu w pokoju przesłuchań.

Bolt napił się kawy. Była słaba, a do tego już chłodna, ale zaraz wypił kolejny łyk.

— Zawsze ciężko się podejmuje decyzję, żeby pociągnąć za spust — rzekł nadinspektor. — Niewielu z nas kiedykolwiek staje przed taką koniecznością. A jeszcze rzadziej się zdarza, żeby ktoś musiał się na to zdecydować dwukrotnie

Bolt milczał. Właściwie nie miał co powiedzieć. Wiedział, że Evans w młodości służył na Falklandach. Był weteranem bitwy pod Goose Green, gdzie niewątpliwie sam musiał podejmować decyzje o pociągnięciu za spust, więc przynajmniej nie plótł bzdur w stylu „Podzielam twój ból”, jak wielu oficerów na samej górze.

— Już drugi raz w karierze zastrzelełeś człowieka — ciągnął Evans — a ponieważ tym razem użyłeś nieautoryzowanej broni, analiza twoich działań będzie jeszcze bardziej szczegółowa. Komisja wezwie cię do powtórzenia twojej historii wielokrotnie. Bądź na to przygotowany.

— Jestem przygotowany — odrzekł Bolt. — Nie zrobiłem nic złego.

— Nie mówię, że zrobiłeś. Szczerze powiedziawszy, jestem nawet pewien, że nie. Przez siedemnaście lat byłeś wzorowym funkcjonariuszem i niezwykle wartościowym członkiem naszego zespołu. Ale nie każdy myśli tak jak my. W tej sytuacji nie mam wyboru: jestem zmuszony zawiesić cię w obowiązkach przy zachowaniu pełnego uposażenia.

Bolt ze złością pokręcił głową.

— Niech mi pan tego nie robi. Sam pan wie, jak długo potrwa to śledztwo. Ci idioci ze wszystkim się ociągają. Mogę być zawieszony przez parę miesięcy... albo lat.

— Jak tylko atmosfera się oczyści, złożymy wniosek o przywrócenie cię do służby, ale w tej chwili musimy pokazać, że działamy stanowczo.

— Ten facet miał broń. On do mnie celował. Co ja miałem, do cholery, zrobić? Stanąć sobie i robić za cel treningowy, żeby potem wszyscy mogli mnie uznać za bohatera, który działał z rozwagą? „Może być z siebie dumny... tylko że, kurde, nie żyje”.

— Mike, posłuchaj — Evans podniósł głos i pochylił się nad stołem — ja cię naprawdę rozumiem. Sukinsyn na pewno na to zasługiwał. No proszę bardzo, powiedziałem to. Ale to jest moja

osobista opinia, a nie oficjalne stanowisko wydziału. Moja rola jest niestety taka, że muszę postępować zgodnie z regułami. Przykro mi, tak już po prostu jest. — Wyprostował się i westchnął. — Zrobię, co mogę, żeby cofnięto ci to zawieszenie w ciągu kilku tygodni. Trochę cierpliwości, OK? Ty sobie tymczasem odpocznij, a jak będziesz rozmawiał z komisją, niech zawsze będzie przy tym obecny ktoś z federacji. Współpracuj, ale nie ułatwiał im zadania.

Bolt był zaskoczony słowami nadinspektora. Nie dlatego, że Evans wygłaszał szczególnie kontrowersyjne poglądy, ale dlatego, że nie wahał się mówić, co myśli, a to u wysokich rangą oficerów należy do rzadkości. Większość myśli jedno, ale mówi coś zupełnie innego. Poczuł również ulgę, że szef tak wyraźnie trzyma jego stronę.

— Dobrze — odrzekł — odpocznę, ale nie chcę, żeby ten mój odpoczynek trwał za długo. Mamy dużo roboty.

Evans westchnął.

— Powinieneś wiedzieć coś jeszcze — powiedział. — Z uwagi na skomplikowany charakter tej sprawy, nasz wydział przejmuje nad nią pełną kontrolę. To my teraz prowadzimy dochodzenie w sprawie zabójstwa Jacka Calleya i Vanessy Blake, a także wszystkie inne powiązane sprawy, łącznie z samobójstwem lorda Pamham-Jonesa.

— I ja nie będę w tym brał udziału.

— Będziesz, jak tylko zostaniesz odwieszony.

— Nikt nie wie o tym tyle co ja. Potrzebujecie mnie.

— Wiem, ale nic nie mogę zrobić. Już ci wszystko wyjaśniłem.

Bolt rozumiał, że dalsza dyskusja nie ma sensu.

— Skoro tak pan chce... — rzekł, podnosząc kubek z kawą.

W tym momencie zadzwoniła komórka Evansa.

— Przepraszam — powiedział nieco zmieszany.

Rozmawiał nie dłużej niż minutę. Na jego twarzy malował się rosnący niepokój, a zmarszczki robiły się coraz głębsze.

— Jesteście pewni? — zapytał rozmówcę.

Potem westchnął, zaklął i skończył rozmowę.

— Co się dzieje? — spytał zaintrygowany Bolt.

Evans wstał. Wyglądał na zmartwionego i jakby nieco zagubionego.

— Mamy problem — odrzekł. — Potencjalnie bardzo poważny.

53

Rewelacja na temat Kathy, którą wyjawiał mi nadkomisarz Rory Caplin, jeszcze jedna przygnębiająca wiadomość, była tym, co w końcu przepełniło czarę. Co dalej? Dowiem się, że Kathy przez ostatnie dziesięć lat wysyłała pieniądze al-Kaidzie? Że ukrywała nazistowskich zbrodniarzy wojennych? Tym razem — choć wcześniej zdarzyło mi się to w życiu może kilka razy — szok odebrał mi mowę.

— Tak mi przykro — powiedział Caplin, gdy jechaliśmy przez opustoszałe centrum Reading w kierunku autostrady M4. — Na pewno dowiedziałby się pan o tym wcześniej czy później, ale chyba byłoby panu łatwiej, gdyby wcześniej opadły inne emocje.

Gapiałem się tępo przez okno. Mijaliśmy ponury, ceglany budynek fabryki ciastek Huntley and Palmers. Jego widok pasował do mojego nastroju.

— Powiedział pan, że w domu Vanessy Blake znaleźliście korespondencję.

— Zgadza się.

— Jaką?

— Między innymi wspólny wniosek o kredyt hipoteczny, podpisany przez obie kobiety. Sprawdziliśmy podpisy. Są autentyczne. Było też parę innych rzeczy. Wspólne fotografie. Kilka z nich, no... — odchrząknął, by zwiększyć efekt — intymne.

— No dobrze, dobrze, wyobrażam sobie.

Ale wcale sobie nie wyobrażałem. Myślałem, że Kathy kochała Jacka Calleya. Przyznała się do tego zeszłego wieczoru. Byli ze sobą tak blisko, że powierzył jej ten przeklęty klucz. Nawet po nim płakała. A może nie? Może wcale nie po nim, a po Vanessie? Może się nawet wcale nie spotykała z Jackiem. Jedynym dowodem były jej własne słowa, ale równie dobrze mogła przecież skłamać. Tak naprawdę nie umiałem już stwierdzić, w co powinienem wierzyć.

Wiedziałem tylko tyle, że muszę się zobaczyć z dziećmi, ucałować je, a potem na dwanaście godzin iść spać. I może jak się obudzę, to będę się z tym wszystkim lepiej czuł.

W myślach mignął mi niepożądany obraz Kathy i Vanessy w łóżku. Pojawił się i już tam został. Vanessa nigdy nie była w moim typie. Na pewno wpłynęła na to świadomość, że mnie nie znosi, oraz fakt, że nie dotknęłaby mężczyzny, choćby jej życie od tego zależało. Musiałem jednak uczciwie przyznać, że obiektywnie była całkiem atrakcyjna — i przez kilka chwil obraz dwóch nagich kobiet, pożądany czy nie, nie opuszczał moich myśli.

Pokręciłem głową, dziwiąc się pierwotności moich instynktów, po czym spojrzałem na Caplina. Zastanawiałem się, czy on i jego koledzy dobrze się bawili, poznając ponadprogramowe hobby mojej żony. Przypuszczałem, że tak — i czułem się zażenowany, że będę z nim sam na sam aż do Londynu.

— Ma pan papierosa? — zapytałem.

— Myślałem, że pan nie pali — odparł, po czym sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki.

Wyjął wymiętą paczkę rothmansów oraz zapalniczkę. Podał mi je, prosząc, żebym i jemu jednego zapalił.

Zrobiłem to i podałem mu papierosa. Włożył go do ust, po czym zaciągnął się długo i głęboko, tak że aż mu się zapadły

policzki. Jednocześnie rękaw jego kurtki odwinął się na tyle, by odsłonić szeroki biały bandaż owinięty wokół nadgarstka. Miejscami był pożółkły, a także poplamiony świeżymi śladami krwi.

Kiedy mnie wczoraj przesłuchiwał, nie miał tego bandaża.

Odjął papierosa od ust, skrzywił się nieco, jakby go coś użądliło, a potem niby od niechcienia położył rękę na udzie. Rękaw znów zasłonił nadgarstek. Patrzyłem w to miejsce przez kilka sekund i wreszcie odwróciłem wzrok. Zaczęło mnie ścisnąć w płucach, czułem przypływ adrenaliny.

Zatrzymaliśmy się na światłach. Przed nami stały dwa samochody. Caplin znów zaciągnął się papierosem, potem oparł dłoń na kierownicy. Rękaw znowu się zsunął.

Bandaż z jednej strony pociemniał.

Kap.

Idealnie okrągła kropelka krwi skapnęła z bandaża i wylądowała mu na dżinsach. Spojrzał na nią. Ja też. Potem obaj podnieśliśmy wzrok i nasze spojrzenia się spotkały. W tym momencie zrozumiałem, że Caplin był tym mężczyzną, którego Kathy wczoraj zraniła nożem.

I wtedy wszystko ułożyło się w spójną całość. Nagle wiedziałem już, kto zabił Vanessę Blake, kto zaatakował mnie w bibliotece, a prawdopodobnie także kto brał udział w porwaniu moich dzieci.

Ale było już za późno. Jego mina nie pozostawiała żadnych wątpliwości — on też już wiedział, że ja wiem.

Kap. Kolejna kropla krwi spłynęła z bandaża. Znów obaj patrzyliśmy, jak spada przez zadymione, gęste powietrze samochodu. Tymczasem światło zmieniło się na zielone i pierwszy samochód ruszył.

Rzuciłem się do drzwi. Papieros wypadł mi z ręki. Byłem szybki, ale nie dość szybki. Caplin włączył centralny zamek —

szarpałem za klamkę bez skutku. Samochód przed nami także już ruszał. Popatrzyłem na Caplina; wetknął papierosa między zęby i właśnie sięgał po coś do wewnętrznej kieszeni. Ostatnio przeżyłem wystarczająco wiele, żeby nie mieć wątpliwości, co to będzie. Przeżyłem też wystarczająco wiele, by wiedzieć, że muszę działać. Dlatego w chwili, gdy wyjmował pistolet, jedną ręką zwiniętą w pięść uderzyłem go w twarz, a drugą ścisnąłem go za zabandażowany nadgarstek — to w tej ręce trzymał broń — tak mocno, jak tylko byłem w stanie.

Caplin jęknął z bólu. Rozległ się huk wystrzału; kula wybiła dziurę w samym środku przedniej szyby. Zamachnął się drugą ręką, usiłując wyprowadzić cios, ale na to nie pozwoliłem, trafiając go hakiem w szczękę. Głowa odskoczyła mu z impetem na bok. Zaklął głośno. Uderzyłem go po raz trzeci, chcąc wykorzystać swoją przewagę. Czułem jakieś niesamowite, radosne podniecenie. Miałem ochotę gołymi rękami zatłuc sukinsyna, który przesłuchiwał mnie niecałą dobę temu. Do tego jeszcze zgrywał dobrego glinę, podczas gdy cały czas świetnie wiedział, że jestem niewinny. Wyobraziłem sobie, jak zabiera moje dzieci z domu Irene, i tego już naprawdę nie wytrzymałem. Złapałem go za włosy i pociągnąłem z wściekłością, chcąc grzmotnąć jego głowę o szybę. Jednak tym razem się przeliczyłem. Nie byłem przygotowany na to, że gwałtownie rzuci się w przód. Zrobił przy tym wymach ręką, w której trzymał broń, kompletnie mnie zaskakując.

Pistolet znów wypalił i tym razem poczułem powiew na twarzy — kula minęła moją głowę o milimetry i wybiła boczną szybę. Huk był ogłuszający, a zapach prochu bardzo intensywny. Na policzku, w miejscu, gdzie padł osad, piekła mnie skóra. Straciłem równowagę. Tym razem to Caplin mnie uderzył. Siła ciosu sprawiła, że uderzyłem głową w rozbitą szybę. Instynktownie rozluźniłem uścisk, pozwalając mu oswobodzić rękę z pistoletem.

Kierowca w samochodzie za nami, najwyraźniej bardzo dzielny człowiek, zatrąbił na nas, opierając się na klaksonie przez dobre pięć sekund. Ja tymczasem próbowałem zapomnieć o bólu, bo Caplin celował mi teraz prosto w przeponę. Co dziwne, wcale się nie bałem. Odczuwałem jedynie znużenie i rezygnację. Nie miałem już siły walczyć. Skoro nadszedł czas umrzeć, to niech i tak będzie.

— Ty zasrany idioto — powiedział Caplin z pogardą. — Ty naprawdę nie wiesz, kiedy przestać, co?

— To wszystko, co mówiłeś o romansie Kathy, to kłamstwo? — zapytałem.

Facet za nami, który najwyraźniej albo niedowidział, albo był samobójcą, znowu zaczął trąbić.

Caplin spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakbym był wariatem, zadając tego typu pytanie w tak dramatycznym momencie życia.

— Nie — odrzekł. — To prawda.

I wtedy zrobił coś dziwnego. Przeprosił mnie.

— Nie chciałem mieszać w to twoich dzieci. Chcę, żebyś to wiedział. Ja nie krzywdzę dzieci.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Tylko popatrzyłem na lufę pistoletu, wciąż wycelowaną w mój brzuch. W końcu zdobyłem się jedynie na błagalną prośbę:

— Nie zabijaj mnie.

— Nie mam takiego zamiaru — odrzekł.

A potem dodał, jakby do siebie:

— Jezu, po cholere ja ci w ogóle zaproponowałem, że cię podwiozę?

Po tych słowach odwrócił pistolet, włożył sobie lufę w usta i pociągnął za spust.

54

— To dokąd jedziemy? — zapytał.

Musiałem się chwilę zastanowić.

— Do domu — powiedziałem w końcu, ale w zasadzie nie za bardzo już wiedziałem, co to znaczy.

Spytałem, czy wie, jak tam dojechać.

Bolt skinął głową, po czym otworzył drzwi od strony kierowcy.

— Byłem tam wczoraj wieczorem — odparł.

— Czy wszystko w porządku? Wczoraj wieczorem ktoś się tam włamał, któryś z ludzi Lencha. Widziałem go wewnątrz.

— Dom jest bezpieczny — odrzekł detektyw, wsiadając do samochodu. — Strzeże go policja.

Ja również wsiadłem i Bolt uruchomił silnik. Na samochodowym zegarze była godzina 14.35. Zapiąłem pas. Wyjechaliśmy z parkingu i ruszyliśmy przez Hambleden. Było tu teraz więcej ludzi — rozmawiali w małych grupkach, niektórzy stali w drzwiach domów. Przed pubem dwóch umundurowanych policjantów kogoś przepytowało. Tego poranka miejscowość była świadkiem dramatycznych wydarzeń. W uroczej wiosce nikt nie spodziewa się strzelaniny, ale z drugiej strony w dzisiejszych czasach wszystko jest już inne niż kiedyś.

Zapytałem Bolta, czy będzie miał coś przeciw temu, jak zapalę. Dostałem paczkę benson and hedges od pewnego

współczującego detektywa, kiedy po zejściu z Caplinem zawieziono mnie z powrotem na posterunek. Teraz poczułem rozpaczliwą potrzebę, by znowu zapalić. Zły znak.

Bolt zerknął na mnie z lekką dezaprobatą i westchnął.

— Po tym wszystkim, co przeszedłeś, nie byłbym człowiekiem, gdybym się nie zgodził. Tylko proszę, otwórz okno.

Zrobiłem, o co mnie prosił, po czym przypaliłem i bardzo głęboko się zaciągnąłem. Papieros niezwykle mi smakował, ale zauważyłem, że wciąż nieco drżą mi ręce. Miałem za sobą długą dobę. Kathy zwolniono bez postawienia zarzutów. Godzinę temu pojechała swoim samochodem do Londynu po dzieci. Powiedziała mi, że potem mogę wrócić do domu. Była blada i zmizerowana. Śmierć matki i dwojga kochanków odcisnęła ślad na jej twarzy. Mimo to Kathy pozostała spokojna i zachowała przytomność umysłu. Nie wytłumaczyła mi się — jedynie lekkim skinieniem głowy dała znak, że rozumie mój ból, po czym odwróciła się i odeszła, a za nią podążył jej adwokat.

Ja musiałem zostać w komisariacie w celu złożenia obszernych wyjaśnień w sprawie okoliczności śmierci nadkomisarza Caplina. Przesłuchujący mnie policjanci byli zszokowani, że jeden z nich mógł być uczestnikiem krwawych wydarzeń, które miały początek dzień wcześniej. Szok był jeszcze większy, kiedy zasugerowałem, iż jego partner, konstabl Ben Sullivan, również mógł być w to zamieszany. W trakcie walki z nadkomisarzem dotarło do mnie, że Sullivan wzrostem i posturą odpowiadał mężczyźnie, który napadł na mnie w bibliotece, a potem pojawił się w domku w lesie razem z Lenchem, Mantanim i Caplinem. Nie wiedziałem, czy wysłano kogokolwiek, by go przesłuchał bądź aresztował, więc zapytałem o to Bolta.

— Ja i tak bym o tym nie wiedział — odparł. — Zostałem zawieszony.

— Przykro mi — powiedziałem i była to prawda.

Miałem wobec Bolta ogromny dług wdzięczności i koniec końców nawet jeśli został zawieszony, i tak był jedynym człowiekiem, któremu byłem skłonny na tyle zaufać, żeby za drugim podejściem dać mu się odwieźć do Londynu. Policjantom w Reading wcale to się nie podobało, ale nalegałem, więc w końcu obu nas podwieźli do samochodu Bolta w Hambleton.

Znowu się zaciągnąłem. Miałem straszną ochotę z kimś pogadać.

— Nie mam pojęcia, co ja teraz zrobię.

— Myślisz, że twój związek z Kathy da się jeszcze naprawić? — spytał.

— Wątpię. Nie po tym wszystkim, co się stało. Chyba jej już w ogóle nie znam — westchnąłem. Ubranie uczuć w słowa sprawiało mi trudność. — To strasznie dziwne uczucie. Taka pustka. Jakby całe moje życie, wszystko, co znałem, co kochałem... jakby to wszystko nagle po prostu się skończyło.

— Przeżywasz szok, Tom, ale to przejdzie.

— Łatwo panu mówić, komisarzu Bolt.

— Tom, nie jesteś moim więźniem. Mów mi Mike.

— Cóż, Mike, mówiąc dosadnie, mam przerąbane. I wątpię, żeby ktokolwiek znał to uczucie. Nawet ty.

Bolt przez jakiś czas milczał. Tymczasem wyjechał na główną drogę i ruszył na północ, w kierunku High Wycombe i autostrady M40. Ruch był większy. Słońce wreszcie przebiło się przez chmury, więc na drogę wylegli niedzielni kierowcy, by cieszyć się urokami tego zielonego zakątka Anglii.

Gdy detektyw znów się odezwał, jego słowa były przemyślane i pobrzmiwała w nich melancholia, jakiej nie spodziewałbym się po kimś takim jak on.

— Życie ma to do siebie, że przez wiele lat płynie sobie spokojnie, czasem aż tak spokojnie, że przyjmujemy to za pewnik. Tragedie mają miejsce gdzieś daleko i przytrafiają się ludziom, których nie znamy. A potem trach, w jednej chwili wypadasz z torów i nagle całe twoje życie staje na głowie. Coś takiego ci się właśnie przydarzyło, a trzy lata temu przydarzyło się mnie. Więc możesz mi wierzyć, Tom, wiem dokładnie, przez co przechodzisz.

Zapadła kłopotliwa cisza. W końcu ciekawość zwyciężyła i zapytałem go, co się stało.

— Moja żona zginęła w wypadku — odrzekł, nie patrząc na mnie.

— Przykro mi. Nie wiedziałem.

— Mówię ci o tym wszystkim dlatego, żebyś wiedział, że życie po jakimś czasie zaczyna się układać. Trzeba przejść długą, trudną i samotną drogę, ale w końcu człowiek uczy się, jak odzyskać trochę normalności.

— Przykro mi — powtórzyłem.

— Mnie też. To ja prowadziłem.

Byłem w szoku.

— Jezu, to musiało być straszne.

— To prawda. Nawet teraz, po trzech latach, w ogóle nie pamiętam samego wypadku, ani tego, jak do niego doszło. Byliśmy na kolacji u znajomych. Pamiętam, jak do nich przyjechaliśmy, pamiętam pierwsze pół godziny wizyty, ale od tego momentu mam w głowie lukę. Dwanaście godzin później obudziłem się w szpitalu. Miałem poważne obrażenia jamy brzusznej i krwotok wewnętrzny, ale z moją żoną było gorzej. Dużo gorzej. Trzy dni później jej rodzice zgodzili się na odłączenie od respiratora. Mnie samemu stan nie pozwalał na podjęcie tej decyzji. Nie mogłem nawet wstać z łóżka, żeby ją zobaczyć. Byliśmy małżeństwem od czterech lat. Ona była w drugim miesiącu ciąży.

— Boże, Mike, nie wiem, co powiedzieć.

Westchnął. Twarz mu stężała.

— W ciągu wczorajszego dnia piekielnie dużo przeszedłeś. Więcej niż wielu ludzi przez całe życie. Masz szczęście, że żyjesz. Tak jak ja miałem szczęście. Kiedy wyciągnęli mnie z wraku samochodu, nie było wiadomo, czy przeżyję. Ale wtedy wcale nie uważałem, że miałem szczęście. Gdy mi powiedzieli o Mikaeli, żałowałem, że nie zginąłem. Leżałem w szpitalu przez sześć tygodni, kompletnie bezradny, a obrażenia powoli się goiły. To były najgorsze dni mojego życia. Następne pół roku było niewiele lepsze. Siedziałem w domu na zwolnieniu, cały czas wspominając wspólne życie. Ale w końcu wróciłem do pracy, przeprowadziłem się... i chyba zacząłem normalnie żyć. Dalej każdego dnia myślę o Mikaeli. Wciąż rozmyślam o tym, co by było, gdybyśmy tamtego dnia zostali w domu. O tym, jak by nam się ułożyło życie. Rodzina, dzieci, domek na przedmieściu. Ale staram się nad tym nie rozwodzić. Życie toczy się dalej. Nie ma wyboru, trzeba się z tym pogodzić.

— To stąd te blizny? Z wypadku?

Kiwnął głową i dotknął różowego śladu w kształcie litery S, który biegł tuż nad podbródkiem.

— Wieczna pamiątka — powiedział. — Na wypadek gdybym kiedyś poczuł się za dobrze.

Po raz ostatni zaciągnąłem się papierosem, po czym wyrzuciłem go przez okno.

— Chyba zmienię pracę — oświadczyłem. — Mam dość bycia zasranym sprzedawcą oprogramowania.

Pomyślałem o fałszywym uśmiešku Wesleya, o jego głównianych gadkach motywacyjnych, a potem przypomniałem sobie, że dziś postrzeliłem człowieka. A to w pewien sposób oznaczało, że Wesley nigdy więcej mnie już nie zastraszy. Wyobraziłem sobie, jak na najbliższym spotkaniu poświęconym sprzedaży minionego tygodnia wstanę i zamiast recytować

zmyślone biznesplany w nadziei, że to go zadowoli, spokojnie oznajmię, że nic nie przygotowałem, a co więcej, bardzo się z tego cieszę. A potem usiądę, z szerokim uśmiechem na twarzy. Oczyma wyobraźni widziałem jego przerażoną minę, kiedy zrozumie, że oto nastał koniec jego niepodzielnych rządów jako wiceprezesa ds. sprzedaży w firmie Ezyrite Software Services, bo w gruncie rzeczy wcale nie jest tak charyzmatyczny i lubiany, a jego pozycja tak niezachwiana, jak mu się wydawało.

— Lubisz pracę gliniarza? — spytałem.

Przez chwilę milczał, jakby się zastanawiał.

— Lubię, pod warunkiem że mam jakieś rezultaty. Bo wtedy widzę, że coś zmieniłem na lepsze. Ale nie lubię, kiedy nie rozumiem, co się dzieje. Kiedy jest dużo luźnych wątków, które trzeba z sobą powiązać. Tak jak teraz. Nie opowiedziałbyś mi, co wiesz?

— Ale przecież skoro jesteś zawieszony, to nic to nie zmieni. Poza tym wszystko, co wiem, powiedziałem już w trakcie przesłuchania.

— Zrób mi tę przyjemność — odparł. — I tak mamy przed sobą czterdzieści pięć minut drogi.

Nie miałem ochoty znów opowiadać całej historii. Powracanie do wszystkich szczegółów wcale mi nie sprawiało przyjemności. Jednak Bolt robił wrażenie człowieka, który kiego przyjmuje odmowę, a poza tym moją niechęć odczytałby jako wyraz poczucia winy. Dlatego jeszcze raz opisałem wszystkie wydarzenia jedno po drugim. Bolt regularnie mi przerywał, zadając trafne pytania.

Kiedy skończyłem, zapytał, dlaczego moim zdaniem Jack Calley do mnie zadzwonił, skoro wcześniej nie rozmawialiśmy od czterech lat i w dodatku miał romans z moją żoną.

— Mówił, że potrzebuje mojej pomocy.

— Ale w czym ty byś mu potrafił pomóc? Nie chcę cię urazić, ale naprawdę nie wiem, w jaki sposób ty, znajdując się w

tamtym momencie piętnaście kilometrów od niego, mogłeś mu służyć jakąkolwiek pomocą. Ja na jego miejscu zadzwoniłbym pod dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

Wzruszyłem ramionami.

— Ja też, ale kto wie, co człowiekowi w takiej sytuacji chodzi po głowie.

— No, ty to na pewno wiesz — odparł. — W ciągu ostatniej doby znalazłeś się w podobnej sytuacji kilka razy. Powiedziałeś przecież, że kiedy cię przesłuchiwali i grozili torturami, gdybyś tylko wiedział, czego od ciebie chcą, natychmiast byś im to dał. Ale wygląda na to, że Jack tego nie zrobił.

Niespiesznie skinąłem głową.

— To prawda.

— Dlaczego? Jeśli to, co mówisz, jest prawdą...

— Jest prawdą.

— Skoro Calley dał klucz twojej żonie, dlaczego po prostu im nie powiedział, że ona jest z nim w domu? Po co dawał im twój adres?

Ja też już o tym myślałem.

— Przypuszczam, że chciał ją chronić. Wysłać ich w przeciwnym kierunku. Może myślał, że jeśli zdoła mi powiedzieć, co się dzieje, że ktoś szuka Kathy, to dam radę ją stamtąd zabrać.

— Może — odparł Bolt w zamyśleniu, a w jego głosie pobrzmiewało niedowierzanie.

Powtórzyłem w myślach całą rozmowę z Jackiem. Zastanawiałem się, czy kiedy podawał przestępcom mój adres, próbował mnie ostrzec. Dać mi znać, że do mnie jadą, żebym mógł uciec. Czy to właśnie był ostatni czyn człowieka, którego kiedyś uważałem za najlepszego przyjaciela. Chciałbym myśleć, że tak, ale tego również nie mogłem być pewien.

Uznałem, że pora, bym teraz ja zadał Boltowi pytanie, skoro najwyraźniej miał wątpliwości co do telefonu Jacka.

— Ty jesteś detektywem — powiedziałem. — Jakie jest twoje zdanie?

— Myślę — odparł, zerkając na mnie kątem oka — że twoja żona coś ukrywa.

Zaśmiałem się ponuro.

— Ja myślę, że ukrywa bardzo dużo.

55

Tego wieczoru Bolt przygotował sobie danie z pomidorów, hiszpańskiej szynki, którą kupił w lokalnych delikatesach, świeżego czosnku, dymki, chili i parmezanu, a to wszystko na podłożu z penne. Do tego kieliszek wytrawnego australijskiego chardonnay. Próbował zapomnieć, że rano zabił człowieka. Nie było to łatwe, ale przynajmniej miał smaczne jedzenie i wino, które bardzo dobrze się piło. Zastanawiał się, co teraz będzie robił, skoro został zawieszony. Ostatnio nie dał rady pojechać na ryby do Dorset. Kilkudniowy wypad do Irlandii, żeby połowić łososie, powinien mu to zrekompensować. Wiedział, że przyda mu się odpoczynek. Żył teraz samotnie i płacił symboliczny czynsz, więc nie cierpiał na brak pieniędzy. Oczywiście miał obowiązek stawić się na wezwanie komisji, ale to nie znaczyło, że musiał siedzieć na tyłku w domu i czekać, aż zadzwonią. Biorąc pod uwagę szybkość, z jaką zwykle pracują, będzie najwcześniej wrzesień, zanim zgłoszą się do niego z masą pytań i tymi swoimi surowymi, natrętnymi spojrzeniami. Równie dobrze mógł do tego czasu zrobić coś konkretnego.

Jednak zgodnie z tym, co powiedział Tomowi Meronowi, Bolt nie lubił niezamkniętych wątków i wiele aspektów tej sprawy wciąż nie dawało mu spokoju. Nie dawało mu spokoju również to, że stracił dostęp do informacji zdobywanych przez różne zespoły dochodzeniowe. Został na lodzie. Wyjaśnienie, co się stało — co tak naprawdę zawierał schowek, komu tak bardzo

zależało na zdobyciu jego zawartości i dlaczego — stało się praktycznie niemożliwe.

Dopił chardonnay, a jego myśli znów wróciły do Mikaeli. Sam się zdziwił, że powiedział Meronowi tak dużo. Rozwodzenie się nad wydarzeniami tamtej nocy nie było w jego stylu. Zawsze wołał robić coś dokładnie odwrotnego niż to, co radzili psychologowie: wszystko rozpamiętywał w samotności. Jednak zrobiło mu się żal Merona, kiedy tak siedział w samochodzie, z twarzą zapadniętą wskutek przerażających zmian, jakie zaszły w jego życiu, i straty, która była ich elementem. Komisarz nie powiedział mu jednak wszystkiego. Istniały tajemnice, których nikt nigdy nie pozna. Jak ta, że on nie chciał tego dziecka, że nie czuł się gotowy. Że przez ostatnie tygodnie w ogóle nie dawał żonie wsparcia, mimo iż zgodził się na założenie rodziny. Że w owym czasie, kiedy wychodzili na miasto, miał w zwyczaju pić tyle, na ile tylko kierowcom pozwalały przepisy, a czasami nawet więcej. Że do dziś nie miał pewności, czy tamtej nocy pił alkohol, czy jednak nie. Że małżeństwo, u którego wtedy gościli — Chris i Sharon, przyjaciele Mikaeli — od czasu wypadku go unikało, i nie wiedział, czy nie winią go za to, co się stało. Nigdy nikomu tego nie powiedział, podobnie jak o przyływach obezwładniającego poczucia winy, których doznawał, gdy o tym myślał. I nigdy nie powie.

Jeden z takich ataków właśnie się zbliżał. Ciężka melancholia, która — jeśli nic na nią nie poradzi — przerodzi się w powolną depresję. Chcąc zwalczyć to uczucie, podszedł do okna, aby wyjrzeć na jasno oświetloną ulicę. Na dole, jak to w niedzielny wieczór, było spokojniej niż zwykle. Mimo to chodnikiem w obie strony przechadzali się ludzie. Przed pubem „Pod Piórami”, gdzie czasem wpadał na drinka, zatrzymał się autobus. Wsiadły z niego dwie młode pary. Ich śmiech unosił się ku oknom jego mieszkania. Cała czwórka ruszyła do tajskiej

knajpy trzydzieści metrów dalej. Jedna z dziewczyn oparła się na ramieniu chłopaka i szepnęła mu coś do ucha. Pocałowali się. Bolt odwrócił wzrok, czując się jak podglądacz.

Nalał sobie drugi kieliszek wina i pociągnął spory łyk. Może warto by zejść „Pod Pióra” na parę kufla piwa? Dość dobrze znał właściciela. Kiedy w barze panował spokój, można było z nim przyjemnie porozmawiać. W tej chwili przydałoby mu się towarzystwo. Miałby czym zająć myśli.

Na stoliku w salonie zadzwoniła komórka.

— Witaj, szefie. Wszystko w porządku? — głos Mo w słuchawce był bardziej bezbarwny niż zwykle, bardziej ostrożny.

— Co u ciebie, Mo?

— Wszystko gra. Byłem zajęty. A u ciebie? Słyszałem o tej strzelaninie.

— On miał broń — powiedział Bolt, może nieco zbyt szybko.
— Dałem mu szansę, żeby się poddał.

— Nadinspektor Evans ma nadzieję, że wkrótce wrócisz na służbę.

— Ja też. Nie należę do tych, co lubią siedzieć beczynnym i kręcić młynka palcami. Więc zadzwoniłeś na policję w sprawie tych dzieci, tak?

— Dokładnie jak prosiłeś.

Bolt wiedział, że jego przyjaciel na pewno chce zapytać, w jaki sposób zdobył informację, więc sam mu to powiedział.

— O dzieciach dowiedziałem się od faceta, którego zastrzeliłem. Kiedy do mnie wycelował, postrzeliłem go w brzuch. Kiedy upadł, zapytałem, gdzie są dzieci. Powiedział mi, ale zaraz potem znowu sięgnął po broń. Wtedy strzeliłem po raz drugi.

— Dlaczego sam nie zadzwoniłeś? I dlaczego to miało być anonimowe?

— Nie miałem czasu, a poza tym nie chciałem, żeby mnie pytali, jak zdobyłem informacje. Teoretycznie rannych się nie przesłuchuje.

Po drugiej stronie zapadła przykra cisza. Bolt czuł, że Mo nie potrafi mu tak do końca uwierzyć.

— Jeśli chodzi o tego człowieka — powiedział wreszcie sierżant — to z odcisków palców wynika, że nazywał się David Harrison. Był wojskowy, który walczył w Jugosławii i rzekomo zginął ponad dziesięć lat temu. Ale najwyraźniej nie zginął. Miał na koncie jedną napaść na tle seksualnym, a w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku znalazł się na liście podejrzanych o zbrodnie wojenne, sporządzonej przez ONZ. Podobno brał udział w rzeziach ludności cywilnej. Według Merona jego ludzie mówili o nim „Lench”, ale w archiwach nie znaleźliśmy nikogo o takim nazwisku bądź pseudonimie.

— Czy wiemy, dla kogo pracował?

— Wygląda na to, że dla londyńskiego biznesmena nazwiskiem Wise. Paul Wise.

— Gdzieś już słyszałem to nazwisko, ale nie wiem gdzie.

— Pewnie widziałeś na liście najbogatszych Anglików w „Sunday Timesie”. To naprawdę nadziany gość, który robi interesy w dość agresywny sposób. W zgłiszczach domu w New Forest znaleziono także zwłoki innego mężczyzny. Analiza DNA zidentyfikowała go jako Petera Mantaniego, byłego więźnia z długą listą wyroków za przemoc. Jego nazwisko figuruje na liście płac jednej z firm pośrednio powiązanych z Wise’em. To zawsze jakieś wskazówki, chociaż w sądzie na nic by się nie zdały.

Bolt musiał przyznać, że to wszystko ma sens. Kiedy Lench myślał, że zostanie aresztowany, był taki pewny siebie, ponieważ wiedział, że jego pracodawca to bardzo wpływowa osoba.

Komisarz przypomniał sobie, że parę lat wcześniej czytał o Wise w jakiejś niedzielnej gazecie. Artykuł opisywał, jak krok po kroku stawał się jednym z najbogatszych przedsiębiorców, którzy wszystko zawdzięczają samym sobie. Autor co prawda wspominał na marginesie o istnieniu ciemnej strony działalności Wise'a, ale Bolt nie zwrócił na to wtedy uwagi. W końcu w dzisiejszych czasach nie brakuje ludzi, którzy dorobili się na nieuczciwych interesach.

— Meron wspominał, że uratował go tajniak z naszego wydziału, noszący pseudonim Daniels — rzekł Bolt. — Ostatnio widział go w domku w New Forest, kiedy Daniels walczył z Lenchem i jego ludźmi. Wiemy coś o tym?

— W wydziale nie było żadnej tajnej operacji skierowanej przeciwko Paulowi Wise'owi — odparł Mo. — Kimkolwiek był ten Daniels, na pewno nie był od nas.

— Dziwne.

— A tak poza tym, Kathy Meron złożyła szczegółowe zeznanie.

Po plecach Bolta przebiegł lodowaty dreszcz. Co to mogło oznaczać?

— Jesteś w stanie mi zdradzić szczegóły? — zapytał.

— Potwierdziła, że człowiek, którego zastrześliłeś, porwał ich dzieci, że był uzbrojony i że domagał się klucza do skrytki, grożąc śmiercią dzieciom, mężowi i jej samej.

Bolt odetchnął z ulgą. Czyli Kathy też go nie umoczyła.

— Poza tym powiedziała nam, że w skrytce znajdowała się taśma i laptop. Jedno i drugie było własnością Calleya.

— Naprawdę? Czyli wiedziała, co tam jest?

— Tak, ale nic nie mówiła, bo zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby oni odkryli, że ona albo jej mąż coś wiedzą, toby ich zabili.

Bolt był zaintrygowany.

— I co, nic mi nie powiesz? Co takiego tam było?

— Według Kathy na taśmie Tristram Parnham-Jones przyznaje się do uczestnictwa w gangu pedofilów, tym samym, nad którym pracował Gallan. Są tam też nazwiska. Większość tych ludzi już nie żyje, ale jeden owszem.

— Jak się nazywa?

— Paul Wise.

— Jezu, więc on jest jednym z nich. Nic dziwnego, że chciał dorwać tę taśmę.

— Na to wygląda — odrzekł Mo. — Ale Kathy przyznała, że nigdy nie słyszała tego nagrania. Treść zna z opowieści Calleya. Wygląda na to, że wszystkie szczegóły znajdowały się na dysku laptopa. Calley przygotowywał tę dokumentację przez kilka miesięcy.

— Ale przecież Calley był adwokatem Parnham-Jonesa. Dlaczego miałby zbierać papiery na swojego najważniejszego klienta?

Mo westchnął.

— Najwyraźniej Jack Calley był przedstawicielem bardzo rzadkiego gatunku: prawnikiem niepozbawionym sumienia. Kiedy John Gallan w styczniu poszedł z tą sprawą do swoich przełożonych, rozpoczęto formalne dochodzenie, więc lord Parnham-Jones naturalnie zaangażował w sprawę swojego adwokata. Chociaż po paru tygodniach umorzono śledztwo z braku dowodów, to według Kathy, Calley nabrał przekonania o winie swojego klienta. Strasznie go martwiło, że pomógł niebezpiecznemu pedofilowi uniknąć więzienia. Posunął się nawet do tego, że nagrał parę prywatnych spotkań z lordem. Podczas jednego z nich Parnham-Jonesowi wymknęło się kilka uwag, które potwierdzały jego udział w części przestępstw, które mu przypisywano. Ze względu na poufność informacji, nie można by ich było wykorzystać w sądzie, ale Calley był tym tak poruszony, że o wszystkim opowiedział Kathy, z którą miał

wtedy romans. Uważała, że powinien to w jakiś sposób upublicznić, ale on w końcu z tego zrezygnował i po kilku tygodniach sprawa ucichła. Mniej więcej w tym samym czasie Kathy rozpoczęła kolejny romans, tym razem z koleżanką z pracy, Vanessą Blake. To wtedy wszystko zaczęło się sypać. Kathy podzieliła się z Vanessą tym, czego dowiedziała się o Parnham-Jonesie. Vanessa, taka trochę polityczna aktywistka, miała dużą ochotę wyciągnąć te informacje na światło dzienne. Wygląda na to, że opowiedziała znajomemu dziennikarzowi o istnieniu taśmy i chociaż nie podała żadnych nazwisk, to tamten na własną rękę zaczął grzebać. Kathy powstrzymała Vanessę przed podjęciem dalszych kroków, ale przypuszcza, że wiedza o taśmie rozeszła się szerzej. Prawdopodobnie dowiedziało się o niej kilka zainteresowanych osób, w tym Wise.

— Myślisz, że Wise maczał palce w śmierci Parnham-Jonesa? — spytał Bolt.

— Na to wygląda, no nie? Chyba możemy spokojnie przyjąć, że ludzie Wise'a pozbyli się Johna Gallana, a skoro tak, to może również uznali, że lord jest dla nich zbyt niebezpieczny. Wiemy natomiast, że kiedy Jack Calley dowiedział się o jego śmierci, zadzwonił do Kathy. To było wczoraj rano. Podobno był bardzo zaniepokojony. Miał pewność, że to nie samobójstwo, lecz morderstwo. Bał się, że jako właściciela nagrania czeka go ten sam los. Co więcej, obawiał się, że i Kathy może stać się celem. Kathy uznała, że popadł w paranoję, ale zgodziła się, że nadszedł czas, żeby upublicznić zawartość taśmy. Oczywiście Jack, jako prawnik Parnham-Jonesa, sam nie mógł tego zrobić, więc poprosił Kathy. Umieścił laptop i taśmę w skrytce, i poprosił ją, żeby przyjechała do niego po klucz. Powiedział jej, żeby nie parkowała przed domem. Najwyraźniej aż taką miał paranoję, ale to właśnie ta paranoja uratowała jej życie. Akurat kiedy u niego była, przyjechał ten Lench z kolegami. Kathy

schowała się, ale Jacka, jak wiemy, dorwali w lesie i najwyraźniej przed śmiercią podał im nazwisko i adres Toma.

— Wciąż nie wiem, dlaczego wskazał na Toma. Przecież biedak nie miał z tym wszystkim nic wspólnego.

Mo chwilę milczał, zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Może myślał, że jeśli chce przeżyć, to musi im coś dać. Nie chciał wskazać Kathy, ale w tym momencie był pod taką presją, że nikt poza Tomem nie przyszedł mu do głowy. A teraz nie żyje, więc pewnie nigdy się nie dowiemy.

— A co z Vanessą Blake? Czy ludzie Wise'a o niej też się dowiedzieli?

— Kathy mówi, że według Lencha morderstwo Vanessy było wynikiem pomyłki. Wygląda na to, że zabójca szukał na uniwersytecie właśnie Kathy, a trafił na Vanesę. Co więcej, ten nóż do filetowania ryb był jej własnością. Tak jak Calley, ona też od śmierci Parnham-Jonesa panicznie się bała o własne życie, szczególnie że to ona była źródłem przecieku. Dlatego nosiła ten nóż przy sobie dla obrony. To dlatego były na nim odciski palców Kathy. Używała go w kuchni u Vanessy, kiedy były razem.

Teraz z kolei Bolt westchnął.

— Tylu ludzi zginęło... Ktoś za to wszystko musi zapłacić. Czy Wise został już wezwany na przesłuchanie?

— Na jakiej podstawie? Po taśmie i laptopie ani śladu. Schowek jest pusty.

— Kurwa. Czyli co, ma mu się upiec?

— Nie mamy przeciwko niemu żadnych dowodów. Tylko strzępy pogłosek. Na nic nam się to nie zda.

Bolt milczał. Wierzył w wersję wydarzeń Kathy Meron. Trzymała się kupy. Nie żeby z jego punktu widzenia miało to jakieś znaczenie. I tak był zawieszony. Zastanawiał się, czy człowiek, którego zabił — David Harrison, Lench czy jak mu

tam tak naprawdę było — mógł im dostarczyć informacji, z których dałoby się zbudować oskarżenie przeciwko Wise'owi. Pewnie nie. Nie robił wrażenia kogoś, kto uległby na przesłuchaniu, chcąc ratować własną skórę. Zresztą nie było sensu o tym teraz myśleć. On już nie żył. Ta kwestia nie miała znaczenia.

— Szefie, mogę cię o coś zapytać?

Bolt wiedział, co to będzie za pytanie.

— Jasne, słucham.

— Nie było innego sposobu, prawda?

— Co masz na myśli?

— Musiałeś go zastrzelić, prawda? Tego Lencha. Inaczej by cię zabił. Tak to się stało, prawda?

Bolt zdawał sobie sprawę, z jakim trudem jego przyjacielowi musiało przyjść to pytanie. Ufali sobie. Lecz to, co stało się tego poranka, wszystko zmieniło.

— Wiesz, nie pytałbym, ale... — zawiesił głos. — Czuję, że muszę to wiedzieć.

— Nie było innego sposobu, Mo. Przysięgam. — To kłamstwo przyszło mu łatwiej, niż przypuszczał. — Sięgnął po broń i wtedy pociągnąłem za spust. Chyba nie chciał iść do więzienia.

Komisarz usłyszał w słuchawce oddech ulgi.

— Nie wątpiłem w ciebie, szefie, ale okoliczności były... — zaczął szukać właściwego słowa — były dziwne, prawda? I wszystko to trochę szokujące.

— Cały ten weekend był szokujący. Wracaj do rodziny, Mo. Rozluźnij się.

— Ty też, szefie.

— O mnie się nie martw. Nic mi nie będzie.

Wiedział, że to prawda. Nic mu nie będzie. On, Mike Bolt, nigdy się nie poddawał. Już raz powrócił znad krawędzi. Pozbierał się po fizycznej i emocjonalnej katastrofie, jaką był

wypadek, w którym zginęła jego żona. I to powrócił silniejszy. Teraz jednak kryteria rządzące życiem Bolta uległy zmianie. Zabił człowieka z zimną krwią — co prawda w swoim przekonaniu postąpił słusznie, ale słuszność nie wpływa na lot kuli.

Niezależnie od wszystkiego tamten mężczyzna nie żył. I niezależnie od wszystkiego zginął bezbronny. Jak większość ludzi Bolt nigdy nie miał do końca czystych rąk. Jednakże do tej chwili nie były one aż tak brudne. Musiał się teraz do tego przyzwyczaić.

Odłożył telefon na stolik, wziął do ręki wino i włączył telewizor. Jak na jeden dzień dostatecznie dużo się już nagłówkował.

56

Powrót do Maksa i Chloe był bez wątpienia jednym z najwspanialszych momentów w moim życiu. Gdy tylko otworzyłem drzwi, oboje rzucili mi się ze śmiechem w ramiona i staliśmy tak we trójkę, złączeni nierozzerwalnym uściskiem. Przez chwilę nic innego się nie liczyło. Zapomniałem o krwawych wydarzeniach minionej doby. Zapomniałem o rozbitym, sponiewieranym małżeństwie. Byłem w domu.

Kiedy Chloe wreszcie wyzwoliła się z tego uścisku, lekko dotknęła bandaża na mojej twarzy i spytała, co mi się stało. Powiedziałem, że się przewróciłem i zraniłem gwoździem.

— Ojej — powiedziała — biedny tatuś — i pocałowała mnie delikatnie w policzek. — A wiesz, co nam się przytrafiło? — spytała, szeroko otwierając oczy.

— Nie — odparłem, udając niezorientowanego. — Co się wam przytrafiło?

— Przyszedł pan ubrany na czarno i porwał nas od babci — wyjaśniła podekscytowana.

Wzdrygnąłem się. Wiedziałem, że nikt im jeszcze nie powiedział o śmierci babci. Miałem nadzieję, że nie będę musiał tego robić teraz.

— Tak, słyszałem.

— Płakałam. Ale tylko trochę.

— A ja nie płakałem — wtrącił Max. — Nakrzyczałem na niego.

— Teraz już się nie musicie martwić — powiedziałem. — Ten zły pan jest w więzieniu.

Jednak w chwili, gdy wymówiłem te słowa, zacząłem się zastanawiać, czy wszyscy czterej mężczyźni, których wczoraj widzieliśmy w domu, rzeczywiście zostali namierzeni. Lench, Mantani i Caplin — na pewno. Wciąż się zastanawiałem, czy czwartym był konstabl Sullivan, a jeśli tak, to co się z nim stało.

Ale teraz mogłem o tym wszystkim zapomnieć.

Zdaniem psychologa ze szpitala, przejścia ostatniej doby wywołały u Maksa i Chloe jedynie niewielki uraz psychiczny. Dzieci zawdzięczały to młodemu wiekowi, temu, że były razem oraz że niewola trwała stosunkowo krótko. Kiedy tego popołudnia się bawiliśmy — one z krzykiem biegały po ogrodzie, a ja usiłowałem je dogonić — rzeczywiście były takie jak dawniej. Poinstruowano nas, żebyśmy pozwolili im mówić o swoich przejściach, ale wyglądało na to, że wcale ich to nie interesuje. Dlatego w ogóle nie wracałem do tematu. Miałem nadzieję, że damy radę zaniknąć ten rozdział.

Kathy nie dołączyła do zabawy. Widziałem, że jest na skraju załamania. W przerażająco krótkim czasie zamordowano trzy bardzo bliskie jej osoby. Na świecie została jej tylko rodzina — choć nie wiedziałem, czy ja wciąż jeszcze byłem jej częścią.

Kiedy już położyliśmy dzieci do łóżek, a ja przeczytałem im bajkę na dobranoc, zszedłem na dół do kuchni i przyłączyłem się do Kathy. Na stole stała otwarta butelka czerwonego wina. Zobaczyłem, że czeka na mnie pełny kieliszek. Kathy miała suche oczy, jednak napięcie było w nich bardzo widoczne. Nie mogłem się oprzeć myśli, że nawet po tym wszystkim wygląda pięknie.

— Myślę, że jestem ci winna całą prawdę — powiedziała, podając mi wino.

Upiłem spory łyk. Uznałem, że mi się należy.

— Powiesz mi, kiedy będziesz gotowa — odrzekłem.

Spojrzałem na nią znad kieliszka. Zastanawiałem się, czy nasz związek da się jeszcze uratować. Z jej gładkiej, oliwkowej twarzy niewiele potrafiłem wyczytać.

— Jestem gotowa. Zgłodniałeś?

Pokręciłem głową.

— Teoretycznie powinienem, ale mój apetyt chyba się udał na urlop.

— Mój też. Czuję tylko pustkę. Chodź.

Wzięła mnie za rękę. Jej dotyk wzbudził we mnie iskierkę emocji. Zaprowadziła mnie do salonu. Usiedliśmy obok siebie i wtedy, z dłonią wciąż w mojej dłoni, o wszystkim mi powiedziała. O tym, jak od dawna była nieszczęśliwa w małżeństwie, jak rozpoczęła romans z Jackiem, a potem z Vanessą. Jak będąc z Jackiem, dowiedziała się o oskarżeniach pod adresem jednego z jego najważniejszych klientów, samego prezesa Sądu Najwyższego, lorda Parnham-Jonesa (zawsze mi się wydawał podejrzany), oraz o istnieniu taśmy, na której lord przyznawał się do winy. I wreszcie o tym, jak wszyscy staliśmy się potencjalnymi celami, ponieważ Lench, Mantani oraz ich pracodawca, kimkolwiek on jest, chcieli znaleźć to nagranie, zanim zostanie upublicznione.

— Przykro mi, że cię w to wszystko wplątałam — powiedziała, skończywszy swoją opowieść.

— Dzisiaj rano w samochodzie Caplin powiedział mi, że policja, przeszukując dom Vanessy, znalazła wspólny wniosek o kredyt podpisany przez was obie.

Nie potrafiłem się zdobyć na to, żeby wspomnieć o fotografiach, które Caplin określił jako „intymne”.

Kathy uśmiechnęła się melancholijnie.

— Nie, to nie był wniosek o kredyt. To było zapytanie o zdolność kredytową.

Nie za bardzo wiedziałem, jaka to różnica, więc mi wyjaśniła:

— Vanessa nalegała, żeby nasz związek stał się poważniejszy. Ja byłem w niej zadurzona, ale ona chyba się we mnie naprawdę zakochała. A ponieważ była sama, miała mniej do stracenia.

Zaczęły mnie ogarniać niezbyt sympatyczne myśli na temat Vanessy, ale przypomniałem sobie, że ona nie żyje, czyli też kiepsko na tym wyszła.

— Wiedziałam, że powinnam próbować to wszystko uspokoić — ciągnęła Kathy — ale tyle się działo, że to wcale nie było łatwe. Więc po prostu pozwoliłam, żeby sprawy toczyły się same. — Spojrzała na mnie, a jej samie oczy nabrały jeszcze bardziej sarniego wyrazu. — Naprawdę nie chciałam, żebyś się o niej dowiedział. Próbowałam to utrzymać w tajemnicy aż do końca, szczególnie po tym, jak dowiedziałeś się o Jacku.

Ścisnęła moją dłoń. To było przyjemne uczucie. Pewnie jestem trochę naiwny, jeśli chodzi o kobiety, ale w tamtej chwili pomyślałem, że może ona wciąż jeszcze coś do mnie czuje.

Kiedy skończyła mówić, pokręciłem głową ze smutkiem i znużeniem. Teraz myślałem o Jacku. O moim starym przyjacielu Jacku. O Jacku zdrajcy.

— Czy kiedykolwiek wspominał o mnie? — spytałem.

— Mówił, że czasami czuje się winny.

Jakoś w to nie wierzyłem. W umyśle kogoś takiego jak Jack Calley nie było miejsca na poczucie winy. We wszystkim, co robił, kierował się instynktem, często w ogóle się nie zastanawiając, jakie to może mieć konsekwencje zarówno dla niego, jak i dla całego otoczenia. Instynkt Jacka podpowiadał mu, że jest w stanie zrobić wszystko. To dlatego zjeżdżał po prawie pionowej ścianie Wąwozu Sketty'ego. I to dlatego, kiedy mieliśmy po dziewięć lat i trzech starszych chłopaków zatrzymało nas w parku, domagając się pieniędzy, Jack wołał

się na nich rzucić z pięściami niż zapłacić. Instynkt bardzo rzadko go zawodził. Co prawda tych trzech chłopaków trochę nas sprąło (szczególnie Jacka, bo on bardziej się opierał), ale pieniędzy nie dostali.

Jednak szczęście opuściło go właśnie wtedy, gdy go najbardziej potrzebował. Przypomniałem sobie tamten dzień w parku. Wróciliśmy do domu poturbowani i cali w siniakach, objęci, triumfujący, bliscy niczym bracia. Myślałem wtedy, jakie to szczęście, że Jack jest moim przyjacielem. Nawet teraz, po tym wszystkim, co mi uczynił, czułem żal, że odszedł. W gruncie rzeczy był dobrym człowiekiem. Mógł milczeć o strasznych czynach, jakich dopuścił się jego największy klient, i dalej przyjmować od niego pieniądze, a jednak zdecydował się postąpić właściwie — i zapłacił za to życiem. W pewnym sensie z tego powodu jeszcze trudniej było mi się pogodzić z jego zdradą. W moim przypadku nie postąpił honorowo. Jakbym ja na to nie zasługiwał. I to właśnie najbardziej bolało.

— Czy naprawdę aż tak trudno było ze mną wytrzymać przez te ostatnie lata? — zapytałem.

Westchnęła i odgarnęła z oczu kosmyk ciemnych włosów.

— To nie chodzi tylko o ciebie. Chodzi o nas oboje. Oddaliliśmy się od siebie. Prawie nie rozmawiamy, a jeśli już, to głównie na siebie krzyczymy.

Nie przypominałem sobie, żeby było aż tak źle — ale to chyba nie dlatego, że lepiej rozumiałem sytuację, lecz raczej dlatego, że bałem się pogodzić z prawdą. Ostatnio rzeczywiście zdarzyło nam się parę ostrych kłótni.

— Wcześniej czy później — ciągnęła — coś się chyba musiało stać, ale naprawdę nie chciałam, żeby sprawy zaszły tak daleko. Tom, nie potrafię ci nawet powiedzieć, jak strasznie mi przykro. Gdybym tylko mogła cofnąć czas, tobym to zrobiła.

— Czy istnieje jakaś szansa, żebyśmy wrócili do tego, co było kiedyś?

Pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące. Nagle wszystko inne przestało się liczyć. Niczego nie pragnąłem tak bardzo, jak móc wrócić do czasów, kiedy się kochaliśmy. Potrzebowałem Kathy. Potrzebowałem całej rodziny. Bez nich byłem niczym.

— Nie wiem — odrzekła.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem.

— Ja chcę spróbować — powiedziałem.

Pochyliłem się do niej jak nastolatek na pierwszej randce. Chciałem ją pocałować w usta i z ciężkim sercem stwierdziłem, że lekko odwraca głowę, nadstawiając policzek.

Cmoknąłem ją, a ona znów ścisnęła moją dłoń. W tym momencie parę kroków od nas zabrzmiał dzwonek telefonu. Po raz pierwszy od chwili, gdy zeszłego popołudnia zatelefonował Jack. Wydawało się, że od tamtej pory minęły całe wieki. Powoli wstałem. Nie wiedzieć czemu byłem niespokojny. Wiedziałem, że już po wszystkim, a jednak doświadczenie nauczyło mnie, że nigdy nie można wszystkiego przewidzieć. Życie potrafi robić niespodzianki, często bardzo przykre.

— Halo? — we własnym głosie słyszałem zdenerwowanie.

— Jak się masz, Tom? — zapytał głośny, pewny siebie głos ze sztuczną amerykańską nutą, zupełnie jakby jego właściciel utknął gdzieś pośrodku Atlantyku.

Wesley O'Shea zawsze chciał być Amerykaninem i chyba do końca życia źródłem wstydu będzie dla niego fakt, że tak naprawdę urodził się w Leamington Spa.

— Wszystko w porządku, brachu? Właśnie usłyszałem, co się stało — powiedział. — Gliny przed chwilą do mnie dzwoniły i muszę powiedzieć, że mowę mi odebrało.

Następnie Wesley zademonstrował mi, jak bardzo odebrało mu mowę, zalewając mnie niekończącym się potokiem pytań o moje przejścia, a kiedy odpowiedzi uznał za zbyt zdawkowe i wymijające, postanowił mi opowiedzieć o rzekomo podobnym

przeżyciu, które spotkało jego kuzyna w New Jersey na początku lat dziewięćdziesiątych.

— Wesley, dzięki serdeczne, że dzwonisz — przerwałem mu w momencie, gdy antyterroryści właśnie mieli wkroczyć do akcji — ale jak się domyślasz, jestem strasznie zmęczony. Moglibyśmy o tym pogadać później?

Spojrzałem na Kathy i pokazałem wymownym gestem, że rozmawiam z kretynem. Uśmiechnęła się.

— Jasne, Tom. Rozumiem. Słuchaj, weź sobie jutro wolne. A może nawet wtorek. Ezyrite Software chce, żebyś wrócił do pracy w pełni sił.

— Dziękuję, Wesley, to bardzo miło z twojej strony.

— Tom, proszę cię, jesteśmy przyjaciółmi. Mów mi Wes.

— Tak, to bardzo miło z twojej strony, Wes. Bardzo to doceniam.

— Słuchaj, Tom, i jeszcze coś.

Nagle zaczął mu drżeć głos, co było do niego niepodobne.

— Tak, Wes?

— No... czy to prawda, co słyszałem? Że, no wiesz... że ty kogoś postrzełeś?

— Dwa razy — powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Wtedy spojrzałem na Kathy i zrozumiałem, że w ten czy inny sposób na pewno sobie poradzimy. I po raz pierwszy od bardzo dawna roześmiałem się na głos.

57

Konstabl Ben Sullivan wysiadł z samochodu i rozejrzał się nerwowo po pustej, nocnej ulicy. Wreszcie rzucił się biegiem w stronę schodków, które prowadziły do miejsca, gdzie będzie bezpieczny. Otworzył drzwi klatki i wszedł do środka. Odczekał, aż się za nim zatrzasną. Miał kłopoty. Duże kłopoty. Po śmierci Caplina na pewno zaczną go szukać. Może nawet zidentyfikują go jako zabójcę Vanessy Blake. Wiedział, że nie mają na niego mocnych dowodów, ale potrzebował trochę czasu na zastanowienie, zanim odpowie na jakiegokolwiek pytania. A to oznaczało, że musi wyjechać z kraju.

W głębi duszy wiedział, że to głupie posunięcie, oczywiste przyznanie się do winy, ale w tej chwili po prostu nie nadawał się do przesłuchania. Wczoraj po raz pierwszy zabił człowieka. Dla pieniędzy zadźgał nożem kobietę. Obiecali mu za tę robotę dwadzieścia tysięcy funtów w gotówce, w tym dziesięć z góry. To kupa forsy. Ale druga dyszka przepadła, bo osoba, którą zabił, Vanessa Blake, wcale nie miała zginąć. Sullivan został wysłany na uniwersytet, żeby znaleźć Kathy Meron, kobietę, której nigdy wcześniej nie widział na oczy. Podobno mogła być w posiadaniu klucza do jakiejś skrytki. Jeśli Meron była na terenie uczelni, miał jej zabrać klucz, dowiedzieć się, gdzie znajduje się skrytka, a potem ją zabić. Gdyby nie miała klucza, Sullivan miał za zadanie dowiedzieć się, kto go posiada, a następnie pozbyć się kobiety. Dostał również parę rękawiczek

jej męża, zabranych z domu Meronów. Miały pomóc we wrobieniu mężczyzny w morderstwo.

Jednak wszystko się posypało, kiedy zaskoczyła go Vanessa Blake. W szamotaninie zabił ją jej własnym nożem kuchennym.

A teraz dopadły go wyrzuty sumienia. Dlaczego w ogóle dał się w to wciągnąć? To wszystko wina jego dawnego kolegi i mentora, Rory'ego Caplina. To on kusił go świetnymi zarobkami na boku. Sullivan obwiniął również swoją dziewczynę, Janet, i jej kosztowne upodobania. Gdyby nie chciała tych wszystkich ciuchów, mebli i egzotycznych wycieczek, nie brakowałoby mu pieniędzy. Szczerze mówiąc, Ben Sullivan w typowy dla siebie sposób obarczał winą wszystkich, tylko nie siebie. Ta cecha charakteru nigdy mu nie przysparzała przyjaciół.

Włączył światło na korytarzu, minął schody i ruszył w stronę drzwi do lokalu nr 1, gdzie mieszkała Janet. Nie żyli razem — Sullivan cenił sobie niezależność — ale płacił czynsz, odkąd dziewczyna parę miesięcy wcześniej straciła pracę w hotelu. Głupia krowa — pomyślał poirytowany. Jak można stracić posadę recepcjonistki w hotelu? Zajębiście trudna robota to nie jest. Wystarczyło odbierać telefon, jak dzwonił. A to mieszkanie wcale nie było tanie. Siedemset pięćdziesiąt funtów miesięcznie za mamą kawalerkę w jednej z tańszych okolic Hendon. Koszty mieszkania w Londynie są niebotyczne. Nic dziwnego, że Sullivan musiał się imać innych, bardziej dochodowych zajęć.

Dziś wieczorem Janet nie było w domu. Spotykała się ze znajomymi na West Endzie. Bardzo mu to odpowiadało. Te dziesięć tysięcy schował w torbie podróźnej pod stertą koców na szafie w sypialni. Były tam również kolejne cztery tysiące, które zarobił za szereg innych zleceń dla swoich nieoficjalnych pracodawców. Wystarczająco dużo, żeby wyjechać z kraju w jakieś ciepłe miejsce, gdzie mógłby zaplanować swój następny ruch. Janet czeka niezła niespodzianka, jak przyjdzie pora

zapłacić czynsz — pomyślał. Od tej chwili koniec z płaceniem za nią. Pieprzyć ją. Niech ruszy dupę i znajdzie jakąś inną fuchę z rozdawaniem kluczy. Niech to będzie nasze pożegnanie, skarbie — pomyślał.

Jednak gdy tylko zamknął za sobą drzwi do mieszkania i włączył światło, zrozumiał, że coś jest bardzo mocno nie tak. Dywan w salonie przykryty był grubym czarnym brezentem, który chrząścił pod stopami. Brezent oklejał również drzwi i przyległą ścianę. Nawet kanapę na środku pokoju. Za nią stał mężczyzna, zwrócony twarzą w stronę wejścia. Ich spojrzenia się spotkały i wtedy tamten podniósł pistolet z tłumikiem. Z ponurym uśmieszkiem wycelował w Sullivana. Dzieliło ich dwa i pół metra.

— To ty — powiedział Sullivan, natychmiast rozpoznając zabójcę, mimo że przefarbował włosy i nosił teraz okulary w grubej oprawie.

— To zawsze jestem ja — odparł mężczyzna, po czym postrzelił Sullivana w nogę tuż nad rzepeką.

Wystrzał był niemal bezdźwięczny.

Sullivan upadł na drzwi, chwytając się za nogę. Osunął się i usiadł na ziemi, zaciskając zęby z bólu.

— Masz coś, czym jestem zainteresowany — powiedział spokojnie zabójca. — W zasadzie to dwie rzeczy. Taśmę i laptop. Gdzie one są?

— Nie wiem, o czym ty mówisz — syknął Sullivan.

— Owszem, wiesz — stwierdził i postrzelił go w drugą nogę. Sullivan stęknął z bólu.

— Są w samochodzie. Naprawdę chciałem je odnieść.

— No pewnie, że chciałeś.

Pociągnął za spust po raz trzeci i tym razem strzelił Sullivanowi prosto w czoło. Głowa martwego policjanta opadła

bezwładnie do przodu. Krew z rany wylotowej trysnęła na rozpięty na drzwiach brezent.

Mężczyzna, którego Tom Meron znał jako Danielsa, odkręcił tłumik, po czym schował broń w kieszeni kurtki. Znał wartość taśmy i laptopa, które Sullivan zabrał ze schowka na stacji King's Cross. Wiedział, że stanowiły dowód obciążający jego pracodawcę, multimilionera Paula Wise'a. To dlatego od początku chciał je zdobyć dla siebie. To dlatego ryzykował dla nich życie. Wiedział, że są obietnicą największej wypłaty w całej jego karierze.

W domku Meronów był o krok od katastrofy, kiedy napadł na nich Lench ze swoimi ludźmi. Daniels musiał przyznać, że Lench okazał się godnym i wytrzymałym przeciwnikiem, a jego strzał na podjeździe prawie go trafił. Ale teraz i on, i Mantani nie żyli, podobnie jak cała reszta jego ludzi. Paula Wise'a nikt już nie chronił.

A to oznaczało łatwy zarobek.

Daniels owinął ciało Sullivana w brezent, zawiązał oba końce, a następnie nie bez wysiłku zaniósł zwłoki do samochodu denata. Schował je w bagażniku. Znał człowieka w Essex, który pozbywał się ciał bez zadawania pytań. Mógł także zlikwidować samochód. Daniels już wcześniej do niego zadzwonił i zapowiedział przesyłkę.

Laptop i taśma znajdowały się pod siedzeniem pasażera. Daniels włączył silnik i włożył kasetę do samochodowego odtwarzacza. Pięć minut później i trzy kilometry dalej już wiedział, że ma wszystko, czego potrzebuje. Zatrzymał się na poboczu, wyjął telefon i wybrał numer.

Jeśli Paul Wise myślał, że jego problemy już się skończyły, to czekała go spora niespodzianka.

Dopiero się zaczynały.

Epilog

TRZY TYGODNIE PÓŹNIEJ

Odkąd został zawieszony, Bolt dużo rozmyślał. Mając tyle wolnego czasu, trudno tego uniknąć. Kiedy siedzi się w domu całe dnie, a często także wieczorami, do człowieka w pełni dociera, co to znaczy być samotnym. Bolt poleciał do Corku na ryby i tam udało mu się o tym wszystkim na chwilę zapomnieć. Poza tym spędzał więcej czasu „Pod Piórami”. Przytył trzy kilo, mimo że chodził na siłownię dwa razy częściej niż kiedyś. A przez cały ten czas rozmyślał. O mężczyźnie, którego zabił. O sprawie, w którą był zaangażowany. I o człowieku, który najprawdopodobniej za tym wszystkim stał: Paulu Wisie. Człowieku, któremu się upiekło.

Przez ostatnie trzy tygodnie wyszło na jaw więcej szczegółów związanych z jego działalnością. Okazało się, że kilka miesięcy wcześniej wydział do spraw przestępczości zorganizowanej rozpoczął badanie interesów Wise'a. Z niewiadomych przyczyn je zakończono, mimo że według słów Mo biznesmena podejrzewano o udział w pięciu zabójstwach — i to jeszcze przed wydarzeniami sprzed trzech tygodni — a także o wymuszenia, oszustwa, a nawet niepłacenie podatków. Niesamowite, że ktoś tak niemoralny mógł zająć równie wysoko, a co więcej — pozostać bezkarnym. Może nie był filarem swego środowiska, ale również od niego nie stronił. Bądź co bądź Wise miał jednak potężnych przyjaciół, którzy

wyświadczali mu wielkie przysługi. Bolta nurtowało, ilu jeszcze istniało takich Parnham-Jonesów, ludzi ze szczytów establishmentu, mających zboczone gusta. Wkurzała go ta myśl, gdyż przypuszczał, że było ich co najmniej kilku.

Dla Bolta cała sprawa miała również charakter osobisty. W pewnym sensie to przez Wise'a musiał zastrzelić bezbronnego człowieka, łamiąc wszelkie zasady, których bronił przez całe swoje dorosłe życie. To przez Wise'a nie sypiał teraz po nocach. I chciał, żeby sukinsyn za to wszystko zapłacił. Jednak wyglądało na to, że nieprędko do tego dojdzie. Wise był cwany i bardzo dbał o to, żeby zachować czyste ręce. Policja nie miała na niego prawie żadnych dowodów, te zaś, którymi dysponowała, były tak niekompletne, że nie dałoby się ich wykorzystać w sądzie. Dlatego przynajmniej na razie mógł się czuć bezpieczny, chociaż Mo twierdził, że wraz z przypisaniem mu roli w niedawnych zabójstwach śledztwo zostanie wznowione i tym razem wydział zaangażuje w nie więcej środków. Przyjdzie dzień, kiedy tak jak większość przestępców wreszcie zapłaci za swoje zbrodnie. Możliwe tylko, że na ten dzień trzeba będzie jeszcze trochę poczekać.

Pewnego ciepłego czerwcowego popołudnia, w trzy miesiące od chwili, gdy został zawieszony, Bolt wszedł do kawiarni na Camden High Street. W środku panował spokój, a ona i tym razem przybyła pierwsza. Siedziała przy narożnym stoliku w tylnej części lokalu. Bolt skinął jej głową na powitanie, podszedł do baru, gdzie u młodej dziewczyny o słowiańskich rysach zamówił zwykłą kawę. Potem udał się do jej stolika.

— Ładnie pani wygląda — powiedział, gdy podała mu rękę.

I rzeczywiście ładnie wyglądała. Cerę miała zdrową, opaloną, jej ciemne włosy były nieco dłuższe i dużo bardziej lśniące, a cień do powiek podkreślał blask oczu. Miała na sobie koronkową białą bluzkę z krótkimi rękawami, która

akcentowała opaleniznę, a na szyi — jedno z tych malutkich serduszek od Tiffany’ego na prostym, srebrnym łańcuszku.

— Dziękuję — powiedziała Tina Boyd i z powrotem usiadła.
— Pan też wygląda nie najgorzej.

— Gdzie pani była?

— Na wakacjach. Pojechałam na dwa tygodnie do Meksyku. Uznałam, że potrzebuję trochę odpoczynku.

— Chyba rzeczywiście go pani potrzebowała. Bardzo dobrze pani zrobił.

— Słyszałam, co się panu przydarzyło. Przykro mi.

— Zawieszenie to tylko formalność. Komisja już mnie przesłuchała. Wygląda na to, że nie znaleźli żadnych nieprawidłowości, więc w przyszłym tygodniu wracam na służbę.

— W tej samej randze?

— Dokładnie w tej samej.

Uśmiechnęła się.

— To dobrze. Ostatnio góra zbyt często zostawia dobrych policjantów na lodzie. To cud, że w ogóle im jeszcze ktoś pozostał.

— Myślała pani może o powrocie?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

— Owszem, myślałam. Ale wciąż nie jestem pewna.

Na moment zamilkła.

— Niech mi pan opowie o Parnham-Jonesie — powiedziała w końcu, zmieniając temat. — To w końcu było samobójstwo czy morderstwo? Ze wszystkim jestem do tyłu.

— Nikt nie ma pewności — zgodnie z prawdą odrzekł Bolt. Tymczasem podano kawę. Bolt podzielił się z Tiną całą wiedzą, zatajając jedynie nazwisko Paula Wise’a. Słuchała uważnie i od czasu do czasu kręciła głową, gdy mówił o bardziej ponurych szczegółach.

— Więc John miał rację. Rzeczywiście istniał krąg pedofilów do którego należał Parnham-Jones.

— Na to wygląda.

— A w dodatku jednego z nich wciąż nie dosięgła sprawiedliwość. I pan wie, kto to jest.

Bolt skinął głową.

— Mamy podejrzanego, który mógł stać za morderstwem Johna — powiedział ostrożnie — ale nie dysponujemy żadnymi dowodami.

— I myśli pan, że ta sama osoba zleciła zabójstwo Parnham-Jonesa, tak?

Komisarz znów kiwnął głową.

— Myślę, że lord był słabym ogniwem. Musiał zniknąć. Był zamieszany w śmierć tego dziecka przed kilkoma laty. Myślał, że mu się upiekło, aż tu nagle parę miesięcy temu okazuje się, że tajemnica wyszła na jaw, a wokół sprawy węszy jakiś detektyw i zadaje niewygodne pytania. Parnham-Jones dzwoni do jednego ze swoich współników, który także miał udział w tym morderstwie. Niech to będzie pan W. Lord prosi go, żeby załatwił sprawę, i w parę tygodni później detektyw już nie żyje. Teraz sędzia może odetchnąć z ulgą, ale nie na długo. Pojawiają się pogłoski, że istnieje nagranie wypowiedzi, w której przyznał się do zbrodni, a przynajmniej do molestowania dzieci. Żeby było jeszcze ciekawiej, dostaje anonimowego e-maila z informacją, że autor zna szczegóły jego przestępstw. Znaleźliśmy ten list na jego domowym komputerze. Lorda czekają kolejne nieprzespane noce. Przypuszczam, że w miarę jak mroczna przeszłość zaczynała się na nim mścić, wpadał w coraz większą panikę, aż wreszcie jego współnik uznał, że pozostawienie go przy życiu jest po prostu zbyt ryzykowne. Posłużył się tymi samymi ludźmi, którzy zabili Johna. Nie zmienili sposobu działania i trzymali się metody, która

sprawdziła się już wcześniej. Zamordowali Parnham-Jonesa w dokładnie taki sam sposób, pozorując samobójstwo.

— I komuś to uszło na sucho — powiedziała Tina, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów silk cut. — Temu panu W.

— Ludzie, którzy faktycznie zamordowali Johna, niemal na pewno wszyscy nie żyją. A co do samego Pana W., to teraz jest już na celowniku. Kiedyś powinie mu się noga.

— No cóż — stwierdziła Tina, przypalając papierosa — jeśli chodzi o naszego lorda, to sukinsyn dostał to, na co zasługiwał. Zrujnował życie wielu ludziom, ale teraz przynajmniej John może spoczywać w spokoju.

Bolt skinął głową. Zgadzał się z nią.

— Została tylko jedna niewyjaśniona tajemnica — powiedział i wypił kolejny łyk kawy.

— Jaka?

— Kto na tydzień przed śmiercią Parnham-Jonesa wysłał do niego e-maila? Tego z informacją, że wie wszystko o jego występkach.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Tina nie odwracała wzroku, a jej spojrzenie niczego nie zdradzało. Z jej twarzy trudno by było cokolwiek wyczytać. Wreszcie lekko się uśmiechnęła — uśmiechem, który wyrażał jednocześnie pewność siebie i bezbronność.

— Pan wie, że to ja, prawda?

— Dużo o tym myślałem — Bolt odwzajemnił uśmiech, dając tym samym znak, że rozumie, przez co przeszła i dlaczego to zrobiła — i uznałem, że to nie mógł być nikt inny.

Westchnęła i zaciągnęła się dymem.

— Myślałam, że wszystko ujdzie mu na sucho, i stąd cały problem. Zresztą chyba wtedy rzeczywiście na to się zanosilo. Chciałam, żeby i on cierpiał tak, jak ja cierpiałam. Wysłałam mu tylko tego jednego e-maila i dopiero po fakcie zrozumiałam,

jaka byłam głupia i na jakie ryzyko się narażłam. Czy jest możliwość, że zostanę zidentyfikowana?

— Skąd go pani wysłała?

— Z kawiarenki internetowej. Specjalnie założyłam konto na Hotmailu.

— Parę dni temu rozmawiałem z gościem, który się tym zajmował — rzekł Bolt, wspominając rozmowę z Mattem Turnerem — i okazało się, że niczego nie znalazł. Więc raczej nic pani nie grozi.

— To dobrze. Nie żebym żałowała, że to zrobiłam. Zasługiwał na to. Szkoda tylko, że nie wymyśliłam czegoś skuteczniejszego.

— Ale w gruncie rzeczy nie musiała go pani wysłać, prawda?

— Chyba nie. — Zgasiła papierosa i spojrzała na niego uważnie. — Ale to będzie nasza tajemnica, prawda?

— Słowo skauta — odparł Bolt, robiąc przy tym odpowiedni gest. — Ale ja tu przyszedłem jeszcze z innego powodu.

Rzuciła mu czujne spojrzenie.

— O co chodzi? Czegoś jeszcze powinnam się obawiać?

— Możliwe, że tak — odrzekł, ale tym razem miał na twarzy uśmiech. — Chciałbym pani zaproponować pracę.

— To jest żart, prawda? Przecież ja już nawet nie jestem w policji.

— Nie, to nie żart. Brakuje mi ludzi w zespole i wiem, że góra powita panią z otwartymi rękami. Ma pani doskonałą przeszłość. Dokładnie takiej osoby potrzebuję u siebie. Kogoś, kto się nie poddaje.

— Czyli pan mówi poważnie?

— Jak najbardziej.

Przeczesała włosy palcami.

— To ciekawa propozycja. Ale zdaje się, że w przyszłym roku rozwiążą wydział.

— Ale to dopiero w przyszłym roku. No to jak? Przecież pani wie, że jest jedną z nas.

— Zastanowię się, dobrze? Nie chcę podejmować pochopnych decyzji. Pan to rozumie, prawda?

— Oczywiście — powiedział, jakby nieco zawiedziony.

Chciał ją pozyskać do zespołu nie tylko dlatego, że była dobrym policjantem. Kiedy przed trzema tygodniami spotkali się po raz pierwszy, była bezbronna i potrzebowała wsparcia. Nie pozostał obojętny na ten jej ból, bo chyba widział w niej coś z siebie samego. Jednak później zrozumiał, że go również pociągała. A gdy ją teraz zobaczył, opaloną i zadbaną, utwierdził się w tym przekonaniu.

Podniósł się. Chciał jakoś przegnać uczucie rozczarowania, ale udało mu się to tylko częściowo.

— Ma pani mój numer, prawda? Będę czekał na pani decyzję.

Skinęła głową.

— Dziękuję za tę propozycję. Dam znać do końca tygodnia.

Podali sobie dłonie i się pożegnali. Bolt zostawił na stoliku dwa funty za kawę i wyszedł na ulicę. Niebo miało bladobłękitną barwę, a przez długie, postrzępione chmury przebijało słońce.

Rozczarowanie minęło. Życie toczyło się dalej.

Od autora

Uważni czytelnicy dostrzegą, że dla dobra fabuły pozwoliłem sobie na swobodę w opisie miejscowości Hambleton. Dla przykładu na rynku nie ma już budki telefonicznej. Nie istnieje również Ranger's Hill. Pub jest natomiast całkiem autentyczny i mają tam bardzo dobre piwo.